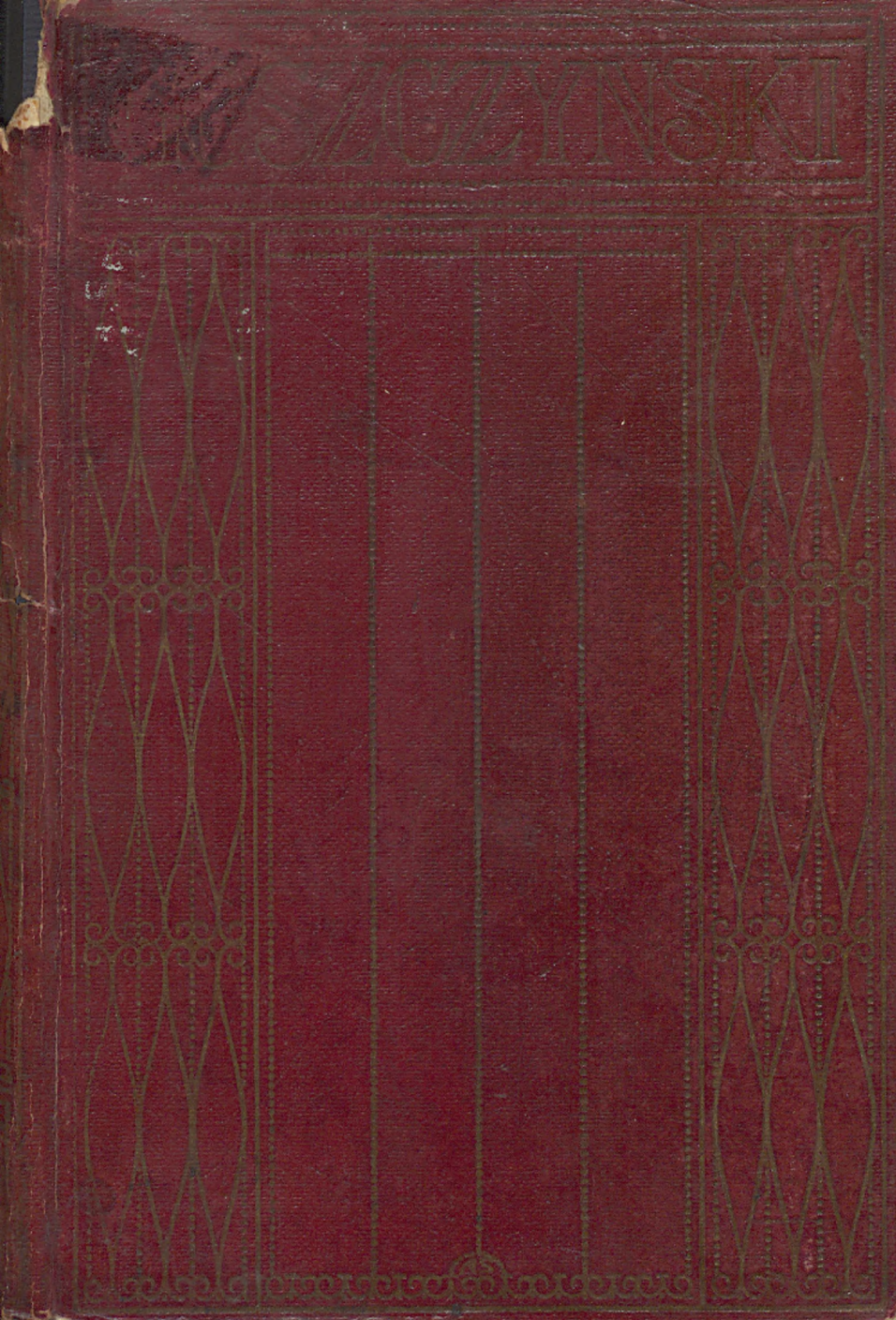


SZCZYŃSKI







S. GOSZCZYŃSKI

według akwaforty A. Reichana, 1836 r.

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO.

DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

WYDAŁ
ZYG MUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

Gonczapiski S.
DZIEŁA ZBIOROWE
SEWERYNA
GOSZCZYŃSKIEGO

TOM I
POEZYJE LIRYCZNE

WYDAŁ
ZYG MUNT WASILEWSKI

NAKŁAD KSIĘGARNI H. ALTENBERGA
WE LWOWIE.

1910

Czytelnia
Do udostępnienia
tylko w Czytelni



47920
884-1 884-3 + 884-92 + 884(081)

nr inw.: K - 47920



BGZs 47920

CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ
W KRAKOWIE.

SPIS RZECZY TOMU I.

	Str.		Str.
Wstęp	X—XXX	Przy krosienkach	61
POEZYJE LIRYCZNE.		Do...	62
1818—1820.		*Sonety	63
Do młodego poety	3	*Triolety	65
*Orzeł	4	Iskra boża	65
*Powołanie	5	Pokrzepienie	67
*Błędy geniuszu	6	Objawienie się ojczyzny	68
*Lutnia Sury	7	Na mogile Kościuszki	70
*Do nadziei	8	Dobranoc z oddalenia	71
Tęsknota	9	*Zameczysko	71
Dwa anioły	11	Odblask wodny	73
*Rozstanie	12	*Żegluga poety	74
*Gwiazdy bliźnięta	13	*Do przyjaciół	81
Zimowa pogoda	13	*Cerkiew św. Andrzeja	82
Kłątwa sumienia	14	Pieśń wulkanu	84
*Przebudzenie	16	Z prorocत्व Izajasza	85
Zdanie się	17	Ręjtan	88
*Pustelnik	17	Modlitwa wolnego	90
*Topielec	18	Ojczyzna matka	92
*Południe	19	Uczta zemsty	93
*Moja piosenka	20	Larwa niewoli	97
*Podróż jesienna	21	Korab wolności	99
Łza tajemnicza	22		
*Podróżny	24	1830—1841.	
*Szczęście	25	Powstanie 29. listopada	103
*Zagadka tkliwego	26	Pobudka północna	105
Nad płaczącym dzieckiem	27	Marsz za Bug	107
Matka przyroda	28	Skowronek polski	108
*Do wiosny	29	Duch kosyniera	109
Wieczór	31	Antychryst wolności	112
*Do mojej wierzby	31	Święto Trzeciego Maja	114
Rozmowa ze słowikiem	32	Chmura	116
*Ostatnia przechadzka	33	Piorun	117
*Noc w Zofiówce	38	Śpiew ludu polskiego	118
*Do przyjaciół	54	Żołnierz w roku 1811	120
*Wianek przyjaźni	55	Cholera	121
Moje nabożeństwo	58	Wisła i święty Jakób	123
*Gołąbek z postaniem	59	Żołnierz zębrzący	124
*Straszna chwila	59	Wyjście z Polski	125
*Do widzenia!	60	Wyprawa Braci wychodź- ców	136

UWAGA. * oznaczamy utwór, który pierwszy raz wcielony
został do zbiorowego wydania pism G-o, lub też wszedł tutaj ze
zmienionym przez autora tekstem.

Str.	Str.
Kolenda polska na r. 1832 127	Do dumnej 187
Moja piosenka najlepsza 129	Do... 189
Gęślarz 131	Ustroń pieszczoty 190
Biada nam! 132	Do trzydziestoletniej 190
Z więzienia 133	Tęsknota dziewczęca 191
*Krzyż-szubienica 136	Mazurka w kłopotcie 193
*Uczta na obczyźnie 139	Dziewczyna w strapieniu 194
*Marzenia więźnia 140	Skrzypek na księżycu 195
Do braci Polaków 147	Małżeństwo 197
Do uwięzionych 148	Zmartwychwstanie 199
Do ludu moskiewskiego 149	Poezya szatańska 200
Mara ojczyzny 152	Chwila iza 204
Muzyka wojskowa 153	Gwiazda ducha 206
Północ krakowska 155	Walka poranna 208
Pieśń wiary 157	Modlitwa przedsejna 211
Cześć pośmiertna Szymo- nowi Konarskiemu 158	Westchnienie do Boga 211
Obchód doroczny 29 listop. 159	
Posłanie Ukraince 161	NA SCHYŁKU, 1841—1872.
Rozpacz Polki 162	*W strapieniu mojem... 215
Czarne natchnienie 164	*Cisza powszechna... 216
Zasłona oddalenia 165	*Tyle, o Boże, Tobie się przrzekło... 217
Przy sadzeniu róż 168	*Pożegnanie Maria-Stein 217
Prośba do burzy 169	*Modlitwa w rocznicę bie- siady na górze Etzel 219
Kropła kochanką słońca 170	*Chrystus Pan wzywa swe- go żołnierza 221
Twórcze chwile poety 171	*Spór aniołów 222
Uniewinnienie poety 171	*Do Ducha mego 224
Potok życia 172	*Pokój i wojna 225
Do dzieci 173	*Pieśń pogrobną Mickiewi- czowi 226
Świat nowy 174	*W Tobie jednym, Boże Panie... 229
Dobre Polki 174	*Posłanie do Polski 230
Brzoza i źródło 175	*Bogarodzica 256
Do grającej 177	*W imionniku młodej Polki 273
Pokusa 177	*W albumie. (P. Anny Wol- skiej) 273
Włosy kochanki 178	*Testament poety 274
Pieśń na czatach 179	
Pieśń godowa 179	UZUPEŁNIENIE „POEZYI LIRYCZNYCH“
Do wyśnionej kochanki 182	*Prorocтва ks. Marka 277
Dobrydzień! 181	*Drobiazgi 320
Dzień rozkoszy 181	Odmiany tekstu 323
Gwiazdy niezapominki 182	
Kochanka ducha 183	
Modlitwa kochanki 184	
Pożegnanie kochanki 184	
Rękojmia wierności 185	
Obraz kochanki 186	

RYCINY:

Portret G-o według akwaforty A. Reichana, z r. 1836.
Autograf „Cenzury austriackiej“.

*Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem,
Dzieliłem mej Ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
Przejmowałem jej wszystkie czucia, krom zwątpienia...*

Odszukać Goszczyńskiego w archiwach i zbiorach czasopism i wydać w całości jego dzieła było obowiązkiem naszego pokolenia, odkąd uporało się ono z grubszą z poetami pierwszorzędnymi epoki romantycznej. Historia literatury musiała ze szczytowych punktów rozkwitu poezji (od Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego) zejść w badaniach swoich do podstaw owego pasma wyżyn, ciągnącego się przez stulecie aż w dni nasze. I uczyniła to nie z pietyzmu jedynie dla epoki, lecz z potrzeby gruntownego jej zbadania. S. Goszczyński właśnie dlatego, że nie ginie nam z oczu, jak śnieżny szczyt w chmurach, że trzyma się bliżej ziemi, właśnie dlatego jest podatniejszy do badań historycznych i, jako świadectwo epoki, miarodajniejszy.

Poeta ten trzymał się ziemi wszystkimi włókami duszy, wiernie wyrażał nastroje i dążenia epoki. Na pismach jego badać można uwarstwienia ducha czasu, jak on się wyrażał w jednostkach przodujących czy na Rusi w latach młodości G-o, czy w Warszawie w czasie rewolucji, czy za pobytu G-o w Galicyi, czy też wreszcie na emigracji w Paryżu. Żywot Goszczyńskiego obejmuje od 1801 do 1876 r. trzy ćwierci stulecia — i to w dziejach kultury polskiej nie było jakiego. Odbyszał się w tych okresach lat dal-

szy, coraz bardziej przyspieszony proces wewnętrzznego przerabiania się społeczeństwa polskiego na typ nowożytny. Poeci nasi w tym procesie społecznym, znajdującym swój równoważnik psychiczny w formującej się samowiedzy zbiorowej narodu, odgrywali rolę wybitną. Patrząc wstecz, mamy wrażenie, że to duchowe przekształcanie się narodu odbywało się pod kierunkiem poezji, jako czynnika życie kształtującego. Poeci wyrażali tylko epokę, ale właśnie dlatego historia poczytywać musi ich pisma za dokument dziejowy pierwszorzędnej wagi. Do badań historycznych w dziedzinie kultury narodu potrzebne są przede wszystkim dzieła poetów szczerych, jak Goszczyński, którzy całą duszę w twórczość kładli, nie tylko zdolność pisarską.

I.

(1801—1829).

Seweryn Goszczyński był synem Józefa i Franciszki z Gurowskich, ludzi szlacheckiego pochodzenia, co w ich środowisku miało swoje znaczenie, ale ubogich. Była to sfera oficyalistów rolnych, półinteligencji, szukającej chleba po dworach, nierzadko zdemoralizowanej zależnością służbową od ludzi i niepewnością jutra. Józef Goszczyński pochodził ze szlachty mazowieckiej, służył wojskowo pod Józefem Poniatowskim i Kościuszką, brał udział w bitwach pod Zielenkami i Dubienką. Po wystąpieniu z wojska, szukał służby na Wołyniu i na Ukrainie w wielkich dobrach Sanguszek. Był gorzelanym w Ilińcach (pow. lipowiecki), kiedy przyszedł na świat pierwszy syn, Seweryn. Stało się to 4. listopada (nowego stylu) 1801 r.

Przyszły poeta chował się dość dziko przy rodzicach, którzy co kilka lat zmieniali miejsce służby i wiele mieli kłopotów. Grono rodzeństwa jego powiększało się szybko; wychowało się ośmioro, parę umarło. Rodzice oddawali chętnie chłopca do Sławuty pod opiekę dziadkom Gurowskim, tam też pod okiem babki spędził Seweryn większą część dzieciństwa i tam się przygotował do szkoły. Po krótkiej nauce w szkołach elementarnych w Sławucie i w Zasławiu, oddano chłopca do szkół pijarskich w Międzyrzeczu Koreckim (1810), ale po roku odebrano go stamtąd, gdy ojciec dostał służbę na Podolu. Zanim się zdecydowano, gdzieby Seweryna dalej uczyć, zeszyły trzy lata na bardzo niestarannej nauce domowej. Dopiero w r. 1814 chłopiec znalazł się w gimnazjum w Winnicy, a po roku (w zimie 1816) znowu z powodu przenosin ojca — w szkole bazylińskiej w Humaniu. Przyjęto go w Humaniu w 15. roku życia do klasy drugiej. Wiek nieco spóźniony według naszych dzisiejszych pojęć, wówczas jednak dzieci naogół później zaczynały się uczyć.

W szkole humańskiej, bardzo renomowanej wśród szlachty z powodu rygoru i dobrych postępów młodzieży, kształcił się Goszczyński lat cztery. Spotkał się tam i węzłem przyjaźni na całe życie związał z Bohdanem Zaleskim, Józefem Mianowskim, Janem Krechowieckim, Michałem Grabowskim, Józefem Chruszczewskim i in. Szkoła musiała istotnie być dobra, skoro młodzież, jak tego dowodzą nazwiska wymienione, dostawała się stąd na wyżyny życia intelektualnego. Z biografii ich wiemy, że już w klasie drugiej ten i ów poczynął marzyć o karierze poety. Sprzyjały skłonnościom w tym kierunku

usiłowania nauczycieli wymowy i poezji, dla których pisało się wypracowania literackie, nawet wierszowane.

Pobyt w szkole Humańskiej wpłynął decydująco na losy życia Goszczyńskiego: tu się określił kierunek jego ambicji literackiej i charakter jego, jako przyszłego bojownika w interesie zbiorowości. Szkoła ta, pozostając pod wpływami Wilna i Krzemieńca, stała się — może mimo woli kierowników — wybitnem ogniskiem życia umysłowego ówczesnej Polski i wydawała na świat literatów oraz działaczy narodowych. Przedostawały się tutaj prądy literackie przez czasopisma wileńskie i warszawskie, przez stosunki osobiste młodzieży ze światem, przez książki wreszcie, jakie przywozili zamożniejsi — a za prądami literackimi przyszły powiewy natury politycznej, które dawały bogatą treść uczuciową marzeniom romantycznym. Wiadomości o związkach tajnych nastrajały lepszą młodzież konspiracyjnie, porozumienie tajemne wprowadziło do współżycia znamienne w tych czasach hasła wyboru i przyjaźni, a do stosunków szkolnych pierwiastek rewolucyjności.

Znaczny wpływ na literackie upodobania Goszczyńskiego wywarł stosunek z Zaleskim, który uzupełniał go charakterem i kulturą. G-i wszedł do szkół w stanie surowym; Zaleski miał starsze wychowanie domowe, oswojony był z książkami. Tamten miał mięśnie, ten — nerwy, tamten energię, dzielność charakteru, ten — kobiecą wrażliwość i chwiejność.

Imponowali sobie wzajemnie i zamieniali się darami dusz swoich. Zaleski wprowadził G-o w świat literatury. Czytają razem „Iliadę“, tłumaczą Horacego, a jednocześnie studyują „Pa-

miętnik Warszawski“ i „Dziennik Wileński“. Przez naśladownictwo i emulację G-i pracuje nad rymem dopóty, aż spotyka go w szkole marzony tryumf, gdy przekład jego (drukowany później w „Dzien. Wil.“ w r. 1820) ody Horacego „Do przyjaciół“ zyskuje uznanie. Pod wpływem „Iliady“ zamierza pisać sam epopeję o Kościuszcze (r. 1817), potem poemat „Sobieski pod Wiedniem“. Z książek, przeczytanych w Humanu w porządku chronologicznym czyniły na G-m wrażenie powieści: „Gonzalw z Korduby“ i „Numa Pompiliusz“ (J. P. Claris de Florian), „Historia o Magellonie“, dzieło Buffona (w przekładzie Staszycza), pisarze z XVI. w.: Janicki i Orzechowski, „Nocy“ Edwarda Younga, Tymona Zaborowskiego „Dobremir i Aniela“, dzieła Łomonosowa. Tak było do r. 1818. Po wakacyach tego roku (klasa piąta) zajęcia literackie nabrały bardziej określonego charakteru. Przybyły do Humanu przed wakacjami Michał Grabowski wiąże się teraz z Zaleskim i Goszczyńskim w tryumwirat: „Za-Go-Gra“. Jest już plan wydawnictwa peryodycznego, przybrywa zacięcie publicystyczne w miarę wdrażania się młodych ludzi w ruch literacki bieżący.

Tryumwirat wczytuje się w organ Szubrawców wileńskich „Wiadomości brukowe“, w rozprawę Brodzińskiego „O klasyczności i romantyczności“, w przekład jego „Barratonu“ Ossyana, a wreszcie w głośną aferę literacką między Dyzmą Bończą Tomaszewskim, autorem „Jagiellonidy“, i Mickiewiczem, który „Uwagami“ nad tym poematem, ogłoszonymi w „Pamiętniku Warszawskim“, przyspieszył rozłam obozów literackich, klasycznego i romantycznego. Cały tryb życia, nie tylko myślenia, tej grupy młodzieży przesiąknięty był ro-

mantyzmem: nauka, próby pisarskie, lektura, narady, wycieczki, zabawy, marzenia — wszystko miało na sobie piętno reformatorstwa starego sposobu myślenia i czucia, a odradzania życia.

Był to czas szkolny sprzyjający wszechstronnemu rozwojowi umysłu. Nowe prądy szły nie tylko przez książkę, ogarniały całą istotność. Książkowość znajdowała kompensatę w umiłowaniu przyrody, marzycielstwo — w hasłach jednoczenia się ze zbiorowością, nowiniarstwo w zwrocie do historyczności. Duch czasu nastrojał na wysoki ton romantyczny, ale utrzymywał dusze w równowadze, sprzyjał szybkiemu rozwojowi wszystkich władz ducha i, wysuwając na czoło zadania uczuć i woli, normalnie umysły organizował. Umysły, w tych warunkach puszczane na współzawodnictwo, mają wiele szans wydania z pośród siebie jednostek genialnych, jak się to stało z Mickiewiczem w Wilnie. Te znowu w takich czasach stają się naturalnymi wodzami pokolenia i, ze względu na wpływ, — jego współtwórcami.

Goszczyński w porównaniu z innymi romantykami tego pokolenia, znanymi w literaturze, tem się odrazu odznaczał, że z urodzenia i wychowania bliższy był ludu, niż inni. Pisarze nasi tego czasu pochodzili ze sfer starannie wychowanej inteligencji, mniej lub więcej blizkiej najlepszym tradycjom kultury szlacheckiej. G-i nie dziedziczył we krwi żadnych predyspozycji literackich; w atmosferę książek i sztuki wszedł dość późno, a upodobania poetyckie wchłonał z otoczenia nie tyle z naturalnego popędu, ile — rzecz można — z karnego dla ducha czasu posłuchu, z tej dobrej a silnej woli, która była jego cechą najistotniejszą całe życie.

W literaturze umysły ówczesne widziały syntezę życia duchowego. Ona wyrównywała różnice między ideałem a rzeczywistością, odległości między życiem wewnętrznym w poezji a życiem realnym w czynie, ona zbliżała młodych do przyrody, jako skarbniczki „duszy wszechświata“, przejawiającej się w poezji. Stosunek ten do przyrody dzięki specjalnym warunkom szkoły humanistycznej, zaakcentował się w życiu duchowym młodzieży literackiej bardzo wybitnie. Była tam Zofiówka, skupiająca z artystyczną intensywnością wszelkie powaby przyrody, znanej z Waltera Scotta — istny poemat ziemi. G-i na Zofiówce uczył się poetyczności pod przewodnictwem egzaltowanego Zaleskiego. Ale, wychowany na łonie przyrody, miał poza sobą już z lat dziecinnych głębszą, niż Zaleski, jej znajomość. Miał więcej — znajomość ludu, który inni z książek poznawali, a nadewszystko — prawdy życia, którą technie rzeczywistość do duszy temu, kto się z nią styka bezpośrednio.

G-i daleki od konwencyonalności, surowy, gotów wszystko brać na próbę mięśni i upor, traktujący wszystko poważnie — od dzieciństwa miał skłonność przerabiania spraw ducha na swoje wartości moralne. Było przeznaczeniem tego temperamentu, nawskróś czynnego, aby reprezentował w literaturze dążność moralno-społeczną do czynu i szorstkość bezpośrednio wyrażanej prawdy.

Młodzież literacka w Humanii za szybko żyła. Ramy szkolne stawały się jej za ciasne, rygor zbyt uciążliwy. Doszło między nią a prefektem Skibowskim do zatargu, który się skończył dobrowolnym opuszczeniem szkoły przez G-o i Zaleskiego. Grabowski już poprzednio to uczynił.

Goszczyński porzucił szkołę w zimie r. 1819, będąc w klasie V na kursie drugim (miał przed sobą jeszcze klasę szóstą). Na tem skończył edukację systematyczną. Wszystko, co potem zyskał z wiedzy, było dziełem samouctwa*). Ten brak wykształcenia podstawowego należy uwzględnić przy ocenie dzieł G-o, choćby dlatego, aby ocenić dostatecznie jego pracę samoistną nad sobą, która dała tak znakomite rezultaty.

Lata 1820—29 G-i spędził na Rusi z dwiema przerwami. W r. 1820—21 bawił w Warszawie, w r. 1828 podróżował z M. Grabowskim do Wiednia. Zresztą wędrował, jak człowiek bezdomny, między domami przyjaciół.

Po odzie Horacego, wydanej w „Dzienniku Wileńskim“, pierwszym utworem drukowanym G-o („Wanda“, 1821) była „Duma o Stefanie Czarnieckim“, rozpoczynająca w niniejszem wydaniu dział powieści. Naśladował Niemcewicza, ale podzwania już struna własna. Wiatr, uderzający w lutnię, to reminiscencya Ossyana; z niego również wziął uderzające w późniejszych utworach zamiłowanie do ostrych kontrastów w grze cieniów i światła, do złowieszczych krajobrazów z księżycem wśród chmur i czarnych, podłużnych cieniów północnych. Śladem nie tyle miłostek, ile mody literackiego sentymentalizmu salonowego są ówczesne sonety i tryolety, drukowane w „Wandzie“. W latach 1823—24 zaczyna się zaznaczać w poezjach G-o właściwy charakter romantyczny. Dzieje się to pod wpływem poezyi Mickiewicza.

*) Młodość G-o od dzieciństwa do chwili wystąpienia ze szkoły szczegółowo opracowałem w studyum „Narodziny poety-romantyka“. Ob. „Od romantyków do Kasprowicza“. Lwów 1907. Tow. Wydawnicze, str. 8—91.

Podczas bytności w Warszawie (1820—21) G-i zaznajamia się pierwszy raz z Byronem, czyta Waltera Scotta i Chateaubrianda (w przekładach); ale literatura nie wystarcza mu, rwie się do życia politycznego. Tutaj, w Warszawie, wstąpił do tajemnego związku Wolnych Braci Polaków, do chorągwi, noszącej miano Rejtana. Policya wpadła niebawem na trop tego związku. Stąd ukrywanie się G-o przez lat szereg. Zamierzał wprost z Warszawy udać się do Grecyi, aby tam wziąć udział w walce o wolność, ale z powodu braku środków zaniechał, będąc już w drodze do Odessy, dalszej podróży.

Po tej wycieczce czuł się w domu jeszcze gorzej. W domu była bieda, brak środków uniemożliwiał swobodę ruchów, a w dodatku ściagała go policya. Ojciec wiecznie poszukiwał posady, matka z ośmiorgiem dzieci chroniła się w ciasnem mieszkaniu, z łaski wypożyczonem. Nie miał w domu kąta, gdzieby się podziać z poezjami i dumaniami, a pokazywać się w dzień na dworze było niebezpiecznie. Całe miesiące mijały, jak więźniowi. Pracował w spiżarni przy świecy, a wychodził w nocy i błąkał się, słuchając „wiatru muzyki różnotonnej“.

Z natury dobroduszny, napawa się żółcią i z powodu niedoli życiowej i — co ważniejsza — z mody literackiej. Wczytuje się w Ossyana, tłumaczy Jounga, przejmując się rolą Tassa, poczyną patrzeć na świat oczyma Byrona. Czuje się samotny i skłócony ze światem.

Lata 1823—24 wskutek ciągle wykrywanych związków (w Humaniu i na wsi) są dla G-o pod tym względem najgorsze. Twórczość jego liryczna, szybko się wzmagająca, płynie dwoma nurtami: liryk, w których wynurza marzycielsko-

filozoficzną miłość swoją do przyrody, a z drugiej strony liryk treści społeczno-politycznej. Znać już po r. 1822 wybitny wpływ Mickiewicza, liryki stają się programowo romantyczne. Znika regularność klasyczna wiersza; myśl, puszczona wolno na los nastroju i uczucia, wyraża się w wierszu rozczochranym. Dotąd stosunek G-o do przyrody sprowadzał się do biernego ulegania jej powabom, pod którymi jego „ja“ poetyckie roztopiało się w nieokreślonej tęsknocie; teraz poeta staje przed nią, jako myśliciel, jako świadomość, mieszczała w sobie centr światła przyrody. Najwybitniejszymi lirykami z tego czasu są — nieznane dotąd z wydań — „Ostatnia przechadzka“ i „Noc w Zosiówce“. W pierwszej z nich tak formułuje pogląd swój na przyrodę:

O, wy, dumni życia darem,
Nie zaprzeczajcie czucia istot reszcie:
Wszędzie jest dusza, wszędzie życie — wierzcie!

a stosunek ludzki do przyrody:

Szczęśliwy, czyje niezsute serce
Obcować z dzikiem przyrodzeniem zdoła!
Szczęśliwy, kto potrafi na drobnej iskierce
Unieść się między światów gorejące koła,
Widzieć naturę, całym jaśniejącą blaskiem,
W zwierciadle porannej leżki
I pojąć wielki majestat niebieski
W ruchu mrówki.....

Liryki polityczne G-o wyrażają ogólny nastrój rewolucyjny spisków, udzielający mu się przez związki tajne, a zaprawione są nadto goryczą osobistą z powodu prześladowań. Liryki, jakie nas doszły z r. 1824, pisane pokryjomu w spiskarni przy świecy, stanowią najjaskrawszy w literaturze polskiej wyraz rewolucjonizmu społeczno-politycznego: „Kłątwa sumienia“, „Modlitwa wol-

nego“, „Rejtan“, „Larwa niewoli“, a zwłaszcza „Uczta Zemsty“. G-i napomyka w pamiętniku, że krążyły w odpisach daleko dobitniejsze wiersze jego, piętnujące szlachtę, kler i rządy, ale zaginęły, oryginały zaś spalił ktoś z obawy.

W tych czasach G-i snuć począł pomysł „Zamku Kaniowskiego“, wykończony w r. 1826 w Leszczynówce. Wątku do poematu zaczerpnął G-i z żywej tradycji, z opowiadań ludzi starszych z pośród ludu, w które się wsłuchiwał jeszcze będąc uczniem w Humaniu; koloryt zaś i tendencję dały poematowi wszystkie powyżej zaznaczone pierwiastki, składające się na samowiedzę artysty i człowieka, a więc rewolucyjne pojmowanie sprawy socjalnej, walterskottowskie poczucie natury i bajronowskie — człowieka. A w całym akcie twórczym wielkie znaczenie miał bodziec programowy czynienia przewrotu w literaturze, dający odwagę artystyczną. Dziełem tem G-i stworzył sobie odrazu wybitne miejsce w piśmiennictwie. O to miejsce dla niego walczyli z klasykami przyjaciele Mochnacki Maurycy i Grabowski Michał. Opinia literacka w Polsce zawrzała.*) Indywidualność poety zarysowała się energicznym konturem.

W zamku Kaniowskim G-i przetrawił po swojemu to, co w obcych poetach uderzało go jako nowość, potrafił wtopić w materiał historyczny przeżyte osobiście dzieje (Ksenia) i stworzył dzieło świeże, surowe w rysunku i w tonie, ale indywidualne, a w odróżnieniu od maszynowych wytworów intelektualistycznego estetyzmu klasycznego tem wybitne, że wprowadzające w grę namietności, jako czynnik twórczy. Śmiałość

*) Ob. M. Mochnacki, Pisma, poraz pierwszy edycją książkową objęte. Lwów, 1910 r. B. Połoniecki, od str. 179.

ogólnej kompozycji i szczerść epizodów pokryła braki kultury artystycznej, które, owszem, wyróżniając dzieło, dodawały mu wdzięku oryginalności. Bo tej zalety nie umniejsza fakt naśladownictwa, gdy wzory cudze czynią przewrót w całej umysłowości poety i stają się przeżyciem na równi z życiem realnem.

Od innych poetów z wyższą kulturą artystyczną G-i odróżniał się nadewszystko brakiem wysubtelnionej wyobraźni wzrokowej. Malując obraz nie z bezpośrednich odczuć artystycznych, ale z wyobrażeń ogólnych, paru zaledwie zasadniczymi tonami, starał się wydobywać silne kontrasty, uderzające wyobraźnię czytelnika; wszystkie inne znaki i cieniowania obrazu G-i wypełniał pojęciami z dziedziny wyobraźni słuchowej i ruchowej, dającej żywszy obraz jedynie przy stałej personifikacji przedmiotów opisywanych. Stąd zapewne pochodzi wrażenie Mochnackiego, że „Zamek Kaniowski“ nie jest rzeczą malarską, ale raczej „res statuaria“.

Wszystkie dzieła G-o cechuje pewna pierwotność wrażliwości estetycznej, nie zdolnej do przerabiania wrażeń na wartość artystyczną wzrokową, co w wyższej kulturze staje się niemal koniecznością. Ze wszystkich liryk od początku widać, że wyobraźnia G-o nie znajduje wyrazu na wzruszenie, dopóki nie skojarzy wrażenia z poczuciem wiatru, w którym jest i głos i ruch i wrażenie życia przyrody. Ten tryb odczuwania rzeczy, bliższy życia ustrojowego, jest, zdaje się, cechą kultur świeżych, nie zaprawionych do bezwiednego intelektualizowania odczuć w wyobraźni wzrokowej. Tem się tłumaczy w sceneryi G-o częste używanie nocnego pejzażu, bo w nocy ucho jest panem sytuacji, a ono dawało

G-mu największy zasób odczuć; dwubarwny zaś pejzaż księżycowy upraszcza pamiętanie obrazu, czyniąc go przytem fantastycznym i pełnym kontrastów, jak w schematycznych obrazach Ossyana.

Rok 1826 podczas pisania „Zamku Kaniowskiego“ należał, według zeznań samego poety, do bardzo ważnych w jego wykształceniu literackim. Pracował w Leszczynówce pod Humańniem w domu przyjaciela, Jana Krechowickiego. Tam obeznał się z literaturą angielską (Szekspir, Byron, Walter Scott, Moor), z polską (Mickiewicz, Malczewski). „Był to czas — pisał G-i w pamiętniku — w którym życie moje rozwijało się w pełni i wszechstronnie, jak nigdy, a nadto byłem szczęśliwy, jak nigdy. Wszystkie moje potrzeby materyalne i moralne miały ciągłe i zupełne zaspokojenie. W kwiecie wieku, pełen życia, zapału, nadziei i miłości, pływałem — że się tak wyrażę — w atmosferze życia i miłości. Na niczem mi nie zbywało, nawet na miłości kobiet. I nie zmarnowałem tego czasu, wyciągnąłem wielkie moralne korzyści z mego położenia, spieszyłem się bez zdawania sobie sprawy z mego przeczucia, że czas ten przygotowuje mnie do jakiejś ważniejszej kolei życia i wkrótce przeminie.

„Najkorzystniejszy dla mnie stosunek był z Michałem Grabowskim, który mieszkał wtedy w swoim majątku Aleksandrówce (pow. Czehryński). Pierwszy on przyjechał do Leszczynówki. Była to dla mnie wielka radość; nie widziałem go od r. 1821, kiedyśmy się rozstali w Warszawie. Odnowiliśmy i podnieśliśmy nasz dawny szkolny stosunek. Wtedy utworzyliśmy we trzech ognisko literackie. Razem w Leszczynówce żyliśmy

w atmosferze literackiej, jedynej niezawodnie podówczas na Ukrainie. Rozdzieleni, żyliśmy przez listy, które ze strony Grabowskiego pełne były dowcipu, sądu, jaki rozwinął później w swoich pismach krytycznych“.

W r. 1828 Grabowski, zmuszony udać się do Wiednia na operację, wziął ze sobą w tę podróż G-o. Poznał wtedy poeta nasz trochę świata, oglądał w Wiedniu zbiory sztuki, słuchał Pagani-niego, ale, co najważniejsza, w drodze powrotnej poznał Kraków. „Kraków poruszył nas — pisze we wspomnieniach — i rozrzewnił niewypowiedzianie. Wspomnienie Wiednia nie gasiło jego wielkości pogrobowej“. Trzy tygodnie przepędzili w Krakowie, byli na mogile Kościuszki (po czem pozostał ślad w poemacie lirycznym) i na Warszawę wrócili do domu. W Warszawie zatrzymali się trzy tygodnie. „Były to dla mnie — wspomina G-i — dni wielkiej radości. Jestem znowu w tej Warszawie, którą przed siedmiu laty pożegnałem. Pełno wspomnień, pełno znajomych. Między innemi: Bohdan Zaleski, podówczas nauczyciel przy synu gen. Szembeka, Józef Chrząszczewski, pracujący w redakcyi „Monitora Warszawskiego“ pod dyrekcją Chłędowskiego, Antoni Chrząszczewski w artyleryi polnej. Przybyły nowe znajomości, a głównie Maurycy Mochnacki, Bogdan Jański i Michał Podczaszyński, wyjeżdżający właśnie do Paryża. Postąpiłem w sferze literackiej warszawskiej. „Zamek Kaniowski“ wyszedł właśnie z druku i zrobił wrażenie. Znalazł stronników zapalonych i złośliwych przeciwników. Dmochowski Salezy puścił w obieg wierszyk przeciw niemu. Pamiętam dwie zwrotki:

Nad rozmową dwóch puszczyków
Dziwi się zgraja krytyków.

Obraz Szwaczki i Nebaby
Ma dla niej dziwne powaby;
A mistyczny pan Mochnacki
Dowiedzie w stylu mistrzowskim,
Ze przy tym Zamku Kaniowskim
Trembecki pójdzie pod placki.

„W rzeczy samej Mochnacki zaczął już grać rolę najważniejszą w krytyce polskiej. Miałem go za sobą“.

G-i powrócił do Warszawy na wiosnę r. 1830, zanim jednak to nastąpiło, przebywał na Ukrainie w domach przyjaciół. Podróże i ruchliwa korespondencya wiązały się z ciągłymi planami wydawniczymi. Koło Nowego Roku 1830 w Aleksandrówce powstała myśl założenia czasopisma w Warszawie, na co Grabowski ofiarował fundusz. G-i w celu zgromadzenia większego kapitału jeździł do Kijowa na kontrakty, naradzano się w Leszczynówce. Na tem zeszło do maja. Rocznicę 3 maja obchodzono w Aleksandrówce (zaznaczył ją poeta wierszem), a wkrótce potem nastąpił wyjazd do Warszawy — już bez powrotu do gniazda.

II.

(1830—1842).

Projekt wydawania czasopisma spełził na niczem. Grabowski pokłócił się z całą kolonią literacką w Warszawie i opuścił stolicę, G-i pozostał i całą duszę oddał Warszawie. I znowu dwoma szlakami szła robota: literacka i polityczna. Ale ta druga bierze górę i porywa.

Zachęcony powodzeniem „Zamku“, przygotowuje dwa tomy poezyi do druku: w tomie pierwszym miały pójść poezye liryczne (już były ocenzone), w drugim — dwa poematy „Po-

lak w jasyrze“ i „Wernyhora“; te kończyć miał właśnie poeta. Ale wydanie to nie doszło do skutku. Fala robót politycznych zniosła te ambicje gdzieś w zapomnienie i rękopisy nawet zaginęły. Wolny czas trzeba było poświęcić na zarobek, trzeba się było podjąć pracy tłumacza w przedsiębiorstwie stereotypów, ale, co ważniejsza — co pochłaniało i czas i duszę całą — zaczęły się roboty spiskowe.

Przez Józefata Ostrowskiego, u którego mieszkał, G-i zawarł stosunek z Piotrem Wysockim. Wraz z L. Nabelakiem i Ksawerym Bronikowskim spotyka się z wojskowymi, planuje powstanie (na połowę października). Dalszy bieg spraw znany. G-i jest w rdzeniu całego ruchu, zarówno w czasie przygotowań, jak przy wybuchu pamiętnej nocy 29 listopada i w czasie działań wojennych. W niniejszych dziełach G-o mamy całkowity opis Nocy Listopadowej, który jednak jako źródło biograficzne traktować należy z ością, całe bowiem oświetlenie moralne rzucane jest na ten epizod życia ze stanowiska późniejszego (religijnego), ze stanowiska ekspiacy za ziemskie traktowanie zadań w przeszłości. W tym to schyłkowym okresie w jednym z listów (r. 1873) G-i streszcza karierę swoją wojskową w rewolucyi w tych krótkich słowach:

„Wojskowy mój zawód począł się 29 listopada 1830 r. Mianowany kapitanem przez generała Chłopickiego, dowodziłem drugą kompanią Gwardyi honorowej; po jej rozwiązaniu byłem jako ochotnik w korpusie jen. Dwernickiego; potem, wezwany przez jen. Morawskiego, naówczas ministra wojny, pełniłem przy jego boku obowiązki adjutanta przez cały czas trwania naszej walki. Otrzymałem dymisyę na kilka dni

przed wejściem do Prus, dokąd szedłem z korpusem jen. Rybińskiego“^{*)}.

Rewolucya użyła G-o jednocześnie jako poetę do niecenia w społeczeństwie zapału patryotycznego. Poezye jego, drukowane po czasopismach, wyszły w Warszawie w tomiku „Pobudka“ nakładem ministerstwa wojny.

W dniu 8 września 1831 r. kozacy moskiewscy krążyli już po ulicach Warszawy, kiedy Goszczyński, zwlekający do ostatniej chwili, dostał się szczęśliwie do mostu praskiego, aby się połączyć z armią. Biła właśnie godzina 10 rano, gdy ruszono z Pragi, kierując się przez Jabłonnę i Nowy Dwór różnymi drogami, jak dymy z pogorzeliska gnane wiatrem wschodnim.

Jak wiadomo, plany dalszych działań nie były podówczas w Rządzie Narodowym i w wojsku zdecydowane. Ustępowano z Warszawy z nadzieją dalszej walki. Na radzie wojennej w Słupnie pod Płockiem 23 września odwróciła się ostatnia karta rewolucyi. Uchwalono większością głosów zakończenie walki, uznając ją za daremną. Można było w tym stanie rzeczy uniknąć sromotnego aktu poddania wojsk carowi jedynie przez wymarsz z granic Królestwa. Najbliżej było do Prus.

W papierach Goszczyńskiego jest ślad, że pod Płockiem podał się do dymisyi. Była to niewątpliwie protestacya przeciwko małoduszności władz naczelnych, a zwłaszcza ministra Morawskiego, który był za poddaniem się carowi i wysłaniem deputacyi do Petersburga, jak tego sobie życzył Paszkiewicz.

Co żyło rewolucyą, uchodziło na zachód. Ża-

^{*)} Z. Wasilewski. „Z życia poety romantycznego. Seweryn Goszczyński w Galicyi, 1810, str. 4.

łobny był to pochód, tem żałobniejszy, że dusze nurtowała bądź rozpacz, oparta na przeświadczeniu, iż wszystko stracone, bądź zgryzota sumienia zbiorowego, że nie dociągnęło się obowiązku do wymagań chwili; tem żałobniejszy, im hałaśliwszym i lekkomyślniejszym humorem pokrywano w szeregach prawdę z junakieryi, udanej tężyzny, a najbardziej — niestety — z płytkości ducha obywatelskiego.

Goszczyński trzymał się na uboczu od kompanii oficerskiej. Towarzyszami broni byli mu zawsze pobratymcy z ducha; a z tej sfery, gdzie właśnie poczyniała się wszelka rewolucya czy zbrojna, czy literacka, widziało się rzeczy z wysoka, bardzo pogłębione. Towarzyszyli mu w podróży galicyanin Józef Tetmajer, z którym już miał ułożony plan osiedlenia się w Galicyi, ks. Puławski, z którym walczył również w szeregach na początku powstania, i paru innych co bliższych. W sferze tej rozpacz znana było tylko z literatury i to nieco dawniej — z Tassa, Byrona; w życiu widziano sprawę w twórczym biegu, nadawanym przez niezmogłą wolę ludzką, jak w „Odzie do młodości“: łam, czego rozum nie złamie, mierz siły na zamiary.

Zwłaszcza Goszczyńskiego nie opuszczała nigdy wiara w niezmogone ramię ludzkości: rewolucya wraz z upadkiem Warszawy była dla niego jeno jednym aktem sprawy nieskończonej. Ustępował niezłamany, ale bardzo smutny. Na granicy pruskiej, na noclegu w chacie włościańskiej, może już w Brodnicy podczas kwarantanny pięciodniowej napisał wiersz „Wyjście z Polski“, który wyraża, jak łkanie, jego smutek i żal za krajem.

W tym pierwszym utworze porewolucyjnym,

rozpoczynającym okres emigracyjny, mamy dokument nastroju, z jakim uchodzili z nieszczęśliwego terenu walki lepsze jednostki: dążą w świat daleki, ażeby stamtąd sprawę odrobić, wyjarznić Polskę. Nie jest to jakieś oświadczenie obchodowe, które potem przez lat dziesiątki w każdą „listopadówkę“ odbijać się będzie nieśłuchanem echem po zebraniach uroczystych. Goszczyński za nikim myśli tej nie powtarzał, on ją właśnie tworzył w drodze z placu boju. A poeta ten nie kłamał nigdy uczuć ani myśli, był to bowiem poeta szczery, dochodzący do koncepcyi drogą tak głębokich przeświadczeń, że każde takie przeświadczenie, rodzące się w jego dziewiczno prostej duszy, wzruszało go jako artystę, zniewalając do wypowiedzania się w piśmie.

Był to człowiek mężny, panujący nad sytuacją, pewny sił, dumny swą rolą, wierzący w swoją wartość nie z pychy osobistej, ale z obowiązku wierzenia w swoje pokolenie i w sztandar sprawy, który ono na nowo, jakby ze zbiorowej improvizacyi, wyniosło wysoko ponad głowy społeczeństwa. Oni to, ich gniazdo romantyczne, na poły literackie, na poły rycerskie, powiedzieli w rewolucyi ostatnie słowo, zaostrzyli myśl ruchu i nadając mu ideowo tło demokratyczne, unowocześnili; do nich należały rządy w opinii. Kampania przegrana, ale — wierzył w to Goszczyński — zacznie się nowa, z nowemi siłami, które trzeba przygotować, poruszając ku sprawie wszystkie warstwy narodu. Polska nie kończy się na Królestwie Kongresowem, ani na niem zaczyna. On wie, co się już robiło dla sprawy polskiej na Rusi i na Litwie; stamtąd od Humańna i Wilna on i jego rówieśnicy przynieśli zarzewie tego ostatniego ideału nowej Polski, marzo-

nego bezkształtnie w szkolnych związkach tajnych, przeczuwanego w pierwszych poezyach.

Gdy jedni decydowali się napowrót do Królestwa, licząc na amnestyę, a drudzy podążali tłumnie do Francji, Goszczyński kieruje się do Galicyi. Po kilku dniach kwarantanny wyruszają z Brodnicy pieszko: on, Józef Tetmajer, Bruno Kozłowski i Jan Nepomucen Janowski. Goszczyński przebyć ma granicę z Tetmajerem, który miał swój paszport, jako jego służący nazwiskiem Gacek.

G-i przebywał w Galicyi do r. 1838. Losy jego osobiste w tych latach wiążą się ściśle z dziejami polityczno-narodowemi Galicyi i z dziejami jej piśmiennictwa, a w tem, co działał, było wiele krwi i ducha narodu całego. Spędził on w Galicyi najlepsze lata życia, lata wieku dojrzałego. Był to szczytowy punkt jego wzlotu, najpełniejsze objęcie całokształtu dążeń narodowych w twórczości poetyckiej i w czynie, dźwigającym społeczeństwo z upadku. W osobie jego na terenie galicyjskim ziszcza się ideał ówczesny Polski bezkordonowej i jej pracy wewnętrznej, pracy podziemnej a górnej, na długą przyszłość obliczonej, pracy demokratycznej, wszystko na pozór od nowa poczynającej, a jednak historycznej, organizującej wszystkie klasy w jednoduszny naród.

Okres ten życia G-o lepiej jest stosunkowo znany z publikacji historycznych i biograficznych, niema więc potrzeby w treściwem objaśnianiu, jakie ma na celu ta przedmowa, wdawać się w szczegóły. Istnieje z tego czasu fragment autobiografii poety w jego późniejszej książce „Dziennik podróży do Tatrów“ (lata 1832—33); krótki pamiętnik z lat 1832 do 1842

i listy ogłosiłem w książce „Z życia poety romantycznego“ (Lwów 1910); tam powołuję się też na inne źródła.

Skromny uczeń humaniski, poczynający swój żywot polityczny w źródółku marzeń poetyckich, ożywia ówczesne pokolenie galicyjskiego społeczeństwa, porusza — choć zawsze bezimienny i ścigany — wszystkie związki tajne od Giewontu po Lwów, a pracą swego wielkiego charakteru i hartownej woli pokonywa w kraju okres depresji duchowej i reakcji, jakie po upadku powstania nastąpiły. Dzięki takim emigrantom, jak Goszczyński, źródła romantyzmu narodowego, gdzieś na Ukrainie otworzone, zasiliły schnąący potok życia w Galicyi, umożliwiając jej dalszy rozwój polityczny przez wyrobienie Smolków, Grocholskich, Ziemiałkowskich i in.

Pomimo wysiłonej pracy w stowarzyszeniach politycznych i ciągłego niepokoju, Goszczyński wiele pisał. Od wyjścia z Warszawy do chwili przełomu religijnego (1842) z pod jego pióra wyszło około 70 utworów lirycznych i poematów epicznych. Poza tem napisał w Galicyi „Sobótkę“, inne części „Kościeliska“, „Prorocstwa ks. Marka“; powieści prozą (te już we Francji): „Król zamczyska“, „Straszny strzelec“ i „Oda“, wielki poemat „Annę z Nadbrzeża“ (1840). W Galicyi przygotował materyał do wydanego później „Dziennika podróży do Tatrów“, a wreszcie pisał wiele rozpraw, artykułów politycznych, krytyk, satyr. W r. 1835 w „Powszechnym Pamiętniku Naukowym“ zamieścił obszerną rozprawę: „Nowa epoka poezji polskiej“, przedmowę do wydawnictwa, cztery sprawozdania literackie z nowości, cztery artykuły krajoznawcze. W roku 1839—1841 w samym „Pszonce“ Goszczyński

ogłosił pamfletów satyrycznych i artykułów z górą 30. W innych czasopismach demokratycznych na emigracji znalazło się nadto 10 jego rozpraw politycznych i literackich.

Najlepiej wykonanym dziełem poetyckim G-o z tego czasu jest „Sobótka“, część większego poematu niedokończonego „Kościelisko“, z którego parę fragmentów innych w tym zbiorze podajemy. Z tychże czasów galicyjskich, ale w parę lat później od „Sobótki“ począł G-i pisać „Proroctwa ks. Marka“, umieszczone w tym zbiorze w końcu t. I. (rzecz znaleziona już po wydrukowaniu części pierwszej dzieła). Na pierwszy rzut oka widzimy różnicę nie tylko rodzaju pisarskiego, ale natchnień. „Sobótka“ pisana była jeszcze, jak „Zamek kaniowski“, pod wpływem Walter Scotta, „Proroctwa“ zaś zapewne pod wpływem „Dziadów“ Mickiewicza. Na ten zwrot w sposobie odczuwania ojczyzny należy zwrócić baczniejszą uwagę, bo tu zaczyna się nowy okres poezji polskiej, który można nazwać emigracyjnym ze względu na stanowisko duchowe poetów. Na ułamkach „Proroctw“ robić można studia w celu zbadania, jak rozrastała się dusza ówczesnego poety pod wpływem wypadków w kraju i oddalenia od miejsc rodzinnych, a zarazem jak łączyły się w jeden związek psychiczny pierwiastki poetyckie, znane z dawniejszych utworów (umiłowanie przyrody i religijny stosunek do wszechświata, pociąg do rodzimości i historycyzm, uczucie patryotyczne i demokratyczność) z rodzącym się na emigracji podziwem dla Polski i mogilnym, acz nie beznadziejnym, zalem po upadku sprawy.

Na poezji z tego czasu śledzić możemy głębiej i naturę wezbranych wówczas uczuć narodu,

oraz falowanie wytrąconej z równowagi myśli. W takich chwilach chyba dopiero po wyjściu z kraju, na obczyźnie można skupić rozbitą świadomość rzeczy i dać wyraz artystyczny swojej samowiedzy. Potrzeba było wtedy czasu pewnego i oddalenia, albo szczególnych warunków, jakie miał Goszczyński, aby tłum wzruszeń i myśli po katastrofie dostatecznie zobiektywizować i widzieć obraz rzeczy, zwłaszcza poetycki. W kraju, jak zwykle po klęsce, była depresja umysłów, ciemność i bezruch woli, a co z tem idzie w parze, szukanie zewnętrznych środków zagłuszenia bólu. W Galicyi — jak pamiętniki świadczą — bawiono się, hulano, co mogłoby dowodzić nikczemności społeczeństwa, gdyby się nie wiedziało, jak tragiczne bywają powody beznadziei i pustoty.

Nasi emigranci unosili z sobą w duszy, jak w arce przymierza, tajemnicę ducha narodowego — klucz poetycki, przy pomocy którego odcyfrowywać będą i formułować oniemiałą duszę narodu. Trzecia część „Dziadów“ była pierwszą księgą tej nowej epoki życia duchowego (1832). Przeznaczeniem Mickiewicza było tworzyć nowe formuły, zaczynać epoki. On był jądrem tej wielkiej komety, która przeszła nad Europą w tym czasie, a zwała się emigracją polską. Goszczyński „na Łomnicy“ gorzał jako poeta światłem Mickiewicza, który był już w Paryżu. Tak samo było z początku twórczości jeszcze w Humanii na Ukrainie, gdzie zapalały się talenty od mickiewiczowskiego światła w Wilnie.

G-i przebył tylko kordon, był między swemi, podczas gdy Mickiewicz pisał „Dziady“ w Dreźnie. Ale i on był oddalony. Umiał zawsze w największym gwarze życia oddalać się w samotność

dla sztuki. Było w nim dwu ludzi: poeta i działacz praktyczny. Oddalił Goszczyńskiego od terenu katastrofy narodowej już sam wyjazd do Galicji, ale najbardziej oddaliły go góry. Tego człowieka nizin, którego nęciła i porywała nowość i tajemniczość gór, Tatry poruszyły do głębi. Wyniósłszy poetę nad padół, ożywiły jego wyobraźnię w kierunku ogarniania całości nieskończonego widnokręgu — całości narodowej. Owo orłowe odbicie się od ziemi poruszyło przytem w tej nawskroś lirycznej naturze nostalgiczne uczucia. Pierwiastek ten odgrywa w poezji emigracyjnej decydującą rolę, tu jednak napływ jego był nagły i wiązał się z obrazem realnym oddalenia. Wrażenie ustrojowe, doznane w Tatrach, musiało być głębokie, skoro Goszczyński pamięta je żywo i po przyjeździe do Lwowa w r. 1833 pod wpływem „Dziadów“ zużytkowuje je jak muzykę liryczną do „Proroctw ks. Marka“.

Goszczyński miał w sobie wszystkie elementy ks. Marka gotowe. Z „Podróży do Tatrów“ znamy jego nastroje oraz idee w górach, dyskretnie (pod cenzurą) opowiedziane. Z pieśni patryotycznych, ogłoszonych w r. 1831 w Warszawie, wiemy jak żywo niepokoiły jego wyobraźnię zagadnienia narodowe i polityczne. Z liryk jego, zwłaszcza z poematu „Noc w Zofijówce“ pamiętamy głos tej liry, na której w samotności i w rozmarzeniu wyśpiewywał tajemne rozmowy swoje ze światem i z duszą własną. Te same struny duszy brzmią tutaj, tylko tony głębsze i uroczystsze. Trudno dać wiary, że z tej skromnej liry ukraińskiej wydobyć można było tyle patosu uczuć narodowych, dantejskich widzeń i wieszczego gestu.

Dokonało się w tym momencie wielkie podniesienie ducha poetyckiego Polski.

G-i w tym okresie galicyjskim wyrobił się na działacza i pisarza politycznego z określonymi dążeniami, zawsze dotąd organicznie rozwijającymi się z zarodków, ujawnianych już w twórczości i działalności młodocianej. W zbiorze tym mamy niemal wszystkie jego pisma polityczne z tego okresu. Należy więc choć w paru słowach wyjaśnić ewolucję jego poglądów demokratycznych i politycznych.

Patryotyzm był zasadniczem uczuciem społecznem pisarzy naszych romantycznych; z niego wyrastały dążenia ich polityczne i społeczne. Demokratyzm Goszczyńskiego, jako zasada polityczna, tutaj miał swoje korzenie. Poglądy i dążenia demokratyczne tego poety, manifestowane w poezjach od lat najmłodszych, tworzyły rys znamienity na jego obliczu, jaskrawo wyróżniający go z pośród rówieśnych. Syn proletaryuszów, zbliżony od dzieciństwa punktem obserwacyjnym do chłopskiego kąta widzenia spraw społecznych, porywany urokiem tradycyi ukraińskich, opiewających bunt chłopskie — odznaczał się w młodości radykalizmem społecznym, który był obcy innym współczesnym pisarzom naszym. Dobitny wyraz poglądów jego rewolucyjnych widzieliśmy już w utworach z r. 1824. Ze swoich dążeń radykalnych, przypominających żywo wzory rewolucyi francuskiej, zastąpił Goszczyński w r. 1830, gdy „Nowa Polska“ ogłosiła jego „Modlitwę wolnego“ i „Ucztę zemsty“. Znalazłszy się w Galicji, przeszedł do praktyki. Tutaj wybić się musiał moment polityczny działania. Organizowano całe społeczeństwo do nowej walki. Liczyć się trzeba było ze wszystkimi

żywołami narodowymi, jakie się ku temu mniej lub więcej nadawały. Nad poglądami filozoficznymi, popędami humanitarno-społecznymi zagórowała jedna idea: stworzenia z narodu siły politycznej, przedewszystkiem zbrojnej, przeciwko wrogowi zewnętrznemu.

Emigranci w Galicyi, — werbownicy siły zbrojnej, agitatorzy rewolucyi, w świetle historycznem stoją przed nami dzisiaj jako organizatorowie całego społeczeństwa galicyjskiego, wynarodowianego przez lat dziesiątki umyślnym systemem polityki austriackiej. Goszczyński wybił się z pośród nich na czoło, jako twórca polskiej myśli politycznej i organizator opinii narodowej w najcięższej dla naszego narodu dobie.

Wyrabiał się stopniowo. W r. 1833, jak widzimy z pamiętników, nie umiał jeszcze ocenić krytycznie planu Zaliwskiego i całą swoją gorącość temperamentu oddał tej sprawie na usługi. Potrochu dojrzewała w nim myśl, zyskana doświadczeniem, że o zdobyciu niezawisłości nie można myśleć, zanim się całe społeczeństwo nie odbuduje od podstaw na nowych zasadach demokratycznych. Był jednym z tych w Polsce porozbiorowej, którzy hodowali z zarodka historycznego program polityki demokratyczno-narodowej.

Jak wyglądał w poezyi demokratyzm Goszczyńskiego? W r. 1835, zacierpnawszy tematu z motywów rynku krakowskiego, pisze w wierszu p. t. „Muzyka wojskowa“:

Słychać przygrywek do pieśni dziękczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy
Na nowo polskie zmartwychwstają niwy...

Ucichło granie, bębny zawrzały —
I jakby jedna bojowa dusza

Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały:
Tłum cały krokiem bojowym rusza.

Jak się tu oprzeć tej żywej fali?
Porwany wspomnień i przeczuć szaleem
Sercem i nogą jej się poddałem;
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem —
Panowie w miejscu zostali...

Niewiara w panów odpowiadała zupełnemu
zaufaniu poety do ludu:

Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Serca wiary, boju pięście,
Oblicza, surowe cnotą,
Biednem odzieniem holoto —
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście!
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny!
Stańmy, o, tak, bok przy boku,
Idźmy — o, tak — krok do kroku —
Tylko razem, tylko zgodnie,
A, gdzie nam trzeba, zajdziem niezawodnie!

I wiary tej Goszczyński nie tracił, pomimo najtrudniejszych warunków, jakie praca narodowa spotykała wśród prześladowań ze strony rządu, a wśród obojętności warstw, w niewoli nadpsutych lub niedojrzałych. W r. 1839, już na obczyźnie, wygłasza z tą samą brawurą „Pieśń wiary“:

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale wielka w nas potęga,
Bo myśl ludu olbrzymiego,
Bo olbrzymia dusza jego
Nasze dusze w jedno sprzęga,
Dusze i ciała sprzęga w boży mur.

Szersze uzasadnienie haseł demokratycznych Goszczyńskiego znamy z powieści: „Król Zam-

czyska“, „Straszny Strzelec“, z „Dziennika Podróży do Tatrów“, a zwłaszcza z artykułów, jakie ogłaszał później w r. 1842 w „Demokracie polskim“. Całkowitego poglądu na sprawę socyjalną Goszczyński nie miał, rozwiązania tej kwestyi nie kładł nigdy za cel działalności, podporządkowując ją całkowicie palącemu zadaniu wyjarzmienia Polski. Uzasadniając sympatyę swoją do ludu i swoje na niego nadzieje, wywodził zgodnie z poczuciem poetyckiem gminną zasadę wyższości duszy ludowej nad duchowością warstw wyższych. Dopóki szlachta w dawnej Polsce trzymała się bliżej ludu, dopóty była silną; utraciwszy w wiekach późniejszych dopływ żywotnych soków ludowych i przeciwstawiwszy się ludowi, stała się wrogiem demokracji i żywiołem wstecznym dla rozwoju narodowego. Lud jest źródłem wiedzy niezgłębionej. „W jego rozumie źródło rozumu narodowego. Nam nie jego uczyć, ale uczyć się od niego.“ (Ob. „Główny żywioł demokracji polskiej.“)

Poglądy filozoficzne i społeczne nie różniły go wielce z Towarzystwem; jak widzimy, po przybyciu do Paryża pisuje w jego czasopiśmie, nie krępowany w swoich zapatrywaniach. Zaznaczyły się wszakże różnice w zapatrywaniach co do działalności politycznej w kraju.

Miedzy emigracją a życiem kraju zawsze muszą istnieć nieporozumienia. Życie umysłowe w kraju ulega innym prawom psychicznym; w ogólnej wypadkowej dąży ono zawsze po jakiejś przekątnej praktycznej między teorią a koniecznością życiową. Na emigracji zaś doktryna ma wolne pole przed sobą i nie daje się łatwo korygować wskazaniami praktyki. Poza tą zasadniczą okolicznością istniały historyczne. Emi-

gracya polska trafiła w Paryżu na prądy rewolucyjne europejskie, które ją porwały swym urokiem i kombinacjami. Podczas gdy Goszczyński w Galicyi nie miał nic koło siebie krom sprawy polskiej i ludowej w zagadnieniach, narzucających mu się praktycznie do rozwiązania, — myśl polska na obczyźnie skalkulowała się z myślą ludów, która we Francji miała swe słońce.

W Paryżu główny podział między emigracją dokonywał się odrazu na takiej podstawie: na kogo liczyć ma sprawa polska: na ludy, czy na rządy? Powstały dwa zasadnicze obozy; jedni wierzyli w miłość czynną ludów, drudzy w pomoc państw. Pierwsi byli demokratami, drudzy arystokratami. I było to zgodne całkowicie z psychiką emigracyjną wogóle, a z duchem czasu w szczególności. Zawiązane 17 marca 1832 r. Towarzystwo Demokratyczne orzekło wprost w manifestie z tej daty: „Przyszłość Polski zależy od przyszłości innych europejskich ludów. Ich to jest powinnością podnieść ją i zapewnić jej istnienie“.

Oczywiście owa pomoc ludów mogła być Polsce okazana w drodze rewolucyjnej; to też Tow. Demokr. z całą energią rozpoczęło walkę z arystokracją, a na jej czele stojący ks. Czartoryski, jako wyznawca interwencji dyplomatycznej u wrogich ludom rządów, stał się głównym celem pocisków. W. Heltman o złudzeniach demokracji z owego czasu pisał w lat kilka: „Rozumieliśmy, że misją naszą jest przewodniczyć ludom w ich walce przeciw ujarzmieniu. I byliśmy gotowi przelać krew naszą za każdą wolności sprawę. Powiedzieliśmy więc sobie: przez ludzkosć dla Polski.“

Otóż demokraci, którzy w kraju pozostali i tam

między ludem działali, — nie ulegli tym bałamutnym wyobrażeniom. Oni, trzeba to uznać, ocalili polską ideę demokratyczną od ciężkiej niemocy emigracyjnej i zguby. Wielka w tem zasługa przede wszystkim Goszczyńskiego. Podczas gdy zawiązkowi Tow. demokratycznego groziło zagubienie się w kosmopolitycznych doktrynach socjalno-rewolucyjnych, gdy obóz przeciwny demokracji czynił dyplomatyczne zabiegi o ratunek dla Polski, podczas gdy w druku i na zebraniach emigracyjnych toczyły się walki zaciete o wyższość tych lub owych doktryn — demokraci w kraju dorabiali się ciężkiem doświadczeniem jedynie zbawiennej zasady — liczenia na własne siły narodu.

Myśl, w kraju dojrzewająca, oddziaływała na emigrację. Działo się w rezultacie odwrotnie, niż sobie na emigracji zakładano. Tow. demokratyczne uznało się za organ kierowniczy wszelkich robót, dokonywanych w kraju w celu przygotowania nowego ruchu zbrojnego; wysyłano do Galicyi emisaryuszy, którzy mieli decydująco na bieg spraw wpływać; zaszczerpiono z emigracji organizacje spiskowe „Młodej Polski“ jako odłamu „Młodej Europy“: wszystkie te jednak usiłowania przybierały w kraju odmienną postać, zlewając się w jedno łożysko działalności praktycznej, zastosowanej wyłącznie do warunków realnych. Tow. zaś demokratyczne, wobec zmieniających się w Europie warunków, ostygając w uczuciach dla ludów i mimowoli, ulegając konieczności zachowania z krajem stosunków, poddawać się musiało wpływom demokracji, działającej stale w kraju.

Dosyć porównać manifest Tow. demokratycznego z r. 1836 z pierwszym, z przed lat czte-

rech, aby spostrzedz, jak uzdrowiła się myśl polityczna na emigracji, a zdziałała to wpływem swoim demokracja krajowa. Robota krajowa uzdrowiała umysły na emigracji, nie zaś odwrotnie, jak się wydawało wówczas na emigracji i potem historykom. W znacznej mierze było to dziełem G-o.

Okres życia, o którym mówimy, jest dla G-o dobą najwszechstronniejszego rozwoju literackiego. Oprócz poezyi i powieści oraz rozpraw politycznych napisał wtedy, jak widzimy, wiele szkiców, studyów i sprawozdań literackich. Sądy jego, jako krytyka, wiążą się również ściśle z podstawowem założeniem jego poglądów, a ten punkt wyjścia był zawsze narodowo-gminny. Poezja — według niego — przeznaczona z natury swojej do wyrażania istoty ducha narodowego, musi być, jak naród, związana z ziemią ojczystą. Im bliższe natchnienie gleby ojczystej, tem prawdziwsza jest poezja, prototypem więc poezyi literackiej jest pieśń gminna. Stąd krok jeden do kultu pieśni ludów słowiańskich, pobratymczych, a nie odgrodzonych cywilizacją od naturalnych źródeł natchnienia. Jest w tem Brodziński, tem tłumaczą się słowianofilskie dążenia literackie Bielowskiego, Siemieńskiego i G-o we Lwowie. Na tem właśnie polegały demokratyczne tendencje romantyzmu, że lud był pośrednikiem w poezyi między „duszą świata“ a poetą. Poezja bowiem według filozoficznej teorii G-o — jest żywiołem, rozlanym w przyrodzie, poeta zaś organem jej, przez Boga obranym. Łaski tej dostępuje człowiek, który umie wnikać w duszę przyrody i współżyć z nią. „Utwory poetów — pisze G-i w „Nowej epoce poezyi polskiej“ — są nie indywidualnem uświęceniem indywidualnych

uczuć, ale wcieleniami boskich prawd, których mąż natchniony jest składem i częstokroć ślepem narzędziem.“ Pogląd ten narzucał się G-mu zabobonnie od najwcześniejszych liryk w młodości. Nie była to wiara przelotna; leżała ona na dnie ducha czasu, potwierdzała ją filozofia ówczesna i tylko na podstawie tego artykułu wiary romantyzm spopularyzował poezję jako religię narodową, poetów uczynił kapłanami, wieszczami, przewodnikami narodu. Na gruncie realnym współżycia z narodem — w kraju — poezja tchnęła zdrowiem, odżywiała się bowiem istotnie ziemi i ludu technieniem, które jest życiodajne; na emigracji duch, poezją żywiony, wyrodniał, a wiara w duszę świata przeradzała się w sekciarstwo takie, jak Towianizm. Czekają to i G-o, na razie jednak, póki starczyło związku duchowego z ziemią ojczystą, i sam tworzył i cudze twory osądzał; mierzył zaś rzeczy według owego stosunku twórcy do ducha narodowego, tak właśnie pojmowanego. Stąd wiele sądów nazbyt surowych, stąd wiele nieporozumień w krytykach; dla studyów jednak nad epoką są to wynurzenia wielkiej wartości, odsłaniają bowiem umysłowość wieku wśród czynności teoretyczno-krytycznych, od której żadna epoka, nawet epoka „czucia i wiary“, nie jest wolna.

Przyszła chwila, której nie mógł już odroczyć G-i przy całej swojej odwadze, zaciętości i konspiratorskiej przebiegłości, — kiedy trzeba było opuścić Galicyę. Struna niebezpieczeństwa ze strony policyi Austriackiej nazbyt była naciągnięta. Z żalem opuścił Galicyę, kierując się do Francyi, gdzie znalazło już przytułek tyłu towarzyszy powstania. W początkach sierpnia 1838 r. był już we Francyi.

Punktem oparcia mogło być dla niego Tow. demokratyczne, rezydujące wówczas w Poitiers. Miano go tam za swego, a jednak G-i trzymał się od Poitiers zdala. Memoryał, tutaj w dziełach jego ogłoszony, a zdający sprawę z doświadczeń, jakie w Galicyi poczynił na terenie sprawy politycznej, wiele w tym względzie wyjaśnia. Zawadziwszy tylko o Paryż, przenosi się w r. 1839 do Neilly nad Marną i wchodzi do redakcyi wydawanego w Strasburgu „Pszonki“. Tutaj wyszły dwa tomiiki „Trzech strun“, w których, uwolniwszy się od cenzury austriackiej, nareszcie mógł ogłosić poezye treści patryotycznej, tutaj pisze cały szereg satyrycznych artykułów do „Pszonki“, biorąc w ten sposób bardzo żywy udział w życiu politycznem emigracyi. Nikt, nawet sam Goszczyński, nie przeczuwał, że zbliża się koniec jego twórczości na podstawach założonych w młodości, koniec realnej, świeckiej pracy; tworzył w przyspieszonym tempie, coraz wprawniej, zmuszony do wysiłku pisarskiego potrzebą zarabkowania. Na obcej już ziemi między 1839 a 1842 r. napisał szereg powieści, mnóstwo rozpraw politycznych („Pszonka“, „Demokrata polski“).

I wtem, wśród tej pracy ożywionej, gdy już osiadł w Paryżu, coś zawiodło w hartownej organizacyi; dążące dotąd po prostej linii istnienie zachwiało się, straciło przyciąganie do ziemi i oderwało się od świata realnego.

III.

(1842—1876).

W r. 1842 nastąpił całkowity przełom w umysłowości G-o. Stało się to za sprawą nauki Towiańskiego, której się oddał za namową Mickie-

wicza. Zasłyszał o tej nauce, gdy pracował w „Pszonce“, jeszcze jako umysł realny, sztydzący z mistycyzmu. Ale widocznie pierwotny, religijny z natury umysł poety poczuł w niej powiew owej „duszy świata“, która w kraju dawała mu się czuć jako mowa ducha ziemi ojczystej, bo, porwawszy się do Paryża, studjuje nową naukę, aby w niej znaleźć lekarstwo na rodzącą się chorobę duszy.

Jeszcze przed wstąpieniem do koła Towiańskiego pisze w modlitwie: „Boże, Ty wiesz najlepiej czego mi potrzeba. W to wierzę. Ale oto jestem samotny, opuszczony, biedny, bez rodziny, bez serdecznych przyjaciół, bez wsparcia od ludzi, bez pociech ziemskich... Do kogoż mam się udać w tym ucisku, jeżeli nie do ciebie?“...

Mamy w tym urywku wyjaśnienie całego zwrotu. Dla natur budowy etycznej i tak czynnych, jak G-i, stawało się wprost potrzebą psychiczną znalezienie nowego świata na miejsce utraconej Ojczyzny, świata, któremu by cała dusza nadal służyć mogła. On tę duszę żywił swoim stosunkiem służebnym do narodu; stamtąd miał podniety, inspiracje, czar życia. Był człowiekiem zdrowym ustrojowo i społecznie; jak widzieliśmy, przyroda—lud, naród były mu glebą, z której wyrastał, a w której elementów tych nie umiałby rozgraniczyć, tak zlewały się w jeden żywioł władającego nim środowiska. Nie mogło mu tego środowiska zastąpić życie polityczne i towarzyskie na emigracji. Musiał szukać dla siebie żywiołu. Mickiewicz, duch od niego kompletniejszy, ale podobny w budowie, też męczył się i szukał koło siebie żywiołu narodowego, ratował się odtwarzaniem artystycznym

kraju (w „Panu Tadeuszu“); Goszczyński, skarżąc się przed Bogiem, był mniej intuicyjny, wymieniał bezpośrednie ludzkie bóle: czuł, że jest samotny, opuszczony, bez rodziny, przyjaciół; ale tak samo wszystek żal duszy streszczał się w jednym: „bez Ojczyzny“.

Dusza zbyt żywotna, aby jej wystarczył emigracyjny surogat życia, utraciwszy łączność z ziemią, wypadła z orbity. Dla dusz typu religijnego, a uczuciowo-czynnego, nałamanych do czynienia ofiary ze swojej osobowości na rzecz życia szerszego, gdy tak wypadną z orbity, pozostaje służba bezpośrednia na rzecz „duszy świata“, dokonywana „w duchu“. W taką służbę dla „Sprawy Bożej“ oddał się G-i.

Moralną miarą (nie wyobrażeniową) wielkości Boga jest własna małość. Zasadniczą więc pracą dążeń do uzupełnienia się w uniwersalności Bogiem jest wyzbywanie się wszystkiego, co było zasadą wielkości człowieka na ziemi, jest przekreślanie wszystkiego, co było jego dziełem doczesnem, jego pychą, chwałą u ludzi, ambicją ziemską, pojmowaniem spraw życia jako cyklu, zamkniętego w sobie.

Z tego stanowiska uniwersalizmu religijnego nie tylko człowiek, ale naród sam jest jedynie przejawem myśli bożej. To też teoretycznie i misja narodu inaczej stąd się przedstawia; ma on, tak jak i człowiek, do spełnienia jedno zadanie: dojść do harmonii z duchem bożym w drodze ofiary.

Potrzeba to było w paru słowach zaznaczyć, aby wyjaśnić radykalny zwrot u G-o, tak uderzający w jego pismach, podanych w naszym zbiorze na końcu poezji lirycznych i w dziale prozy „Po przełomie religijno-moralnym“. Z tego

punktu widzenia zadań — wszystko odwraca się na opak. To, co było w młodości i wieku dojrziałym ambicyą i dumą G-o, tutaj staje się przyczyną skruchy, żalu i pokuty. „Noc Belwederska“ jest spowiedzią korzającego się grzesznika; „Posłanie do Polski“ jest psalmem pokutnym, hymnem człowieka nawróconego.

W tych warunkach, wbrew późniejszym teoryom Towiańskiego, pieśń staje się słowem tak odzmysłowionem, że o sztuce nie może być mowy. Przechodzi ona do dziedziny „czynów wewnętrznych“, gdy naturą sztuki jest wyjawianie duszy w mowie zmysłów. Tem się tłumaczy w takim okresie wogóle zanik poezyi.

G-i pozostał Towiańczykiem do końca życia. Zajmował w Kole Braci wybitne stanowisko, pewien czas jako zastępca mistrza, kiedy Mickiewicz odstąpił od niego, wyjeżdżając do Rzymu. Trzydzieści przeszło lat końcowych (od 1842) spędził poza światem interesów realnych, a jednak któż pokaże duszę człowieka światowego, któryby tyle przez ten czas się napracowała wewnętrznie, któryby miała tyle przeświadczenia, że dokonywa dobrej dla ludzkości sprawy?

Było to ciekawe zjawisko psychologiczne — ten Goszczyński w Paryżu, jako asceta i biczownik. Organizm bujny i zmysłowy, „hajdamaka“ z małą kulturą dziedziczną, uczynił z nauki mistrza kult religijny i trawił się w samoudręczeniu i mistycyzmie. Ks. Z. Feliński, który go widział około r. 1848, tak o nim pisze:

„W życiu nie spotkałem człowieka, którego powierzchowność w tak rażącej zostawałaby sprzeczności z zewnętrznym usposobieniem duszy. Goszczyński nie tylko nie wyglądał na poetę, ale nawet nie miał miny porządnego ekonomia;

co najwięcej wzięłby go można za gumienego, tak pospolitą miał postać. Średniego wzrostu, średniej tuszy, bez zarostu, a mocno ospowaty, przytem mało i chłodno mówiący, robił przy pierwszym spotkaniu tak niekorzystne wrażenie, że chciało się podejrzewać gospodarza (Karola Sienkiewicza) o jakąś żartobliwą mistyfikację. A jednak była to dusza prawdziwie poetyczna i charakter równie dzielny, jak szlachetny...“

Trudno nie podziwiać jego charakteru, kiedy się pomyśli, że ten romantyk całe życie spędził w niesłychanej nędzy. Najspokojniejsze z ostatnich kilkudziesięciu lat życia były dla niego lata 1872—76, spędzone we Lwowie, dokąd go, już starca, przyjaciele siłą niemal sprowadzili. Przedtem dni jego były pasmem trosk o kawałek chleba w dosłownem znaczeniu. Aby uprzytomnić sobie to życie Goszczyńskiego, przyjrzyjmy się notatkom, które do pamiętnika kreślił. W roku 1854 pod d. 20. maja czytamy: „Wpadłem znowu w bardzo ciężki niedostatek. Od 9 miesięcy muszę się obywać żołem (pobierał niewielki żołd od rządu francuskiego.) Zrobiłem wiele długów. Obietnice mnie zawodzą, stosunki z księgarzami w kraju przerwane, tu zarobek prawie niepodobny. Nie mam, jak łaskę Bożą; jeżeli ona mnie nie wesprze, bieda moja przyjdzie do ostateczności... Myśl rozbita, ciało ociężałe, pióro z ręki wypada...“

Pod d. 22. lipca: „Od kilku dni żyję znowu chlebem i wodą; wczoraj wydałem ostatnie 3 grosze, dziś jestem bez grosza, bez nadziei pozyskania, dostania gdziekolwiek. Nie wiem, co dzisiaj będę jadł. U braci (Towiańczyków) żadnego ratunku — jedni nie mogą, drudzy niechętni. Oto wielka część mojego życia we Fran-

cyi, największa od czasu, kiedy wszedłem do Sprawy Bożej, kiedym zrobił rozbrat ze światem. Nie mam siły do pracy, mogę tylko modlić się. Praca w tym stanie jest niepodobna; już to nie troska pogańska o przyszłość pochłania wszystkie myśli inne, ale cierpienie z głodu obecnego, — osłabienie ciała odejmuje wszelką władzę. Piszę to ot tak, aby tylko coś pisać, coś robić. Boże, zlituj się nademną!”

Nazajutrz: „...Jestem spokojny, swobodny, silny, chociaż wczoraj nie jadłem, jak koło wieczora kawałek chleba... Po tej próbie czuję, że człowieka osłabia nie liche jedzenie, — ale brak rezygnacyi, — ale smutek, że nie ma, coby zwyczajnie mieć powinien... Cały dzień pracowałem nad „Bogarodzącą“...

W roku 1855, w maju, Goszczyński zapisuje: „Cały dzień zeszedł na szyciu chustek ze starej koszuli; podklejałem kapelusz zużyty, naprawiałem trzewiki... Zresztą czułem się na duchu bardzo dobrze“. Skądinąd wiemy o głodzie, jakiego Goszczyński doznawał podczas oblężenia Paryża w r. 1870; nie mógł już wówczas nawet skreślić notatki do pamiętnika — blizki był śmierci. Pod d. 18. października zanotował jeszcze g. 9^{1/2}: „Silna kanonada od południo-wschodu“. Nazajutrz wieczorem — to samo, „strzały co kilka sekund“, do godz. 11^{1/2} w ciągu pół godziny naliczył tych strzałów 150. Potem już niema notatek, zabłąkała się tylko luźna uwaga: „Nie boję się bomby pruskiej. Dla mnie każdy dzień jest, jak bomba — może mnie zabić głodem“.

Gdyby nie Agaton Giller, który go uratował w r. 1872, byłoby się na tem skończyło: poeta nasz zginąłby z głodu. W d. 8. kwietnia Go-

szczyński sprzedał swoje ruchomości za... 35 fr. i wyjechał do Lwowa.

Jakby na powetowanie przebytych dni głodu, w Krakowie powitano go uczłą wspaniałą; uczt tych poświęcano mu potem nie mało, a na nich wygłaszano wiele mów w imieniu narodu. Zmarł we Lwowie 25. lutego 1876 r.

Tyle o autorze tych pism. Co do wydawnictwa samego nadmienię, że zebrałem w niem — z małymi wyjątkami — wszystko, co się dało odszukać z puścizny G o. W porównaniu z najpełniejszym dotychczas wydaniem lipskiem z roku 1870 zbiór niniejszy jest trzy razy większy. Samych liryk podaję 154. W nich znaczna część była nieznaną lub w odmiennej podawana redakcyi. Najmniej zmieniło się w dziale powieści. Pierwszy raz wcielone są do wydania: „Dziennik podróży do Tatrów“, wszystkie pisma literacko-krytyczne, polityczne, satyry i moralno-religijne. Na końcu zbioru podaję chronologię twórczości poety z adnotacyami, aby uzupełnić niniejszą przedmowę i dać bibliografii perspektywę historyczną. Pomiąłem w tym zbiorze większe przekłady, dalej to, co nie miało przeznaczenia druku, jak urywki pamiętnika, listy, notaty, wreszcie drobniejsze artykułiki z czasopism.

Całość zbioru — pomimo usterki, jakie się w nim znajdują — posiada dla piśmiennictwa wartość niepospolitą: i jako lektura, i jako materiał historyczny. Na rzut oka widać w tej księdze, że wyłoniła się z mroku dziejowego nowa postać, jakby wyłamany z pokładów skalnych wielki blok człowieka, odmienny od posążku,

POEZYE LIRYCZNE.

1. CZASY MŁODOŚCI (1818—1829).

DO MŁODEGO POETY.¹

Śmiało, śmiało, młody wieszczu,
Skoro w harmonijnym dreszczu
Gra dusza twoja pod geniusza dłonią,
I struny dźwiękiem własnej duszy dzwonią!

Byleś do tonów twej duszy
Struny poezji nastroił —
Granie ich echa niebieskie poruszy,
Niebieskiem echem będziesz ziemię poił.²

Jest u nas ptak tajemniczy:
Pióro anioła dziedziczy.
Po takim piórze w ranne jego pienia
Hymnów anielskich zlewają się brzmienia.³

¹) Liryki, podane tutaj na czele zbioru, mają znaczenie programowe dla ówczesnej epoki. Należy je czytać z zainteresowaniem historycznym, jako proklamacye ducha romantycznego. Wiersz niniejszy (napisany r. 1826, ogłoszony jednak po raz pierwszy r. 1837 w „Słowianinie“ Jaszowskiego) narzuca się do porównania z „Romantycznością“ Mickiewicza.

²) Żeby zrozumieć motywy tych pojęć, przeczytać należy poniżej w dziale prozy rozprawę „Nowa epoka poezji polskiej“ (z roku 1835). „Poezja — czytamy tam — jest to strefa niewidzialna pomiędzy materią a duchem... poezja jest żywioł istoty anielskiej, rozlany we wszystkim, co wyszło z rąk Stwórcy... Twórca mądrość obmyśliła przewodników moralnemu płynowi poezji — stworzyła poetów. W poetę przeto wpływają niejako myśli wszystkich istot tak organicznych, jak i nieorganicznych... dusza poety porozumiewa się bezpośrednio z ich duszami. Siłę, za pomocą której poeta wydobywa z łona przyrody poezję — zwiemy natchnieniem“.

³) W wierzeniach ludu polskiego i rosyjskiego rozpowszechniony jest motyw tajemnego porozumienia się ptaków z aniołami. Gdy cherubiny (lub koguty rajske) zatrzepocą na zaraniu skrzydłami, na ziemi pieją koguty.

Zatop się w twoje uczucie,
A będziesz, jako ci ptacy,
A Przedwiecznego anielscy śpiewacy
Ziemskiemu sercu ozwą się w twojej nucie.

Utoń w sobie, obejm siebie —
 Nic w tobie nie jest powszedniem;
 Ty cząstka bóstwa, tyś Bóg w twojem niebie,
 I świat przed tobą odkryty, jak przed nim,

I taki wielki, jak przed nim.
Jedna uczuć iskiereczka
Świat w sobie nosi, jak niebios gwiazdeczka;
Wszystko w tobie jest wielkiem — nic nie jest
1826. powszedniem.

ORZEŁ.

Wrzały burzą niebios głębie.
Na strzaskanym od burz dębie
 Król ptaków się dąsał.
 Patrzałem:
Wokoło niego chmury, kłęb przy kłębie,
Wrony i kruki, nawał za nawalem
 Widziałem.
On tylko skrzydła zjeżone potrząsał.
 Naraz ujrzałem: —
Przez wrony i chmury
 Pada promień z góry
 Na ptaków króla...
Niebieskiem światłem oczy mu olśniły,
Niebieskim wiatrem skrzydła się rozdeły —
 Wrony się zbiły, chmura się stula,
A on, na krzyżu skrzydeł rozpięty,
Przez wron chmury i chmur męty,
 Po jasnym niebios promieniu
 Dąży ku nieba sklepieniu.
Wrzawa i grzmoty wrą wokoło niego —
On się nie puszcza szlaku swojego.

A ziemia coraz niżej,
A niebo coraz bliżej.
I ot — pod orłem już chmury,
Pod orłem wrzaskliwe chóry.
Patrzałem, słuchałem —
A na podniebiu ciałem
Cisza i jasność. Orzeł w słońcu zginął..
Jeden śpiew tylko na ziemię spłynął:
Śpiew to zwycięzki w orleń dziedzinie.
Tylko w mojego ducha głębinie,
Jak echem śpiewu, zadźwięczałem.
To echo ducha na orla śpiewanie;
I, jak zabrzmiało, tak brzmi nieprzerwanie.
Gdy mię chór troski zagłuszy,
Ono budzi letarg duszy,
I w ślad orli w orle kraje
Niesć mię nie przestaje.

1827.

POWOŁANIE.¹

Na toż się wznoszą geniusze
W bytu, w życia zawierusze,
Aby, błysnąwszy kometa,
Zagasły potem bez śladu?
Możnaż, aby twórca ładu
Bezcelną zamknął je metą?
Oneż się tylko marnie zatracą
Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem,
Z całą wieków pracą,
Z plemion podziwem?
„Chwała mądrości i cnocie!
Hańba złemu i ciemnocie!“ —
Zawoła szkielet przeszłości,
Groźny stróż, anioł mądrości,

1) Wiersz ten nosił w paru wydaniach zbiorowych tytuł: „Przeznaczenie geniusza“, albo „Powołanie geniusza“.

Zwracamy uwagę, że zarówno wiersz ten, jak wiele następnych, podajemy w formie odmiennej od dotychczasowych wydań, mianowicie uwzględniając poprawki, jakie w nich poczynił poeta (po r. 1870) do nowego wydania, którego nie doczekaliśmy się. W dodatku, na końcu, znajdując się teksty w redakcyi pierwotnej.

Wielki prorok z doświadczenia,
 Który nad wieków prochami
 Liczy chwile kolejami
 Bytu i zniszczenia.
 Kto obecność pojąć pragnie,
 Ku przeszłości ducha nagnie;
 Ledwo drobny świat człowieka
 Zaczął swój obrot w światów kołowrocie,
 Lubo ożywiony bóstwem,
 Już, obłąkany w ciemnocie,
 Od wytkniętych dróg z daleka,
 Zachwiał się pod złego mnóstwem!
 Przecknęła mądrość w twórcy osobie
 I spostrzegła, że duszy potrzebne jest wsparcie,
 I tchnęła z boskich piersi, i geniusz w tej dobie
 Do świata duszy wstąpił otwarciem.

I odtąd, wiek po wieku,
 Gdy pod nocą tego świata
 Promienie bóstwa ciemnieją w człowieku,
 I ciało duszę ugniata —
 Wcielony geniusz złata
 I, zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
 Walczy z nocą i spodleniem,
 Aż wrogów duszy obali!
 A świat pomyka się dalej;
 Chwała wam, mężo, wyższego natchnienia,
 Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
 Jak biciem krwi ciało żyje —
 Że przez was, wśród tego cienia,
 Zegar mądrości idzie i bije!

1927.

BŁĘDY GENIUSZU.

Czy skrzeczy rozum poziomy,
 Czy szydzi zawiść złośliwa,¹
 Zdaj się na ducha, który cię porywa,
 A ten przeniesie nad bezdna i stromy!²

¹) Reminiscencja podobnie zaczętej liryki Puszkina.

²) Otefłanie i urwiska.

Zdanie prostego czucia niechybkie,
 Święta klątwa na duszy bezstronnej sumienie;
 Duszy daj wiarę: twoje dzikie pienie
 Przeniosło ją w niebios kołębkę;
 Dotknij czucia: jak zadrżało!
 W płomieniach twego zapalu
 Słońce rodzinne jemu zajaśniało,
 Niepomału, niepomału!
 Zostaw chętnie zawiści, kiedy jej z tem błogo
 Krążyć bitą, ziemską drogą.
 Ani czcza bojaźń oblędu
 Niechaj nie ciąży w geniuszu polocie;
 Sam oblęd jego zapędu
 Rozpromieni wieków krocie,
 Kiedy rozumy płaskiego rzędu
 Zagasną w pyłe i pocie.
 Wzbijaj się, wielki poeto,
 Z poddaniem twemu natchnieniu,
 Z pełną wiarą w jego mocy,
 Zawsze po duszy promieniu:
 On cię łączy z twoją metą.
 Jeszcze krok na twej drodze, już tam niema nocy.¹

LUTNIA SURY.²

W przestrzeni, co granic niema
 Siedzi na wieków stolicy
 Sura w szatach z błyskawicy,
 A na łonie lutni trzyma
 I przygrywa.

A na czarodziejskie tony
 Dźwiga się ruch nieznużony,
 Życie wiecznością przepływa —
 A pod majestatem
 Duchy światów, duch za duchem,
 Niepomieszanym, niewstrzymanym ruchem
 Przetaczają świat za światem,

¹) Porów. wyżej 1 i 2 przypisek do wiersza „Do młodego poety“

²) Myśl podań perskich. (P. P.)

Wiek po wieku, ród po rodzie,
 W harmonijnym krążu chodzie:
 Bo muzyka Sury
 Wiecznością i życiem natury.
 Niechże na chwilę ustanie,
 Wnet ustanie życie świata,
 A cichość i noc lodowata
 Zalegną mętne otchłanie.
 I strun nie ma lutnia Sury,
 Lecz, kiedy słońce słońców przytoczy się ku niej,
 Ona ją wtedy podnosi do góry,
 Aż promieniami jego się ostruń.¹
 Wy, co, bezstrunną lutnią obdarzeni,
 Chcecie nam przesłać dźwięk wyższych pieni,
 Choć harmonijne natchnienia słońce
 Nie rozpromienia waszych dusz strunami —
 Przestańcie walczyć z martwymi tonami,
 Rzućcie narzędzia, niezgodnie brzęczące.
 Żelazna struna próżno się porusza,
 Wasza lza zimno po sercu przepłynie,
 Wasz uśmiech szczery nasze usta minie;
 Ani wasz smutek rozczuli,
 Ani pociecha utuli,
 Bo duszy świata potrzebuje dusza.

1827.

DO NADZIEI.

Tchnienia twoje rajem wieją,
 I na klęczkach ciebie witam,
 Ale, skądś rodem, pytam:
 Z raju — czy z piekła, nadziejo!
 Zaczarowanych ogrodów tyś pani,
 I, gdybyś czasem nie zaszła nas z niemi,
 Biedni tułacze obiecanej ziemi
 Legliby, piaskiem pustyni zasypani.
 I me lzy k'tobie gorczą,
 I ogniem ich ciebie witam,

¹⁾ Lutnia pozyska struny z promieni słońca.

Ale wątpię, ale pytam,
 Skąd jesteś rodem, nadziejo!
 Rozpacz wybucha z moich ran tysiąca,
 I ot, zjawiasz się, zdrowiem się mi śmiejesz, —
 Już ci ślę dzięki... ty się cofasz, mgłujesz,
 I nagle znikasz mi z oczu, szydząca!
 Kiedys mi w żywota dzbanie
 Zdrowia dało czuć słodczyce,
 Rzucasz mię, widmo, zwodnicze!...
 Precz, nadziejo, precz, szatanie!
 A teraz wszystko, a wszystko mię myli:
 Miłość i przyjaźń i rozum i cnoty;
 W przesycie życia, pod chłostą zgryzoty
 Wlepiam wzrok tylko w noc ostatniej chwili.
 Aż nagle z cieniów żaloby,
 Jasna wieczności porankiem,
 Przestrojona śmierci wiankiem,
 Zjawiasz mi się ponad groby,
 I, jak obłoczek, przetkany gwiazdkami,
 Na zwierciadlanym blasku twego oka
 Promieni wieczność, spokojna, głęboka...
 Nadziejo! Bóstwo! Zostań wiecznie z nami!
 1827.

TEŚKNOTA.

Smutne nad ziemią błękitne pola;
 Posępny blaskiem słońce w ziemię strzela,
 Jak z łez litości oko przyjaciela,
 Kiedy dniom drogim grozi niedola.

Niszczący powiew jesiennej doby
 Z lica przyrody wdzikę po wdziku zmiata,
 A nowa troska i nowa utrata
 Wypełnia kielich mojej żaloby.

Na chorą ziemię padam raz jeszcze,
 Jak na kochanki konające ciało,
 Śledzę, przenikam, gdzie życie zostało,
 I pozostale ogrzewam, pieszczę.

I sam moc tracę przez trud bezpłodny
I sam omdlewam; szumi myśl drzew szumem,
Czasem wiatr liścia zarzuci mię tłumem,
Czasem na lice pryśnie deszcz chłodny!

Kiedym się w kwiatek życia rozwijał,
Kiedy uczucia w pączkach jeszcze spały,
Strumyk tęsknoty czysty był i mały,
Rajskie widziadła na dnie odbijał,

Pokornie płynął, a, jeśli wylał,
Chętnie skąpałem serce w jego wałach;
Wybrnąłem we łzach, jak w rosy kryształach,
Łzami, jak rosą, życiem umiłał.

Ach, cóż się stało z owemi dniami?
Strumień tęsknoty, jak potok, się ciska;
Źródło dla niego — trumny i zwaliska,
Krwia się zapienia, przybiera łzami,

A żadnej schrony za mną, przede mną.
Popatrzę w życie — widzę w krąg pustynie;
Puszczę się myślą — myśl, jak oko, ginie;
Chcę naprzód lecieć — jak w piekle ciemno;

Chcę nazad wrócić — tam grobów strona,
Tylko w jej słońca połyskach ostatnich
Miga mar kilka, kilka duchów bratnich:
Przeszłość i przyszłość równo zginiona.

Pojrzę na siebie — jam kwiat opadły,
Drżący, samotny wśród zgubnej powodzi;
A tutaj fala po fali nadchodzi,
Bliżej i szerzej warczy wir zjadły.

Przyszła ci kolej upaść z korzenia!
Jak rozburzyły niesłychane klęski
Moją pierś młodą, mój świat czarnoksięski:
W rozpacz tylko szukaj zbawienia.

Rzucam się w potok bez woli, siły,
Skladam w krzyż ręce i oczy zawieram,
W jedną myśl martwą wszelkie myśli zbieram,
Niech mię tak niesie, choć do mogiły.

O jakbym jemu pobłogosławił,
Gdybym aż w świata drugiego przeźroczu
Musiał otworzyć te dłonie i oczy,
Gdyby mię w życie wieczne tak spławił!

DWA ANIOŁY.

Już wieją pierwsze jesienne chłody,
Powracające ciągną żórawie;
Nim pierwszym lodem ranek zaszkli wody,
Krążący rybitw muska się w stawie,
I dla bagnistej czajki ustroni
Brzmiącemi skrzydły pożeganie dzwoni.

Przez nieprzejrzane, zblakłe pastwiska,
Na pajęczyny wątlm kobiercu
Słońce ostatkiem skarbów swych połyska;
Przy konającej lilii sercu
Więdnący motyl skrzydełko schyla,
Zastyga rosa, lezka dla motyla.

Wychyl się, słońce, wychyl w błękity!
Zadzwoń, o wietrze, przez jar ustronny,
W pożółklej trzciny upierzone kity;
Zadzwoń, śpiewaku mój jednotonny,
Niech temu światłu, niech tej piosence,
Zabytek lata, wspomnienie poświęcę!

Gdy kir chmur śnieżnych zwiśnie nad ziemią,
I wichrowate tchnienia zamieci
Kwiatami mrozu okna mi zaciemią,
Czemże się wtedy świat mój rozświeci?
Kto mię wśród nudów i wycia burzy
Błogiemi snami lepszych dui odurzy?

— Ja — rzecze praca — ja cię obłokiem
 Swojego świata przed zimą skryję.
 A wyobraźnia: A ja cię urokiem
 Swojego tańca zimie odbiję. —
 I, jak bliźnięta, objęte w polu,
 Zleciały w moją duszę dwa anioły.

Witajcie, gońce dobrego nieba!
 Niewyczerpane są wasze dary,
 Tylko was godnie ugościć potrzeba.
 Za przeżegnaniem anielskiej pary
 Napojem życia duszy naczynie,
 Napojem chwały przez wieki popłynię.

Pod skromnej chatki poddaszem nizkiem,
 Gdzie założycie gospodę waszą,
 Przed wieśniaczego kominka ogniskiem
 Myślą się wieków skronie opaszą,
 I milionom za miliony
 Stanie samotnik, przez was poświęcony.

ROZSTANIE.

Zaszumiał wiatrem wierzch drzewa zielony,
 Po cichych wodach błękit się rozlewa;
 Już to nie błękit ukochanej strony,
 Nie lubyh wspomnień wiatry to i drzewa.
 Spłynęłyście, spłynęły ode mnie daleko
 I bez powrotu przeszłości rzeką!
 A tu, na przodzie, tak pusto, ciemno,
 A świat tak wielki, nagł prze demną.
 Że wzrok mój po nim tonie dokoła,
 Jak wzrok pchniętego do piekieł anioła.
 I was-że po tym nie ujrzę rozdziele,
 Mojego serca wierni przyjaciele?
 Ciche uciechy dobranej drużyny
 Mnież nie zadzwonią już wasze godziny?
 Gdy mi to wszystko uderzy do głowy,
 Wtedy lża szczęścia, przeszłości sierota,

Nabrzmiała smutkami, spłynię
 W obecności jad żółciowy,
 I w potwornej mieszaninie
 Tak zmaci puhar żywota,
 Że, łamiąc dłonie, wołam, jak bóstwo, syn ciała,
 Gdy mu napój podano, śmierci spragnionemu:
 „Czemuż mię, o mój ojczu, opuściłeś, czemu!?”
 Ale słońce wciąż świeci i zasłona cała.

GWIAZDY BLIŹNIĘTA.

Witam was, moje gwiazdy! Jak płyną, tak płyną:
 Wieczne światło ku światłu, i promyk z promykiem;
 Wśród zamieci stworzenia, między światów szykiem
 Nie rozłączają się jednak, ani sobie zgina.

Witam was, tajemniczej miłości drużyno!
 Jeszcze uczuć młodzieńczych zakarmiany mlekiem,
 Błkocący od serca piastunki językiem,
 Lubilem brnąć za wami błękitną głębiną.
 I straciłem was potem w żywota zawieci,
 By, straciwszy na niebie, znaleźć u kobiety,
 Gdyście z serca kochanki weszły na jej oczy.

Dzisiaj znowu błyszczycie w błękitnej przeźroczy;
 Dziś was znowu spotykam i witam, niestety,
 Już na niebie — jak godła tęsknot i nadziei.

ZIMOWA POGODA.

Igraj w zadumaniu cichem,
 Igraj, samotnika serce,
 Z posępnym zimy uśmiechem,
 Na każdej śniegu iskierce —
 A wy precz, troski-morderce,
 Precz ode mnie, niepokoję!
 I świat zmienia szaty swoje —
 Jest blask wesela i w zimie.
 Ot, ziemi kształty olbrzymie

Błyszczą w sukni uiskrzonej,
 Niby w stroju narzeczonej.
 Z bezładnego chmur posłania
 Wychyliło się i słońce,
 I w połowie rozdrzymania
 Z podziwem ku ziemi skłania
 Oko, pół-czuźne, pół-spiące.
 O, bodaj został wyklęty,
 Kto staje pośród biesiady,
 Jak potępionego mara,
 I do spólnego puhara
 Własnych łez przylewa jady!
 Bodaj sam wypił te męty!
 Dalej, serce, dziel biesiadę,
 Dziel ją rade, czy nierade!
 Smutek ciężko dni przewleka —
 A może i tak daleka
 Godzina, co nam odsłoni
 Nieprzerwanych snów kolębkę.
 Radości, twe skrzydła szybkie!
 Roztocz je i nieś mię do niej!

KLĄTWA SUMIENIA.¹

Przeżyłem ja siebie!
 (Czuję to w sobie, po sobie całym,
 Żem trup, odziany żyjącem ciałem,
 Że przeżyłem siebie.
 Potępione losy moje!
 Żyję na świecie, jak w grobie —
 Wszystko przestraszam, wszystkiego się boję.
 Z dolą upiora, w śmierci żalobie,
 Z cierpieniami pokutnika,

¹⁾ Wielu liryk G-o z r. 1823—1824 nosi wybitno piętno melancholii. Życie poety nie było wtedy łatwe (zatargi polityczne z policią, kłopoty w domu rodzinnym), ale na twórczości jego znać przede-wszystkiem wpływ poezji obcej, którą wtedy czytał: Younys, Ossyana i Tassa (Marzenia). Melancholia ta, właściwa G-mu i w późniejszych utworach, była pierwiastkiem składowym ogólnego na-stroju romantycznego.

Po nieswoim świecie idę.
 Gdzie stąpię — napotkam biędę,
 Co miłe — to się umyka,
 Co gorzkie — to mię opada.
 Ale nad wszelkie cierpienia
 Jest owe widmo sumienia,
 Co, jak nagi koścień duszy,
 Wszędzie drogę mi zasiada,
 Targa ciągle za wnętrzności
 I ciągle krzyczy mi w uszy:
 — Cierp, cierp, synu nikczemności,
 Życiem bez życia dręcz siebie,
 Kiedy nie śmiałeś umrzeć w potrzebie
 Z pożytkiem bliźnich, a swoją chwałą!
 Los cię postawił w obec tyrana,
 Niebo uczucia wyższe ci dało:
 W sercu jęczała ludzkość znękana,
 Przed narodu kajdanami
 Oczy zachodziły łzami,
 Serce piersi rozrywało,
 Słyszałeś jego konwulsyjne bicie...
 To chwila czynu wielkiego była!
 Nowe dla ciebie rodziło się życie!
 Może mogiła — lecz wolna mogiła
 Byłaby sławnem lożem twojej chwały!
 Już ci tryumfu wieńce zakwitwały,
 Wdzięczność ludu zbawionego
 Już gotowała oklaski i hymny —
 A tyś poskąpił życia lichego,
 Mimo cel przeszedłeś zimny,
 Głos mój w duszy zatłumiłeś
 I powinności twojej nie spełniłeś.
 Cierp-że i z sobą samym się bij!
 Życiem bez życia dręcz siebie,
 Gdyś nie śmiał umrzeć w potrzebie,
 I, nieżywy, żyj!

PRZEBUDZENIE.

Czekaj, ach, czekaj choć chwilę jeszcze!
 Niech się nasyce chwilą bezcenną!
 Tak rzadko ciebie, tak krótko pieszczę...
 Tylko co była — i już jej niema,
 A ja gonilem za marą senną
 I tylko utonałem w ciemności oczyma,
 I tylko drżąca ręka drżące serce trzyma.

Wzrok obłąkany, słuch obłąkany
 Walczą naprzemian z bałwanem cieni.
 Dziki wiatr, wyjąc, obiega ściany,
 Trwożnie połyska świeca gasnąca,
 Cichym snem dyszą wkoło uśpieni.
 Mnie tylko ciągle budzi krew, mózgiem burząca,
 W moją tylko pierś tęskną tęskne serce trąca.
 O, mego serca duszo jedyna,
 Czegoż mnie we śnie odwiedzasz mojem?
 Czy moich cierpień sroga godzina
 Równe cierpienia budzi i w tobie?
 Czy i twoje sny w kłótni z pokojem
 Stawiają ci ułoża o tej samej dobie
 Moją duszę cierpiącą w mych uczuć żalobie?

Nie takie były ubiegłe chwile,
 Kiedy nadzieją, kiedy miejscami
 Złączeni w jedno, łechtani mile,
 Mniej zważaliśmy, że życia burze,
 Że losów gromy były nad nami.
 Urągaliśmy wtedy grożącej nam chmurze,
 Byliśmy sobie wszystkim — w obcej nam naturze.

A dziś me oczy i sen rozkleja,
 Bo, jak dogasa ta oto świeca,
 Gaśnie na zawsze moja nadzieja,
 Bo w rozbolełej duszy stęsknienie
 To smutne wycie wiatru podsycą,
 A serce, skolatane, żadne nieskończenie,
 Wywołując pamiętki, rozbliznia cierpienie.

ZDANIE SIĘ.

Nie, tak dłużej być nie może!
 Lot każdej chwili czuć w dreszczu trwogi,
 Widzieć się nadto, gdzieś był kiedyś drogi,
 Miał we snach groźnych wyprasane łoża,
 Błagać niegodnych, aby mię żywili — —
 Nie — tak dłużej być nie może!¹

Srogość się losów przesili.
 A może, nim się przesili...?
 I cóż stąd, że mię przemoże?
 Czyż i to już nie jest chlubą,
 Tak zatrudnić swoją zgubą
 Złe losy, przed których siłą
 Tyle się ludów zwało?
 Wytrwałość, duszo, wytrwałość!
 Póki ci prawda w pełni swojej pała,
 Póki zwątpienie, póki zniewieściałość
 Twego blasku nie skalala —
 Póty wierźmy, że wygramy,
 Czy to zwyciężyć, czy poledz mamy.
 Kogo na zgubę czyste cele wiodą,
 Tego śmierć będzie bez plamy,
 A święta chwała nagrodą.

Kajetanówka na Ukrainie 1823 r.

PUSTELNIK.

Noc chmurna, świat, jak w całunie,
 Wicher wichry przepędza,
 Chmura za chmurą sunie —
 Tylko nie widać, jak tu grom runie:
 Same tu strachy, sama tu nęda!

W pustyni świata ja żyję;
 Samotny mój szalasek —

¹) G-i błakał się wtedy po Ukrainie między domami przyjaciół i rodziców, ukrywając się przed okiem policyi, która go ścigała za rozpowszechnianie wierszy patryotycznych. Stąd skargi na los.

Zewsząd burza nań bije:
Ni go dąb wzniosły przed deszczem kryje,
Ni go przed wiatrem zasłania lasek.

A nawałnica się wzmaga,
A w niej piorunu żmija
Coraz się częściej zwija,
I coraz bliżej, i coraz flaga
O dach się wątły silniej obja.

Opuszczony ja, zginiony,
Bo pomoc na pustynie
Zkórejże przyjdzie strony?
„Stamtąd, gdzie mieszka w każdej godzinie!“
— Świsnęło wichrem w chatki szczelinie.

Razem chmury się rozdarły,
Śmierć zaryczała w gromie:
Pustelnik legł umarły,
Szalasek jego płomienie zżarły,
A on już mieszka w pokoju domie.

1824, paźdz.

TOPIELEC.

Sprzecznych mię wieków uniosła burza,
I w gorzkich losu bałwanach zanurza;
Tonie, tonie moja łódka.
Serce tylko mam przy sobie,
I tylko śpiewam w żałobie:
O, jakżeż ciężka ta żegluga krótka!

A kiedy wybrnę ze słonej fali
I ciężar śmierci z westchnienia się zwali,
Śpiew topielca znowu stęka —
I tak ciągle, dzikim tonem,
W echu burzy zamaconem,
Jedna a jedna kwili się piosenka.

I ot, nad mętne życia otchłanie
Zbiegli się słyszeć biednego wołanie:
Ale śpiew, za głuchy w tłumie,
Zanadto przerazi w ciszy —
A i nie każdy, co słyszy,
W swoim go sercu, jak trzeba, zrozumie.

Tamtych pioruny, błyski spłoszyły —
Tych odprowadził tęczy uśmiech miły;
Odbieżonych mnogą zgrają,
Zostało się już niewiele,
Którzy wytrwale i śmieje
W mojem jęczeniu wróżby swej słuchają,

Stanu smutnego serca znajomi.
Zaden z nich głosu smutnego nie zgromi,
Bo w rozstrojeniu żaloby,
Gdzie czucie tępo przyswiewa,
Jak w nocy oko księżycy —
Któż ma czas chwycić barwione ozdoby?

Ofiary spornych losu wydarzeń,
Oni nie zechcą potępić mych marzeń,
Oni mię, słysząc, pojęli,
I pójda w sobie zamknęci,
I westchną po mej pamięci,
A lza topielca i z ich oczu strzeli.

1824. 3 paźdz.

POŁUDNIE.

Samo południe. Uroczysta chwila!
W równi się ważą skrzydła wyobraźni.
Z za listka, co go czasem wiatr uchyla,
Barwiony promyk żrenicę podrażni —
W błękitnej przeźroczy,
Przez drżącego światła fale,
Słońce wspaniale,
Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ziemi ciszą,
 Gra jednostajnie polny trel konika,
 Rzadko wiatr płochy, gdy inne snem dyszą.
 Przez czujne listki trwożnie się wymyka;
 Dalej brzęczy mucha,
 Dalej słowika pieśń kona,
 A wkoło głucha
 Wrzawa, zmacona.

Ty, coś do lutni melodyjnej brzmienia
 Życia natury harmonię stroił —
 Ty, coś żyjący obraz przyrodzenia
 Zgodnemi tęczy falami napoił —
 Daj mi poznać, Boże,
 Jak jedno dzieło twych rąku
 Różnić się może
 W tym zgodnodźwięku!

Cóż stąd, że wszystko pięknie gra dla duszy,
 Gdy się rozstraja wichrem jej zamieci?
 Cóż stąd, że niebo tak pogodnie świeci,
 Kiedy mgła duszy blask jego zaproszy?
 Niepojęte nieba!
 Nacóż waszych cudów roje,
 Gdy komu trzeba
 Mieć serce moje?

Wielki mój twórco, twórco przyrodzenia!
 Jeżeli we wszystkim i ja cię obchodzę
 I w chwalnych pieniach miłę dziękczynienia —
 Albo więc przestań być wielkim tak srodze
 I odbierz mi czucie,
 Albo objaw na osłode
 Mojej pokucie
 Kres i nagrodę!

1824.

MOJA PIOSENKA.

Zegar życia bije,
 Splywają lata, jak woda cicha,

Świat wesoło żyje,
 A moja pierś wzdycha;
 I kiedy wszystko wszystkim się uśmiecha —
 Mnie żaloba wszystko kryje.

Innych przyjaźń pieści,
 Śmieją się innym usta kochanek;
 Ja w głuchej boleści
 Wiodeń życia ranek,
 Na mojej skroni schnie miłości wianek,
 Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
 Nie mnie się wdzięczy dzień złotem czołem:
 Smutne grobu szaty
 Wcześniej naciągnąłem.
 Niesmaki życia są moim żywiołem,
 Moim światem — lepsze światy. 1824.

PODROŻ JESIENNA.

Noc ciemna, burzliwa,
 Ziemię okryły tumany,
 Wiatr chłodny powiewa,
 Szumi deszczyk przerywany.

Zimno i ponuro.
 Ponad ziemię i tumany,
 Otulony chmurą,
 Błądzi księżyc nadąsany.

Nie ustawajmy w podróży:
 Choć przeziębli, choć zmoczeni,
 Przebędziem przykrość jesieni —
 Cierpmy krócej, cierpiąc dłużej!

Wiatr świszczce, mgły biją,
 Szum tłumiony las obiega,
 Widma burzy wyją.
 Fala belkoce u brzegu,

Dokoła strach srogi:
Ziemia głucha i świat niemy.
My nie wiemy drogi
I nie wiemy i idziemy,

Bo mimo te wszystkie tamy,
Mamy motykę grabarza;
Z nią zajdziemy, gdzie zejść mamy:
Do gospody wśród cmentarza.

Tuman się przesuwą:
Krzyż — na krzyżu blask księżycy...
Nad czym księżyc czuwa?
Cóż on tutaj nam oświeca?

Odźwierny wieczności
Kamień grobu nam okrywa:
Tu nikną ciemności,
A wschodzi jasność prawdziwa.

Precz więc, trosko i mokoło!
Nie wyrzekajmy na Boga:
Już-to nie najcięższa droga,
Gdy się kończy tak wesolo...

Samhorodok, 1825.

ŁZA TAJEMNICZA.

O, ktoś człowieka odgadnie!
U mnie łza nie spływa snadnie;
Już mi się nieraz zdarzało
Stać pośród śpiewów żaloby,
Przy trumnie drogiej osoby,
Ze źrenicą skamieniałą.
Wieleż to związków zerwanych,
Wieleż oczu zapłakanych
O głąz czucia się rozbryzła!
Wieleż to godzin boleści
I grotów losu, bez wieści

Łodem duszy się prześlizło!
Wieleż to własnej niedoli
Odbylem żrenicą suchą!
Więc, jak w grobie, w duszy głucho,
I — jak trupa — nic nie boli?
Więc nigdy rany bliźniego
Moich współczuć nie zażegną?
Ten sąd obmowy zabawie,
Ten sąd potwarzy zostawię.
Bo i któż się tu ustrzeże,
Że go głupstwo nie oszczeka;
Ale któż się przyzna szczerze,
Że pojął tajnie człowieka?
Nad niczem płakać nie mogę,
Jednakże w cichym wieczorze,
Gdy świat dumania otworzę,
A, w kraj wyższy wzięwszy drogę
Z poziomych uczuć zamieci,
Dusza swobodnie uleci —
Wtedy powietrzna muzyka
Niepojęta, czarująca,
Dokoła dźwięki zamąca,
Nowy byt we mnie odmyka
I, od serca powtórzona,
Gwałtem płynie z mego łona.
I póty się leje, mąci,
Już po serca grając chęci,
Aż jakimś tonem go trąci,
Że się łza w oku zakreśli...
Jaka to łza, jakie granie?
Pojąć serce ktoś jest w stanie?
Co za czucie od tej lezki!
Za najpiękniejszy z gwiazd wianek
Nie oddałbym jej promyka!
Musi to ojciec niebieski
Rosić duszami niebianek
Spiekłe serce śmiertelnika.

Al..., 1827, listop.

PODRÓŻNY.

„Trochę dalej, tylko zwawiej!
 Nie padaj, wędrowcze, w nuży,¹
 Praca się pobłogosławi,
 Trochę dalej kres podróży.
 Patrzaj, gdzie przemyka chmurka
 Po zielonem czole wzgórką:
 Spoczynek na jego szczycie
 Wynagrodzi cię obficie.
 Jak tam wkoło kraj szeroki,
 Jakie tam wkoło widoki,
 Jakiemi tam dumaniami
 Twa się dusza ukołysze,
 Gdy przed chciwemi oczami
 Rozwiną się w całej pysze,
 W całym blasku i ogromie
 Na nieprzejrzanym poziomie,
 Nieb lazurem powleczone,
 Zwierciadlane wód przestwory —
 We wstęgach niwy zielone,
 W różnobarwnych szatach bory!“

I — upragniony widoku! —
 Wędrowiec przyspieszył kroku.
 Nieraz usterknął w znużeniu
 I pył drogi krwią pokropił,
 Ale się przyszłości opił;
 Spiesz i już w wysileniu
 Coraz, coraz bliżej mety.
 Już jej dosiagli — już pod górą —
 Już na górze; lecz, niestety,
 Pod opadłej nocy chmurą
 Zagasi świat i wdzięków tyle,
 Zapłata prac wędrownika;
 A blask od zorzy promyka
 Tylko drażnił go niemile.

¹⁾ W znużeniu.

Nasz to los, o przyjaciele,
 Nasza to podróż, o ludzie,
 Kiedy konającym w trudzie
 Blizkie osiągnięcia cele
 W półcieniach grobu rozświeca
 Jutrzenka trumny — gromnica.

Aleksandrówka, 1827.

SZCZĘŚCIE.

Odbierasz ciało i życie,
 Wychodzisz na świat, jak dziecię,
 Czarują ciebie natury dziwy,
 Wszystko się tobie uśmiecha wokoło,
 Wszyscy witają wesolo —
 A ty odpowiadasz płaczem.
 Czegoż to płaczesz, sam nie wiedząc, za czem?
 Będiesz, widać, nieszczęśliwy...

Wstąpiłeś w młodzieńcze lata,
 Czujesz cały powab świata:
 To wietrzny mędrzec, to wietrznik tkliwy —
 Sama się rozkosz za tobą ugania,
 Piękna, jak anioł kochania,
 Chce, jak szczęścia, serca twego.
 Za czemże wzdychasz i tęsknisz do czego?
 Nie jesteś, widać, szczęśliwy.

Stałeś na stopniu męża,
 Wiek namiętności zwycięża:
 Stłumiłeś zapal płochy, burzliwy,
 Wiesz, co ci trzeba — co trzeba, posiadasz,
 Wielkimi skarbami władasz,
 Okrytyś wielkich zaszczytów —
 Czegoż to dumasz, czegoż wzdychasz przytem?
 Jeszczeż nie jesteś szczęśliwy?

Choroba wieku niemila
 Zgarbiła cię, wyniszczyła —

Ostyga życie pod szronem siwym,
 Aż i śmierć znamię rozwija pogrzebu.
 Czegoż pojrzałeś ku niebu,
 Wyjaśniewszy wzrok ponury?
 Szepnęła dusza, wskazując do góry:
 „Tam, starcze, będziesz szczęśliwy!”

1828.

ZAGADKA TKLIWEGO.

Czego zadumany chodzisz
 I kładziesz rękę na bijące łono
 I po białych gwiazdach wodzisz,
 Z cichem westchnieniem powiekę zroszoną?
 Czy chcesz wyczytać na niebie,
 Skąd te, bez celu puszczane, westchnienia?
 Skąd te płacze bez cierpienia?
 Chcesz się odgadnąć? Ja odgadnę ciebie.

Ziemia, jak trumna, spoczywa;
 Żalobne pienia nuć jej puhacze,
 Noc ją, jak wieko, przykrywa,
 Miesiąc nad śpiącą, jak nad zmarłą, płacze.
 Takiej potrzeba mi pory,
 Aby się dobrze twą zagadkę zgadło.
 Niesiemy tylko zwierciadło:
 Idziem na góry, nad stepy, nad bory.

Czy widzisz, jak obrócone
 Ku księżycowi lustro go spotyka?
 A teraz patrzaj na stronę:
 Widzisz błysk jego? Czy widzisz, jak zmyka,
 Jak przelatuje skwapliwie
 Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska?
 Chwilę na wodach połyska,
 Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie,

Wreszcie ku gwiazdzistej górze
 Z posępanej ziemi pędzi całą siłą:

Już przegania po lazurze,
 Już przy księżycu — już się z nim złączyło.
 Otóż w tym niskim pobycie
 Tak niespokojnie dusz tkliwych dui biega,
 Otóż i gadka tkliwego:
 Księżyc był bóstwem — on bóstwa odbicie.

NAD PŁACZĄCEM DZIECKIEM.

Jeszcze pół mżące w anioła objęciu,
 A już lży leje, tak gorzko, tak wcześniej!
 Może to ziemia cuci tak boleśnie?
 Może to człowiek przyśnił się dziecięciu,
 I zmora bytu w te pierwospy życia,
 Odkrywszy jemu nagie swe ponęty,
 Bólem powlokła pieśczęoty powicia,
 Łzami zalała śmiech nierozwinięty?

O, niechaj płacz ten, przyjęty w daninie,
 Przewodnią strugą przed tobą popłynie,
 Najprzód kupując przejście, i niech razem
 Nasiewa drogę twej pielgrzymki kwiatem!
 Ależ bo trzeba grobowym być głazem
 I patrzeć okiem trupa lodowatem,
 By się, choć obce, serce nie zabiło
 Całą miłości macierzyńskiej siłą,
 Że, wywabiona na gody żywota,
 Ufna, bezbronna, półrajska istota,
 Pośród nadziei i żądz oblubieńca
 Uczuwa żądło cierniowego wienca —
 I w pierwszym kroku znosić musi tyle,
 I dla tej tylko lichej szaty ciała,
 Kiedy już wieczność przeszłości przespała,
 Czy to w kolebce światów, czy w mogile.
 Skłońcie się jednak z tem skarżącym czołem,
 Skłońcie się w modłach przed jego aniołem:
 Niech te kropelki w swoje łono zbierze,
 Niech tam, jak źródłem zamknięte, jaśnieją,
 By w skwarach życia były mu nadzieją,
 Były ochłodą; a módlcie się w wierze,

Iż prośby wasze mimo nie prześlizną —
 Bo nie masz może, prócz łez za ojczyzną,
 I boleśniejszych i czystszych na ziemi,
 Jak łzy rodziców nad ich maleńkiemi!

MATKA PRZYRODA.

Na przyjaźni zawiedziony,
 Z kochanem sercem skłócony,
 Gdy mi dogryzie złość ludzi,
 Gdy mię wrzawa świata znudzi,
 Gdy mię ciężar życia strudzi,
 Jeszcze na rozpaczny drodze
 Ulgę i życie znachodzę.

Przyrodo błogosławiona!
 Wtedy, jak pieszczone dziecko,
 Garnę się do twego łona,
 Aż mię przytuli, ukryje...
 Darmoby tam oko czyje
 Wyśledzało mię zdradziecko!
 Choćby ła słońcem błyszczała,
 To w rąbku ze mgły utonie;
 Choćby szatan ryczał w łonie,
 Burza-by go nie wydała.
 A tak, po krótkiej pociesze,
 Słakane oko w blask żywszy,
 Usta w uśmiech przystroiwszy,
 Znowu między ludzi spieszę,
 A gmin woła: — „To są dziwy!
 Jaki on zawsze szczęśliwy!“

BURZA.

Dzień poblady, powietrze ścichło,
 W dalekości rosną chmury,
 Jakoby nocą odziane góry.
 Ciemno i głucho. Nierychło, nierychło
 Zawył wichrów świst ponury
 I razem wszystko ucichło.

Ale w zasepionej dali
 Głucho pioruny hurkocą;
 Za chmurnych zasłon grobową nocą
 Długim się migiem błyskawica pali,
 Aż rozdęta piekła mocą,
 Rozlała się kręgiem w fali.

I w krąg się burza rozpięła,
 Noc i trwoga wszystko zdjęła:
 Tylko za każdym błysku rozświtem
 Trupią błądzącą natura olśnęła,
 A z każdym gromem rozbitym
 Niebo ozwało się zgrzytem.

Jakaż to chwila straszliwa,
 Gdy ma konwulsye natura!
 Czyż dusza wtedy nie zadrży która?
 I któż czucie wtedy nie omdlewa,
 I dłoń się nie wzniesie czyja,
 Gdy zegar kary wybija?

A tyż, niezłękniomy, czemu
 Dumasz sobie tak spokojnie
 W zgrozie natury w żywiołów wojnie,
 Kiedy śmierć widna zagraża wszystkiemu?...
 Ach, kto wyrósł w serca wojnie,
 Pioruny niestraszne temu!

DO WIOSNY.

Tajemniczy ogień czuję,
 Ogień, co duszę przejmuję,
 Zmysłom żywego wesela,
 Sercu miłości udziela!
 Twoja to, wiosno, władza
 Ten ogień z nieba sprowadza.
 Z błogosławionym oddechem wietrzyka
 W środek on ziemi przenika:
 Zapala kolory tęczy,
 Skrzydło motylka, wieniec kwiatka wdzięczy,

Przemawia w pieniu słowika —
 W zawoju świeżej róży się rumieni,
 We łzach poranku farbami się pali.
 Wspaniale błyska na drzemiącej fali
 I sieje gwiazdy po zmarszczkach strumieni.
 Lecz, kiedy, całą istotę przejąwszy,
 Świat odnowionym zmysłem wyprowadzasz nowszy,
 A świeższym wdziękiem otworzą się oczy,
 A źródło ognistych uczuć żywszą krew potoczy —
 Ach, jakież farby, jakie odcienia
 Wydadzą się twego płomienia!
 Z czemuż go zrównam, o wiosno?
 Czy z tą rozkoszą miłosną,
 Co żadnem obłąkaniem duszę nam zachwyca,
 Kiedy, wdzięku anielskiego,
 Pełna skromności dziewica
 Wyda się trwożnem spojrzeniem
 Ze wzajemnym płomieniem
 I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
 Nie, wiosno! I ja kochałem.
 I nie gardzono moim zapalem.
 Znam ja miłości rozkosze:
 Dzisiaj twoje pojąłem i twoje przenoszę!
 Tam jest niepokój, tam cierpkie żądze,
 Tam, lękliwy o przyszłość, przeszłości żaluję;
 Tam, wśród uniesień szczęścia, bojaźni straty czuję;
 Tam, używając, cierpię — unosząc się, błądzę;
 Tam z niebem piekło spójono,
 Z rozkoszami anioła potępienia bole:
 Wolę ciebie, wiosno, wolę!
 Skoro mię twoje tchnienia owioną,
 Skoro twą duszę przyjmę w me łono —
 Między innego świata rozkosze
 Odrodzony się przenoszę
 I, upojony czuciami wyższemi,
 Żegnaj gorycze ziemi!

1826.

WIECZÓR.

Widok to wielki! Rozkosz czarodziejska —
 Ta okolica, ta w czasie godzina,
 Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna,
 Ta niemiejąca w dali wrzawa miejska,
 Te mdle światelka w mieszkaniach człowieka,
 Jak skry rozpierzchłe niepewnej nadziei,
 Ten oddalony, grożący szum kniei,
 Co żywą duszę ostrzega z daleka,
 Że tajemnice, zbrojne ludzi oku,
 Mają się począć w północnym jej mroku —
 Ten księżyc pełny, to dziecię wieczora
 Ze śmierci cerą, z spojrzaniem upiора —
 Te światy światów, w iskrach rozsypane
 Nad cichą ziemią wśród ciszy i cienia,
 Jakby promyki przeznaczeń stworzenia,
 Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane —
 Te ziemi, nieba, nocy, światła dziwy...

O, jakże ciemny, o, jak nieszczęśliwy,
 Kto pełnem sercem uczuć ich nie umie!
 Jedna to rozkosz w ziemskich nciech tłumie,
 Co zawsze nowa i na pogotowiu,
 A nie zależy całkiem od nikogo,
 Kiedy tak wszystko oplacamy drogo
 Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu...
 Tu dość chwil kilku — i kilka łez czystych.

1824.

DO MOJEJ WIERZBY.

Wierzbo, dobry wieczór tobie!
 Ale proszę ciebie wcześniej,
 Niech twój listek nie szeleśnie,
 Tak cicho niech drzemie sobie!...
 Bo usnęło serce moje,
 A zbudzić je tak się boję!
 Jak miło w tem uciszeniu!
 Żaden powiew nie oddycha,

Po cichem nieba sklepieniu
Senny księżyc stąpa z cicha.

Och!... Nędzny, co ci się stało?
Westchnąłeś!... Jedno westchnienie
Przerwało serca uspienie,
I wzburza naturę całą.
Księżyc mgłami się zachmurza,
Liśćmiam potrząsa burza—
Aż tu i marzeń mych roje,
Co wśród gałązek usnęły,
Opadły na piersi moje
I do serca się przypięły.

Więc dobranoc, wierzbo, tobie!
Czcze spokojności żądania,
Moje mnie serce ugania.
Szum ty cicho, szum w żalobie,
Ja sobie dalej odchodzę,
Deptać po ciernistej drodze,
Szukać szczęśliwej uboczy,
Gdzie głos wiecznego uśnienia
Czujne me serce przytłoczy,
Gdzie usną same westchnienia.

1824.

ROZMOWA ZE SŁOWIKIEM.

Jakże luba ta altana,
Ocieniona żywopłotem,
Chłodzona wiatrów przelotem!
Ach, w twojej ciszy, moja kochana,
Powierniczko mego łona,
Czucie ziemskości do reszty kona!

Wśród grających fal światłości,
Wśród rzeźwego bytu wrzawy,
Jak płomyk mogił bladawy,
Przymioną dusza w marzeń cichości

Innem życiem tutaj dyszy:
Zaledwie widzi, zaledwie słyszy.

Któż mię z tego snu ocucił?
Ha— to słowik usiadł blisko,
Zahuśtał liści kołyską,
Zwrócił się ku mnie, tęsknie zanucił,
I śpiew, chwilkę postrojony,
Śpiew swój słowicy w ludzkie zlał tony:

„Tam nad kwiatkiem brzęczą pszczoły,
Tam ptaszyna za ptaszyną
Ślizga się giętką krzewiną—
Tu porze wiatry motyl wesoly...
Wszystko igra śród użycia,
Wszystko cię nęci, wzywa do życia,

A ty leżysz, jak zmartwiały,
Nic cię z dumań nie poruszy!
Czegoż trzeba twojej duszy?“
Nic jej nie trzeba, mój ptaszku mały,
Ni od ziemi, ni od nieba—
Tylko swobody, swobody potrzeba.

OSTATNIA PRZECHADZKA.

1.

Wzgórza Kamionki skaliste,
Raz to ostatni wasze echo słyszę!
I szum, co w Turowie dysze,
Raz ostatni słyszę!
I raz ostatni klóć waszą ciszę,
Brzegi Okniny urwiste!¹

¹) Poeta żegna się w tym poemacie z okolicą Stawek (pow. Olhopolski), gdzie bawił dłużej u kolegi swego Teodora Wołoszynowskiego. Okolica malownicza i dostatecznie dzika dla romantyka, który właśnie czytał wtedy pierwszy raz „Panią Jeziora“ Waltera Scotta (w przekładzie Sienkiewicza). Las Turowski, rzeka Oknina, Kamionka, Chrystyszcze — to miejscowe nazwy topograficzne.

Skądże to serca nużące drganie?...
 Czemuż nie bije, jak biło,
 Gdy to źródło, w perłowej igrające pianie,
 Pieśni dumań go uczyło?
 Serce zadrzało, źródło buchnęło —
 Uoićhło źródło, serce stanęło,
 Dają sobie pożegnanie.

Ogniu, płonący tu, w oku,
 Ustąp z oka sile mroku,
 A przepłynął cały w duszy głębinę!
 Niech, nim porzucę na zawsze te strony,
 Pieszczotom duszy rozwinę
 Świat przeszłości zachmurzony!

2.

Spadł z gałązki listek suchy,
 Porwał się ze snu wiatr głuchy,
 Zagrał z cicha w zwidłe liście,
 Zakręcił się w przykrym świcie,
 I tajemniczą mową zadzwonił mi w ucho:
 — „Witaj mi! Spieszę z otuchą,
 Piastuję natury władzę;
 Ścisłej twą duszę z jej duszą spoję,
 Cuda piękności do oka zgromadzę,
 Słuch zachwycenia tonami upoję,
 Zapory wieków rozgrodzę,
 Granice życia uprzątnę na drodze,
 Samej natury władzą cię uzbroję!“
 — Skończył, pożegnał
 I leci dalej. Tu powietrze przegnał,
 Osklonione mgłą żalobną —
 Tam z szat zimy ciepłym dmuchem
 Strząsnął na śniegi lżę drobną —
 Tam zakłócił liściem suchem,
 A tam poogłował znowu
 Przez ślizkie marszczki potoku,
 Zawsze bliżej ku Turowu,
 Coraz niknąć oku.

Pędź, pędź, dobroczynny wietrze!
 Oby twe skrzydła jeszcze były letsze!
 Drzewo, pieszczone tuląc zawiązki,
 Smutno ku tobie klaszcze w gałązki,
 I murawa, z pod ciężkich śniegów wychylona
 Splątaniem w nieład kosy,
 O duszę woni błaga dla łona,
 Dla stroju o kropkę rosy —
 I ściętych strumieni fala
 Pod lodami się użala —
 I dzień, na śnieżne łany
 W iskrach rozsypany,
 Ciebie tylko wygląda, by w wiosny uśmiechu
 Na sienie lilii błysnął kielichu:
 Jakby usłyszał prośby, pospieszniej przewiewa
 Między krzaki, między drzewa—
 Już go dąb, szumiąc, pożegnał ostatni,
 Ostatni, co się uniośł w jego ślady, listek
 Już padł nazad, drzący wszystkich,
 Na łożu, co mu z braci usłał cmentarz bratni.
 O wy, dumni życia darem,
 Nie zaprzeczajcie czucia istot reszcie!
 Wszędy jest dusza, wszędy życie, wierzcie!
 Piersi pod tęsknoty stęka mi ciężarem,
 Zamglone oko podpływa łzami,
 Gdy lato, jesieni przetrawione mgłami,
 Z pod coraz cięższej korony
 Wlecze po bledszej coraz przestrzeni
 Oko ospałe, trwożne, bez promieni,
 Jak rozkoszami młodzian przesycony.
 Zachmurzam lice ponuro
 Nad ubarwioną posępnie naturą—
 Płaczą, gdy, tkliwej matce podobny,
 Kąpiącej łzami konające dziecię,
 Wieczór ostatnią rosą zwilża świat obficie —
 Wydycham odgłos żalobny,
 Skoro, zimą strwożony, zawyje bór dziko,
 A nad najpierwszą ściętą lodem rzeką
 I lży, co w moim oku zawrzały,
 Jak nieruchome słupieją kryształ!

3.

Szczęśliwy, czyje niezsute serce
 Obcować z dzikiem przyrodeniem zdoła!
 Szczęśliwy, kto potrafi na drobnej iskierce
 Unieść się między światów gorejące koła!
 Widić naturę, całym jaśniejącą blaskiem,
 W zwierciadle porannej lezki
 I pojąć wielki majestat niebieski
 W ruchu mrówki, błaznącej między lotnym piaskiem.
 Ze szczęśliwych najszczęśliwszy,
 Komu natura nagi wdzięk odsłania —
 Ale i ten szczęśliwy, kto światy wygnania
 Anielskiego, nie zasłużywszy,
 Ustroił w tęskne dumania.
 O, wy, nadbrzeżne Kamionki zarośle,
 Wy, skały, majaczące wśród krzewin wyniośle,
 Garbate wzgórki, popłatane jary,
 Swarliwe Okniny zdroje,
 Ciemny, zarosły Turowie stary —
 Zaludniły was dumania moje!
 Wieleż chwil, ociężałych rozpaczy niemocą,
 Ponurzyć w nurty Dniestru, woda ta uniosła!
 Wieleż razy witałem od pociechy posła,
 Tych dzikich pustyń odzianego nocą!
 Nieraz, gdy serce od cierpień krzepło
 I oko w kropkach kamieniało łzawych,
 Jeden strzał słońca po głazach chropawych,
 Żrenicy światło, sercu wrócił ciepło!
 Naturo dzika! Niema boleści,
 Któraby w serce tyle się wżarła,
 By cię na chwilę odparła,
 Skoro go silne twoje objęcie popieści!

4.

Ale po raz ostatni echo wasze słyszę,
 Wzgórza Kamionki skaliste,
 Turowa dęby wieczyste!
 Po raz ostatni pragnieniem tu dyszę,

Wody Okniny przejrzyste!
 Po raz, po raz ostatni zakłócam tę ciszę!
 Aby smutek roztargać, napróżno się wsunie
 Narzędzie brzmiące pod niechętny palec:
 Ożyje w każdej cząstce smutek, jak padalec,
 I harmonię ulgi skłóci w każdej strunie.
 Ciało wzrusza się bez siły,
 Oczy światło utraciły,
 Myśli upadły w splećnianiu
 Przy bolesnem pożegnaniu!
 Bo jak tu zwabić wszystkie szczęścia chwile,
 Jak razem objąć lubych wspomnień tyle!

5.

Zadrzemala wśród krętych jarów zima biała,
 Na śnieżnych zaspach zimy i mgła zadrzemala.
 Ciszej! Spi mrozów królowa.
 Blask słońca śniegów nie drażni;
 Trefiona mrozem dąbrowa
 Ledwie tchem przytłumionym postęknie w bojaźni.
 Wszystko nieme, wszędzie głucho!
 Wietrzyk nawet nie trąci o krzewnię suchą.
 Skrzypiących mrozów jakie przykre dreszcze!
 Lecz przykrzej, tak, przykrzej jeszcze
 Temu, co pośród obecnej goryczy
 Bolesne bicia serca za przeszłością liczy —
 Którego dusza cierpiąca
 Na promieniu wieszczonego światła się przeciska,
 Gdzie przyszłość, jako chmura z burzą się roztrąca
 O dzikie przygód zjawiska,
 A rozjaśnione łzami łśni za niemi życie,
 Jak za szkłem wody nieba odbicie.

6.

— „Odchodźmy już, odchodźmy!“ — rzekł anioł tęsknoty,
 Co mi się podjął przewodzić w podróży.
 Leniwe są, aniele, westchnienia podloty,
 I pospiechowi twoje skrzydło nie usłuży!

Tem lepiej dla mnie. Pozwól, niech się zwrócę
 I wsteczne wejrzenie rzucę.
 Te same, jeszcze usniezione wzgórza,
 Ten sam wokoło bór się zachmurza,
 I nadbrzeżne, młode gaje,
 I ogromne głazów składy,
 I te, co po nich drapią się śmiało
 Rozległe Chrystyszcz osady:
 Wszystko przede mną to samo staje,
 Czasami w słońcu, czasem za mgłą białą.
 Jeszcze stanąłem... Nim się oddalę,
 W oku i uchu cały się zgarnąłem:
 W przepaścistych jarach, dołem,
 Mruknęły Okniny fale —
 Skłócone kundlów głosy w Chrystyszczach zawrzały —
 Razem ucichło...
 Wrzasnęły echa nierychło,
 Ucichły skały;
 W głuszy Turowa słyhać wycie wilka,
 Skonało w gęstwinie;
 Zbity ze szlaku huknął po dębinie,
 Huknął razy kilka,
 I wszystko w martwej cichości zaległo —
 A me oko raz jeszcze dokola przebiegło.
 Bo już brzęku waszego więcej nie usłyszę,
 Okniny wody przejrzyste!
 Nie usłyszę i szumu, co wami kołysze,
 Turowa dęby wieczyste —
 Ani już więcej zakłócę wam ciszę,
 Kamionki brzegi urwiste!

1823.

NOC W ZOFIÓWCE.

Żle mi w złych ludzi tłumie.
 Płacę — a oni szydzą,
 Mówię — nikt nie rozumie,
 Widzę — oni nie widzą.

Mickiewicz.

A więc ją znowu ujrzę i ujrzę za chwilę,
 Tyle się nabłakawszy i przeniósłszy tyle!

Po dzikich uniesieniach, żebraczej wędrowce,
 Znow się ponurzę w mojej Zofiówce,¹
 Co tak rozkwita urocznie, dziewiczo,
 Między surową krainą tych dziczą,
 Jak niebiański rumieniec, kwiat świętej wieczności,
 Na umarłego lica bladeści,
 Co straż trzyma przy mego dzieciństwa edenie,
 Jak cherub, uwieńczony w pamiątek promienie.
 O, powiej, maju mojego wietrze!
 Przeszłość, co w twoim odetchnie oddechu,
 Pierworodnego nie znająca grzechu,
 Z długiego nasepienia wzrok pokutny przetrze,
 Skalaną szatę duszy odnowi
 I pielgrzymiemu wytchnie kosturowi
 I pielgrzymowi.
 Wierny mój kiju, przyspieszmy kroku!
 Już czuję tchnienie jej czarodziejskie,
 Już miejskie gwary, już światła miejskie
 Przepadły w nocy obłoku,
 I szum jej lasków, zdaje się, dolata,
 A moje serce, słyszysz, jak kołata,
 A piosenka powitania
 Gwałtem z niego się wyrwa
 I bezładna, niecierpliwa
 Sama siebie pochłania.
 Tędy, mój kiju, ścieżkami dzikimi!
 Jeszcze roztrzepaniec młody,
 W chwilach dziecinnej swobody
 Lubilem błąkać się niemi.

¹ Słynny park pod Humaniem (gub. Kijowska), założony 1795 r. przez Szczęsnego Potockiego (kosztował podobno 15 milionów złp.) dla żony Zofii. Z poematem G-o porównać należy, jako przeciwność klasycyzmu do romantyzmu, utwór Trembeckiego p. t. „Zofiówka”. „Noc w Zofiówce”, nie ogłoszona za życia G-o, powstała 1824 r. w Humaniu. Młody poeta chronił się wtedy przed policją w domu rodziców i wychodził tylko w nocy, którą najchętniej spędzał w Zofiówce. Poeta znał ją dobrze z lat szkolnych (uczył się w Humaniu), teraz odświeża w sobie wspomnienia i rozmawia niejako z przyrodą, z którą pozostaje w tajemnym porozumieniu. Poemat ten nie jest zupełnie wykończony. Jako dokument do dziejów romantyzmu ma wielkie znaczenie.

Jakiegoś szczęścia szukałem...
 Zgubne proroctwo, sprawdzone srodze,
 Gonić za szczęściem po niezwyklej drodze!
 Tu ja dzisiejsze życie zaczynałem—
 Bodajbym tu mógł i skończyć!¹
 Jednak straszna dla mnie zmiana,
 Zimna, ciemna, nadąsana,
 Pierwiastków życia piastunka miła
 Kolysała mnie, pieściła,
 Wyższą miłością karmiła marzenia,
 A dzisiaj cmentarz, wspomnienia!
 Chodź..., chodź..., mój kosturze
(Nie ostatnie)... podróże;
 smutny, choć kraj niemy,
 Zawsze tu przeszłość znajdziemy:
 Choć w przeszłości odżyjemy!
 Patrz tu dla nas zima biała
 Puklami szronu ubrała —
 I miesięczne światło blade
 Rozjaśnia nocy biesiadę;
 Znajdziemy tu życie, znajdziemy.

Patrz, zadumana brzoza prostowłosa
 Uroczystem okiem wróżki
 Zagłębiła się w niebiosa;
 Smukłe topole, jak młode družki,
 Z całą cześcią dla matron i wieku, swawolą:
 Kiedy niekiedy, po cichem szeptaniu,
 Sklasnąć w gałęzie sobie pozwolą —
 A groźna sosna w ponurem ubraniu
 Pomruka jednotonnym głosem pustelnicy
 Czy północne modlitwy,
 Czy zaklęcia czarownicy;
 A tutaj płocze iskier gonitwy:
 Te się po wzgórzach rozsypały zgrają,
 Tamte się bawią ze śronów kolyską,
 Te przebiegają przestrzeń lodu ślizką,
 Lub tępemi księżycą promieniami strzelają.

¹⁾ Odtąd kilkanaście wierszy w rękopisie pozakreślonych lub nieczytelnych.

Duch wody w pętach lodu użala się głucho,
 I skała ludne echem nastawiła ucho.

Ale tam dziwniej w ustroniu zaspanem,
 Za tym przejrzystym tumanem,
 Gdzie lampa nieba bledziej połyska.
 Tam nieziemskiego kształtu kupią się zjawiska:
 To pośród innych groźne widziadło,
 Jak olbrzymia mgli się skała:
 Suknia je z wody oblała,
 A co klejnotów mrozu na skronie nakładło!...

Rozgarnia kosę z brzoźowych warkoczy,
 Spojrzeniem z tęczy wkoło zatoczy,
 Ozwie się szumem znanej wody,
 I mary zewsząd stanęły widome,
 Wszystkie znajome!
 I śpieszą ku mnie w zawody!...

Precz, obecności żalobna,
 Chwile przeszłości, skupione w tym poczie!
 A wy, mary, wy, do mnie! Bliżej mię otoczcie!
 Niech każdą ścisnę, popieszczę z osobna!
 Ty, z wiecznie świeżym, modrzewiowym wieńcem,
 Ty zawsze byłaś moim pieścieniem!
 Czy ty strzeżesz i teraz tę wielką jaskinię?
 Pokaż-no mi serce swoje!
 W niemiłych przeczuć godzinie
 W jego kryjóWKi zamknąłem
 Skarb. Cały, dzięki tobie! Tak, to imię moje;
 A te najdroższe obwiodły je kołem.¹
 Jak je chowałaś, i nadal dochowuj,
 A mech starości piękniej cię ulepi,
 Świeższy gaj w boki się wszczepi,
 Bujniejszy zarośnie powój,
 Źródło uroczniej zabrzęczy,

¹⁾ W Zotiówce były sztuczne groty. Uczniowie humańscy zostawiali na ścianach swoje nazwiska. Poeta odnalazł swoje i kolegów imiona.

Wnętrza twego mrok się zgęści,
 Smutek zagości w nim częścię,
 I pocieszenie słodsze go uwdzięczy
 O, lepiej, tysiąc razy lepiejby mi było,
 Żebyś, jakiego czarodziejstwa siłą
 Zasklepiony w mej pieczarze,
 Nie rozpuścił mej woli po świata obszarze!
 Poznawszy, ulubwszy ustronia świat mały,
 Chęci, jak dziatki, przy mnieby igrwały...
 Blaski szerokiego świata
 Olsnęły je, osłepiły;
 Szedł ból za bólem, za stratą strata —
 Zebrać je dzisiaj nie mam już siły!
 Ale można było, proszę,
 Nieświadomemu, wykląć pierwotne rozkosze
 I wytrwać z widmem zwodniczem
 W szponach szatana, ze szczęścia obliczem,
 Skoro, raz duszę opętawszy czułą,
 Zbłąkało żądze, czucia zatrulo?
 Wszak ty sama byłaś świadkiem
 I moich marzeń rozwiązania,
 Tym pierwszym związku naszego zadatkiem!
 I wiele to obietnic, jakie nalegania,
 Aby mi twoje zacisze obrzydzić!

Kiedy los raz mi jeszcze pozwolił was widzieć
 I rzucić się z ufnością między lube mary,
 Niby ojcu z dróg wielkich na rodziny łono.
 Przyjmcież w połowie serca ciężary,
 Nim inne wiatry dalej mną powioną,
 Nad mego serca zapłacicie powieścią!

Przekleństwo temu, kto, smutny, z zamiarem,
 By kilka westchnieniami łono rozkołysać,
 Z kilka ozłoconemi łzami się popisać,
 Stęka pod urojonej niedoli ciężarem!
 Oby prawdziwej doznał, kto igra z boleścią!
 Pamiętam, tutaj byłem: burze się zbierały,
 Wiatry ponuro wyły po szczelinach skały,

Płatał się po jej czole warkocz powojowy,
 Głucho szumiały sosny na wierzchu jej głowy;
 Olbrzymy wichru, strojne złotem liściem,
 W dzikich zakrętach płały przed wniściem;
 Pijane drzewa, chwiejąc się ku ziemi,
 Przyklaskiwały gałęzmi nagimi:
 Konającego roku biesiada!
 Przy samotności chwile tajemnicze.
 Nieobaczna dusza, rada,
 Mniemała cichej doli pić wtedy słodycze —
 A to była tylko zdrada!
 Wróg, błędów moich i żalów spragniony,
 Wzdychał dawno do tej chwili,
 A pewien, że ponętą mięką ócz nie zmyli,
 Natarł na mnie ze słabej przez moc samą strony.
 Sława, ojczyzna, swoboda,
 Przejrzały z pod jego zasłony:
 Piorunem dusza spłonęła młoda,
 I już nie jej nie wstrzyma!
 W ślad za pokusy gnałem oczyma:
 Gdzie śmierć — tam rozkosz; piękność — gdzie przygoda!
 Kiedy mię nagle dźwięki doleciały,
 Dreszcz duszy znaną powitał mowę —
 To mojej ziemi śpiewy narodowe!
 Tam się kierujmy! Tam, w bojach dojrzały,
 Kwitnie ród mój, pelen chwały!¹⁾

 Czy to bladego zachodu blask cichy
 Czyste błękity zalewał —
 Pod banderą swobody, pelen świętej pychy,
 Nieobejrzane morza jam przepływał!
 Czasem po przestworzu złotem
 Przemknie się z wiatrem chmurka wędrująca...
 Już jej dosięgłem myśli polotem:
 Jedna to z wysep tysiąca,
 Archipelagu rodzina,
 Zaczarowana przez nowe zdarzenia
 I dźwięki dawnego pienia.

¹⁾ Brak, zdaje się, w rękopisie kartki — 2 stron.

A tam coś w głębi mglić się poczyną:
 Mącą się jasne lazury,
 Pną się na chmury połamane chmury...
 Ziemia, ziemia! — zawołam. — To Grecyi góry!
 Tu się bezpieczą mścicieli domy,
 Tu się gnieźdzą wolne gromy,
 Skąd błyskawica kary na ciemieżców błyska
 I w niezliczonych rojach zjawiska
 Przed moją duszę z burzą się wysnuły:
 Niebo pałało od błysków,
 Od gromów chmury się pruły;
 Śród ognia burzy, śród wichru pisków
 Widziałem bój zacięty:
 Przez urwiste skał zakręty
 Spływały po rotach roty,
 Ziewały działa, bronie się paliły,
 Rozbijały się grzmoty,
 A rozdrażnione echa szczekały i wyły —
 Aż póki złudzeniami dusza upojona
 Nie przelała do krwi łona
 To szaleństwa uniesienie,
 To tryumfu upojenie,
 Jak na żywej walki scenie!
 Niestety, wszystko marzeniem było,
 I wszystko się przemarzyło!
 Rzeczywistości straszdyło
 Zaszło mi drogę w polowie zawodu,
 Wykrzywiło szyderskim śmiechem twarz obrzydłą
 Objęło serce rękami z lodu,
 Dmuchięło tchnieniem zatrutem —
 I świat się zapadł pod czczości zasłoną,
 A zimnem, wówczas uczutem,
 Dotąd zastyga drętwiąjące łono —
 I słabo nawet wierzę w nadzieję,
 Że się kiedyś rozegrzeję!...¹

¹) G-i miał zamiar dostania się do Grecyi, aby walczyć z nią o wolność. Był już w drodze, ale wrócić musiał z powodu przeszkód materialnej natury (których nie zaznał Byron). Opisuje tutaj swoje o Grecyi marzenia i rozpacz swoją, że projekt się nie udał.

A to co w górze przelata
 Szumem zwiedłego listeczka?...
 O, żądany aniele mej przeszłości świata,
 Gdzież to cię niesie wiatru ucieczka?
 A dźwięk przecucia witał cię z daleka!
 Spuść-że się trochę, spocznij na tem łonie:
 Tu, w rodziny twojej gronie,
 Rodzinny uścisk ciebie tu czeka!
 Powiedz mi o naszej stronie:
 Jak tam pagórek mój ma się?
 Moja dąbrowa zawszeż w jednej krasie?...
 Na chwilę-m nie zapomniał, przez wiek nie zapomnę,
 Jak mi tam cicho, jak mi tam miło
 Płonęło życia ognisko skromne,
 Zaczem się burzą losów roziskrzyło!
 Zaświeć mi tęczą, o dniu godowy,
 Gdy, długich cierpień pokutą
 Zmiękczywszy dołę łutą,
 Powrócę do was, moje śmilańskie dąbrowy!¹
 Jakiemi zapłynę łzami,
 Stanąwszy pomiędzy wami!
 Na każdy kwiatek, do każdego ziółka
 Pałace usta przytulę!
 Jak mię tam będą witały czule:
 Echo — przyjaciół, woda — przyjaciółka!
 Stąd wola na mnie znajoma kukulka —
 Po wpół zarosłej drożynie
 Biegnę na zdziczały wzgórek,
 A tu, z pod mglistych poranku chmurek,
 Wody przezierają sinie.
 Z poza dąbrowy słońce się wytacza,
 Ożyła wioska czuwaniem i pracą;
 Trzoda poryka, jarzma kołacą —
 Znam to wołanie oracza,
 Poznałem śród kurów piania.
 To wrzaskliwe kundlów granie —
 Dzikie, dzikie ich zmieszanie,

¹) Rodzice poety w latach 1815—18 mieszkali w Chłystynówce w pow. Czerkaskim, nad Olszańką w t. zw. Śmilańszczyźnie. G-i tutaj odebrał pierwsze wrażenia przyrody ukraińskiej.

Lecz słodkie budzi dumania,
 Tak, jak niestrojne śpiewki nianeczne
 Kołyszą snami dziecięcą.
 Ot, i fiolek koło mego pieńka!
 To moich marzeń dawny polubieniec:
 Już nowej wiosny na nim sukienka,
 Z promieni rosy nowy na nim wieniec.
 Padam ku niemu, całunek mu niosę!
 Drogi, aż rozegrał rosę,
 Z takim wita mię weselem!
 Bo my, jak dzieci, zgadując się, znamy,
 Jak ich wzruszenia i nasze bez tamy.
 Zawsze ja, zawsze byłem twoim przyjacielem:
 Odtąd już się nie rozdzielim!
 Jakże mi odtąd swobodnie i błogo!
 Wolny, jak wicher, błędę szumu drogą
 W mroku gęstwy, w jarów cieśni,
 Po ról zieleni, nad wód kryształem;
 Tam się kochałem przy słowika pieśni —
 Tutaj gwizdaniu kosa wtórowałem —
 Z upartą wilgą tam zawiodłem zwadę —
 Z echem nieprzegadanem tu miałem biesiadę;
 Tu, jakbym oko puścił słońca kołem,
 Tyle krainy razem ogarnąłem.
 Pozdrowienie ci, pozdrowienie,
 Zaczarowana strono!
 I woim ciemnym laskom, co toną
 W ciemniejsze jeszcze przestrzenie —
 I niwom, rozestłanym zapadłą doliną,
 I pagórkom, co jej strzegą,
 I skromnym nurtom, co ich łonem płyną,
 Mieszkańcom ustronia tego,
 Powietrzu, co tak swobodne,
 Niebiosom, co tak pogodne!
 Niech skowronkowi skowronek
 Poda je w swojej piosence!
 Niechaj płynie, jak w sercu kochany całunek —
 Niechaj niem wszystko roznęcę,
 Niechaj niem wszystko umilę!...
 Otożem znowu na mojej mogile!

Oko serca błyskawicą
 Prześlizga fale Olszanki:
 Tam w dali tak wyraźnie białe ściany świecą,
 Tam oko świeci kochanki.
 Oto jej droga na tle zieleni
 Złoci się piaskiem wyraźnie:
 Otóż i ona!... Nie — pustka w przestrzeni!
 Marami tylko wzrok drażnię!...
 Jednak już i bliska pora,
 Aby, jak sobie przysięgliśmy wczora,
 Zejść się w niedalekim lesie.
 Czy się jeszcze raz omyłę?...
 Ta chmura pyłu coś niesie!...
 To jej powóz błyska w pyłe!¹
 Witam cię, z miejsca się chwytam —
 Żegnam cię — a za godzinę
 Pod lipą bliżej przywitam
 I za obłokiem drzew ginę.
 I zgasł, bo dzisiaj gdzie ja, a gdzie on...
 Wszystko, prócz jej, widziałem, prócz z nią —
 byłem wszędzie!
 Było i nie jest, nie jest i nie będzie...
 Moja gadka wyłożona —
 I, jakby struny wszystkich uczuć pękły,
 W tak przykrym zadrżały jęku.
 Gdzież pierzchasz, duchu przeleklej?
 Wrócił, na ostatnim dźwięku
 Wrócił, i ja po tej drodze
 Do wspomnień drogę znachodzę.
 Ale na przeszłości świecie
 Ponurość, burza, zamiecie,
 Zawiewa śniegami zima;
 Po dąbrowie drzew szkielety —
 Ja po zaspach brną bez mety,
 Aż póki mię nie zatrzyma
 Listka wpół żywego skarga

¹) Poeta wspomina tutaj Petronelę Rembertowiczówną (z Białocerkwi), którą widywał na wakacjach w Chłystynówce. Była to jedna z jego pierwszych miłości. Miał wtedy 15—16 lat.

Niekiedy w szumie zamieci
 Jęczenie do mnie przyleci —
 Przysparzam kroku, śledzę oczyma:
 To wicher młodą gałązkę targa;
 Wryły się kroki przykute,
 Jak gdyby grzesznej duszy rozdzielać pokutę,
 I wyroku w tych jękach słuchać mi kazano!...
 Niekiedy stanę przy zacisznym dębie —
 A tu nade mną falą rozhukaną,
 Z wichrów szumem, z drzew łoskotem
 Ocean burzy przepływa pokotem!
 I tak się w jego odmęty zagłębię,
 Aż słupem wzrok pójdzie proroczy
 I przyszłość widma wytoczy!...
 Spełniły się burzy przepowiednie!
 Dostrzeżone w zamętu bezednie,
 Przywabione z za świata granicy,
 Zaszczepione w rdzeń bytu,
 Śród miłosego z pustynią zachwytu,
 Plemię moje — niewdzięcznicy,
 Wykołysani serca burzą
 Coraz i coraz głębiej szpony we mnie nurzą!...
 Patrzcie: po obrazie życia,
 Strojne martwemi księżycą kolory,
 W znajomych tonach wilcze wiodąc wycia,
 Patrzcie, jak suną potwory!

O, wierna przyjaciółko, co w lustrze Łokietka¹
 Muskasz oblicze — ty miałaś ziółko,
 Co snami rozkosznymi czarowało z letka:
 Dotknij mię niem, przyjaciółko!
 Niech te widma, ci morderce,
 Uwolnią oczy i serce!...
 Odeszły wreszcie za twoją przysługą!
 Ach, żeby tylko niedługo!
 Oto i księżyc w promyków pasemku,
 Niby zabłądził po ciemku,
 Trwożnie szczelinami wpada —

¹⁾ Woda przed grota Łokietka.

A tutaj niegdyś dla mnie z przyjaciół
 Nie w takich barwach igrał dzień wesoły;
 Słońcem dziś dla mnie ta jasność błąda,
 Bo od przeszłych dni różnicą
 Dni to obecne tak świecą!
 Rozstrzeliły się pomalu
 Serca, tyle z mojem złane,
 A od siebie odciągane,
 Powlokły strunę rozdziału,
 Przytwierdzoną do ran duszy.
 Najłżejszy przelot marzenia
 Strunę tę dźwiękiem, duszę bólem wzruszy:
 Wieczna muzyka, wieczne cierpienia!
 Stąd to, o przyjaciele, moje o was pienia!¹

Jakież to dźwięki w zdroju zaśpiewały?
 Rozbryznięły się kryształy,
 I postać nadziemskiej urody
 Wyrosła z rozstępów wody.
 Strząsnęła mokre perły ze mglistej sukienki;
 Potoczyły się krople po szybie rozlewu,
 I znowu zabrzmiały dźwięki,
 Niby echo pierwszego śpiewu,
 A rozkosz ulgi niezwykła
 Objęła duszę zwątpiałą.
 To kropla tylko prysnęła na ciało
 I wszystkie żyły przenikła!
 Kto jesteś, czarodziejko, z tą pociechy siłą?...
 Ach, i ciebież od razu poznać mi nie było!
 Ta harmonia, co ci towarzyszy,
 Podobna szmerowi wietrzyka,
 Kiedy po ślizkich falach się przemyka,
 By spocząć w gajów nadbrzeżnych ciszy —
 Ten czysty obłok, co cię osłania,
 To ta zwyczajna, mglista opona,
 Którą nakrywasz wdzięki pół sennego łona
 Przed rozpalonem wejrzeuiem zarania,

¹⁾ Życie przyjacielskie bardzo było rozwinięte wówczas w szko-
 łach; (i-i miał wielu przyjaciół w Humanium.

Mieszkanko morza Słodkiego —¹
 Witam cię, witam, królowo jego!
 Ta sama jesteś, te same powaby!
 Wyjaśniła się mgła przypomnienia,
 Roziskrzył się promień słaby
 Minionego zachwycenia,
 Jakie-m wysysał oczami kochanka,
 Kiedy wschodu blask różany,
 Zawieszony po drzewach, po wzgórkach rozlany
 Zlewał na ciebie barwy poranka —
 Gdy pożegnana ode dnia,
 Ostatkiem jego rumieńca sploniona,
 Kołysałaś w igraszce łona
 Światelka, które zorza ciemności poprzednia
 Spuszczała drżącemi strzały
 Na niespokojne kryształy.
 Weź, drogie widmo, nocne, letnie szaty,
 Uwieńcz się w gwiazdy, jak w ogniste kwiaty.
 Niechaj w żyjącem zwierciadle twojem,
 Jak z czary światła, jasność ich błada
 Srebrnemi kroplami spada!
 A ty z powagą groźną, tehnąc wkoło pokojem!...
 To tryumf twojej urody!
 On mi obecność czarodziejskim wpływem
 W rajskie przeobrażał gody,
 On mi na przyszłość burzliwą i mętłą,
 Cierpienia przycisnął piętno!
 Bo jakież łańcuch dziwa za dziwem
 I błędów za błędami spletał krótkie życie,
 Gdy w pierwszych pieśczęt zachwycie,
 Odsłoniwszy najskrytsze marzone ponęty,
 Odepchnęłaś mię w brudne powszedniości męty!...
 Ileż doznanych przygód, pokonanych ile!
 A jakie przebyte szlaki,
 A utracony czas jaki!
 Bym dognał wdzięk marzony, isć dalej nie w sile!...
 O, kochanko snów moich, bóstwo mej uludy!
 Długoż mam znosić te szukania trudy?

¹⁾ Mowa o jakimś klasycznym posagu.

Gdzież ja ciebie znaleźć mogę?
 Kiedyż trafię na twą drogę?...
 Co ty takiego? Czy wspomnienie z życia,
 Co nas wypieszcza przede łzą powicia?
 Czy obietnica szczęścia w przyszłości zagrobnej?
 Czy ty może i tu jeszcze,
 Na tej dolinie żalobnej
 Objawisz się, tęsknoty zaspokoić wieszczę?...
 Ktokolwiek jesteś, na ziemi, czy w niebie,
 Niech ciebie poznam, niech posiadę ciebie,
 Niech ciebie poznać, posiąść mam nadzieję,
 A ta obłądna, ciemna wędrówka,
 Jak gwiazdą przewodniczką, tobą rozjaśnij!
 Bez łyż strapienia, bez skargi słówka
 Pójdę ochotniej, niż, dotąd i śmielej
 Szukać mojego anioła!
 Świat się dla mnie zapełni dokoła;
 Gdzie wśród kwiatów rosa strzeli,
 Gdzie wiatr odezwie się z liści,
 Gdzie się gwiazda z mgłów oczyści,
 Gdzie niebo spleonie urocznój,
 Gdzie jaśniejsze przejrzą zdroje —
 Tam, bijące serce, spocznij!
 Tam cię, marzona, znajdę, albo ślady twoje!...
 O, kochanko snów moich! Nie próżneź to mary,
 Opatrzności mądrość prosta,
 Co nas popędza, jak łagodna chłosta,
 Byśmy łatwiej przy mecie złożyli ciężary
 Cyt! Dźwięk się ozwał daleki i głuchy:
 Jak uroczyscie, jak on ponuro
 Na nocnych wiatrach brzmi górą.
 Czy to jakie hasło, duchy?
 Wokrag trwożne pomięszanie,
 A mary we mgłach znikają powoli.
 Czy je przegania skarga niedoli?
 Czy dźwięk, co blizkie wysłodził świtanie?

Więc mi bądźcie, mary, zdrowe!
 Bądźcie mi zdrowe, godziny,

Ubiegłe wśród ich drużyny!
 Przede mną znowu drogi jałowe..
 Jeszcze się jedna ze mną została:
 Skromna, samotna, nieśmiała,
 Ustronnych opok mieszkanka.
 Można ją poznać siedzącą
 Pod gęstwiną wierzb, płaczącą,
 Po dzikiej róży u wianka..
 Raz ją zszedłem niespodzianie
 Przy wodzie powiernicy
 Na szeptanej tajemnicy.
 Było to pierwsze poznanie,
 Ale samotnym trzeba czasu mało,
 By się wywnętrzyć z ufnością całą:
 Dziś nas kochanków łączy przywiązanie!
 Poczekaj, utęskniona, za kochanym głazem:
 I ja zmierzam w twoje strony,
 Poczekaj, pójdziemy razem!

Od sióstr twoich odbieżony..
 Zdarzyło mi się podobnie,
 Gdym wędrował nad brzegiem rodzinnym Horynia.¹
 Szumiała wkoło sosnowa pustynia,
 Kapłanka dziczy hukala żałobnie,
 Ustronna rzeki zatoka,
 Wygladzona i głęboka,
 Rozlewała się modrem tłem przede mną.
 Prócz świetlika, co drogę rozpromieniał ciemną,
 Wszystko było tak sępne, takie tajemnicze.
 Jak moje myśli, zabiegłe
 W chwile dzieciństwa odległe —
 Jak wzrok, utkwiony na wody oblicze.
 Już, zadumania urokiem ściągnięte,
 Niewróconego wieku godziny
 Zaczęły mi majaczyć w przezroczach głębin;
 Już się nad jasną podniosły zasłonę,
 Już w powietrznych płasach tłumnie
 Gromadziły się ku mnie...

¹) W dzieciństwie G-i chował się lat kilka u babki w Sławuciu nad Horyniem. Wybrzeża tej rzeki były miejscem jego zabaw.

Jedna łza, niestrzeżona, upadła z powieki:
 Drgnęła ze wstrętem pierś rzeki,
 Skruszyło się wód zwierciadło —
 I wszystko w głębiach przepadło!...

Tędy skierujmy się jeszcze,
 Na tę dziką wstąpmy ścieżkę:
 Jeszcze odwiedzę jedną towarzyszkę,
 Jedną pamiątkę popieszczę!
 Wszakże to ona, podobno,
 Pośrodku łodów siedzi na kamieniu,
 W półśmiertelnem odrętwieniu!¹
 Zasepiła twarz nadobną,
 Słucha, jak cisza okolic głucha
 Zbłąkany powiew niesie jej z daleka,
 Psów nocnego wycia słucha,
 Księżyc, zachodząc na burzę,
 Krwawym ją blaskiem powleka.
 To wybrnie z chmury, to utonie w chmurze;
 Już całkiem ukrył twarz rozpromienioną.
 Zaczem ostatnie promienie spłoną,
 Przez nagie wzgórki, przez milczące gaje
 Jeszcze, raz jeszcze żegnać się ją zdaje,
 Szląc na wietrze burzliwym chmurkę zakrwawioną.
 Jak dzikie w gońca spojrzenie topi,
 Badające, niespokojne!..
 To nie to oko, co, słońcem strojne,
 Gdzie się obróci, mgłą kolorów kropi,
 Gdy czarodziejka, bywało,
 Strzeli z pod głazu kibicią wspaniałą
 W sukni z drobnych mgły perełek,
 W koronie żywych światełek,
 Z plecionym w tęczę warkoczem...
 A tu do wszechwładnej pani
 Z darami pokornej dani
 Błyski dnia skaczą wody przezroczem,
 Przeganiają wiatrów skrzydłem
 Słowiczego hymnu tony;

²) Mowa również o posagu.

Osiedlony w kwiatach rój niedostrzeżony
 Podłata z kwiatów kadzidłem!...
 Zwiększa się trwoga, w twarzy jej wryta,
 Ciekawiej chmurkę ciemniejszą pyta...

Nagle zgasł księżyc ponury,
 Psy zawyły,
 Zapiały kury,
 Świsnął wiatr niemily —
 I wszystko przeszło. Idźcie, duchy, zdrowo!
 Byłem, jestem i będę samotny na nowo,
 Tylko pode mną i z boku
 Zimny kamień, naga róża,
 W lodach głuchy szmer potoku,
 W rozigranych myślach burza —
 A w oku? Ani łzy w oku!

Humani, luty, 1824.

DO PRZYJACIÓŁ.

Dziękuję wam, przyjaciele,
 Że z miłosierdzia wasza dłoń podchwyciła
 Zabłąkanego rozbita,¹
 Gdy go już miały pochłoniąć topiele --
 Ale, com stracił na przeszłości rafie,
 Tego odzyskać nigdy nie potrafię.
 A więc niewczesnych pocieszeń ukróćcie
 I fal igraszkom znowu mię porzućcie!
 Och, bo strat moich już nie powróćcie,
 A bez nich ciężarem życie!

Że mam w losie przeciwnika,
 Żem z burzami życia w wojnie,
 Że mię świat nie zna albo unika —
 Zniosłem i zniosę spokojnie.
 Lecz mieć do chwały, do wieków prawo
 I tak się rozstać z czasem i sławą!...
 I coś stał, choć geniuszu lot przed sobą czuję,
 Choć mi się jego niebo zdala ukazuje?

¹⁾ Dla rymu, zamiast: rozbitka.

Ociężało me skrzydło ku ziemi się zważa,
 A blask niebieski tylko przeraża,
 A czucie straty i jej poznanie
 Tylko serce rozrania,
 Jakbym, wygnaniec z własnego mieszkania,
 Przywłaściciela widział w niem mieszkanie.
 I pocóż było przez przysługę srogą
 Tam słabe kroki naprawić,
 Dokąd zdążyć już nie mogą,
 I tak je między ziemią a niebem zostawić!

Wiek młodości, wiek zapалу,
 Przekwitał wiek najpiękniejszy,
 Zimniejszy w duszy, w pojrzeniu chmurniejszy.
 Odwykałem pomалу
 Od szczęścia ludzi i ponęt życia —
 Drętwiałem pomалу
 Na tajemnicze w żywszem sercu bicia,
 Na niepojętych uczuć wzruszenia,
 Na to nawet spokojny, że męgo płomienia
 Nikt nie odbił okiem łzawem,
 A i to życie tak spokojnie niosłem,
 Jak gdyby było innego postem
 I zwiastowało rzucić mię niebawem.
 Kto wie! Może fal kilka,
 Może jeszcze jedna chwilka,
 A, wszystko utraciwszy, nie czułbym tak wiele,
 Nie znając tego, co tracę.
 Dzięki wam jednak, moi przyjaciele,
 Za wasze daremne prace! 1829.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Chodźmy jeszcze na to wzgórze,¹
 Powitać się z naszą brzozą!

¹⁾ W poprzednich wydaniach wiersz ten zaczynał się od słów: „Chodźmy, Janie!... My tutaj uwzględniamy teksty poprawione przez poetę później do nowego wydania. Mowa tu o Janie Krechowickim, u którego w Leszczynówce (pow. Humaniński) poeta bawił w r. 1826. Tutaj zaczął pisać „Zamek Kaniowski“.

Sunie jesień w mglistej chmurze,
Goniec zimy świszcze łożą,
A przy samym wierzchu drzewa
Szkieleł wianuszka powiewa.

Czy pamiętasz ten spoczynek,
Gdy, biesiadując w tej stronie,
Wiązały go nasze dłonie
Przyjaźni na upominek?
Czy pamiętasz jego farby
Przy letniego słońca blasku?

Jak zmieszane światła skarby
W czarodziejskim tęczy pasku,
Tak płonęły jego farby.
A jak pleć trupiego lica,
Taka zimna, taka blada
Jasność nieba dziś przyświeca,
Na szczytniały wianek pada.
Westchnij, patrząc, co się dzieje
Z pięknym przyjaciół wianuszkiem!

Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
Światło gromnic zajaśnieje,
Kiedy anioł skonu niemy
Zamgli żrenicę chorego —
W milczących twarzach niesiemy
Smutki ostatnie dla niego.
Głucho, lecz jak tam czujemy
Po proroczem serca biciu,
Że ubywa węzłów życiu!
Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa!
Czucia ten łańcuch składają:
Gdy się mnożą — rośnie życie,
Że przemija — czujem skrycie,
Kiedy czucia przemijają.

Przerwijmy smutne marzenie,
Chodźmy na żółkłe zieleń,

Na spłwiałły nasz pagórek.
Z błędnym kręgiem błędnych chmurek
Po przeszłości myśl ma lata —
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiętką szczęścia bogata:
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Wiatrem jesieni porwane,
Po tumanach i po chłodzie
Krąży jeszcze jakaś chwilą —
Niechaj krąży, a my siądźmy,
Jeszcze lży szczęścia dobądźmy!
Niechaj lży szczęścia promieniem
Cień mego smutku umilę!
Kiedy nam rzeczy niestałość
Gotuje w przyszłości żalność —
Uganiajmy za wspomnieniem!

Jakby żalobną zasłoną,
Brzoza, tumanem odziana,
Jak żrenica zapłakana,
W zimnej rosie listki toną
I z wiatrami złośliwemi
Rozsypują się po ziemi.
W podobnych lżach i żalobie
Widziałem oblubienicę,
Jak po stracie oblubieńca
Zmartwiała na jego grobie,
Puszczała na okolice
Listki ze ślubnego wieńca.
Jak boleśnie po jej oku
W płacz się rozlał śmiech wesela!

Używajmy chwil, co płyną,
Używajmy, nim przepłyną!

Patrz jednak: on był kwitnący!
Ja korzystałem z widoku...
A ty słuchaj przyjaciela:
Jutro... w godzinę... w minutę...

Może się zejdzem — niechający;
 Jutro... w godzinę... minutę...
 Mogę już być przykrym tobie.
 Możem się zimno przywitać,
 Możem zimno ścisnąć siebie —
 Możem o siebie nie spytać!...
 Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie
 Dłoń ma będzie bez płomienia,
 Bez duszy mojej spojrzania,
 Bez uczucia moja mowa —
 Niech się przynajmniej wychowa
 Pamięć tego posiedzenia.

Leszczynówka, 29. września 1826.

MOJE NABOŻEŃSTWO.

1.

Po co mi drzemać w kościele
 I modłami Boga nużyć?
 Mnie potrzeba tak niewiele,
 Mnie tak łatwo życia użyć!

2.

Szczupły a wieczny pieniążek,
 Świeża, pieszcząca kobieta,
 Pióro w rękę, kilka książek,
 Polska i Rzeczpospolita —

3.

Otóż są wszystkie rozkosze,
 Które świat zrobią mi rajem;
 Otóż wszystko, o co proszę
 Boga moim obyczajem.

4.

Dla własnej na przyszłość chatki,
 Żadnej pracy się nie zlekne;
 W cześć przyszłej synów mych matki
 Wielbię każde oczy piękne.

5.

Zresztą gotow-em do bitwy,
 Skoro ojczyzna zawoła.
 Oto są moje modlitwy —
 Na cóż mi do nich kościoła? —

GOŁĄBEK Z POSŁANIEM.

Z której to lecisz, gołąbku, strony,
 Z takim ciężarem, taki znużony?
 Jakież cię ręce puściły srogie
 W tak przykrą drogę?

— I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
 I, o, ten ciężar, co na nas kładnie,
 I kraj, skąd lecę, i kraj gdzie stanę,
 Wszystko mi nieznane!

Choć wiem, to mało z pana igraszki:
 Do ptaszki tęskniąc, lecę do ptaszki;
 Wzdychając ku mnie, czeka mnie miła,
 Smutna, jak mogiła.

Ciężar, co niosę, przykry, jak ciało —
 Trudną, jak życie, mam drogę całą;
 A w słotach, w biedzie żadnej ochrony
 Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej brzemię nad siły
 Złożyć na łonie tęskniącej miłej
 I spocząć sobie w krajach, gdzie gości
 Spokojność wieczności!

STRASZNA CHWILA.

Nie wierz blaskowi, co te chmury złoci:
 To czarnej burzy osłona;
 Nie wierz tym nagłym uśmiechom dobroci:
 Kryją one piekło łona.

Gdy ciemne lica niemi się powłoka,
 Ty, jedna dla mnie jednego,
 Nie patrz w mą duszę — przez moje oko
 Nie puszczaj się na dno jego!

Ta chwila mija; ale, nim przeminie,
 (Sam się jej potem ulęknę),
 Com kochał, pieścił, com wielbił,
 Wszystko święte, wielkie, piękne.

Tak stanie wówczas przed wzrokiem pojęcia,
 Jakby obrzydłe widziadła,
 Jakby ojczyzna swem słowem wykłęcia
 Szpetność śmierci na nie kładła.

Ty sama nawet... ale wyrzec chciałem,
 Czem w tej chwili sam się trwożę.
 Daruj, że moje wyznania urwałem:
 Czarna to chwila być może.

.

DO WIDZENIA!

Obląkany, zasępiony,
 Ze skamieniałą od bólu żrenicą,
 Jak nad wieczności stoję granicą
 I ciągle patrzę w te strony,
 Gdzie mój anioł opuszczony.

I tylko serca tętnieniem
 Liczę stąpania czasu, co srogo
 Wlecze me życie tęsknoty drogą
 W niemej boleści cierpieniach,
 Bez pociechy w twych spojrzeniach.

A dola jeszcze surowa,
 I cios po ciosie mierzą wyroki.
 Ledwom cię rzucił, muszę bez zwłoki
 Przesłać tobie straszne słowa:
 Wieczne, wieczne „bywaj zdrowa!“

Gdybyż w czasie rozłączenia
 Była nam dana sam na sam chwilka —
 Twój pocałunek, twoich łez kilka
 Dałyby mi moc znoszenia
 Choćby męczarni potępienia.

Lecz gdy się pierś bólem zsiadła,
 Tyś mi westchnieniem nie odebrzmiała;
 Próżno w mych oczach łza się skradła
 Do łzy, coby z twoich spadła,
 Jakbyś tylko moją zgadła.

Sam dźwigałem ciężar cały!
 Nie móżdż się ścisnąć w wiecznym rozdziele,
 W smutku wieczystym udać wesele...
 Aż teraz łzy mię zalały,
 Choć teraz ulgę mi dały.

I te czas otrzeć z powieki,
 By nawet mary nadziei przegnać,
 By raz ostatni ciebie pożegnać...
 Jakto? Pożegnać na wieki?
 A grób może tak daleki!

O, szczęścia mego duszo!
 Dla ciebie zniosę męki rozstania;
 Ale wiecznego myśl pożegnania!...
 Nie! Tego żadną katuszą
 Losy na mnie nie wymuszą.

Z ostatkiem dopiero tchnienia
 Wieczne: „bądź zdrowa!“ może wyrzekę —
 Lecz dzisiaj — dzisiaj ono dalekie!
 Niema dla nas rozłączenia!
 Do widzenia! Do widzenia!

PRZY KROSIEŃKACH.

Na tem miejscu, w tem okienku,
 Ostatnia przeszła rozmowa:

Oko w oku, ręka w rękę,
 Na ustach konały słowa.
 Nie wiem, jak mą pracę zrobię.
 Chcę patrzeć — tylko się łzawię;
 Chcę dziergać — tylko się krwawię.
 Muszę wytechnąć sobie.

Chmurny wzrok był u kochanka,
 Kiedy się miał zegnać ze mną;
 A gdy koń zarżał u ganka,
 Twarz mu zaszła nocą ciemną.
 Trzeba do roboty wrócić —
 Nużby spadł tu niespodziany,
 A proporczyk nie zdziergany:
 Mógłby się zasmucić.

Wychodził — i wyjść nie zdołał,
 Stał, jak posąg nad mogiłą.
 Skoczył — „ojczyzna“ — zawołał
 I zniknął — lzy mu wstyd było.
 O lzo, jakaś uporczywa!
 Czy chcesz zrosić kwiatki szycia?
 A te kwiatki są bez życia...
 Łza nie słucha — splywa!

DO... (PORADA.)

Mile tve oko, jak niebo pokoju!
 Jak słońce patrzy z cichego źródłu,
 Tak ciche życie z twych ocz polyskiwa,
 A po jagodach bojaźliwie, skromnie
 Lotnemi chmurki rumieniec przeplęwa...
 Ty na mnie patrzysz, uśmiewasz się do mnie.

Czekajże, piękna! Posłuchajże chwilę!
 Gdyby tve oko, co patrzy tak mile,
 Mojemu oku tak odpowiedziało...
 Cobys ty chciała, co ci mam dać wtedy?

Weź sobie rozum... Czyż tego nie mało?
 Szału miłości będzie on wart kiedy!

Lecz weź go sobie; weź i życie jeszcze,
 A ja raz tylko, raz jeden popieszczę,
 I niechaj potem szaleję, niech ginę!
 Stanie, ach stanie to pocałowanie
 Za tę rozumu, tę życia godzinę!
 I ty się zgadzasz?... Czekaj!... A niebianie?

Czyż taka rozkosz ujdzie nam bezkarnie?
 Niechaj się niebo do ciebie przygarnie,
 Bo cisza nieba twoją pierś nasycą,
 A we mnie — słyszysz? — jakie burze wyją!
 Jak rajske źródło, czysta twa zrenica;
 Z twojej zrenicy anieli niech piją!

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego!
 Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
 Pokąd szanuję niewinnej swobodę,
 Póki trwam jeszcze w dziejowej cnoty szale;
 A za jedyną mych cierpień nagrodę
 Bądź srogą dla mnie, zapomnij mię wcale.

1824.

SONETY.

1.

Dosyć już twoja dręczy mię nielaska,
 Dosyć tej wzgardy, jużem dość zniony;
 Dłoń, co budziła miękczące cię tony,
 Niezręczną lutnią dłoń ta wnet potrząska.

Lecz mej boleści, mej rozpaczki mało:
 Zginę; czy słyszysz? Czekam jeszcze chwilę.
 Dziś moje życie w twych wyrzeczeń sile.
 Ozwij się! Milczysz? A więc już się stało!

Więc patrz, o Anno! O, szczęście bez tamy!¹
 Spojrzałaś tylko, i już się kochamy —
 Spojrzałaś, a tym jednym ócz przelotem

Cieszę się życiem, pieszczę sercem twojem.
 Odtąd więc będziesz mych pieśni przedmiotem,
 A twa żrenica natchnień moich zdrojem.

2.

Gdy się słońce w świat wytoczy,
 A ogniem jego po łące
 Błysną rosy krople drżące —
 Anno, to są twoje oczy.

Ale jeszcze twa żrenica
 Jakąś w sobie moc ukrywa;
 Ta, tylko tobie właściwa,
 I przenika, i zachwycą.

Kiedyśmy bowiem, nieśmiali,
 Wejrzeniami się spotkali,
 Serce mi nagle zadrżało,

Splonąłem lubym zapalem,
 Dreszcz przejął żyły i ciało —
 I już cię, Anno, kochałem.

3.

Nie te zapaly, które technie Apollin,
 Ni mię uniosły Hipokrenu wody.
 Czuję moc wejrzeń, moc śpiewam urody:
 Anna to miła, jak strumyk wśród dolin.

Zywa pięknością, jak farbami tęcza,
 Jak ta, w kolory, w powaby obfita;

¹) „Sonety” niniejsze i następne „Tryolety” należą do pierwocin poetyckich (i-o. Mowa tu o Annie Jelonkowskiej (miłość uczniowska)).

Młodość i skromność na licach rozkwita,
 Żywym zórz blaskiem żrenice uwidzięca.

Nie pączek-że to ci wylewa wonie?
 Ogniem to żyła koral ust jej płonie,
 Tak czarujący, jak pogoda cicha.

Cień się zatoczył wkoło nad oczyma —
 Zgubna dla czułych, kiedy się uśmiecha;
 A jej głos? Głos jej nic równego niema.

1819.

TRYOLETY.

PYTANIE:

Niechaj mi odgadną,
 W czym ładną kobieta,
 W czym najwięcej ładną?
 Ach, wszyscy odgadną,
 Bo to bardzo snadno,
 Choć ta rzecz ukryta.
 Niech mi więc odgadną,
 W czym ładną kobieta?

ODPOWIEDŹ:

Otóż moje takie zdanie:
 Serce — jej piękność prawdziwa.
 W niem tylko wiecznie zostanie
 (Takie moje o tem zdanie)
 Dobroć, czułość i kochanie,
 Co w sercu tylko przebywa.
 Otóż moje takie zdanie:
 Serce — jej piękność prawdziwa.

1819.

ISKRA BOŻA.

Jakto, duchu mej ojczyzny,
 Moja ty matko anielska?
 Czyż marna wartość tego cielska

Wparłaby już serce moje
 Na takie życia mielizny?
 Czyż tułactwa niepokoję
 Takby mię już rozstroili,
 Że nie miałbym dosyć siły,
 Ja, twój syn, dla ciebie, matki,
 Wylać w ofiarniczem pieniu
 Chociażby duszy ostatki?
 Miałbym unieść na świat drugi
 W wypogodzonym sumieniu
 Niespłacone tobie długi?
 O, nie! Niech wicher szalony
 Kupiących się burz tysiąca
 Tarza ciałem w różne strony,
 Na wsze strony myśl roztrąca —
 Mam ja jeszcze, mam kotwicę
 Niezerwaną, niewzruszoną:
 Kiedy ją spuszczę w burz łono,
 Kiedy potężną jej szponą
 Samo serce burzy schwyćę,
 Urągam wam, nawałnice!
 Wasze, tak dziś groźne, wały
 Będą mi, jakby igrały,
 I, jak koroną, osłonię
 Moim żywotem ich skronie.
 Świeci tu, w ducha przeźroczy,
 Moja gwiazda, iskra Boga;
 Żadna burza, żadna twoga
 Nie zgasi jej, nie zamroczy.
 Jeszcze ja tem światłem drogiem,
 Jak wiecznem słońcem, zaświecę
 Przez mego ludu ciemnicę,
 Jak słońce, wznijdę nad wrogiem:
 O, jeszcze ja nim rozpale
 Stos ku twojej, Polsko, chwale!

POKRZEPIENIE.

1.

„O Kościusko! O Puławski!
 Lechickiej wiary męczeńskie dusze,
 Ziem lechickich geniusze,
 Rzućcie dziś na mnie światłem swej łaski!

2.

„Mrok i bezład, jak zamętu,
 Zawaliły mi szlak życia prawy:
 Niechże wasz promień łaskawy
 Da mojej duszy hart dyamentu!

3.

„Raczcie mię wesprzeć, nim padnę!
 Tu jawne tamy, tam kręte drogi,
 Tutaj ponęty, tam trwogi
 Rzuciły zewsząd swe sidła zdraadne.

4.

„Zmieszać mię z tłuszczań nikczemną,
 Spodlić mię pragną hańby zesłańce:
 Stańcież, chwały wychowańce,
 Stańcie jej wiecznem słońcem nade mną!

5.

„Niech wschodnie jego zarzewie
 Spłoszy z dróg moich zwodne straszysła;
 Niech roztoczę moje skrzydła
 W słońca waszego wschodnim powiewie!“—

6.

Takem wołał w ciężkiej chwili,
 Gdy nizkość ziemską grozi lub nęci —
 I nie darmo: moi święci
 Swojem mnie słońcem znów oświecili.

7.

A rój pokus i straszysł
 Pierzchły, jak nocne przed świtem mary,

I wszystkie ziemi ciężary
I pęta ziemi spadły ze skrzydeł.

8.

A przed duszą, co podrosła
I nad powszednim buja poziomem,
W ucieleśnieniu widomem
Stanęła cała przyszłość — tak wzniosła.

9.

Droga do niej długa, krwawa,
Przez tysiąc skonów. przez lądy, morza,
Ale promienna, jak zorza —
Ale ponętna, jak czysta sława!

10.

Znów ziemią i oceanem
Wolna mi ziemia, cały świat wolny;
Do ofiar życia znów zdolny,
Całego siebie znów jestem panem.

OBJAWIENIE SIĘ OJCZYZNY.

1.

Jakaż to lubość rzeźwiąca
Wieje przez ciężką południa spiekę?
Obłoczek, jak mgła, wstrzymał się u słońca
I żary jego odział, jak w powiekę:
Z lekka — uroczo, jak to omdlenie,
Co wśród rozkoszy przymracza spojrzenie.

2.

Serca kwiatów tchnęły wonią —
Zatrzepotały liśćmi drzewka,
Każde, jak ptaszek o skrzydeł tysiącu,
Jakby się chciały unieść gdzieś pogonią;
Obłoki muszek zagrały w słońcu,
Każda swym dźwiękiem, jak osobna śpiewka,

3.

Wcielona, oskrzydłona głosem.
Odkryłem głowę, usta otwarłem —
Pij, głowo, ulgę, pij ją każdym włosem!
Piersi spalona, pij ją całem gardłem,
Bez odpoczynku, za jednym tchnieniem,
Chociażby napój miał buchnąć płomieniem!

4.

Dziwne tchnienie eterowe
W piersi i w głowę żarem spłynęło.
Jak liść, ożyły czucia pogrobowe,
Serce woniami swobody westchnęło,
Myśli zagrały w owadów chórze.
Patrzą ku górze i lecą ku górze.

5.

Bo tam, po falach powietrza,
Wróżka przemyka w łodzi obłoku;
Jej twarz od twarzy konającej bledsza,
Lecz uśmiech w ustach i światło w jej oku,
To sen, co wróżbą szczęścia się wdzięczy;
Nad łódką płynie chorągiewka z tęczy.

6.

O wróżko, Polski rodzico!
Gdybyś ty kiedy, jak mnie w tę chwilę,
Błysła przed ludu twojego żrenicą,
I onby może poczuł się w swej sile,
I onby może, znów oskrzydłony,
W nowy lot puścił swoje miliony!

NA MOGILE KOŚCIUSZKI.¹

1.

Otóż już w sercu tej świętej mogiły
 I prochy braci zamknięte;
 Prochy wielkie, prochy święte,
 Pola Racławic dotychczas płodniły.
 Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
 Bądź ich aniołem, prosimy za nimi!

2.

Ojcowie kwiaty w tych prochach posieli,
 Posieli kwiatów zarody,
 Co na tryumfach swobody
 Zwycięskim wieńcem ustroją mścicieli.
 Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
 Bądź ich piastunem, prosimy na ziemi

3.

Dopóki Wawel skargami boleści
 Będzie jęczał w burzy tonie,
 Niech dopóty na ich łonie
 Oko księżycy rosy nie popieści!
 Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
 Kryj je przed światem, prosimy na ziemi!

4.

Aż, kiedy drobna gwiazdeczka ostrzela
 Wnętrzną mogiły ciemnicę,
 To przyjdą nasze dziewice
 Po kwiat tryumfu, ze łzami wesela.
 Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
 Pozwól im kwiatu, prosimy za nimi!

5.

Wezmę ja dzisiaj do mojej zagrody
 Szczypkę ziemi tej w zarobku,

¹⁾ Utwór ten powstał najprawdopodobniej w r. 1828 podczas podróży z M. Grabowskim do Wiednia, a może dopiero w roku 1832, już na emigracji.

Zaczem święty głąz nagrobku
 Zostanie naszej ołtarzem swobody.
 Duchu Kościuszki, aniele tej ziemi,
 Czuwaj nad nami i modły naszymi.

DOBRANOC Z ODDALENIA.

Spływa dzień przecie — i za godzinę
 Zapłynie gdzieś tam, w światów bezedno;
 Sen uspokoi troski, rodzinę
 I życie niejedno.

A tylko mojej duszy tęsknica
 Od utulenia, od snu daleka;
 W nocy mię smuci blaskiem księżycy,
 W dzień skwarem dopieka.

Nie tak nad Wisłą, jak tu u Buga,
 Nie tak mi ciężko były godziny;
 Czas tam dogadzał, jak stary sługa,
 Śród serca drużyny.

Ale kazano wicherzyć po świecie —
 Trudno się oprzeć wyższej potędze.
 A wy spokojni, wy nie czujecie,
 Jakie dni tu pędzę.

Może to dla was i dla mnie lepiej,
 Jednak na zachód czasem pojrzyjcie,
 A gdy obłoczek słońce zasklepi,
 Pomyślcie — westchnijcie!
 Będzie to moje o was wspomnienie —
 Lecz oto słońce już, jak w otchłani;
 Wkoło noc pada, z nocą milczenie..
 Dobranoc, kochani!

1828.

ZAMCZYSKO.

Jakich to wiatrów szemranie
 Po zwistłych listkach brzeziny?

Jakie to szeptanie
 Po zaroślach trzciny?...
 Cyt — to wieki upłynione
 Zabłąkały się w tę stronę
 I nad gruzami zamczyńska
 Jęczą w tajemniczej mowie...
 Znają ten język tylko wieszczowie,
 Tylko wieszczowie widzą te zjawiska.

Głuchoż tu dzisiaj i smutno!
 Dzieła ludzi, wieków dzieła,
 Jak pajęcze płótno!
 Jak trud pająka, praca lat minęła.
 Cóż to za ogrom, rażący zdala,
 Wzniósł się nad wody, nad pola, nad bory?
 Płomienistemi kolory
 Dzień okna jego zapala —
 Wiatry igrają z chorągwiami jego —
 Jak błyszczące posągi, szyldwachy go strzegą;
 Róg strażnika chrypi,
 Brzęczą mosty, brama skrzypi,
 Od zgłębku tłumów powietrze kipi.
 Znużony drogą, wędrowiec, usiadłszy,
 Z dalekiego wzgórza patrzy,
 Słucha z dalekiego wzgórza
 Wrzawy, co wiatry zaburza.

A dzisiaj gdzież się podziały
 Trwale i sławne ogromem gmachy,
 Wieże ze lśniącoymi dachy?
 Gdzie ich blask rozgorzały,
 Co słońce drażnił, raził spojrzenia?
 Gdzież te krużganki, gdzież ta ich białość,
 Widna ponad okolice?
 Gdzież się przenieśli dziedzice,
 Gdzie ich dworu okazałość?
 Gdzie zgłębki zgromadzenia?
 Wszystko zamilkło, wszystko przeminęło
 Bo praca wieków, jak pajęcze dzieło.

Gruzy — ślady cudów świata,
 A zapomnienie — twórcom ich zaplata!

Dalekim wiatrem szumi głucha puszcza,
 Kogut pieje w dali —
 Z przeraźliwym świstem
 Dwaj się krogulce o łup spotkali;
 Szumiącym skrzydłem jastrząb się opuszcza.

W ustroniu cienistym,
 Na dębie, co go gromy rozorały,
 Zadumał się orzeł wspaniały,
 A pod nim pełza ród mrówek drobniutki —
 A wieszcz na wale, owcy dziś dostępnym,
 Poziera wzrokiem posępnym,
 Jak z kawalkiem papieru mądre jego smutki
 Wiatry unoszą za sobą.
 I nic więcej z pomnika nad wieków przepychem?
 O, wielkości ziemskiej dolo!
 Czyż takie zawsze twoje koleje,
 Ze cię śmiertelny potem i krwią zleje,
 By niebawem opłakał w zadumanu cichem?...

1828.

ODBLASK WODNY.

1.

Wyglądzona od pogody
 Lśni woda, jak nieba zwierciadło;
 Na pogodnem niebie wody
 Spokojne się słońce układało.
 Niechże lada wietrzyk dmuchnie,
 A z niebios, co na dnie sinieją,
 Milion skrytych gwiazd wybuchnie,
 I pożarem się rozleją
 Przez ciche dopiero wód łono.

2.

O bracia, o towarzysze!
 Podobnie z ócz waszych kryształu,
 Przyodziane w lica ciszę,

Tli święte ognisko zapalu:
 Niechże lada myśl je trąci,
 A płomień ofiary czynnej,
 Odblaskiem dusz się zamąci,
 Pójdzie po ziemi rodzinnej
 I naród, jak pożar, ogarnie.

Leszczynówka, 1836 r.

ŻEGLUGA POETY.

1.

Co za nieznośna południowa spieka!
 Ten obraz brzegów, co się szkłem wody powleka,
 Tak tu czaruje, zachwyca,
 Jak uśmiech splakanego niewinności lica.
 I nie ten tylko wdzięk tu jedyny:
 Ta wioska w głębi, ten laszek zielony,
 Ten brzeg, pasmami wzgórków pogarbiony—
 Wszystko to oczom wdzięk miły!
 Ale spieka południa odbiera mi siły,
 I moja brzoza o zwisłym warkocz
 Po rozlanej Bereźny milczącym przezroczu
 Omdlałe rozsiewa cienie —
 I mojego wiatru technienie,
 Co mię tak zawsze bawi szumem tego drzewa,
 Jakimś skwarem dzisiaj ziewa.
 Jednakby trzeba już było
 Z takim nieznośnym oswoić się stanem;
 Czyż mi to się raz zdarzyło
 Z piekłem rozpaczy w piersiach, z okiem obłąkanem
 Biedz za ochłodą i, po obiegu,
 Nowe, przy dawnych, znaleźć męczarnie!

2.

Zbliż się, czółenko, do brzegu!
 Wczołgaj się tutaj przez miękkie darnie
 I na staw cichy nieś mię powionie,
 Rzeźwiejszy wietrzyk tam może powionie,
 I lżej odetchnę pośród wód kryształu.

W kłosów zlocie, w wody łonie
 Ogień słońca cicho płonie,
 Wyglądza zwierciadła fali:
 Dalej, moja łódka, dalej!
 Niechaj choć woda, o twój bok pluszcząca,
 Tę uroczystą ciszę zamąca!
 Kiedy nas wieczność z gajów snu wywodzi,
 Szczęśliwi jeńce pieluchy,
 Chowańce błogiej otuchy,
 Nerozumyślnie, w kruchej łodzi —
 Na ciszę życia tak się zdajemy:
 Nieme serce — i świat niemy!

3.

Dalej, moja łódka, dalej!
 Co to? Wietrzyki powiały:
 Tu, obok, jeden pierzchnął po fali,
 A tam, na brzozie, ocknął się mój mały;
 A ten z pieśniami żniwiarek
 Leci nad łąką, przez jarek,
 I wzlatuje i ustaje —
 A śpiew przybliżać się zdaje...
 Dalej, dalej, moja łódka!
 Ty, wiosło, pluskaj cichutko,
 A ty, wietrzyku doliny,
 Leć tu z piosnecką dziewczyny!
 Otóż i ona płynie z fali kłosów,
 W długim promieniu rusawych włosów:
 Na jej koszuli, co rażącą bielą
 Do połowy ją osłania,
 Kwiaty, jakby wiosny tkania,
 Po obojem ramieniu pękami się ścielą
 I wyniosłe wieńczą łono;
 Wyżej kolana, niżej kolana,
 Po ciemniejszym tle stroju koła obwiedziono,
 Wszystkie żywej tęczy wdzięku
 Mienionemi farby ploną —
 Pod nimi nóżka biała i lekka, jak piana,
 I pęk bławatków w jej rękę.

4.

Tuż się nad wodą dziewczę sadowi:
 Bierze kwiatek po kwiatku,
 Przeplata je trawką miłą
 I zręcznie i prędko
 Zbliża koniec ku końcowi,
 Spaja obadwa w ostatku —
 A gdy już wieniec gotowy,
 Chce go przymierzyć do głowy;
 A gdy nad lustro wody się nachyli,
 Wiatr dmucha, wianek spada; wiatr dmuchnął —
 po chwili
 Wianek daleko, daleko...
 Ona wstaje, spoziera na mię,
 Z cichym bolem ręce łamie,
 Ciche lzy ściska powieką.

5.

„Poczekaj, poczekaj, dziewczyno!
 „Obetrzyj ze lzy żrenicę:
 „Fale z wiankiem nie upłyną,
 „Pośpiesz czołnem, wianek uchwycę,
 „Wrócę go tobie, dziewczyno!“
 Wołam i śpieszę, jak mogę.
 Cóż to za dziwna istota?
 Na uśmiech zamienia trwogę,
 Patrzy na wianek, na mnie w milczeniu,
 Daje znak w ręki skinieniem —
 I tonie wśród kłosów złota.

6.

Ach, ona taka piękna, jak moje marzenia!
 Kwitła moja nadzieja, jak kwiatki jej wianka.
 Przeszły marzenia, jak dziewicy pienia,
 Nadzieja odkwitła, jak z kwiatów wiązanka.
 I zacóż moje szczęście ma takie zawody,
 Gdy szczęście wszystkich tak mię mocno wzrusza?

Przebyłem tyle nadziei, a tak jeszcze młody!
 A jednakże moja dusza
 Podobna do gładkiej wody:
 Najłżejszy komar niechaj po niej pierzchnie —
 I już zmąci jej powierzchnię.
 I zacóż moje szczęście ma takie zawody?

7.

O, błogosławione chwile
 Młodości geniusza!
 Świat mu goreje, jak jego dusza.
 Myśl jego lekka, jak skrzydło motyle;
 Wolna od więzów ziemskości,
 I od ziemskości zepsucia
 Czerpa serafickie czucia
 W ognistym zdroju pierwotnej światłości;
 Jak wtedy, czuła i żywa,
 Wszystko pojmuje, wszędzie się rozlewa!
 Śród harmonijnej światła i dźwięków powodzi,
 Rozgorzała miłością serca dziewiczego,
 Chce miłości od wszystkiego
 I we wszystkim ją znachodzi —
 I, w źródle swoim cała tonąca,
 Jak w tych wodach ten krąg słońca,
 Przechodzi przepaść życia spokojnie, wspaniale,
 Jak to słońce przez te fale.
 Lecz cóż jest nasze istnienie?
 Oto kropelka rosy u kwiatów dzbanuszka:
 Otrząśnie ją lada technienie,
 Pochłonie ją lada muszka!

8.

I jego człowieczeństwo niebawnie pokona:
 Zatrze się obraz Boga na przezroczu łona,
 Zgiełk zamętu go zagłuszy,
 Harmonia światów, niebianów śpiewanie
 W dźwiękach wieszczych brzmieć
 przestanie, —

Utraci duszę duszy!
 A gdy brudna mgła życia po osłabłem oku
 Bielmo zepsucia roztoczy,
 Już mu się nie uśmiechnie gwiazda z za obłoku
 Ni z łez wieczora przezroczy
 Piękność ku niemu nie skoczy,
 I jutrzeńka być jemu przestanie rumiana,
 I wdzięki białych nocy pieścić go przestaną,
 I błyszcząca iskra śnieżku
 Nie odbije jego wdzięku —
 I w tajemniczym gajów zaciszku
 Ogluchną pienia miłosne,
 Lub w smutnych wiatrów powtórzą się jęku.
 Jak wtedy wszystko nieme, jak wszystko nieznośne!
 Idzie się błakać przez martwe światy,
 Podnosi skargi, płaczące straty,
 I ciężka boleść śmiech obudza w tłumie;
 Wielu słuchać go nie chce, wielu nie rozumie.
 A więc, nieszczęściem pijany,
 Wirem żywota porwany,
 Reszty niebieskie puszcza na bałwany.
 I śpieszy, gdzie — sam nie wie, w szalonej ochocie,
 I błogo jemu w tym duszy zawrocie.
 Lecz biada temu, stokroć temu biada,
 Kto, czując stratę, wspomnień nie postrada!
 Taki, jak bóstwo, co żyło z nami,
 Dni ma łez pełne i śmierć z mękami.

9.

Czarna chmura pole cieni,
 Silny wiatr ciągnie przez jary,
 Zaszumiały nawisłe brzozy mej konary,
 I już po całym zaszumiało lesie —
 A my od brzegu tak oddaleni!
 Powracaj, powracaj, czółenko!
 Próżnobył robił zmordowaną ręką:
 Chmura chmury, wiatr wiatry niesie.
 Próżno się wiosło opiera:
 Wały powstają, nieba się chmurzą —
 Więc poigram z burzą.

Tak Luzytanów śpiewak bohatera:
 Gdy burzą przeciwnych losów
 Walka żywiołów szaleje,
 Słyszę pieśń jego wśród grzmotu odgłosów,
 Widzę go w połyskach gromu,
 Jak, z tego nocy poziomu,
 W zagrobnym krain zamęcie,
 Nieśmiertelności widzi się nadzieję.
 Taki świetny, a taką pomroką odziany,
 Na rozchwianym stoi okręcie.
 Pośród wichrów dziekiew wrzawy
 Szturmuje morze do nawy —
 A on, niezłękły, spokojny,
 Jak gdyby słuchał tryumfalnych pieni,
 Z brzmiającą w pewnej ręce struną,
 Wlepił oko w burzy luno,
 Jakby we tle tych płomieni
 Widział zwierciadło swej chwały —
 Jakby w tej gwiazdzie, co lśni nad obłokiem,
 Kiedy go piorun rozdwój,
 Widział spojrzenie kochanki swojej —
 Jakby te gromy jego chwale grały!
 Z spokojną piersią, z niezmrużonem okiem
 Unosi się, okazały,
 Ponad śmierć, ponad zniszczenie.
 O, tajemnicze wieszczą zachwycenie!
 A niebo ryczy, morze się pieni —
 A on spokojny, niezłękły.
 Buchnął obłok przykrym blaskiem,
 A, jakby nieba całe opadły,
 Z takim piorun runął trzaskiem;
 Dziką rozpaczą wnętrza statku jękły,
 Boki się jego rozsiadły —
 I schłoneły go otchłanie,
 I cichość na oceanie.

10.

Kogoż-to kornie unosić się zdaje
 Pobielona fali grzywa?

Tak czyzy duch tylko, wiatrami, przeplywa
 Oniemiale śmierci kraje.
 To ty, wieszczu, tak wspaniale,
 Z tą chwałą dążysz do brzegu:
 Posłuszne, w burzliwym biegu,
 Zdają ciebie falom fale.
 Nieba podnoszą chmurną zaslonę,
 Z czystych błękitów tryska jasna zorza —
 Blaskiem jej skały olśnione
 Przyjmują wieszczą śród morza.
 A wieki, jak listki laurowe,
 Uwieńczają jego głowę.

11.

Chwała mu, kto przez życia burzliwe głębinie
 Do swego portu dopłył!
 Chwała mu, kto, tak trudne przebywszy zawody
 Spocznie w koronie nagrody!
 Ale, kto morza swojej podróży
 Nie widzi granic, ni stanowiska —
 Ale, komu pośród burzy
 Gwiazda geniuszu nie błyska,
 A tutaj ciągnęła dokoła zawieja —
 Jakaż takiego popieści nadzieja,
 Jakaż tego moc utrzyma?
 Ten, komu niebo ciemne, czyliż może śmieie
 Brnąć w zgubne chwały topiele?
 Więcże temu zawodu i nagrody niema?
 Nie. W prawości cała siła,
 W poświęceniu się nagroda cała:
 Kogo ojczyzny miłość zapaliła
 Niech jej miłością jego gwiazda pała —
 Niech śmiało stroi ton śmiały,
 Gdy nie dla szczęścia kraju, przynajmniej dla chwały.
 Bo przyjdą kiedyś te chwile okropne,
 (Bodajbym skołał, nim to wymówię!)
 Bo przyjdą kiedyś te chwile okropne,
 Gdy do szczytu pognębieni,
 Gdy, zarzuceni, jak stare obuwie,
 W odgłosie tylko szlachetnych pieni

Przypomnim siebie dalekim wiekom:
 Czulemu sercu żal niemy,
 Łzy wyciśniemy czułym powiekom —
 I przyszłości poświadczemy,
 Jakimi Polacy byli
 Ostatni, w ostatniej chwili.
 Samhorodek, 1835.

DO PRZYJACIÓŁ.

(Wolny przekład pieśni XIII z Horacyusza księgi
 „Epodon“).¹

Niebo wokrag posępne nawałnice kryją,
 Zagrzniały z strasznym traskiem ogniste obłoki;
 W dłoni gniwnego Boga pioruny się wiją,
 Lecą śniegi, lunęły deszczowe potoki,
 Wśród głuchych borów trackie akwilony wyją,
 Ryczy wzdęty wichrami ocean głęboki,
 Zniknął złoty krąg słońca, ziemia obumiera,
 Wszędzie głuchą posępność burza rozpościera.

W dniu dzisiejszym spoczniemy na rozkoszy łonie!
 Niechaj się umacniają drżące starca nogi.
 Młodości, uwieńcz wiekiem poorane skronie!
 Dajcie wina, Torkwata czasów pomnik drogi!
 Polejcie na się wdzięczne Achemena wonie,
 I wdziękiem boskiej lutni słodźmy smutek srogi,

¹) Pierwszy drukowany utwór poetycki G-o. Pod własnoręczną kopią tego wiersza, w późnej starości sporządzoną, poeta skreślił następującą notatkę: „Ogłosił go (wiersz) „Dziennik Wileński“ z r. 1820 za miesiąc marzec z mylnym podpisem Józef (późniejszy Bohdan) Zaleski, dlatego może, że przez niego otrzymał tę poezję. Zapisalem go tutaj jedynie jako pamiątkę, bo jest on utworem z roku 1818, a więc pierwszym prawie, który śmiało wyjrzał na publiczność, a w szkole Humanistycznej, której naówczas byłem uczniem klasy IV, zrobił mi wielki rozgłos poety między moimi współuczniżami, a nawet nauczycielami; stąd poszły pochwały, zachęty, a następnie ośmielenie do puszczania się w dalszą drogę poetycką. Nie potrzebuję tu mówić, że przekład ten nie daje wyobrażenia o Horacyuszu. Podziwiam tylko gościnność „Dziennika Wileńskiego“, że dał mu miejsce przy swoim ognisku“.

A o resztę nie dbajmy! Może się zle skróci,
Gdy je do swego źródła Bóg łaskawy zwróci.

Tak śpiewał Achillowi Centaurus wślawiony:
Młodzieńcze, zadrzą Trojan przed tobą narody;
Śmiertelny, z nieśmiertelnej Tetydy zrodzony,
Pod twoją włóczęnią runą Assaraha grody,
Lecz musisz spełnić Parki wyrok niecofniony
Tam, gdzie Skamander toczy zapienione wody.
Ale ty czarne myśli, zgryzoty i troski
Oddał winem rozkosznem, Achillesie boski!

1818.

CERKIEW ŚW. ANDRZEJA.

Wstąpię ja tutaj i siadę na górze,
Gdzie się tak śmiało drą te święte mury.
Po świecie nocne osiadają chmury —
Kijów zalega podnóże,
Dniepr przedemną, a wkoło i jary i góry.

Witam cię, witam, czarodziejska ciszo!
Ludzie, światową wrzawą ogłuszeni,
W twojej niemocie, pośrodku twych cieni
Nic nie widzą, nic nie słyszą,
Bo ich oczu niebieskie światło nie promieni.

Noc dla nich śmiercią, trwogą nocy dziwa.
Jednakże komuś biją te zegary,
Kogoś wicher ugania przez jary,
I ptak mogił komuś śpiewa,
I tej cerkwi nie same trzęsą się filary.

Skoro noc przyjdzie, zjawiskami żywa,
Skoro chrypliwe zagrają zegary,
Skoro szum wiatru puści się przez jary,
I grobowy ptak zaśpiewa,
I moc tajemna wzruszy olbrzymie filary,

Przybądź, tajemnic odwiecznych ciekawy,
Gdy twych ócz gnuśnych sen ciężki nie skleja,
A wieszczych płonów zwabia cię nadzieja,
I ośmiela umysł prawy;
Przybądź skrycie. samotnie, pod cerkiew Andrzeja!

Przybądź, ktośkolwiek, niech z tobą podzielę
Wszystko, co ujrzę, wszystko, co mię zdumi!
Oto dzwon bije, wiatr gwałtowny szumi,
Puhacz huczy na kościele.
I puhacz i dzwon ucichł i wicher się tłumi...

Któżto, podobny do burzy olbrzyma,
Omgłony płaszczem ze śnieżnej zamieci,
Wielki, jak chmura, jak cień chmury, leci?
Słup żelazny w ręku trzyma —
Jak miesiąc w martwych lodach, tak mu oko świeci.

Wiem, wiem, kto jesteś — północy zjawisko!
Ty duch Polaków, strzeżesz ich granicy.
Słupiec Chrobrego trzymasz w swej prawicy,
W głębiach Dniepru twe siedlisko,
Dumania narodowe niesiesz mej tęsknicy.

Leci, by natchnąć śmiałością me pienia.
Coraz go bliżej Dniepru wiatr pogania.
O, pośpiesz, pośpiesz rozwiązać dumania!
Co znaczy ten znak milczenia?
Poco palec na ustach śpiewać mi zabrania?

I lód przestrachu ściał wieszczę zapala,
I duch uleciał za zasłonę ziemi.
A ja was pytam: Zgadnijcie, zdumieni,
Czy pienia słabe być miały?
Czy my jeszcze nie warci narodowych pieni?

Kijów, 1825.

PIEŚŃ WULKANU.

Nim się zawieruszy lichu,
 Zaczem burza świat przewróci,
 Wulkan piosnkę sobie nuci,
 Nuci sobie, ale cicho:
 Biedaż moja, wielka bięda!
 Gnioł, że się ani ruszę;
 Skarga na nic się nie przyda —
 Cóż więc robić? Milczeć muszę,
 Muszę być kornym panów mych sługą
 Bóg wie, jak długo — może nie długo.

Czasem zajdą tu wędrowce
 I napomkną dzieciom ziemi,
 Że ogniami tajemnymi
 Wulkanowe tłą manowce.
 Nie słuchajcie! Czcze to strachy.
 Bądźcie tu, jak w swoim domu.
 Osiadajcie, stawcie gmachy —
 Co ja mogę zrobić komu?
 Ziemia mnie ciśnie wagą swą całą.
 Budujcie śmiało, żyjcie tu śmiało!

Ale oto niespodzianie
 Biję chwila ma najświętsza,
 Aż ryknęły ziemi wnętrza.
 Świat w płomienia oceanie,
 A dym niebios zaciemia.
 Z pęt wulkanu rzeka lawy,
 Pod perzyną cała ziemia.
 Gdzież wy dziś? Gdzie wasze sprawy?
 To nie ja tyle strachu narobię —
 Jam to tak tylko zanucił sobie.

Na postrachy nie zważajcie,
 Żadnej się nie bójcie zdrady,
 Sadźcie sobie rajskie sady,
 Nowe grody zakładajcie!

O swobodo! Patrz, swobodo,
 Jacy mądrzy, jak szczęśliwi,
 Że ich plany im się wiodą!
 Ha, niech świat się sobie dziwi,
 A my tymczasem, nucąc nawiasem,
 Wieniec zwycięstwa wijmy tymczasem!

1825.

Z PROROCTW IZAJASZA.¹

1.

PRZECIWIW PRZEŚLADOWCOM IZRAELA.

Biada ludowi mnogiemu,
 Jako morze rozległemu,
 Szumiącemu, jako wody,
 Biada, biada, biada jemu!
 Zaszumią nad nim narody,
 Jak wzbierające bałwany:
 Najdą go, zbiją, rozproszą,
 Jak pył, na górach porwany,
 Wichry przed sobą unoszą.
 Wieczór — trwoga ich przestraszy,
 Rano — już nie ma żadnego:
 Taki dział zdziercy naszego,
 Niszczyciela ziemi naszej.

2.

PRZECIWKO IDUMEJCZYKOM.

Przystąpcie, ludy i słuchajcie w ciszy —
 Niech słyży ziemia, niech świat cały słyży!
 Zwina się nieba, jako drugie księgi,
 Zlecą zastępy niebieskiej potęgi,
 Będą padały, jak figowe listy,
 Gdy chłodne wiatry powieją,
 Bo już pijany miecz mój płomienisty
 Goreje nad Idumeją.

¹⁾ Poezje biblijne pod tym tytułem powstały r. 1829 w Mrozowiczach pod wpływem miejscowego księdza i lektury, jaka się tam znajdowała. Sceptycyzm religijny G-o z r. 1824 uległ zmodyfikowaniu.

Za mego ludu pobicie
 Krwią, krwią pijany miecz mojej kary
 I utuczony obficie,
 Bo w Bosra ofiar bez miary.
 Biada, biada, krwi pogańskiej!
 Zbliża się dzień pomsty Pańskiej
 Wody Edomu popłyną smołą,
 W siarkę się zmieniają Edomu pyły,
 Aby go pożar objął wokoło.
 Dzień i noc łuny będą tam bily,
 Dzień i noc dymy będą się wily,
 Aż się wypróżni z grzesznego rodu,
 Aż nie zostanie ścieżki przechodu;
 Posiędą jego baki i jeże,
 Iba go i kruk za dom obierze,
 Ciernie wyrosną w mieszkaniu,
 Pokrzywa ściany opasze,
 Smok znajdzie ustron ku spaniu,
 Struś niezbrońną znajdzie paszę,
 Jędra w pokoju doleży,
 Zbłąkanemu czart zabieży,
 A kań zbójcekie gromady
 Będą się złatać do rady.

3.

PRZECIWKO MOABITOM.

Cisza w Moabie. — Padł zburzony w nocy...
 Cisza w Moabie. — Padł mur jego mocy.
 Dibon wstąpił na wyżyny,
 Płacz Moaba słyhać z Nabo,
 Zawył Moab nad Medabą;
 Na wszystkich głowach łysiny,
 Ogolona każda broda —
 Wedle rozdroży worami się kryją,
 Płaczą po dachach, po ulicach wyją.
 Ich jęk Hezebon ku Jasie poda.
 Bolesne, donośne wycie,
 Jak trzyletniej jałowicy!
 Pójdą, pójdą po Luicie

Ze łzą ciężką na źrenicy,
 Na Oronaimskim szlaku
 Wstrzymają się z jękiem skruchy,
 Bez pociechy, bez otuchy,
 A dokoła ich orszaku
 Ni świeżości, ni zieleni:
 Za grzech ciężki wypędzeni!
 Płacz krąży dalej moabską granicą,
 W Galim, nad Elim krynicą.
 Woda Dibonu krwią się zapieni,
 Bo tam ostatki tych legną,
 Którzy przed zębem lwa zemsty zbiegną

4.

STRĄCENIE LUCYFERA.

Starty bezbożny mocarz; starty już, złamany
 On, co, w zapędach niepohamowany,
 Słabe narody zwyciężał,
 Zwyciężone uciemieżał.
 Odetchnął na to świat cały,
 Rozradował się w żalobie.
 Jodły i cedry libańskiej skały
 Radosnym szumem dały tę wieść sobie.
 Piekło ode dna rusza całą zgrają,
 Zachodzi drogę i wita —
 Książęta ludów ze stolic powstają,
 Każdy z podziwieniem pyta:
 — I ty więc, jak my, zraniony?
 I ty do nas przybliżony? —
 Pycha w piekielne otchłanie,
 Cielsko wpadło do mogiły.
 Z molów dano ci posłanie,
 A robaki cię nakryły,
 A tyś mówił, złością mocny:
 — Wstąpię na niebo, nad gwiazdy boże
 Stolicę moją założę;
 Przy świętej stronie północnej
 Górę zakonu osiądę,
 Najwyższemu równien będę. —

Cóż cię do grobu zawlekło?
 Cóż ciebie wtrąciło w piekło?
 A kto nadejdzie, nachyli oblicze
 I drwiącą wzgardę będzie wynurzał:
 — On-że to trwożył ziemię, królestwa zaburzał?
 On-że te miasta walił, świat zamieniał w dziczą?
 A nigdy nie otworzył jeńcowi więzienia?
 Wszelki król zasnął w sławie swojego plemienia:
 Ten, jak parość bez pożytku,
 Wyrzucony z ojców dołu,
 Bez grobowego powitku
 Gnije z bydlęty pospołu. —
 Nie, nie będziesz z królewskich grobów użytkował,
 Boś poharbił swoją ziemię,
 Boś ludy swoje mordował.
 Zginie aż do imienia złośliwego plemię.
 Na śmierć, na śmierć jego syny,
 Dla krzyczących ojca zbrodni!
 Nie posiędzie ród grzeszny swych ojców dziedziny
 Ani gradami ziem nie zapłodni.
 Powstanę przeciw niemu i Babilon zgładzę,
 Plód ludów babilońskich w zarodku wyniszczę,
 Ziemię zaleję bagnem, jezami osadzę
 I miotłą zagłady oczyszczę.

REJTAN.¹

WIDZENIE.

W głuchym, bezludnym gmachu Radziwiłłów,
 Co leżał, jak trup, wśród pleśni i pyłów,

¹⁾ Wiersz ten dotyczy r. 1821, kiedy (i-i podczas pierwszej hytności w Warszawie wprowadzony został do związku Wolnych Braci Polaków. Tajna ta organizacja patriotyczna dzieliła się na chorągwie; G-i wszedł do chorągwi Rejtana. Przyjęcie go na członka odbyło się w pałacu Radziwiłłowskim (później Paca) na ulicy Miodowej, w mieszkaniu jednego ze związkowych, Zegrzdy. Przyjęcie dokonał Wąsowicz, urzędnik w komisji wojny. Moment ten był zwrotnym dla G-o. Odtąd zaczęła się działalność jego patriotyczna w określonym kierunku politycznym. W przypisku jednego z wydań autor nadmienia, że szczegółły obrzędu w tym wierszu są wier-nem oddaniem rzeczywistości.

Które mi pustek odziały go lata,
 Kryje się ciemna, ustronna komnata,
 A w niej, na schadzkę związkową zebrana,
 Wolnych Polaków chorągiew Rejtana.
 Cisza i nagość w tajemnej komnacie,
 Tylko milczące związkowych postacie
 W czarnej odzieży, z twarzą pod kapturem,
 Przykute do ścian półkulistym chórem,
 Czarnych posągów rzędem być się zdają.
 Godło grobowej, wiecznej tajemnicy,
 Stała na stole Chodkiewicza głowa:
 Trzy lampki słabem światłem z niej błyskały,
 Trzy zorze w bytu polskiego ciemnicy.
 Przede mną leżał nagi miecz przysięgi
 Znamię jedynej skrzywdzonych potęgi.
 Skończyłem właśnie mej przysięgi słowa,
 Lecz dusza, nową wiarą oskrzydłona,
 Rwała się w takiej prośbie z głębi łona:
 — „Przez to grobowe mdłych światła palanie,
 Przez trupią czaszkę po dzielnym hetmanie,
 Przez ten miecz przysięgą wzywam cię, Rejtanie
 Wstąp w moją duszę, polski męczenniku!
 Oto mię widzisz w twych wyznawców szyku:
 Nowy zaciężnik twojego znamienia.
 Czekam od twojej łaski poświęcenia.
 Niech siła twoja w moją duszę spłynie,
 Bym szedł twą drogą w uczuciach i w czynie.“—
 Zaledwie słowem ostatniem westchnąłem,
 Myśli się wichru zakręciły kołem,
 Jak pajęczyna, pękły ciężkie stropy,
 Ściany opadły, jak cichnące wały,
 A wzrok, skrzydłami ducha rozbijały,
 Puścił się w nieba błękitne zatopy
 I pędził, aż się spotkał z dziwną chmurką:
 Jako wśród ciszy krąży lekkie piórko,
 Tak ona krąży — a cała jest z duchów —
 A duchy piękne niewypowiedzianie,
 Piękniały coraz w ustawnej przemianie
 Wirującej chmurki ruchów —
 A ich spojrzeń krzyżowanie

Snuło dokoła tęcz krocie.
 Gdy się ów obłok wahał tak w swym locie,
 Zabrzmiały pieśnią czarownej rzewności,
 Jak, żeby grały skrzydła z strun arfianych
 Miłość ojczyzny i miłość wolności.
 Po chwili wszystko znikło w światła toni,
 A z wiru duchów, w jedno światło zlanych,
 Mąż się wynurzył: miał chorągiew w dłoni —
 Chorągiew była niby krwi płomykiem,
 Tylko błysk biały przemykał się po niej
 I piorunowym wężykiem
 Nazwisko Rejtana pisał,
 A obłok coraz niżej się kołysał —
 Wreszcie nad mojem zatrzymał się czołem.
 Mąż objawienia lice ku mnie skłonił,
 A gdy ja głowę pokornie ugiąłem,
 On ją sztandarem osłonił.
 Nie wiem, jak długo w tym zachwycie stałem,
 Bo w niesklóconej tajemniczej ciszy
 Wciąż pieśń ta brzmiała — a ja słuchałem,
 A choć ucichła, dotąd ją słyszy
 Dusza w swej głębi. — Odtąd całe życie
 Śpiewam ją sercem. Przez nią, bracia mili,
 Zawsze mnie takim ujrzenie,
 Jakim byłem w owej chwili.

1824.

MODLITWA WOLNEGO.

1.

Precz z Bogiem, co w dłoń zabobonu
 Powierza sztandar swej sławy,
 Co z piorunowego tronu
 Gnębi świat krwawemi prawy!
 Precz z nim, precz z opieką jego!
 On nie jest Bogiem wolnego.

2.

Ty, istoto niepojęta,
 W której oczach miłosiernych

Niema niewiernych i wiernych,
 Co tworzysz człeka bez pęta,
 Jedna godna wolnych cześci,
 Ty się uzał ich boleści!

3.

Przez empirejskie zasłony
 Obeślij wzrokiem swym ziemię
 Patrz, jak obraz twój spodlony,
 Jak zgniecione twoje plemię,
 A wszystko, zbrodnio bez miary —
 Pod chorągwią twojej wiary!

4.

Patrzaj — w imię twej dobroci,
 W poświęconej ci świątyni,
 Co bezczelna zbrodnia czyni! —
 Tu nas rozumu despotci,
 Tutaj sumienia tyrany,
 Tu ciała dręczą kajdany!

5.

Myż jeszcze będziem wierzyli,
 Jak nam wpaja przemoc sroga,
 Że to są ołtarze Boga,
 Któremu jesteśmy mili,
 Że oni jego kapłani,
 I że prócz nich są szatani?

6.

Twoja wiara inna, Panie!
 Jej opoka tu, w sumieniu:
 W cnotach, w czynach jój wyznanie;
 Kościół — w całym przyrodzeniu
 Twym obrazem — duch wolnego,
 A ty jeden — Bogiem jego.

7.

Boże nieskalanej wiary,
 Znieważono twą potęgę!

Anioł kary zamknął księgę,
Zadrzymały gromy kary,
Ty sam, wzywany niegodnie,
Zdajesz się uświęcać zbrodnie!

8.

Pomścij się, pomścij, o Panie,
Nad świętokradzcami tymi!
Niechaj po zgnębionej ziemi
Okrzyk radości powstanie,
Że jeszcze twoja opieka
Czuwa nad szczęściem człowieka!

Humań, 1824 r.

OJCZYŻNA MATKA.

Synu obywatelu, mój wierny, mój miły,
Twoje piersi westchnęły, lży się z ócz puściły.
Ciężko tobie, źle tobie: ścigają cię króle —
To chodź do mnie, mój synu, a ja cię przytulę.
Matce miło podzielić cierpienie dziecięcia;
Najsroższy ból wolnieje śród matki objęcia;
Przygoda znika, kiedy matki wzrok zapłonie;
Niebiański balsam życia czyż nie w matki łonie?
Chodź tutaj, biedne dziecko, spocznij w mem ściśnieniu!
Niech lża moja da ulgę twojemu cierpieniu,
Niech cię ta pierś posili, a rąbek zasłoni
Od wścieklej twoich wrogów i losów pogoni.
Igraj tutaj bezpiecznie z wiarą i nadzieją —
A oni, co, jak burza, za tobą szaleją,
Wyszumiają się w szaleństwie i przejdą, jak burza.
Czyż nie widzisz, jak niebo, ot tam, się rozchmurza?
Tam patrzaj ciągle: stamtąd, po nawałnic zgiełku,
Wyjdzie twoja gwiazdeczka w maleńkiem świetelku
I otworzy ci pole swobody i chwały!
Lecz dzisiaj łono matki dla ciebie świat cały.
Oddal więc niepokoje i lży i westchnienia,
A tu, przy mule, doczekuj twej gwiazdy błysnienia.

Humań, 1824.

UCZTA ZEMSTY.

1.

Wielkie gody, straszne gody!
Śpieszcie, sieroty swobody!
Zemsta wzywa was na gody,
W zemście nasze dziś nadzieje,
Zemsta dziś bożyszcze nasze.
Patrzcie, oto trzymam czaszę,
Patrzcie, lży w nią najprzód leję.
Patrzcie, teraz krwią je macę —
Oto napój naszych godów!
Niewoli wieków tysiące
Ze serc i oczu narodów
Kropelkami je sączyły,
By zemstę kiedyś uczciły.
Śpieszcie! Zemstę dziś uczcimy:
Łez i krwi się napijemy.

CHÓR.

Wielkie gody, straszne gody!
Śpieszcie, sieroty swobody!
Śpieszcie, zemstę dziś uczcimy,
Łez i krwi się napijemy.

2.

Do koła, uczty drużyno,
Ze sztyletem i puharem!
Burza, burza! Skrzydłem karem
Chmury za chmurami płyną —
To na ucztę! — Słońce zgasło,
Ciemność błyskawicą pała;
Piosnka piorunów zagrała —
To hasło — to uczty hasło!
Zajęczał głucho świat drżący,
Ziemia do dna się rozdarła,
Piekło buchnęło z jej gardła —
Bacność, sieroty swobody!
Piekło pośpiesza na gody —
Dzwonimy w puhar witający!

CHÓR.

Tutaj, piekło, tutaj, z nami!
Ze wszystkimi tu larwami!
Czekamy cię z puhami,
Z puhami, sztyletami!

3.

Któż to wyleciał z płomieni podziemnych
I pędzi ku nam w kłębach dymu ciemnych?
Błyszczy, jak niebo, gwiazdami u łona;
Kryje go szata, jak we krwi zmoczona,
W prawicy berło, na głowie korona,
A piętno czerni się z pod niej,
Jak piętno skazanej zbrodni.
Ha! To pan ludów, to ludów morderca!
Puhary w górę! Sztylety do serca!
Kto się przystroił w bohatera postać,
Aby złudzoną ludzkość pychą swą wychłostać,
Skapać się we krwi słabszych, wznieść się nad
słabszemi —
Kto swą wielkość zasadzał na nieszczęściu ziemi —
Kto się otaczał blaskiem władzy dyademu,
Aby nim olśnić oczy gminnego rozsądku —
Kto swe prawo wywodził z boskiego początku,
Aby milczenie nakazać prawu wszelkiemu,
Zmienić na prawo królewskie zbrodnie,
I łupić ludzkość swobodnie —
Kto wziął dla tego pomazanie boskie,
Aby uświęcić swe życie łotrowskie —
Ten jest godzien wypić z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Krwi i lez po czaszy krańce!
Zemsta za schłostaną ziemię!
Na śmierć, piekła pomazanie,
Uwieńczonych zbójów plemię!

4.

Niebo ciemniej się zaburza,
Piekło jaśniej się rozchmurza.
Cóż to za orszak płynie w błyskawicy
Przez tę powódź nawałnicy?
Szata ich biała, jak anielska szata,
Głowa, korona czartem rogata,
Klucz doczesnego, klucz wiecznego świata —
Na lud-bydło kij pastuszy,
Powróż dla ciała i duszy —
Ha! To tysiąca Bogów namiestnicy!
Hej! Do sztyletów, do czasz, biesiadnicy!
Kto pod pokorą Chrystusową cichą
Nadymał serce Lucyfera pychą,
Kto wpelzał w duszę, by ciału przewodził,
Kto zjadał Boga, a szatana płodził,
Kto myśli piekiel niebem ubierał,
Kto obiecywał rajske słodycze,
Aby z dóbr ziemskich ludzkość obdzierał,
Kto świętą szatą krył noże rzeźnicze,
Kto w imię boskiej miłości
Wylał tyle krwi z ludzkości —
Ten godzien wypić jej z nami
I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Uderzmy w zemsty puhary!
Zemsta za olgane ludy!
Śmierć fałszerzom świętej wiary!
Niech zginą larwy obłudy!

5.

Grubszą się chmurą niebo powlekło,
Ognie na nowo buchnęły z ziemi;
Cóż to za tuman wyszedł nad piekło
I pędzi ku nam wiatrami wszystkimi?
Zbłocone czoła, złociste szaty —
W barwie ubiorów — służalstwo,
W oczach — spodlenia zuchwalstwo.

Ha! Obskuranty, arystokraty,
 Cała oprawców ludu družyna!
 Sztylety w rękę, w czasie zemsty wina!
 Do nas tu, do nas, ohydne larwy!
 Wy to, pod piętnem królewskiej barwy,
 Wlekliście ludy królom na tortury,
 Chłostali braci za tarczą purpury!
 Zakamieniali oprawce despoty,
 Apostołowie jarzma i ciemnoty,
 Wyście tyranów bydlęm zostali,
 Ażeby zmienić narody na trzody —
 Ażeby zdeptać, splugawić ludy,
 Wy głowy wasze chętnie ciskali
 Pod nogi królów, w tronów kałuże!
 O — czyje barki wzniosły tron przemocy,
 Kto z plugastwami piekielnej nocy
 Opadł na ludzkość w szarańczej chmurze,
 Aby ją pożarł, zmienił w plugastwo
 I tuczył swoich panów tą pastwą
 Dla nikczemnego ich uczyły okruszka,
 Dla przywileju pierwszego podnóżka —
 Kto na chorągwi swojej wywieszał
 Ucisk ludzkiego rodu i spodlenie,
 Kto go nikczemnił i tem rozgrzeszał
 Szatańskie swoje sumienie —
 Ten jest godziń wypić z nami
 I zakąsić sztyletami!

CHÓR.

Pijmy, pijmy bez litości!
 Zemsta za spodloną ziemię!
 Śmierć, śmierć pijawkom ludzkości!
 Niech zginie służalców plemię!

6.

Niebo rozsuwa burzy oponę,
 Słońce pogodnem licem się uśmiecha —
 Wypróżnione, upojone
 Piekło zagasa, ucicha.

Panowie świata, świata dziedzice
 Zalegli wokrag ziemię już nie swoją —
 W gruz zamienione trony i bożnice
 Nad ich grobami, jak pomniki, stoją,
 A przy nich cały świat stary,
 Cały świat zbrodniczy kona.
 Jeszcze krew starej zbrodni w puhary!
 Niech żyje ludzkość oswobodzona!
 A teraz skruszmy sztylety i czary --
 Biesiada zemsty skończona!

Humań, 1824 r.

LARWA NIEWOLI.

Dreszcz przebiega wszystkie żyły,
 Jakbym się dotknął skonań czary.
 Dokoła widma, poczwary,
 Jakby się groby wieków otworzyły.
 Strach tajemniczy ścina lodem duszę.
 Odwracam oczy... Próżno — patrzyć muszę.
 Cisza... Wtem północ wieków uderzyła,
 I oto zmarłej przeszłości mogiła
 Wychodzi z ziemi, podраста powoli,
 Wre, szumi, ryczy, jak wnętrzości piekła —
 Pęka z łoskotem zwałonego świata,
 A z jej czeluści wylata
 Larwa piekielna, larwa niewoli.
 Zawyla, głodem w wieków wściekła;
 Twarz jej ciemniejsza od gradowej burzy,
 Krwawe potoki buchają oczyma.
 Gdzie spojrzysz — niebo się chmurzy,
 Gdzie stąpisz — ziemia się żyzma.
 W jej tchu klęsk wszelkich igra zgraja mętna,
 W warkoczu gwizdzą sposoczone knuty,
 Na czole — mordu krwawiące się piętna,
 Brzuch sztyletami zemsty popruty,
 A usta, czarne pragnienia pieką,
 Ponad rozdartą z głodu paszczeką,
 To konwulsyjnie drgają, to opłyną
 Wiecznych konwulsyi śliną.

W ślad jej przelotów wicher wieków miecie,
 Gasną bożego stworzenia ozdoby:
 Całe narody więdną w życia kwiecie,
 Całe krainy zmieniają się w groby,
 Ród ludzki niknie, ziemia pustoszeje,
 Zmienia się cała w wielką, pustą knieję,
 A w głuszy pustyń, w więzien ciemności
 Tylko ryk zwierząt i jęk ludzkości.

U jakież to wody jestem brzegu?
 Cóż to za miasto gruzem go zalega?
 Noc je odziała w żalobę milczącą,
 Tylko ostatnie westchnienia ją mącą.
 Tylko, gdy wszystko skończyło się kona,
 Płomyk wśród ruin błysnie, zaszeleszcze
 I, jak kadzidło, krew ciepła jeszcze
 Buchnie obłoczkiem z trupiego łona.
 Świeża pożoga niebo odymia,
 Bije o niebo łuna olbrzymia,
 Gnie się po chmurach skrwawioną tęczę
 I, jak pochodni blask, opłomienia
 Całą dziedzinę zbrodni i zniszczenia.

A pod tym blaskiem — tu kajdany brzęczą,
 Tu katowski miecz przyświeca,

Tu rusztowanie, tam szubienica,
 Tu dogasają drgające ofiary —
 A nad tem wszystkim chrypi kruk kary
 Tryumfalny hymn zniszczenia...
 Precz mi z oczu, piekiel mary!

Ale, niestety — nie są to złudzenia,
 Moi to bracia, ci męczennicy;
 Ten gród — stolica, a pośród stolicy
 Włada larwa niewoli. — Czemuż tak ryknęła
 I najzjadliwszym oddechem swym tchnęła?
 Ona wolnego we mnie zajrzała.

Zrywa się, pędzi, rozjadła,
 Szaleństwo kręci jej okiem czartowskim;
 Gdyby mię w takiej wściekłości dopadła,
 Rozsiekałaby mię włoskiem —
 W pyłby mię zżarła ogniem swego technienia!
 Lecz próżne, larwo, twoje wysilenia,

Próżno gonisz mię i szukasz:
 Jakokolwiek się rozfukasz,
 Szydę z twego rozbewstwienia.
 Ja twoim duchem prześladowczym będę;
 Ja w twojem oku, jak bielmo, osiedę,
 W sercu zamieszkać gniazdem padalców,
 Zmienię je na wieczną bliźnię;
 Dam się uchwycić — i z pomiędzy palców
 Strzałką światła się wysłiznę.
 Męską mą rozpacz na łzę przeleję —
 Tę łzę rozpalcę w iskrę niezgaszoną
 I będę wiecznie piec nią twoje łono —
 W twem wnętrzu moje wykarminę nadzieje.
 Twój ból, twa wściekłość spotkają mię wszędzie —
 Lecz dla twej zemsty nigdzie mię nie będzie!

Humań, 1824 r.

KORAB WOLNOŚCI.

1.

Niedola rośnie w potopu bałwanach,
 Słońce owrzało chmur krwawych powodzią —
 Gwiazdy tryskają promieniami krwawemi,
 Niebieskie stropy, jak pierś w świeżych ranach.
 Ach, nowy potop, potop ducha ziemi
 Walczy z ducha łodzią!

2.

Jak okiem zajrzeć, martwych fal pustynie!
 Tylko obłoczek korabiu wątlego
 Pomiędzy piętra wałów się przedziera:
 Przodem łódź czasu przesłizga głębinie —
 W jej ślady korab, a na masztach jego
 Oświaty bandera.

3.

Trudna i dziwna podróż wolnej łodzi:
 Jako sny wschodzą i zachodzą światy.
 Nadzieja, miłość — żagle z losów gonią:

Niekiedy czyny nad ciszą powodzi,
Jak przez opatrność rozstawione czaty,
Dobrem hasłem dzwonią.

4.

A wiara głosem gołębiczy grucha:
— „Żeglarze, śmiało! Choć w tej czasów nocy
Gwiazdę przyszłości kryje tuman gruby,
Żeglarze, śmiało! Dla wolności ducha
Wiek to męczeństwa — dla ducha przemocy
Wiek zwycięstw i — zguby.“
Humań, 1824 r.



1830—1841.

POWSTANIE 29. LISTOPADA.

HYMN.

Stańmy chórem i śpiewajmy —
Śpiesz się, Warszawo, Polsko, śpiesz!
Ciesz się, Warszawo, Polsko, ciesz!
Jednym chórem zaśpiewajmy,
Niech się dowie ziemia cała,
Jaka jest nasza radość i chwała,
Jaka Polska zmartwychwstała!

Długośmy, długo takich dni czekali,
Wieleśmy, wiele łez wylać musieli,
Abyśmy dzisiaj pieli, godowali;
Wieleśmy w ciężkiem jarzmie wyjęczeli,
Aby świętować w powstania niedzieli.
Ach, pamiętamy tę przeszłość niedawną,
Ach, pamiętamy tę przeszłość niesławną,
Gdy pieśnią były — więzionych marzenia,
Kiedy dniem święta był — dzień uwięzienia;
Litość łękliwa — cierpiących nagrodą,
Sen dni dzisiejszych — jedyną osłodą.
Dziś więc pociech używajmy!
Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Przez lat piętnaście nad czołem tej góry,
Przez lat piętnaście nad temi, ot, mury
Ciężał ciemięzców orzeł rozbójniczy;
Z gromami w szponach, ze skrzydłem rozpiętym,
Czyhał na resztę skrwawionej zdobyczy,
Zagrażał resztom naszej ziemi świętym.
Obecność jego, jak brzydkie widzenie,

¹⁾ Wiersz ten należy do szeregu utworów patryotycznych G-o, wydanych r. 1831 w Warszawie kosztem Komisji Wojny w książeczko p. t. „Pobudka“.

Szpetnością trwogi barwiła nam lice;
 Jak całun jaki, jego skrzydeł cienie,
 Błogosławioną sępiły ziemię.
 Zapalały serca mroził on, jak zima,
 Ciężył on myślom, jakby zawrót głowy,
 Ciału i duszy, jak sen letargowy —
 A dzisiaj, patrzcie — już go niema, niema!
 Więc radości wolę dajmy!
 Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Prysnęła chmura i dżdżu obfitością
 Z pięknych stron nieba zaryła się w ziemi:
 Spadł orzeł Moskwy — spadł i własną złością,
 Rozpękł się, rozlał pod stopy naszymi.
 Własne pioruny w pierś jego strzeliły,
 Własne pioruny na proch go spaliły.
 Jakże wspanialszy, o, jakże świetniejszy
 Ten ptak, co wybrnął z dymów i płomieni!
 Niebo błysnęło w szacie błękitniejszej,
 Słońce złocistszym połyskiem się mieni,
 Obłoki bielsze idą jakby w taniec.
 „Ach, to nasz orzeł, to nasz orzeł biały!“
 — Przez całą Polskę głosy zawołały —
 Kochanek chwały, chwały wychowanie!
 Rodzinne góry — to kolyska jego,
 Rodzinne pola — jego igrzysk szranki,
 Rodzinne ludy — jego kochanki,
 Znają, witają ptaka świętego.
 I my go też powitajmy!
 Śpiesz się, Warszawo! i t. d.

Bielszy, groźniejszy nasz orzeł młody,
 Że się przerodził na zbójcy zwłokach;
 Czystszy i trwalszy nasz dzień swobody,
 Że się wychował w niewoli mrokach:
 Młodzieńczym wdziękiem wszystko umaja,
 Cudownym blaskiem wszystko przystraja.
 Jak oko zajrzy — niwy i góry
 Świąteczną szatą pysznić się zdają;
 Jak ucho sięgnie — skrzydlate chóry

Piosnkę wolności, zda się, śpiewają.
 I my pokłon jej oddajmy!
 Śpiesz się, Warszawo! i t. d.
 Srebrny nasz orle, już ty nam nie zginiesz!
 O, dniu swobody, już ty nam nie miniesz!
 O, ptaku cudzy, już do nas nie wrócisz,
 Rąk nam nie zwiążesz, serc nam nie zasmucisz!
 O droga Polsko, o ojczyzno droga,
 Nie jękniesz więcej pod stopami wroga!
 Póki Bóg w niebie, póki my na ziemi,
 Będziemy ludem, będziemy wolnemi,
 Bośmy też mocno tego zapragnęli,
 Bośmy też długo i ciężko cierpieli.
 Więc dłoń wolną sobie dajmy
 I pieśnią wolnych śpiewajmy:
 Śpiesz się, Warszawo, Polsko, śpiesz!
 Ciesz się, Warszawo, Polsko, ciesz!
 Niech się dowie ziemia cała,
 Jaka jest nasza radość i chwała,
 Jaka Polska zmartwychwstała.

POBUDKA PÓŁNOCNA.

1.

Głęboka ciemność objęła ziemię,
 Sen pokrzepienia zaległ świat pracy —
 Sen i spoczynek nie wam, Polacy,
 Bo jeszcze w grobie ojczyzny brzemię.
 Wstawajcie, cyt!
 Zbrodnia usnęła;
 Śpieszcie do dzieła
 Nim błysnie świt,
 A cyt, a cyt!

2.

Bóg obłokami gwiazdy przygasza,
 Obiegł posłuchem powiew ponury;
 Pieśń tajemniczą zawiodły kury —
 Oto północna pobudka nasza.
 Wstawajcie, cyt! i t. d.

3.

Północ jęknęła zegaru biciem:
Godzina duchów — nasza godzina.
Smętarzem dzisiaj polska kraina —
Żyjemy dzisiaj grobowem życiem.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

4.

Polska wychodzi z mogiły cieniem,
Okiem księżycy synów swych szuka,
Lekkim powiewem w okna ich puka,
Śpiewa w szczelinach wiatru jęczeniem.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

5.

Pod stropy nieba, nad światów głąszą,
Noc wywiesiła sztandar kirowy:
To dziś Polaków sztandar bojowy!
Kupmy się przy nim ciałem i duszą!
Wstawajcie, cyt! i t. d.

6.

Z okiem ku gwiazdzie rodzinnej wiary,
Ręką i myślą silnie spojeni,
Śpieszmy do pracy, pod sztandar cieni,
Wrogi nas wezmą za nocne mary.
Wstawajcie, cyt! i t. d.

7.

Bo znów ze świtem ockną się zbrodnie:
Knuty zaświszczą, więzy zabręczą,
Głosy ojczyzny znowu zajęczą —
I tę noc jeszcze spali wygodnie.
Wstawajcie, cyt!
Zbrodnia usnęła —
Śpieszcie do dzieła,
Nim błysnie świt,
A cyt, a cyt!

1890.

MARSZ ZA BUG.¹

CHÓR.

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi:
Za Bug, za Bug, za Bug!
Niech lotne serce nie wyprzedza nogi,
Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi
Dla naszych serc, dla naszych nóg!
Za Bug, za Bug!

Już tam nie jeden z zabużańskich braci,
Uchem przy ziemi każdy tentent ima,
Tysiąc go razy i schwyta i straci —
A nas jak niema, tak niema!
A posiodłane, pokielznane konie
Strzygą uszami, rżą do naszych koni —
A ostre szable i nabite bronie
Brzęczą nutą naszej broni!
CHÓR: Uderzcie w bębny i t. d.

Piękne siostrzyce, Rusinki, Litewki,
Jak zakochane, już nas upatrują —
Polskim ulanom szyją chorągiewki,
Polskie kokardy gotują.
Że nas zobaczą, żywiej oko płonie,
Drżą ręce najprzód, że nas uściskają,
A serce, prorok, skacze już im w łonie,
Że nas wkrótce kochać mają.
CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Warczy próg Dniepru, pomrukuje Dźwina,
Bo cudzy język polską wodę chłepce;
Wyje ściepami polska Ukraina,
Bo koń cudzy step jej depce;
Dyszy niechęcią bagniste Polésie,
Burzami grożą naddniestrzańskie skały —

¹⁾ Utwór ten odśpiewany był na obchodzie publicznym 29 czerwca 1891 r. Muzykę do niego napisał Józef Dobrzyński. (P. P.)

Lesista Litwa dąsa się i ćmi się
 Na nasz pochód opieszały.
 CHÓR: Uderzcie w bębny, i t. d.

Wodzu nasz, Janie — białe orły żebrzą
 Ogniem Grochowa i Wawru napadem:
 Niech się co prędzej brzęgi Buga srebrzą
 Tryumfującym ich stadem;
 Niech postrzelony ten potwór dwugłowy
 Po ziemi polskiej dłużej się nie ślania!
 Wypuść ostatni pocisk piorunowy
 I skróć mu męki skonania!

CHÓR.

Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi:
 Za Bug, za Bug, za Bug!
 Niech lotne serce nie wyprzedza nogi —
 Uderzcie w bębny, zagrajcie nam w rogi
 Dla naszych serc, dla naszych nóg:
 Za Bug, za Bug!

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

SKOWRONEK POLSKI.

Końskie kopyta pod Wawrem orały,
 Zagony działami ryto —
 To też na niwie trupów okwito.
 Przez niwę wiatry kwietniowe powiały,
 Ocknął się w skibie skowronek radosny,
 Powitał wiosnę pierwszy śpiewak wiosny,
 Skrzydełkami zatrzepotał,
 Wił się w górę i szczebiotał:

„Co to za wiosna, że rola tak zryta?
 Ani kwiatów, ni zieleni!
 Młoda murawa krwią się czerwieni,
 Błonie blademi trupami zakwita.“ —
 — Śliczna to wiosna, o ptaszyno miła,
 Gdzie przez lat tyle taka zima była. —

Ptaszek w skrzydła zatrzepotał,
 Krążył, krążył i szczebiotał:

„Dziwna to, dziwna tutaj gospodarka:
 Orzą pole płomieniami,
 Krwią polewają, nawożą kośćciami
 I zasiewają ołowiane ziarka.“
 — Zdziaczały były, ptaszku, te zagony,
 Taki siew tylko wyda bujne plony. —
 Ptaszek rażniej zatrzepotał,
 Pędził w górę i szczebiotał:

„Lubię ja skibę, gdzie mam samkę moją —
 Ale wolę, ale wolę
 Tych gospodarzy, co roszą swe pole
 Krwią złych sąsiadów, a kośćmi ich gnoją.
 Zato ich zboże wybuja dorodniej,
 Skowronki będą mieszkały swobodniej.“ —
 I w skrzydełka znów trzepotał
 I podlatał i szczebiotał:

„Polecęż teraz przez polską ojczyznę,
 Aż po Dnieper, aż po Dźwinę —
 I będę polską nauczał rodzinę,
 Jak rolę sprawić, by plony mieć żyzne
 Braci skowronków toż to uweseli,
 Że w gęstszym zbożu będą mieszkać śmielej!“ —
 I utonął w nieba sine.
 Boże, błogosław ptaszynę!

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

DUCH KOSYNIERA.

DUMA.

Drugie kury już zapiały,
 W pustkowiu huka sowa,
 A Stachowej sen zabrały
 Pogłoski z pod Grochowa.

Srogie tam było spotkanie:
 Bitwa, jak nigdy, krwawa —
 Padali tam Podlasianie,
 Jakby pod kosą trawa.

Więc, nad kołyską schylona,
 Płacze łzą piosłunową,
 Nad sierotą, co u łona,
 Nad sobą, biedną wdową.

W izdebce coraz się mroczy,
 Dogasa szczepka smolna,
 I zmęczone płaczem oczy
 Zasklepiły się zwolna.

Przecież, choć snem ciężkim dyszy,
 I oczy śpiące miała,
 Wszystko widzi, wszystko słyszy,
 Jakby wcale nie spała.

Trzeci kogut północ wypiał,
 Mignęło przed okienkiem,
 Czujny odzwierek zaskrzypiał —
 Wchodzi Stach z brzękiem, szczękiem.

Zrzucił czapkę, siadł przy stole,
 Miło patrzy na żonę —
 Błysło z pieca: krew na czole,
 Całe piersi skrwawione.

Ujął kosę i krwią z rany
 To ją czasem opryskiwał,
 To ostrzył, to na przemiany
 Do żony się odzywał:

— „Moskal w skronie kulą chlusnął,
 Krew trysnęła oczyma,
 I kosynier lekko usnął;
 Nad sen taki nic niema.

„Olcha gęsta, bagno skrzepło,
 Trup kołdrą, trup poduszką —
 Miętko, zacisznie i ciepło!
 Niema, jak moje łóżko.

„A kosynier, żołnierz prawy,
 Choć śpi pod olchą nagą,
 Jednak pilnuje Warszawy,
 Jednak czuwa nad Pragę.

„Zawsze tam na warcie stoi
 Jego oko wywrócone
 Najzuchwalszy kruk się boi
 Rozpiąć skrzydeł zasłone.

„O północy miecie srodze —
 Więc dalej tłumem naszym,
 Dalej po, Grochowskiej drodze,
 I ruskie czaty straszym.

„Dzień i noc wartując tajnie,
 Na stanowiskach trwamy
 I przez bagna, przez rozstajnie,
 Moskale odpędzamy.

„Kosynier gospodarz skrzętny,
 O domu nie zapomina —
 Idzie do swej żonki smętnej,
 Idzie nauczyć syna.

„I krwią ze swojego czoła
 Kosę jemu nastala,
 By kiedyś, jak kraj zawoła,
 Miał czym rąbać Moskale.“ —

Stachowę rozpacz objęła,
 Jęła bolem i trwogą,
 Chce biedz ku niemu — przecknęła —
 Lecz nie było nikogo.

ANTYCHRYST WOLNOŚCI.¹⁾

— „Rozprósz się, nocy ucisku!
 Wejdz nam, nowych światów błysku,
 Wejdz nam, słońce naszej ziemi,
 Zaświeć, o wolności droga!“ —
 Tak z więzami skruszonymi
 Zawołał lud głosem Boga —
 A chmara ciężkiej żaloby,
 Łzami niewoli nabrzękła,
 Niema dotąd, jako groby,
 Nad Belwederem rozpękła
 I lunęła dżdżem Sodomy.
 Jest Bóg czuwania i cudu,
 W potędze ludu widomy,
 Słyszany w wyrokach ludu:
 O bracia, jego to gromy
 Wypadły z waszej prawicy —
 Jego dziełem wasze dzieło:
 A więc dalej, zapaśnicy!
 Niech się kończy, jak się wszczęło!

Próżno Antychryst wolności
 Zbrodniczą przemoc wysła:
 Przyszła strasznych sądów chwila,
 Chwila zbawionej wieczności —
 Grom wasz dzielny, niespodziany,
 Uderzył w ludów kajdany,
 Uderzył w ludów tyrany.
 Patrzcie na lice zbrodniarza,
 Co osiadł łodów stolicę
 I szczęściu świata zagraża —
 Patrzcie w jego serce, lice:
 Nim wasz piorun mocy boskiej
 Zagrał jemu dzikim zgrzytem
 W echu, o piekła odbitem —
 Myślał on w duszy czartowskiej:

¹⁾ Wiersz czytany na zgromadzeniu Towarzystwa patriotycznego
 29 grudnia 1890 r. (P. P.)

„Moja ziemia, mój świat cały!
 Ziemia słaba, nieba ciche —
 Byle mi piekła sprzyjały,
 Nasycę carską mą pychę!
 To święcone pomazanie
 Na cesarskiej mojej skroni,
 Te miliony zbójeznej broni,
 Co na każde zawołanie
 Obmyć się, skąpać gotowe
 We krwi, choć najdroższej sobie,
 To moich zbrodni pokrycie!
 Zechę — a pół świata w grobie —
 Oszukam drugą połowę.
 Ludy! Uleż mi musicie!“
 W chwili piekielnej radości
 Wyście hasło walki dali!
 Zadrżał z trwogi i wściekłości.
 Że są jeszcze tak zuchwali,
 Co mu się sprzeciwić śmieli;
 Potoczył okiem po ziemi —
 Pękają groby dokoła,
 Jak na trąbę archanioła —
 I tłumami orężnemi
 Wychodzą hufce mścicieli,
 A przez podziemia szczeliny
 Wymykają się płomienie,
 Wieczne dla niego zniszczenie.
 Spojrzał w niebieskie wyżyny,
 A na niebieskiem sklepieniu,
 Przed jego przekłętym okiem,
 Słońce zaszło śmierci mrokiem,
 I w odwiecznym utwierdzeniu
 Gwiazdy się zakolysały...
 Oniemiały i struchlały
 Na wieszczby ostatniej chwili,
 W dół czoło bluźniercze chyli,
 A znak święty pomazania,
 Piętno Kaime zbrodnicze,
 W świeżą się bliznę rozrania —

I krew Abła przez oblicze
Niewstrzymanym nurtem zléwa.

Raduj się, ziemio szczęśliwa!
Ufajcie, o bracia moi!
Zbrodnia dobiega swej mety:
Już ostatniego komety
Groźna różga nad nią stoi!
Pojrzyjcie, wolności dzieci,
Pojrzyjcie w wieków otchłanie:
Bóg wolności już nam świeci —
Jeden chrzest we krwi Jordanie,
A szczęśliwi, jak anieli,
Posiędziem niebo wolności,
Już nasze, już wiecznie nasze.
Tam, grzmiąc w zwycięskie pałasze,
Wiecznym chórem będziem pieli
Tryumf polskiej wytrwałości!

20. grudnia 1830 r.

ŚWIĘTO TRZECIEGO MAJA.¹

Z pieśnią słowika, na nowo zaczęta,
Z wiosną, co ziemię na nowo przystraja,
Witamy cię, polskich serc święto!
Witamy cię, trzeci dniu maja!

Biedni, dzikiego ojczyma przemocą
Wygności z matki ochłostanej domu,
Do ciebie idziem pokryjomu,
Dniu święty, ze skargą sierocą.

Zdarły się kiry lat żałoby wielą,
Tylko kwiat spomnień zakrywa łez plamy --
Więc w kwiatach spomnienia witamy,
Witamy cię, Polski niedzielo!

¹⁾ Wiersz ten napisany był dla kółka przyjaciół, obchodzących rocznicę 3 maja w domu Michała Grabowskiego w Aleksandrówce na Ukrainie. (P. P.)

Już to w trzydziestej piątej szat przemianie
Żal naszej nędzy przyroda rozbiłnia,
A ptaków radosne śpiewanie
Milczącej boleści podrzyżnia.

Już to trzydziestym i piątym obchodem
Krażymy przy dniach, które skamieniały
Posągiem nieszczęścia i chwały
Nad wielkim zabitym narodem.
Więc dalej do uczty koła!
Należcie kielichy wasze,
Niechaj myśl dziko-wesoła,
Ożywiona tym napojem,
Ojczyznę z trumny wywoła,
Popłasa ze spomnień rojem!
Zagrajmy, o bracia, w czasie!

Serce, jak kielich — ma brzegi swoje,
Serce, jak kielich — zbytku nie zmiesci;
Ze szkła pełnego spłyną napoje,
Serce, wezbrane płaczem boleści,
Rozleje łzy — pocieszenia.
Już sytość hańby nad brzeg wystaje,
Przebrana miara cierpienia —
Łza tylko radości zostaje.
Żyj nam, chwilo przesilenia!

Poćwiertowane matki naszej ciała
W któreż się strony nie porozpadało?
Lecz, silne siłą żywota padalczą,
Pocięte członki drgają jednym życiem:
Matecznej piersi uderzają biciem
I walczą z chłodem śmierci — aż go zwalczą,
Niech żyją bracia! Niech żyją,
Którzy jednym sercem biją!

W dzieciennych latach za baśnię się brało
Powiastkę nianiek o cudownej wodzie,
Co sprzęga, żywi rozszarpane ciała.
Kto wielkich przodków ma wzory w narodzie,

Kto pomstę krzywd ich w sercu swoim chowa,
Ten zdoła pojąć, co znaczy baśń owa,
Gdzie zdroj tej błogiej otuchy.
Zemsta za was, przodków duchy!

Teraz, bracia, wasze zdrowie!
Szczęśliwi takich synów ojcowie,
Co, szczupłym swoim likiem niezrażeni,
Świętego ognia udzielając sobie,
Tulą w pamiątkach przyszłe świetne czyny,
Aż je na światło wyniosą z cieni.
Szczęśliwsze jeszcze takich ojców syny!
Niechże Maj Trzeci, miły nam w żałobie,
Lampę smutku zagasiwszy,
Słońce tryumfu w rychle rozpromieni:
Niech żyje Maj Trzeci szczęśliwszy!

Aleksandrówka w 1830 r.

CHMURA.

1.

Pod Dębem, na bagnie,
Moskal, we krwi cały,
Wyje, jak wilk zgłodniały,
Kropli choćby dżdżu pragnie.

2.

Gorączka go spali,
Choć wokoło woda —
Ale nikt jej nie poda,
Nikt go się nie żali.

3.

Płynie chmurka dżdżowa,
Sieje deszcz maleńki:
Słyszcy Moskala jęki
I zagrzmie w groźne słowa:

²⁾ Wielkie Dęby, wieś pod Miłosną, pamiętna bitwa, stoczona przy niej w ostatnich dniach marca 1831 r. (P. P.)

4.

„Milcz, niegodne plemię!
Z Karpatów ja chmura,
Siwej Wisły ja córą,
Polską orzeźwiam ziemię.

5.

„Lecz wroga polskiego
Deszcz mój nie zasili:
Tyleście łez wypili,
Tyle krwi ludu tego!

6.

„U Newy, u Newy
Szukać wam napoju,
W gorącej juchy zdroju,
Między carskimi trzewy.“

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

PIORUN.¹

1

W środku Siedlec Moskwa broi,
Nad Siedlcami chmura stoi:
Ni się zwiększa, ni się zmniejsza,
Tylko coraz posępniejsza.

2.

— „Biada — mówi — biada sroga,
Że lud bez bojaźni Boga
Chce piorunami ziemskimi
Pognać wszystko na ziemi!“

3.

A chmury i słońca dziecię,
Młody piorun, słuchał skrycie,

¹⁾ Pieśń, osnuta na wieści zmyślonej, jakoby piorun spadł na działa moskiewskie, stojące na placu w Siedlcach i stopił ich kilka-ście, przyczem miało zginąć trzystu żołnierzy moskiewskich. (P. P.)

Skrycie z łona matki spłynął,
I ku ziemi się rozwinął.

4.

Ledwo zagrzmiał, już powrócił.
— „Nacoś mi grzmoty ocucił?
Gdzie to byłeś? Coś tam zrobił?”
„Wroga, matko, wrogam pobił.

5.

„Niespodziany, niewidomy,
Spadłem na moskiewskie gromy,
Wpadłem pomiędzy Moskali,
Którzy tam ich pilnowali.

6.

Moskiewską wiarę wybiłem,
Gromy moskiewskie stopilem:
Patrz, ot, powódź płomienista,
Ot i trupów leży trzysta!”

Warszawa. Kwiecień 1831 r.

ŚPIEW LUDU POLSKIEGO.

1.

Nasłanicy północy srogiej,
Precz, odszczepieńcy, precz, niewolnicy,
Z Polski lubej, z Polski drogiej!
Nie kalajcie nam ziemicy —
Precz sobie ku Sybirowi,
Pókiście żywi i zdrowi!

2.

Jak zasięgną wieści stare,
Wolno tu żyli, wolno konali,
Czcili zawsze prawą wiarę
I zawsze bili Moskali.
Precz sobie, i t. d.

3.

Swoboda od wieków z nami,
A wy, jak Boga, słuchacie pana:
Nie wam wytrwać z Polakami!
Z nami Bóg, z Bogiem wygrana —
Precz sobie, i t. d.

4.

Sosna tylko u nas rośnie —
Ale bagnety nasze liczniejsze,
Niżeli szpilki na sośnie,
Niż szpilki sosny, ostrzejsze.
Precz sobie, i t. d.

5.

Do łba polskie kule bieżą —
Za kark chwytają polskie pałasze,
Bagnety w serce prost mierzą,
Bo wolne są ręce nasze.
Precz sobie, i t. d.

6.

Dość już, rodzie potępiony,
Zwodzić nam dziewczki, chleb nam wyżerać
I w królów naszych korony
Swojego cara ubierać!
Precz sobie, i t. d.

7.

Niezadługo z trwogi, z nędzy
Będziecie Boga, płacząc, prosili,
By was wywiódł z Polski prądj, —
Niśliście do niej pędzili.
Precz sobie ku Sybirowi,
Pókiście żywi i zdrowi!

ŻOŁNIERZ W ROKU 1811.

Witam ciebie, moja droga!
Na chwilę w trąby paszczęce
Ucichła wojenna trwoga —
I wnet lecę, by twe ręce
Ucałować choć na chwilę.

Co za nieba ja widziałem!
Modre, jak twe oko, miła.
Co za kraje obiegałem!
Taka spieka w nich paliła,
Jak twoje pocałowanie.
Lecz, kto, ojczyznę straciwszy,
Za nią tylko przez świat goni —
Lecz, kto, piękną polubiwszy,
Żyje tylko myślą o niej,
Co mu po wszystkim na świecie?

W dzikiej tęsknocie za tobą,
Za ojczyzną i za chwałą,
Cały-m świat przerzucił sobą;
Sto ludów na drodze stało —
Przez sto ludów się przebiłem.

Aż dobiłem się nagrody:
Chwilka z tobą, moja droga,
Ziomkom wrócone swobody,
Nowa wyprawa na wroga —
Może być nagroda miłsza?

Lecz oto trąba zagrała!
Idziem znowu trony walić
I stolice królów palić:
Polko moja, bądź mi stała,
Bądź mi wierna, jak ta szabla.

Teraz daj mi całowanie
I obetrzyj oczy sobie:

Łzy się zdadzą na witanie —
Może — kto wie? — na mym grobie.
Żegnam ciebie, żegnam, droga!

CHOLERA.

Sybirskich mroków straszdyło
Wisi ponad ziemią sępem,
Najeża zbrojnym zastępem
I prawe i lewe skrzydło,
A w rajske południa strony
Kieruje myśli i szpony.
Złoto Gangesu, Golkondy słońce,
Brylant z korony Mogola,
Migają w mrokach zbójczego czoła,
Jak złe anioły kuszące —
A z żrenicy do żrenicy
Przemyka się w błyskawicy:
„Wszystko to moje, wszystko to moje!“
Tymczasem w ciszy tka pajęczę sidła —
A lada chwila — jeden ruch skrzydła,
I spadną na świat zastępy straszdyła,
I nowe ludzkość zakrwawiają rozboje.

— Aniele czarnego skonu,
Obejdz ludy, jak w dniach cudów!
Daj im naukę przez śmierci słowa,
A biada temu wśród ludów,
Który jej w pamięć nie schowa! —
Pod grzmotem słów tych z bożego tronu,
Podniósł się anioł grobowej piękności
Z krain, ku którym zbójca ludzkości
Nakierował swe postrzały —
I skrzydłem niszczącej chwały
Uderzył w carskie szeregi,
I wnet podbiegunne śniegi
Poczerniały tchem zarazy.
Śmierć, potężniejsza, niż carskie ukazy,

Jednym tchem wali miliony,
 Milionów targa wnętrności
 I łamie ich kości,
 Że aż do Boga wołanie
 Wyjęciami poszło tony:
 — „O Panie! Za co ta plaga?
 Wszak my twe dzieci — zlituj się, Panie!
 Niech prawosławnych prosba cię ubłaga!“
 — „Na plagę ziemską niebieska plaga“ —
 Z gorzkim uśmiechem rzekł anioł zarazy;
 Miecz — jego uśmiech, śmierć — jego wyrazy.
 — „Wy dzieci Boga, wy prawowierni,
 A piekiel spełniacie wolę!
 Niech czarną duszą i ciałem się czerni,
 By was poznano z tej cechy
 Tam, gdzie narodów będą sędzić grzechy!“ —
 I dalej pomknął niszczące stopy.
 I wnet oblicze całej Europy
 Powiewy jego skrzydeł obleciały.
 — „Za cóż, o Panie, za co ta plaga?“ —
 Narody jednym głosem zawołały:
 — „Czyż w królach małe dla nas ukaranie?
 Pożał się niewinnych, Panie!
 Pożał się, niewinność błaga!“ —
 — „Kto sam nad sobą litości nie ma.
 Ten jej z niebios nie otrzyma“ —
 Z gorzkim uśmiechem rzekł anioł zarazy;
 Miecz — jego uśmiech, śmierć — jego wyrazy.
 — „O trzodo narodów błędna,
 Bez rozumu, bez odwagi!
 Ginać dla królów, lub od boskiej plagi —
 Czyż to śmierć nie jedna?“ —
 I dalej, szerzej ziemię ogarniały
 Anielskie skrzydła grobowej chwały;
 Wkońcu straszliwa zaraza
 W górę lot wzięła i mocarzy sięga.
 Zadrżała tronów potęga,
 Struchlały serca w piersiach z żelaza,
 Z ust wyszły modły, modły obłudy
 O co? — O ludy, o trzody!

W groźnem milczeniu przeszedł anioł skonu.
 Dla takiej ziemskich władców obłudy —
 Nie mają ucha, ni głosu anieli;
 Tam, u podnóża sądowego tronu,
 Tam im dopiero odpowiedzą ludy,
 Które bratniami rękami wycięli.

WISŁA I ŚWIĘTY JAKÓB.¹

Najwspanialsza z polskich rzek
 Śród najwyższych polskich gór
 Rwie koryto, burzy brzeg,
 Prosi lodów, błaga chmur,
 W rozpacz matki Karpaty wzywa:
 „O matko, matko, bądź litościwa!

„Oto zbójczy Wołgi ród
 Moje łóżę zgwałcić chce,
 Chce zgnębić miły mi lud;
 Otwórz, matko, piersi swe!
 Niech nie góruje Wołga szatańska,
 Niechaj jej plemię spławię do Gdańska!“

Matka, stara, jako świat,
 Słyszy córki płacz i głos,
 Wznosi oczy, lodów skład,
 Rozpuszcza ze świerków włos,
 Z pod mglistych zasłon piersi podnosi
 I tak świętego Jakóba prosi:

„O patronie święty mój!
 Przyświeć, przygrzej okiem twem!
 Stop w mych piersiach skrzepły zdrój,
 Córke Wisłę zasil nim,
 Niech plemię Wołgi do Gdańska spławi,
 Niech plemię swoje od zbójców zbawi!“ —

¹⁾ Jest tu mowa o corocznem lotnieniu wzbieraniu Wisły, zwanem Jakubówką, a na które wielu rachowało jako na ważną przeszkodę dla wojska rosyjskiego, gdyby chciało przeprowadzić się przez Wisłę. (P. P.)

Głupia córka, głupia mać
 I kochany głupi lud:
 Żeby radę wrogom dać,
 Trzebaż świętych, albo wód?
 Jeżeli powódź obroną całą,
 Czyliż krwi zdrajców już wam nie stało?

Warszawa, 1831 r.

ŻOŁNIERZ ŻEBRZĄCY.¹

— „Zlituj się nad biedakiem,
 Jeśli jesteś Polakiem
 I chcesz łaskę mieć u nieba!“ —
 Tak się Moskal u mnie prosił,
 Kiedym szablę nad nim wznosił —
 Tak ja dziś proszę o kawałek chleba.

Panem kiedyś ja byłem,
 Wielkie skarby liczyłem,
 Wielkie skarby: krew i zdrowie.
 Żem je stracił — to mi przyzna
 Niejedna krwιάca się bliźna;
 Żem drogo oddał — trup niejeden powie.

Jak wy, byłem ja hojny,
 Jak wy, byłem ja strojny,
 Choć taka nędza koło mnie;
 Co mi słota oszczędziła,
 Co krew ruska nie splamiła,
 To wkońcu Niemiec odjął wiarołomnie.

Miałem szablę u boku,
 Jasną, jak śmiałość w oku —
 rzęk jej wygrywał piosenki,
 Lecz, kiedy zębami żmii
 Dopadła moskiewskiej szyi,
 To ledwo mojej usłuchała ręki.

¹⁾ Autor chciał w tej pieśni przechować pamięć nędzy, w jakiej niedbalstwo władz polskich zostawiło wielu żołnierzy z korpusu Dwernickiego, rozbrojonego, jak wiadomo, w Galicji. (P. P.)

Miałem konia kasztanka —
 Kochał mię, jak kochanka:
 Skok jeleni, pierś kobieca,
 A kiedy z kopyta gwiznął,
 To kamień iskrami bryznął,
 Puchem pierzchała moskiewska konnica.

Miałem ja generała:
 Białą wąs, głowa biała,
 Zawsze czujny i na czele.
 Zżyliśmy z nim, jak z kolegą,
 Jak duszy strzegli też jego:
 Jedną miał wadę — kochał nas za wiele.

Ach, mniej trochę miłości,
 A spałyby te kości
 Spokojnie na polu chwały;
 Nie widziałbym mojej broni
 W niegodnego Niemca dłoni —
 I śpiewać z głodu nie znalazłbym zakąły.

Czerwiec, 1831 r.

WYJŚCIE Z POLSKI.

Wysoko pod niebem żórawie leciały,
 Wysoko leciały, a, lecąc, śpiewały.
 Polami, lasami wojacy szli w tłumach,
 Bez pieśni, bez grania w milczących szli dumach.
 Ich dumy posępne, ich lica w kurzawie.
 — „A dokąd, wojacy? — pytają żórawie;
 — Wasz pochód, jak pogrzeb; choć bronią błyskacie,
 Choć broń wam przygrywa, wy w oczach łzy macie.“ —
 — „Choć broń nam przygrywa, nam śpiewać nie sporo,
 Bo Niemcy dziś jeszcze, dziś ją nam zabiorą.
 My z dłońmi gołymi pójdziemy w świat dalej
 I chleba u obcych będziemy żebrali
 Gorzkiego, drogiego — i droższej ojczyzny
 Będziemy żebrali za sławę i bliźni.
 Żórawie, co w nasze leciecie krainy,
 Zalećcie po drodze do naszej rodziny,

Na skrzydła, na szybkie żołnierskie łyż weźcie
 I matkom i żonom i siostrom je nieście:
 Niech matki wymodlą, wypłaczą, niech żony,
 By Bóg nam dał rychło powrócić w te strony.
 Napoi was Wisła, krwią naszą opita,
 Nakarmi was rola, trupami okryta.
 Bo my tu nieprędko pić i jeść będziemy!
 Nieprędko, nie wszyscy my tutaj wróciemy...
 Hej, ptaki do Polski, a my w świat daleki,
 Ażeby ją zrobić szczęśliwą na wieki.

Granica Pruska, 1831 r.

WYPRAWA BRACI WYCHODźCÓW.

Idźcie, bracia, na świat cały!
 Ocuceni ze snu chwały,
 Z panów — tułacze i sługi,
 Idźcie na świat, jak świat długi!
 Narody was zapomnialy,
 Upowitych w zwodne szczęście
 Minał okrzyk naszej sławy —
 Nieścież im dzisiaj płacz krwawy,
 Kajdanami im zatręście!
 Niech posłyszą głos proroczy
 W kajdanach naszej niewoli,
 Niechaj widmo naszej doli
 Przerazi senne ich oczy!
 Z panów — bez panów dziś sługi,
 Idźcie na świat, jak świat długi!
 Nie, my nie sługi! Nie, my nie włóczęgi!
 Nie zagasł pożar polskiego ogniska:
 Choć w nie uderzył grom carskiej potęgi,
 Płomień tem silniej słupem iskier pryska.
 Bracia, my będziemy iskrami swobody!
 Bracia, my pójdziem przez wszystkie narody!
 Staniem w pośrodku ludów, męczennicy,
 Bohaterowie bohaterskich lat,
 Z szablą w prawicy, z pętami w lewicy,
 I będziem wołać na świat;

— „Przez naszą chwałę, przez nasze przygody,
 Biada wam, biada, uśpione narody
 Jeśli się klęską nie wzruszycie naszą,
 Jeśli was losy nasze nie przestraszą!“ —
 I świat proroczą pogroźkę zrozumie
 Wzruszą się ludy dotknięte w swej dumie:
 — „O bracia, rzekną, Europy chwało!
 Wasza niedola jest naszą zakałą,
 Wasz wróg jest wrogiem i światła i cnoty;
 Idziemy z wami, wolności sieroty,
 Zetrzem się z cara rozbójniczą władzą:
 Jasne łyż wasze niechaj nas prowadzą,
 Aż krzywdę polską, ucisk polskiej braci
 Krwią swoich trzewiów hojnie Sybir spląci!“ —

Idźcie, bracia, na świat cały!
 Przy męczeńskiej wytrwałości
 Dla ojczyzny i wolności
 Wyśni się sen waszej chwały.
 A jeśli głupota ludów
 Obojętnie będzie patrzeć
 Na naszą walkę z losami —
 Powstaniemy znowu sami,
 Aby nową wojną cudów
 Dzisiejszy upadek zatrzeć.
 A, gdyby przyszło wyższem rozkazaniem
 Raz jeszcze poledz na ojczyzny grobie —
 Spokojnie umrzem, bo powiemy sobie:
 Giniem — lecz wkrótce ludów chłostaniem
 Ciężko pomszczeni zostaniem!

Galicja. Listopad, 1831 r.

KOLENDA POLSKA NA ROK 1832.

Wygnaniec polski, którego skarb cały
 Trochę tchu, co go nieproszony poi,
 Kilka dni ciemnych, o które nie stoi,
 Które dziś odda za iskierkę chwały —

Gasnący roku, żegnam dzisiaj ciebie,
 Jak żegna zdziercę odarty z wszystkiego.

Roku wschodzący! Witam cię, jak tego,
Który ostatki chce zabrać potrzebie!

Lecz dziś świat cały jest szczęścia rodziną:
Zewsząd wesołe podnoszą się śpiewy,
Zewsząd dla ciała i ducha posiewy,
Skąd pomyślności wszelkie się rozwina...

O — i ja także nie próżną mam rękę:
I ja rozdzielę między moje bliźnie
Jedyny spadek, com wziął po ojczyźnie:
Ziarna pogardy i przekleństw piosenkę.

Poczwaro ludów, a dziś moja pani,
Której prawdziwe świat-by słyszał miano
Wówczas dopiero, gdyby ludziom dano
Poszukać w głębiach piekielnej otchłani,

Moskwo — do życzeń podobnych obłowu,
Ty jesteś pierwszą, jak zmarły na stypie —
Tobie więc naprzód pełną garścią sypię
Przekleństwa, wzgardę i przekleństwa znowu.

Za twoim trudem, a boską pomocą
Padnie ten posiew na rodzajną ziemię:
Szarańcza zbrodni strawi twoje plemię,
Pęknie pod twoich własnych jadów mocą.

Przez całą ziemię pryśnie twój trup krwawy
Na radość ludziom, które dzisiaj gniece;
Jednej lzy żalu nie znajdziesz na świecie,
A w całych dziejach — jednej chwili sławy!

.
.
.
.

Tam — co za tłuszcza kamieniem się trzyma?
Stoją, jak owcze wobec wilka trzody...

Ha — to są ludy, niby wolne ludy,
Drzące na widok niewoli olbrzymia!

Patrzą ku Polsce, lecz patrzą ukradkiem;
Szeptają jej w uszy, lecz z nią obawą:
„Bracia, my mamy do serc waszych prawo,
„My was kochamy, to serce nam świadkiem!

„Mybyśmy byli — klniemy się przez nieba...“
Nie kończcie! Wiemy. Z nami-byście byli,
Gdyby wam wasze pany przyzwoliły,
Gdyby was Polsce nie było potrzeba.

O, dla was, dla was — nie mamy życzenia —
Dla was najgłębszej pogardy za mało,
Ziarn męstwa szkoda, a, co klątw zostało,
To chętniej rzucę dla carów plemienia!

Mikołajowice w Galicyi,
noc z 31. grudnia 1891 na 1. stycznia 1892.

MOJA PIOSENKA NAJLEPSZA.

„Jakżeś mię zdradził, dobry czy zły duchu,
Duchu niebios poezyjnych!
Otoś był podniósł i oku i uchu
Zasłony stref harmonijnych —
I spuściłeś je dopiero,
Gdy czucie orlim wzbilo się już lotem,
A dusza, rajskim olśniona błyskotem,
Wiecznie z powszednią skłóciła się sferą.

„Jakżeś mię zdradził! Przebaczam ci przecie,
Tylko pobłogosław tyle,
Abym krok zrobił w owym rajskim świecie,
Abym pożył w nim choć chwilę
I choć z jednym wrócił listkiem,
Coby świadectwo późnym czasom złożył,
Zem i ja chwilę w owym świecie pożył;
Zdarz mi to, duchu — zapomnę o wszystkim!“

Długom tak błagał i błagał daremnie.
 Wówczas najstraszliwsze piekło,
 Bo piekło ducha, zajęło się we mnie
 I swym dymem myśl oblekło.
 Zewnątrz świat ludów nieżywy
 Otrupiał czucia, żary serca chłodził,
 A świat mój wewnętrzny, jak grób, larwy płodził
 I trwożył ziemię potwornymi dziwy.

Strzaskalem lirę — a bagnet chwycilem,
 Rozwinałem na śmierć skrzydła
 I nad ojczyzny trunę pośpieszyłem
 Rozbić grobu jej straszidła.
 — „W tę strunę zwichniona ręka
 Niech teraz zagra — mówiłem do siebie.
 — Wesprzyj mię, duchu, w tej tylko potrzebie:
 Będzie to moja ostatnia piosenka!“ —

Godzina siódma zagrała w zegarze,
 Wieczór pożarem się skrwawił —
 Upatrywałem śmierci mej w pożarze,
 A on poezję mi zjawiał.
 Z napisu była jej ręka,
 Głoski pałały, jak płomienne lonty:
 — „Siódma wleczorna, dwudziesty dziewiąty!
 Oto najlepsza z twych pieśni piosenka.“ —

O, tak — tej jednej, tej krótkiej piosenki,
 Nie oddam za przeszłość całą!
 Anielski duchu, dzięki tobie, dzięki!
 Przez ciebie grałem ją śmiało.
 Mniejsza dziś o wieńce wieszczów,
 O światy wieszczów i o ich rozkosze —
 O jedno tylko, o jedno cię proszę:
 Niechaj raz jeszcze tak zagram, raz jeszcze!

1833.

GEŚLARZ.

Ojczyzno! Ja twój — i twój ten kraj;
 Twój jest wróg, co mnie zagraża;
 Dajże mi przytułek, o, daj,
 Ocal twojego geślara!

Wiesz to dobrze, jak w owych dniach
 Zajrzałem wrogowi w oczy,
 Ze aż mu serce schwycił strach —
 Jak w ciągu walki, ochoczy,

I ochrzczony przez jego krew,
 Niosłem zawsze twą geśl śmiało —
 Jak śmiało wznosiłem mój śpiew
 Nad twoją krzywdą i chwałą.

Dziś znowu kat naszych dusz
 Wzmaga się przez nasze zbrodnie,
 Ostrzy na nas mszczący się nóż,
 Zapala zemsty pochodnię

I tropi z nią wiernych ci ślad
 Przez ziemię, poddaną sobie:
 Pod jego grozą gniew się świat —
 Nie mam przytułku, jak w tobie.

Miejże mię w opiece swej
 Do czasu — zaklinam ciebie
 Na twoją geśl, na pieśni jej,
 Zacerpnięte w twojem niebie!

Lada drzewko od kani zlej
 Liściem swem ptaszka osłoni —
 A jużbym nie mógł w ziemi mej
 Ujść mściwej wroga pogoni?

Ja, geślarz, nie dopuszczę rdzie
 Zgryść mej geśli strunkę biedną —

A tyż dopuścisz zniszczyć mnie,
Mnie, com twoją struną jedną?

Czym ja kiedy zagrać się bał
W zgiełku bojów, w grobów głuszy?
Czym ja nie ssał z ojcowskich ciał
Moją duszą twojej duszy?

O, ocal tę gęśl, ocal ją!
Cząstka ciebie w jej żywocie,
Przeszłych w niej plemion duchy są,
Co piastują przyszłych krocie.

Gdy zgaśnie ogień, co tu wre,
Niejedna gwiazdka, stworzona
Dla ciebie, przejdzie niebo twe
Nierozpalona, niepostrzeżona!

Kilka, o, kilka jeszcze dni —
Niechaj na przyszłość wyleję
Co mam ognia w duchu, we krwi —
Potem — mniejsza, że zniszczę.

Galicja, 1833 r.

BIADA NAM!

Nasze stoły lśnią wytworem,
Drogi w naszych szklach napitek;
Czy to rano, czy wieczorem
Nasze ciała tuczy zbytek,
A najlepsi w naszym rodzie
Po więzieniach schną o głódzie..
Biada nam, że dziś tyjemy!
Kiedys ciężko odpościmy.

Miękka nasza jest łóżnica,
Sypialnie nasze ogrzane —
Obok wdzięk świeżego lica,
Sny, pieszczotę przerywane,

A najlepsi w naszym domu
Chłodem więzień drżą na słomio...
Biada nam, że dziś tak śpimy!
Kiedys w bolach się zbudzimy.

My chodzimy wystrojeni,
Zagraniczną świecimy szatą —
Nam brylanty lśnią z pierścieni,
Zima ciepła nam, jak lato,
A najlepsi między nami
Obciążeni kajdanami..
Biada nam, gdy w mody zmianie
I nam ten się strój dostanie!

Dla nas świat dzisiejszy — cacko,
Jęk ojczyzny — czułe rymy;
Nasze życie miłą schadzką,
Gdzie śpiewamy, gdzie tańczymy,
A najlepsi w ręku katów
Mdleją pod razami batów.
Biada nam, gdy pod tem graniem
I my kiedys w taniec staniam!

My szaleństwem nazywamy
Śmierć na drodze poświęcenia —
My na palcach obliczamy
Wielkich myśli uniesienia,
A najlepsi wśród rodzeństwa
Liczą chwile przez męczeństwa.
Biada nam, gdy owe szaly
Wioną kiedys na świat cały!

Październik, 1833 r.

Z WIĘZIENIA.

Ściany kamienne dokoła,
W oknach zaporą potrójna,
Przy drzwiach, przy oknach, straż czujna;
Zdaje się, że duch anioła

Przemknąć się do mnie nie zdoła —
 A żelaza zimne, srogie
 Ujęły pierś, rękę, nogę —
 Powstać, ruszyć się nie mogę.

Myśli ducha wierzącego,
 Nie o tobież powiedziano:
 „Zechciej wiarą niezachwianą,
 A góry z miejsca swojego
 Wstaną i, gdzie chcesz, pobiegą?”
 A więc uderz całą duszą,
 A te zamki pęknać muszą,
 A te ściany wnet się skruszą!

Tutaj, w łona głębokości,
 Legło takie święte dzieło,
 Tak mocno serce ujęło;
 Tutaj taki dzień wolności,
 Dla mej ziemi taka chwala! —
 Uderz wiarą, myśli śmiała,
 A zmieni się ziemia cała!

Wraca, jak echo od głazu;
 Precz, niedołężna! Przepadnij!
 Toż to przebić mury snadniej?
 Toż snadniej myślą nakazu
 Odjąć zimny hart żelazu,
 Jak uczuciami prawem
 Wniknąć w serca polskiej ziemi?
 A ja byłem między niemi...

Cóż zyskały wiara, serce?
 Serce, wiarę nogą pchnęli,
 Trumnę Polski znów zamknęli —
 Zdusili, matki morderce,
 Jej życie w pierwszej iskierce.
 — „Niech jeszcze — były ich głosy —
 Kona pod carskimi ciosy;
 Tak chcą rachub nasze losy.”

O barbarzyńscy wróżbici!
 Czyliż wasza liczba trupia
 Tak już rozum wasz ogłupia,
 Tak wam płacze jego nici,
 Że wam sumień nie oświeci
 Boleść czterech naszych skonów,
 Siła polskich milionów
 I chwianie się wszystkich tronów!?

Lecz wy, tkliwi gospodarnie,
 Wy jedynie się troszczycie
 O krew braci, o ich życie,
 O bezpłodne ich męczarnie;
 Wy nie chcecie, aby marnie
 I przedwcześnie krew kochana,
 Krew polska była rozlana:
 Litość głupca lub szatana!

Gdy przez silne uderzenie
 Skrzepła krew serce osiada —
 Waszem zdaniem, nie wypada
 Przez jej cząstki upuszczenie
 Wrócić pół-martwemu technienie:
 Skoro krew żył nie obiega,
 Ciału czucie nie dolega —
 Mniejsza, że ciało zastyga.

Oto wasza mądrość tkliwa!
 O, przelitośni mędrkowicie,
 Czy wiadomo waszej głowie,
 Że, jak ludzkość jest krwią żywa,
 Tak krwią ze krwi się dobywa
 Wszelka myśl, która objawia
 Starego świata bezprawia,
 Wszelka myśl, co świat odnawia?

A wy w waszych głów obłądnie,
 Chcąc rachubami zimnemi
 Odwlec dzieło całej ziemi,
 Zahamować myśl w jej pędzie,

Wy, poddane jej narzędzie,
Wy sędzicie, że tak snadnie
Tę krew okraść, że przepadnie,
Co się z jej miary odkradnie?

O, w lichwie milionowej
Oddać wy kiedyś musicie,
Jeśli nie swe własne życie,
To dzieci, to wnuków głowy!
Krew ta, dla zbrodni ojcowej,
Złeje kiedyś ich rodziny!
Jak my winnych ojców syny,
Krwia dziś zmywamy ich winy —

Tak na waszych spocznie głowach
Zniweczona Polski sprawa,
Młodszych braci przyszłość krwawa
I dzisiejszy ród w okowach!
Ja, na moich czuciach, słowach
Własnym skonem pieczęć złożę,
A sądy rozstrzygą boże,
Kto był winien w naszym sporze.

Glinna pod Lwowem, 14 października 1833 r.

KRZYŻ-SZUBIENICA.¹

Krwawa ulewa chmurą zaćmienia
Słońce ludzkości obleka,
Opoka czasu drga chwilą rodzenia,
Pękł na dwoje ród człowieka,
Odkryta światu piekiel ciemnica:
Ludy, dzień się wasz przybliża!
Oto w promieniach świętego krzyża
Nowych wieków poprzednica
Podnosi się Krzyż-Szubienica —

¹⁾ Poezycy patryotyczne z tych lat nie były drukowane za życia poety. W r. 1833 rząd austriacki prześladował emigrantów więzieniem. Zwłaszcza po nieudanej wyprawie Żelińskiego liczne aresztowania dopełniały miary rozgoryczeń poety.

Na niej rozpięta ludzkość-ofiara
Wychyla kielich cierpienia.
Kilka chwil jeszcze — spełniona czara,
Spełniony czyn odkupienia,
I nowe niebo otworzy wiara.
Na twarz, narody, z pokłonem i śpiewem
Przed powtórnego odkupienia drzewem!
Z jego to szczytu rodzaj człowieczy,
Ukatowany dla świętej wiary,
Zmartwychpowstania rozwinie sztandary.
Nowem zbawieniem świat podoborzeczny,¹
Rykną wściekłością mocarze cieni,
Upadną prochem, na proch skruszeni.

Pieńcie się, króle, wściekajcie w obłądzie!
Wyście myśleli, że do boskiej sprawy
Przytknięte kary hańbiące narzędzie
Zbrudzi ją plamą niesławny,
Piętnem jej zagłady będzie!

Ośmnaście wieków temu,
Jak przed obliczem Salemu
Wzrosły trzy krzyże w podniebne krainy.
Zbrodniarze, waszych królów poprzednicy,
Winę, podobną do naszej winy,
Chcieli już wówczas wygładzić z ziemi
I przed świat cały wywiesić zhańbioną.
Dwa więc lotry zawieszono,
A między nimi myśl Boga wcieloną,
Wolność i Równość — Chrystusa przybili.
A że objawienia dzieło
Jeszcze w świętem sercu czuli,
Więc jeszcze serce przekłuli,
Aby do szczętu ze krwią wypłynęło.
I klaskali, i bluźnili,
Jak w zupełnego tryumfu chwili.
A Chrystus, bolejący nad tem zaślepieniem,
Modlił się temi myślami:

¹⁾ Wyrz staropolski = pobłogostawi,

„Ojcie niebieski! Z serca twej miłości
 Wziąłem ja ziarna wolności, równości
 I pod mądrości twojej powiewem
 Zasiałem w ludzkie umysły.
 Już ich korzenie w głębie serc się wcisły,
 Wkrótce objawią się drzewem
 I dadzą nowe nasiona.
 Spełnione moje posłanie.
 Dziś, gdyby wszystkie zginęły plemiona,
 Jeden, co żywy z ludzi pozostanie,
 Byle miał czucie Boga i duszy,
 Ten jeden przechowa zaród
 Niebieskiego drzewa.
 A ten obłąkany naród
 Mniema, o Panie, że twój krzew zagłuszy,
 Kiedy moją krew przelewa!
 Dziś każdy człowiek jest Twoją świątynią —
 Opuść im, Panie! Nie wiedzą, co czynią!“
 I krwi stygnącej resztką czarną
 Pokropił niebieskie ziarno
 I z ostatecznym życia wybuchem,
 Gdy ogień oczu gasł w śmierci popiele,
 Wstał w to ziarno boskim swym duchem
 I w niem się zamknął, jak w anielskim ciele.

Ośmnastu wieków zasłony
 Gęsto zbrodniami, śmami piekielnymi
 Kryły niebieskie ziarno synom ziemi:
 Odkryć je nasz wiek przeznaczony!
 Upadli na wznak mocarze cieni,
 Blaskiem świętego krzewu przerażeni.
 Oni myśleli, że pierś Chrystusowa,
 Zakrzepła śmiercią, wiecznym lodem zziębi
 Boskie wolności i równości słowa —
 A one, wieki przetrwawszy w serc głębi,
 Weszły dziś naraz w całych ludów sercach!
 Popłoch przesłiznął tylko po mordercach:
 Przyszli do zmysłów, a z nimi dni Chrysta.
 Pojrzyjcie tylko: jak wielka ziemia,

Wszędzie podobne dawnym męczeństwa,
 Prześladowania, piekiel szaleństwa —
 Po całej ziemi płynie krew czysta
 I w szubienicach boski płód rozplenia.
 Bo ziemia święta ziemi grzesznicy
 Przyjęła na siebie złości:
 Chrystus jawi się w ludzkości,
 A krzyż nowy — w szubienicy.
 Bo duch, co wiecznie ku Bogu płynie
 I ku niebiosom ród ludzki zbliża,
 Po wiekach, jakby po czasów drabinie,
 Na szubienicę wstał dzisiaj z krzyża
 I głosi ziemi wiarę objawioną,
 Nową, z szatańskich zasłon zewleczoną.

Nowe nam dzisiaj odkryły się nieba,
 Nowi ciemiężce, nowi męczennice,
 Nowe cierpienia, nowe nagród wieńce —
 Nowego godła nowej wierze trzeba.
 Trwaj ludzkości — męczennico!
 Twoja przyszłość — ubóstwienie.
 Tryumfuj, o Szubienico!
 Przez ciebie świata zbawienie.
 Jak krzyż Chrystusa, krwią poświęcony,
 Z narzędzia kary wznosił się nad korony,
 Tak ty, obmyta ludów posoką,
 Powleciesz trony wieczną pomroką.
 O, rozwiń prędzej nad świat odnowiony
 Zmartwychpowstania sztandary
 I przyjmij ludów pokłony,
 Siostrzo Krzyża nowej wiary!

UCZTA NA OBCZYŹNIE.

1.

Ucztujmy, bracia! Suty podwieczorek!
 Mamy chleb, ser, jest i mlęko.
 Dla ludzi z mięsa wygląda to dziko —
 Ale, kiedy pusty worek,

Kiedy się z nami kąskiem swym dzieli,
 Kiedy się z nami weseli
 Biedna szwajcarska rodzina —
 Ser za pieczeń będziemy mieli,
 Pić będziemy mleko na miejscu wina.

2.

Słuch w górę, bracia! Kogut Gallów śpiewa...
 Zapewne świta swoboda!...
 Cha, cha! Krew Gallów dla Gallów — nie woda.
 Ten śpiew do warsztatów wzywa.
 Frank, frank tam dzisiaj sercem i głową...
 Zresztą rocznicę Lipcową
 Niech oświecą fajerwerkiem —
 Mniejsza o Bastylję nową...
 Hej, zdrowie Gallów — szwajcarskim serkiem!

3.

Cóż to! Od Niemców i dymy i wrzawa!...
 Pewnie królów swych już młóca...
 Cha, cha! To Kanty i Hegle się kłóca,
 To w najlepsze wre rozprawa,
 Który systemat Germanów skupi...
 Niechaj bije się, kto głupi!
 Z kufla bucha ten wrzask dziarski,
 A ten dym z fajek się słupi!...
 Zdrowie Germanów! Jedz ser szwajcarski!

1833 r.

MARZENIA WIĘZŃA.¹

Więźnia nie dosięgnie oko,
 Bo w jego celi głąb cienia,
 Skuta potrójnym łańcuchem
 Drzewa, żelaza, kamienia;

¹) Wiersz ten i dalszy „Do uwięzionych“ dotyczy uwięzionych przez policję austriacką patryotów.

Więźnia nie dosłyszysz uchem,
 Bo go podnieśli wysoko
 Na rusztowaniu więzienia,
 Bo głos jego okowany,
 Jak ciało, w nieczule ściany —
 Ale czuciem, ale duchem
 Złamiesz ten łańcuch ceglany.
 Patrzaj, słuchaj duchem, czuciem:
 Oko zapadłe, twarz blada,
 Trup, szkielet — brząknął okuciem.
 Powstał, przyszedł pod okienko,
 Łzę przez kratę się wykrada,
 Trzęsie wyciągniętą ręką:
 „Wspomnijcie mnie, wspomóżcie mnie!
 Żle mi tutaj — tak mi tu źle,
 Że wy tego nie pojmiecie
 Na waszym tam białym świecie.“
 Ubiór zbrodnia ciałem drze,
 Robak nędzy dzień i noc żre —
 Głód i, gorsza niż głód, strawa,
 Katują żołądek próżny...
 O! przez męczenników prawa
 Błagam was, bracia, jałmużny!
 Polak, wszystko ja wytrzymam,
 Co Polak wytrwać powinien:
 Żadnej prośby do tych nie mam,
 Przed którymi jestem winien,
 Lecz cierpię — błagam, jak człowiek,
 O to, czem mi naród dłużny,
 O trochę polskiej jałmużny...”

...
 Łza nadziei spadła z powiek,
 Ochłodziła pożar krwi.
 Wzmógł się nadzieją: on wie,
 Że nie własne drobne cele
 Męczarnią więźnia płaci.

...
 Mało to, a jednak wiele
 Dla twoich rodaków — braci.
 Ten pan, bracie, zapominasz,

To twej ojczyzny luminarz:
 On tak jasny w oczach rządu,
 Że niech tylko wsparciem jakim
 Zetknie się z tobą, biedakiem,
 A natychmiast plama trądu
 Może paść na plemię sławy
 I skłócić go z dworem wiecznie.
 Niebezpiecznie, niedorzecznie
 Mieszać się jasnym w te sprawy:
 Zresztą dwuznaczna to sprawa.
 Mówią, że to coś zakrawa
 Na bunt tłumów włościańskich,
 Na zgubę majątków pańskich.
 Ten znów ulżył-by twej doli,
 Ale przemysł go niewoli
 Oszczędzać swojej sakiewki:
 Innemu, jak na toż, braknie
 Na nakład około roli —
 Tamten wciąż pragnie i łaknie —
 Temu codzień trzeba dziewczki —
 Ten za ledwo ma na karty —
 Ten znowu na miejscu datku
 Hojnie cię opatrzy w żarty
 Z egzaltacyi...

A w ostatku
 Tak przeklącie tych turm strzegą,
 Że i myśli nie każdego
 Aż do ich wnętrza dobiegą.

Więzień, jak czeka, — tak czeka.
 A dzień przez firanki drzewa
 Ledwie tak mętnie przecieka,
 Jak woda z kałuży trzewa —
 A ściana wciąż go ozięwa
 Zbójczą, niszczącą wilgocią,
 Z gadu owego dobrocią,
 Który łup swój lżą obmywa,
 Kiedy go w sztuki rozrywa.
 Nędza rośnie, ciało słabnie —
 Nadzieja spółczucia braci

Świeci coraz mnie powabnie —
 W coraz wietrzniejszej postaci —
 Nie przybywa wsparcie żadne.

Bracia znać nie usłyszeli,
 Ale kobiety, anieli,
 Polki, tak tkliwe, jak ładne,
 Dzielne, istne bohaterki:
 Dla ich dusz dosyć iskierki,
 Ażeby ogniem buchnęły,
 Choćby same w nim spłonęły,
 Gdy idzie o szlachetny czyn,
 Gdy cierpi prawy Polski syn.

Patrzę, słucham duchem, czuciem —
 Więzień się podniósł: twarz biała,
 Wzrok zgasły; brząknął okuciem,
 Ręce ku oknu rozkłada'
 I woła boleśnie z pod krat:
 „Polki, siostry, spomnijcie mnie!
 Ratujcie mnie! Tak długo mrę!
 Za cóż-em tak opuszczony?
 Kochanki, matki i żony,
 Jam także syn, kochanek, brat —
 Rodaczki, a już rodak wam!
 Co mnie dacie, to może dam
 I ja kiedyś waszym drogim.
 Błagam was Polaka głosem,
 Uratujcie mię przed srogim
 Samotnego skonu losem!
 Zobaczcie we własnem czuciu
 Całą okropność mej doli:
 Więdnać, gnić, niknąć w okuciu
 Nieznaczenie, skrycie, powoli,
 A na końcu zgasnąć z nędzy!
 O — sto śmierci jawnych prędjéj!
 Lepiej najhaniebniej zginąć,
 Byle przed ludem, przed słońcem,
 Byle duchem się rozplynać
 Pomędzy świadków tysiącem.“ —

I ot — przed łzawę spojrzenie
 Wypływa jasne widzenie,
 Kobiety-Polki nłuda —
 I zaczyna swoje cuda.
 Tysiąc ócz błysnęło łzami,
 A wszystkie dla więźnia były;
 Tysiąc ustek się paliły
 Wrzających uczuć płomieniami,
 Wszystkie za więźniem mówiły;
 Tysiąc wypieszczonych rączek
 W żebrzące ręce się mienia,
 Mroki więzienia promienia
 Deszczem zausznic, obrączek,
 Łańcuszków, pereł, brylantów,
 Gradem i śniegiem monety,
 To kurantów, to wolantów, —
 Wszystko to dziełem kobiety
 I wszystko dla polepszenia
 Losu ofiary więzienia...

Przyjdzie, więźniu, kres twej biedy,
 Przyjdzie pewno! Kiedyż? Wtedy,
 Gdy siostry-Polki zapomną
 Kobiecego abecadła,
 Gdy zapomną u zwierciadła
 Gniewać się na suknię skromną,
 Gdy w ich oczach pieniądz złoty
 Straci wszystkie swe przymioty,
 Gdy tańczyć nie zechcą nogi,
 Język w salonie szczebiotać,
 A serce i głowa trzpiotać,
 Gdy im zbrzydną Polski wrogi,
 Aż się im twój cień objawi
 Na posiedzeniu samotném
 Z przedmiotem serca zalotnym —
 Aż krwią twego serca skrwawi
 Ich herbaty tańczujące,
 Aż przemówi przez jęczące
 Dzieci, co im konać będą —
 A więc, gdy ciebie samego

Robaki śmierci obsiedą,
 Wtedy kres cierpienia twego!
 Oneż przecie takie czule! —
 Tak! Gdy mąż zamknie szkatułę
 I modnej sukni nie mają —
 Ach, a one tak pałają...!
 Czem? Do kogo? Na salonie,
 Gdy tancerz ściska za dłoń.
 Ktoż przecię w ostatniej wojnie
 Opatrywał nas tak hojnie
 Szarpkami, chorągiewkami,
 Galicyjskimi hrabiami
 I innemi gałgankami?
 Ktoż, jeżeli nie kobiety?
 Tak, dla chwalejącej gazety!
 Lekkie było poświęcenie,
 Póki narodowa chwała
 Na wyścigi im śpiewała,
 Dopóki pyszne marzenie:
 Ujrzyć na lubyh ramionach
 Szlify najmniej generała,
 Topiło w ludzących tonach
 Szepty słabości niewieściej.
 Gdzież się ten heroizm podział,
 Kiedy los ojczyznę odział,
 Jak kirem, dniami boleści,
 Grobowej ciszy i strachu —
 Kiedy na zwaliskach gmachu,
 Gdzie miały w odach pochwalnych
 Czarodziejsko jaśnieć kwitki
 Na datki, na poświęcenia
 Dla owej biednej ojczyzny,
 W miejscu łuków tryumfalnych
 Stały ciemne więzienia,
 Szubienice, lub kibitki,
 A kochankom tylko blizny?...

One z ogniem! Wielki Boże!
 A ta, z ogniem, ledwo może
 Objąć tym pożarem łona

(Oprócz siebie, gdzie jest cała
Rzeczywiście zatopiona)
Kochanka, czasami męża,
Rodziców, że część ich ciała —
Dzieci, że im swego dała
Kilku naraz, kiedy małe:
Na rodzinę już wyteża
Resztkę czucia — przez hold modzie
Kocha się niby w narodzie,
A jeżeli ceni chwałę...

„Ten twój obraz jest ohydny“ —
Rycerze wdzięków zakrzyczą.
„Cóż ci wiuen ten ród biedny,
Że z takiej żółci goryczą
Pastwisz się, a przez potwarze
Nad tem szlachetnem pogłowiem
Depcesz kwiat Polski — kobiety!“
Na to nie im nie odpowiem,
Tylko wskażę Karmelity,
Tylko ich więźniów im wskażę.

Bracia, siostry, współziomkowie!
Niech świat obcy, niech świat cały
Wyśpiewuje wam pochwały —
Więzień szyderstwem odpowie.
Mój byt dzisiejszy jest próbą
Na polskie uczucia wasze;
Kaźde światło ja zagaszę,
Które wam zapłonie chlubą.
Nie brzękiem skarżącej mowy,
Lecz widmem larwy grobowej,
Lecz ofiarą, w szpony kata
Rzuconą przez sąd Pilata,
Wpadnę w aureole wasze!

.
I ziemia oklask swój wstrzymaj,
Bo gaśnie przed jej oczyma
Wielkość, gdzie słabości niema.
Bo nie kupisz jej uczczenia

Za najświetniejsze spomnienia,
Zatarte obecnem, płaskiem.
Ludzkość mądra: nie nazywa
Iskier, które popiół skrywa,
Żyjącego ognia blaskiem!

1833.

DO BRACI POLAKÓW.

Nasze stoły lśnią wytworem,
Drogi w naszych szklach napitek;
Jak w południe, tak wieczorem,
Nasze ciała tuczy zbytek —
A najlepsi w naszym rodzie
Po więzieniach schną o głodzie.
Biada nam, że dziś tyjemy!
Kiedys ciężko odpościmy!

Miękka nasza jest łóżnica:
Strzegą jej komnaty cisze,
Rozkochanych ócz dziewica
Nieprzerwane sny kołysze —
A najlepsi w naszym domu
Po więzieniach drżą na słomie.
Biada śpiącym na los braci!
Kiedys wam pościelą kaci!

My chodzimy wystrojeni,
Zagraniczną świecimy szatą,
Lśni dyjament od pierścieni...
Nam wygodnie w zimę, w lato —
A najlepsi między nami
Ustrojeni kajdanami.
Biada wam, gdy w mody zmianie
Stryczek zacznie panowanie!

Dla nas świat dzisiejszy cacko,
Jak ojczyzny czule rymy;
Dla nas życie jest przechadzką,
My się śmiejemy, my tańczymy —
A najlepsi za rodziną
Pod knutami jęczą, giną!

Biada wam, gdy pod tem graniem
 Kiedyś i my w taniec staniam!
 My liczbami rozmierzamy
 Młodej ziemi uniesienie, —
 My szaleństwem nazywamy
 Śmierć, co niszczy poświęcenie —
 A najlepsi wśród rodzeństwa
 Liczą chwile przez męczeństwa.
 Biada wam, gdy owe szuły
 Wioną kiedyś na świat cały!...

DO UWIĘZIONYCH.

Ilekróć, bracia, dumać o was pocznę,
 Tyle się razy całe wnętrze moje
 Zmienia w więzienie posępne i mroczne,
 A myśl w mar waszych rozradza się roje.

I żyję śród was i cierpię wraz z wami —
 I wciąż was widzę, męczeńskie ofiary,
 Z waszemi ciałą i ducha mękami,
 Dzień i noc wobec cesarskiej poczwary.¹

A larwa wiecznie okiem sowy czuwa,
 Sępi szpon ostrzy i wiecznie nim grozi:
 Sen płoszy, pokarm jadę swym zatruiwa,
 W piersiach dech dławi, a w sercu krew mrozi.

Lecz w duszach waszych widzę ja anioła,
 Co was zasila śród więzień zgnilizny:
 Widzę ja gwiazdkę w śmach waszego czoła,
 Co wam przyświeca — przyszłością ojczyzny.

Strzeżcie jej, strzeżcie — bo dziś na tej ziemi
 Pustynia dla was, jak w próżni więzienia,
 Jakbyście między tysiącami temi
 Nie zostawili nawet i spomnienia!

¹⁾ Aluzya do herbu państwowego ze znakiem orła.

Ockną się czasem wasi krwią pokrewni,
 Wasi znajomi i bracia ziomkowie —
 Czasem ich wasze spomnienie rozrzewni,
 Lecz, jak brzęk słowa — i mija w czem słowie.

A inni? — Raczą mówić o was częściej,
 Nie, żeby duszą ogrzać was braterską,
 Ale, jak wszystko, co się nie poszczęści,
 Zabić swą klątwą, lub opluć szydersko.

O, stokroć razy lepiejby im było
 W nieprzebudzoną zapaść odrętwiałość!
 Więc im przebaczenie — i własnych dusz siłą
 Piastujcie w sobie męczeńską wytrwałość.

Nie odda przyszłość za całe ich życie,
 Za ich rozsądk, za wszystkie ich sławy
 Jednej godziny, którą przecierpicie
 W polskim wytrwaniu, dla ojczystej sprawy!

Nie odda przyszłość jednej takiej chwili
 Za ich byt cały w swobodzie, w dostatku,
 Choćby na wagę żony swe rzucili,
 Choćby swe dzieci rzucili w dodatkul

Ta chwila święta polskiego męczeńca,
 Gdy w grobie Polski wytrwa za swój naród,
 To narodowy klejnot z wieków wieńca,
 To wiekowego życia Polski zaród.

Galicja, 1834 r.

DO LUDU MOSKIEWSKIEGO.

Kiedy ludu mego gniew,
 Za cierpienia, za męczeństwo,
 Za wiekowy płacz, za krew
 Szle wam wciąż swoje przekleństwo —
 Kiedy głos ludzkości sam
 Miota swe obelgi wam,

Lub urąganiem szyderskiem
 Spodlenie wasze biczuje,
 Mszcząc się za praw swych zniewagę —
 Ja, Polak, ja mam odwagę,
 Ja, człowiek, powinność czuję
 Przemówić słowem braterskiem.

O, przeklęty czarci ród
 Waszych panów, waszych carów,
 Że zbydłęcił taki lud!
 Jakich-że to siłą czarów
 Ten zesłaniec piekła mógł,
 Gdy mu wrogiem człek i Bóg,
 Przetworzyć w ślepe morderce,
 W martwy knut dla bliźnich wolnych
 Ludzi, wolnymi być zdolnych,
 Zmienić w śmiertelnego wroga
 Sprawy ludów, sprawy Boga —
 Lud, co ma wiarę i serce?

Czemże nagradza was on?
 Pokażcie, coście zyskali
 Za tylu narodów skon,
 Za tyle ofiar z Moskali?
 Czy w obecnych dziejach cześć?
 Czy z przeszłości chlubną wieść?
 Może wasza Moskwa stara
 W szczęście większe dziś opływa? —
 Na to z podziemia wnętrzości
 Męczeńców waszej wolności
 Szyderczy głos się odzywa:
 — „Zostaliśmy psami cara.“ —

Synu Moskwy, zbudź się, zbudź!
 Pókiś ty siepaczem kata —
 W prawem sercu krewnych czuć,
 W człowieku nie znajdziesz brata;
 Na twej skroni larwę miej,
 Bo piętno, bo napis jej:
 „Pies carski“ — cały świat widzi.
 Nie wchodź do uczciwych koła,

Nie podnoś dumnego czoła,
 Bo oto lada godzina
 Może trysnąć wgardy ślina
 I twą bezczelność zawstydzi.

Nie chlub się ojczyzną twą,
 Jej wielkością, bojów chwałą,
 Lub poetów twoich czią:
 Pierwszy słuchacz krzyknieć śmiało:
 — „Stój, bezczelny chwalco, stój!
 Twa ojczyzna — to Car twój!
 Wielkość twojego narodu
 Jest na miarę carskiej pięty!
 Wasze dusze bohaterskie,
 To w zaprzęgu psy sybirskie,
 Którym pan ich dla zachęty
 Kawał ścierwa wiesza z przodu!

— „A poetów waszych duch
 Ledwo wzlata tak wysoko,
 Jak wysoko carski słuch,
 Jak wysoko carskie oko.
 Pieśni ich — pochlebstwa dym!
 U nóg carskich pełzać im!“ —
 Chwalny hymn późnej ludzkości,
 Byt duchowy w szczęściu ziomków,
 Błogosławieństwo potomków —
 To cel wielkiego człowieka,
 To szlachetne ludy czeka!
 Dla was niema tej przyszłości.

Myśl o was, jak trupią woń,
 Będą odganiać potomni;
 Spuszczą zaplonioną skroń,
 Ile razy was kto spomni:
 — „My nie mieli przodków, nie!“ —
 Rzekną, kryjąc wstydu łzę.
 Jak z serca śmiertelne grzechy,
 Wydrą wiek wasz z dziejów ziemi —
 Z przekleństwami bluźnierczemi

Zwalą waszych grobów głowy —
Zniszczą je, jak ślad zarazy,
Jak zbrodni, jak hańby cechy.

A gdy wznijdzie wielki dzień
Szczęścia ludów, ich swobody,
Gdy w jeden ludzkości pień
Zwiążą się wszystkie narody,
A kto zechce weń się wplęść,
Musi mieć świadectwa liść,
Jak walczył z powszechnym wrogiem,
By wywalczył szczęście wszystkim —
Wy jedni staniecie z listkiem,
Na którym palec niebieski
Krwą wypiekl: — „To lud moskiewski!
Knut jego wiara, car Bogiem.“ —

Zbudź się, synu Moskwy, zbudź!
Piętno siepacza zmyj z czoła,
Barwę kata z duszy zrzuć,
Wejdz do wolnych ludów koła —
Albo rzeknie przyszły czas
Palcem wytykając was:
— „Oto naród — ludów śmiecie!
W swych wiekach żył tylko chwilę —
Na męczęńców swych mogile
Ubóstwił swojego kata —
Jego sława — potrzask bata,
Podła zbrodnia — jego życie.“ —

Listopad 1831 r.

MARA OJCZYZNY.

Jakże ja czuję tę chwilę!
Ach, ja w tej chwili pół życia przeżyję.
Jak łaskotanie lekkiego całuska,
Jak uścisk, z lekka rzucony na szyję,
Tak lekko, tak lubo, tak mile,
Wieczorny powiew przy ustach się wije,
Włos rozwiewa, czoło muska.

Tu światła wiejskiej biesiadki,
A tam za liściem pełna twarz księżycy,
Jak igrająca ogniami krynica,
Blask swój przelewa i z poza drzew siatki
To perły, to blaszki, to kwiatki
Po ciemnej darni kobiercu rozprasza —
Tu zapala, tu przygasza.

A tu w czarodziejski wieniec
Wiążę się uczta przed myślą spojona;
Pięknych ócz ogień, świeżych ust rumieniec,
Dobrych serc urok, wdzięk wiejskiej swobody
I nęcą i kwitną i płoną —
Jakże uroczy ten wieczór pogody!
Jak łube to drobne grono!

Światłem, dźwiękiem i kadzidłem
Splynęły zmysły — już, już z ich powodzi
Rzadki gość serca, anioł szczęścia wschodzi,
I w tejsze chwili lodem skrzepły w łonie
I jasność i dźwięki i wonie, —
Anioł poczerlniał, skrył się zgasłem skrzydłem
I padł na twarz przed straszidłem.

Ach, to ona! Znów ona, blada,
Z martwą żrenicą, we krwi świeżej blizny!
Szczęście do piersi — ona za niem wpada,
Staje posępna, wznosi groźne pięście —
A uśmiech, a radość, a szczęście
Gasną, czarnieją, jak zmarle z trucizny!
To duch zabitej ojczyzny!

1834

MUZYKA WOJSKOWA.

Zachodni obłok już słońce ogarnia —
Dnia gasnącego ostatni płomyczek,
Pozaczepiany u Maryi wieżyczek,¹

¹) Wieża Maryacka w Krakowie.

Połyśka jeszcze, jak morska latarnia,
 Jak flaga blasku przed ciemności nawą,
 Na której wieczór młodzieńczego maja
 Żeglują w przystań Krakowskiego grodu.
 Pas topolowy i cienia i chłodu, ¹⁾
 Co serce miasta dokoła ogaja,
 Roi się ludem, wre swobodną wrzawą;
 Słychać przegrywek do pieśni dziękczynnej
 Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
 Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy
 Na nowo polskie zmartwychwstają niwy.
 I oto naraz zabrzmiała pieśń pełna,
 I pod tą polską, wojenną muzyką
 Lud się poruszył, jak morskich wód wełna: ²⁾
 Otwarte jego lice zapalało
 Życiem pół-polskiem, radością pół-dziką,
 I wnet wir tańca porwał rzeszę całą...
 Ciesz się, motłochu!

A z boków obrazu,
 Jak ogrodowe posągi z głazu,
 Stoi tłum inny, tłum w szatach świetnych.
 Jego lic radość ludu nie kala:
 Niemy, pół-skryty, trzyma się zdala.
 To motłoch drugi, motłoch szlachetnych.
 Ucichło granie, bębny zawrzały —
 I, jakby jedna bojowa dusza
 Weszła w tłum cały, pchnęła tłum cały...
 Tłum cały krokiem bojowym rusza —

Jak się tu oprzeć tej żywej fali?
 Porwany wspomnień i przeczuć szaleń,
 Sercem i nogą jej się poddałem;
 Płynąłem z tłumem duszą i ciałem —
 Panowie w miejscu zostali.

Do mnie, tu, bracie kowalu!
 Do mnie tu, bracie górалу!

¹⁾ Planty krakowskie.

²⁾ Wełna (ros. wołna) = fala.

Do mnie tu, barki żelazne,
 Serca wiary, boju pięście,
 Oblicza, surowe cnotą,
 Biednem odzieniem hołoto,
 Przeszła wielkość, przyszłe szczęście!
 Do mnie tu, ludu serdeczny!
 Ja brat tobie, ja twój wieczny!
 Stańmy o, tak, bok przy boku,
 Idźmy, o tak, krok do kroku —
 Tylko razem, tylko zgodnie,
 A, gdzie nam trzeba, zajdziem niezawodnie!

Panowie niech sobie stoją —
 Panowie z nami zmięsząć się boją;
 Oni się wstydzą zmięsząć się z nami,
 Ich suknie krwawy pot ludu plami.
 Ten okrzyk ludu, bijący ku niebu,
 Skamieniałemu ich sercu nieľuby;
 Oni w nim słyszą hasło swojej zguby,
 Niby podzwonne swojego pogrzebu.
 Chodźmy więc sami, własną mocni siłą!
 Cztery lat temu, kilkuset nas było,
 Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą
 I takim krokiem poszliśmy tak żwawo, —
 I wiele, wiele w świecie się zmieniło.
 Tylko tłum ludu, tylko tłum dzieci
 Leciał za nami, jak dzisiaj leci;
 Panowie wówczas, jak w tej oto chwili,
 Oczy i kroki od nas odwrócili —
 I dzisiaj — stoją, jak wtedy stali.
 My — idziemy dalej.

Kraków, 1. Maja 1835 r.

PÓLNOC KRAKOWSKA.

Swobodnie buja skrzydło nawaľnicy,
 Swobodnie, jakby po bezľudnym stepie,
 Śród gmachów, niegdysz stołecznego, grodu.
 Powietrze, ciężkie więzami narodu,
 Ciężko zaległo w całunowej krepie
 Piersi, tak wolnej przez wieki, stolicy.

Zegar Wawelu gra czasu muzyką;
 Dźwiękami jego wicher mąci dziko:
 Niejeden skona, nim ucha doleci!
 Lecz aż do duszy przeniknął dwunasty —
 I oto przeszłość powstała i leci
 Przed oczy ducha obłokiem zamieci.
 Rycerze, króle, niewiasty,
 W dziwnych, staroczesnych strojach,
 Ze swoją przeszłością całą,
 Lodem grobu skamieniałą,
 Suną się, roje po rojach:
 Rycerze, niewiasty,
 Brodacze, dzieci —
 Wszystko wirem się toczy
 Poprzed ducha oczy.
 Tu król koroną zaświeci,
 Tam gwizdnie hufiec husarów skrzydlasty
 Tu wpółrozkwitła spłonie twarz dziewicy,
 Tu groźne oko iskrzy z pod przyłbicy,
 Tu sejmujące koło się przetoczy,
 Tu trefniś bije w dzwonki i chychocze,
 A każdy groźnie zagładnie mi w oczy,
 Zagwiżdże w uszy to groźnie, to smutno
 I rozplynie się w pomroce
 Parą bałamutną.

Zmora przeszłości, zmora to przeszłości
 Schwyciła serce, zaległa duszę!...
 Tortury strachu, hańby katusze
 Na koło bólu wzięły wnętrzości,
 Porwały myśli w koło cierpienia —
 I udręczone myśli nie wytrwały:
 Spotniały krwawo i z ocz się polały
 Łzę, niepowszednia, trudną, jak z kamienia,
 Rzewną, bolącą, jak z głębi sumienia.

Płacz, płacz, duszo!
 W kolebce, co przez wieków tyle
 Huśtała życie tylu miljonów,

Nad którą czasy Piastów, Jagiellonów,
 Jak południowe paliły się chwile;
 W dziedzinie ojców, na łonie grodu,
 Gdzie blask i szczęście polskiego rodu
 Z upodobaniem odpoczywały,
 • Jako orły na piersiach ulubionej skały;
 U ogniska, z którego tyle się roilo
 Życia, światła, ruchu, wrzawy —
 Wlec dni tak ciemne, jak pod mogiłą,
 Dziedzicowi owej sławy,
 Owego życia, owej swobody
 Kryć się w podziemiach własnej zagrody,
 I wszędzie widzieć pęta niewoli,
 Patrzeć na tryumf przywłaszczycieli!...

Płacz, duszo moja, bez wstydu, do woli!
 Polak we własnej ojczyźnie tułaczem!
 Płacz, duszo moja, tem rzewniejszym płaczem
 Ze cały naród los ten ze mną dzieli.

Kraków, 24. Luty 1895 r.

PIEŚŃ WIARY.

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
 Ale wielka w nas potęga,
 Bo myśl ludu olbrzymiego,
 Bo olbrzymia dusza jego
 Nasze dusze w jedno sprzęga,
 Dusze i ciała sprzęga w boży mur.

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
 A wokół wrogów matnia —
 Ale woła zła z niezgodą
 Ich bezładne szyki wiodą —
 Ich sztandarem krzywdą bratnia:
 Skruszą się o nas, jak o twierdzy mur!

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
 Ale zewsząd brzmia nam głosy:

„Wy jesteście milionami,
Miłość milionów z wami,
Wasz cios milionów ciosy,
Piers milionów waszym piersiom mur!“

Mało nas, bracia — nieliczny nasz chór,
Ale naszej myśli rano
Dniem, jak świat, ogromnym pała:
Ludzkość cała, przyszłość cała
Naszem się dziedzictwem staną!
Nasz wzór dla wszystkich wieków ziemi wzór!
1839.

CZEŚĆ POŚMIERTNA SZYMONOWI KONARSKIEMU.¹⁾

Aniele Polski — co robisz wśród cieni,
Gdy śmierć snu leży na całym już Wilnie?
Co się wpatrujesz tak długo, tak pilnie
W tę krew, co bruki wileńskie czerwieni?
Ból ciężki jasne twoje skrzydła zwinął,
Stopy ku ziemi przytwierdził ołowiem,
Łzę promienistą żrenice zapłynął —
W końcu jęk głuchy rozległ się pustkowiem
Ulic milczących: tu upadł grom cara!
I jeszcze jedna dla Polski ofiara!

Bracie Konarski! Tobie się dostało
Paść tą ofiarą błagalną za braci:
Ciebie swym ciosem dosięgli jej kaci.
Skonałeś za kraj — upadło twe ciało,
Lecz tylko ciało: duch wzbił się nad ziemię —
Aż w świecie wyższym, bliższym Boga, stanie,
Gdzie szlachetniejszej pracy weźmiesz brzemień,
W bardziej niebieskie wejdiesz powołanie,

¹⁾ Szymon Konarski, schwytany na Litwie wśród roboty, przygotowującej nowe powstanie, rozstrzelany był w Wilnie 12 marca 1839 r. Emigranci, znajdujący się w Sztrasburgu, urządzili obchód na cześć rozstrzelanego — obchód ten miał miejsce 2 kwietnia tegoż roku, a autor przyłożył się do niego odczytaniem stosownego wiersza. (P. P.)

Skąd będziesz jaśniał w promienistszej szacie
Nad twoją Polską! Cześć, cześć tobie, bracie

Cóż stąd, że mało leż na twoim grobie,
Że zbójczym strzałem mało serc zadrzało?
Cóż ci to szkodzi, że bratnich serc mało
Żegna twą duszę bolesnem: — „Cześć tobie?“
Ty pracowałeś nie na dźwięk przelotny,
Twe serce biło nie tłumnych rąk biciem:
Po ciemnej drodze poszedłeś samotny
I własnem, skromnem nakryłeś się życiem:
Dziś się uśmiechasz nad tych zaślepieniem,
Co cię chcą splamić losów przewinieniem.

Wiecznie warczenie bluźnierstwa wtórzyło
Pieśniom wielbiącym nadziemskie zapaly;
Niech bluźnią! — Anioł narodowej chwały
Nie przejdzie niemy nad twoją mogiłą;
Chwilę twej śmierci, jak pomnik, poświęci —
Zawiesi na nim, jak wieniec, te słowa:
„On za lud umarł. Cześć jego pamięci!“
Wdzięczny lud wiecznie w sercu je przechowa
Będą je zdawać swoim wnukom dziady,
A czyste dusze będą iść w twe ślady.

Sztrasburg, 2. Kwietnia 1839 r.

OBCHÓD DOROCZNY 29. LISTOPADA.¹

Witam was, bracia — a witam boleścią,
Bo cień ojczyzny pośrodek nas wkroczył
I świat grobowy dokoła roztoczył.
Ta cisza jęczy jej cierpień powieścią;

W tym blasku dniowym widzę jasność smętną,
Jak jasność lampy, co oświeca groby;
Na wszystkich duszach widzę kir żaloby,
Na wszystkich czołach męczenników piętno.

¹⁾ Wiersz pod tym napisem czytany był na zebraniu, którem Towarzystwo Demokratyczne czciło doroczną pamiątką powstanie listopadowe. (P. P.)

A dalej, dalej, jak za bożym światem,
Rodzinna ziemia biedna, opuszczona
Nurza się, tonie w krwi własnego łona,
Drga w każdym członku pod zbestwionym katem

A my, do losu naszego przykuci,
Musimy słuchać i patrzeć bezwładnie,
Aż jęk ostatni z jej piersi wypadnie,
Aż wysileniem ostatniem się rzuci,

Aż pieśń zwycięską jej zbójca zanuci!
Wszystko to widzieć musimy i słyszeć,
I tylko zemstą tak nieczynną dyszeć,
Jak my bezsilni, losem naszym skuci.

Ciężki to smutek — o, nad biady biada,
W obliczu złego tak zostać bez mocy,
Bez żadnej gwiazdy zostać w takiej nocy!
Tu upaść duszy!... A jednak nie pada,

Bo mamy serca, a w nich miłość mamy.
Dopóki tu drga, dopóki tu gore,
Tę śmierć narodu miejmy za snu zmore,
A te ciemności za dnia jego plamy.

Tu życie nasze. Jak w Boga iskierce
Słońca bez liku żyją, jak w nasieniu, —
Tak leżą w naszej miłości płomieniu
Ziarna przyszłości: żyjem dziś przez serce.

W niem apostołstwo, w niem jest język ludu
Przezeń jest mądrym najmniej umiejętny,
Pojmie go każdy, choć najmniej pojętny,
A słowo serca stanie zamiast cudu.

Tu siła nasza — tu się tylko iści
Tajnia poświęceń — tu tylko czujemy
Radość anielską, kiedy się palamy
I wypalamy dla bliźnich korzyści.

Tu wszystko nasze. Żywmyż w naszym łonie
Te święte iskry, piastujmy je święcie:
Wszystko, co obce, co jest im na wstręcie,
Niech ustawiczną ofiarą w nich płonie —

A żar ten z czasem w płomień się rozmoże,
Zbliżonych piersi zapory odwali,
Serc miliony w jeden stos rozpali,
Powonie przez świat, jako technienie boże,

Ognistych deszczów przechyli się czarą,
Zasypie wroga zniszczenia perzyną
I stanie słońcem nad Polską dziedziną!
Żegnam was, bracia, miłością i wiarą.

Paryż 1841 r.

POŚLANIE UKRAINCIE.

Ukrainko, wdzięczność tobie,
Wdzięczność dla twojej piosenki!
Jak żebym w kochanym grobie
Znajome posłyszał jęki...

Ale boleśna pieśń twoja:
Jest ona więźnia jęczeniem.
A więc, Ukrainko moja,
Odśpiewam ci pocieszeniem.

Jak to ciężko, kogo pchnięto
Wiednąć między obcą rzeszą,
Komu od serca odjęto
Wszystko, czem się ludzie cieszą!

Jak to miło, komu wiara
Tyle napoju udzieli,
Że ze wspólnego puhara
I bliźniego rozweseli!

Paryż 1839.

ROZPACZ POLKI.

DUMA.

Noc świat odziała, gwiazdy nie świecą
Płynie wiatrami tuman wilgotny,
W polu, przy drodze tkwi krzyż samotny,
Stoi pod krzyżem młodzian z dziewicą.

Konik młodzieńca na bój porzyża,¹⁾
Serce młodzieńca na bój kołacze,
Łzami cichemi dziewczyna płacze,
Cichą boleścią żegna żołnierza:

— „Żegnam cię, luby! Jedź już, jedź sobie.
Ten krzyż, co dzisiaj nas błogosławi,
W każdej mi chwili twój los objawi.
Jeśli ty zginiesz, ja wiem, co zrobię.“ —

I wsteczną drogą znikli oboje —
Tylko krzyż został sam i milczący,
Wznosząc, jak ojciec błogosławiący,
Ściągnięte ku nim ramiona swoje.

Noc świat odziała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny —
W polu, przy drodze tkwi krzyż samotny,
Widać pod krzyżem postać kobiecą.

— „Droga bezludna, chaty dalekie,
Pustka wokoło, wokoło głusza;
Tak pusta, głucha i moja dusza —
Przyjmij mię, krzyżu, w twoją opiekę.

— „Jam taka sama! — Z owym wieczorem,
Kiedy się życie nasze rozdarło,
Wszystko mi na tym świecie umarło:
Całemu światu jestem upiorem.

¹⁾ Swobodna analogia do „porykiwać“, sformowana z czasownika „rżąć“.

— „Sen mię porzucił, mroczy się głowa,
Dusza, jak puszcza, co granic nie ma:
Nic nie urodzi, nic nie zatrzyma,
Lub, jak do grobu, wszystko pochowa.

— „W próżne me serce czy boleść jęknie,
Czy śmiech wesela zabrzmi uciechą —
Takie im dzikie odpowie echo,
Że swojej pustki samo się zleknie.

— „Wszystko mię smuci, wszystko mię nuży:
Niebo i ziemia — cichość i wrzawa;
Wszystko i zewsząd mówić się zdawa:
Ty taka sama, a świat tak duży!

— „Równie samotny, równie cierpiący,
Chryste, ty widzisz, jak mój duch boli;
Zlituj się, Chryste, mojej niedoli!
Strumień łez moich taki gorący!“ —

Twarz Boska inne rysy przybrała —
Czarną krew sączy głowa strzaskana,
Czarną krew sączy wśród piersi rana —
To twarz i postać lubego cała.

— „To on! — krzyknęła — A więc już zginął!
Dzięki ci, Chryste! Teraz ja zrobię,
Com ślubowała w rozstania dobie!“
Poszła — i ślad jej nocą zapłynął.

Mrocznych wieczorów przeszło niemało, —
Pod krzyż nie idzie nikt pokryjomu;
Dziewica znikła z rodziców domu,
Chrystus wie tylko, co się z nią stało.

Kłeska zamknęła Polaków boje,
Polski potęgą w świat rozpryskała —
Z ranami w duszy, z ranami ciała
Szli dwaj żołnierze w zagrody swoje.

Noc się spuszczała, gwiazdy nie świecą,
Płynie wiatrami tuman wilgotny —
W polu przy drodze tkwi krzyż samotny,
Pod krzyżem widać postać kobiecą.

Sparła na krzyżu strzaskane ciemię,
Białą sukienkę barwi krew skroni:
Wędrowcy chcieli przemówić do niej,
Postać pierzchnęła, poszła, jak w ziemię.

Był to duch tylko, szata niebianek —
Ciała jej szukaj na bitwy polu.
Tak Polce kończyć w serdecznym bólu,
Gdy za ojczyznę ginie kochanek.

Rok 1837.

CZARNE NATCHNIENIE.

Spłynęła przecię zgraja natrętna.
Jej gwar — muł wody, co zleciała z tam —
Wirem przepada w głębinach ucha —
Za chwilę cisza czyści się mętna
I głucho wokrag, jak przejście ducha;
Przecię sam jestem i spokojność mam.

Teraz mi zaświeć, duchowe słońce:
Gwiazdo natchnienia, czekam ciebie, wzniź!
W przepaściach ducha, na ducha niebie
Rajskich, piekielnych istot tysiące,
Martwe, bezbarwe czekają ciebie,
Ażeby mogły zmartwychwstać i żyć.

Tu, tu niech padnie pierwszy twój promień,
Gdzie trup ojczyzny, gdzie mogiła jej;
Czarny jej całun, a sen głęboki;
Nagrobnej lampy zbudź najprzód płomień,
Rzuć barwę życia na blade zwłoki,
W martwą ojczyznę życie najprzód wlej!

Wszak tyle razy, myśli natchniona,
Zmieniła ziemię iskry twojej moc!

Tam, gdzie się krocie wieków ugięło,
Tobie dość było jednego łona;
Zaświeć, a wieków spełnimy dzieło —
Zaświeć, a pierzchnie ludu mego noc!

Polska powstanie! Otóż i promień,
Otóż i słońca zupełny już krąg!
Z wielkiego grobu zdjął cienia larwę,
W nagrobnej lampie obudził płomień,
W umarłe zwłoki wlał życia barwę,
Poruszył pracą miliony rąk.

Polska żyć będzie! Żyć! — A dokoła
Patrz, jakie larwy otoczyły ją:
Tu pieśczołami dławiące głupstwo,
Tu żmija dumy złotego czoła,
Z trującym sercem tu samolubstwo —
A wszystkie, zjadłe, targają i żrą

Ciała i ducha zdrowe ostatki.
Krokodylemi dobijając łyzy.
Precz, precz z mej duszy, czarne natchnienie!
Cofnij twe światło z grobu mej matki;
Piekielne za niem wloką się cienie —
Ty duch zniszczenia — precz, aniele zły!

1834.

ZASŁONA ODDALENIA.

Krąg słońca do snu się toczy;
Ostatni blask jego uroczy,
Jak te pomiędzy strunami
Cichnącemi dźwięcznie echa,
Ubarwionemi chmurkami
Oku świata się uśmiecha.
Rodzina wzgórzów, w półkole
Na wschodnie niebo spuszczone,
Jak wielka wschodu osłona;
Tu wstęgą rozwija pole,
Tu szyby wieśniaczej złotem

Błyska, jak drogim klejnotem —
 Tam doły, półcieniem skryte,
 Tam ciemniej barwione laski
 Rzuca w tysiączne obrazki,
 Jak ręką sztuki uszyte;
 Gdzieniegdzie na szczycie wzgórze
 Samotna gęstwina drzewek,
 Których pnie toną dla oczu
 W czystej oddali przeźroczu.
 Ledwie tło niebios przychmurza —
 Jak obłoczek, jak wyziewek
 Nocy, gdy się z gór wynurza.

O, czarodziejski widoku!
 Żebym mógł skrzydłem ptaszyny
 Ulecieć w owe krainy —
 Duszałbym się w nich rozplynął,
 Jak blask po wzruszonym stoku,
 Jak łza uczucia po oku —
 Duszą-bym i ciałem zginął.

O, lepiej zostań z daleka:
 Biada, biada tego czeka,
 Kto pragnie, kto przymuszony
 Drzeć oddalenia zasłony!
 Złudzenie podwójnej twarzy
 Łatwiej, niśli światło, pryska:
 Zdala cudne — niechże z blizka
 Oko tknąć się je poważy —
 W tejsze chwili, jak przed dmuchem,
 Uleciało kwiatka puchem
 I w swych plecach widzieć dalo
 Szatańską ohydę całą.
 Tegom nie znał: tegom doznał,
 Gdym przeszłość w obecnem poznał.
 Wyrzucony na brzeg ziemi,
 Rozmarzony snem kołyski,
 Jakie słałem jej uściski!
 Bo przed oczami mojemu
 Tak cudnie leżała ona,
 Jak ta ze wzgórzów osłona.
 Wyspa w czasie oceanie

Świeciła memu spojrzeniu,
 Stępiącemu dali siłą,
 Przez młodzieńczych lat zaranie,
 W owej tęczy rozbarwieniu,
 Którą na obłokach brudnych
 Oko słońca zawiesiło...

Patrząc na ten smug barw cudnych,
 Na ten dziw najmiłszej zgody,
 Ach, któżby, któżby powiedział,
 Że to są lzy niepogody?
 I mnie przed myślą młodzieńczą
 Zawieszał podobną tęczę
 Przyszłe życie czasu przedział!
 Rajskie miało być ustronie,
 A w niem żywot pełny, cichy
 U ogniska własnej chatki —
 Wieńczyły je siwe skronie
 Zgrzybiałego ojca, matki —
 Rozpromieniały uśmiechy
 Żony, istoty anielskiej,
 Pustowało grono dzieł,
 Jak rzeka płynął dostatek —
 W oczach wdzięk przyrody sielskiej,
 W myślach pewność błogiej chwały.

Jak nad sercem, nad zagrodą,
 Jak pierś, jak nieba, leżały
 Ludy, szczęśliwe swobodą,
 Ziemia, nową duszą wielką:
 Wolna Polska-rodzicielka,
 Wolna, kwitnąca i wielka.
 Gdzież to wszystko? Cóż się stało
 Z marzeniami uciech sielskich,
 Z widziadłami sfer anielskich,
 Z Polską, ludami i chwałą?
 Z drogich serc kłębek zgnilizny,
 Matka, rodzina w żałobie,
 Świat w ucisku, Polska w grobie —
 A ja? — Tułacz śród ojczyzny!
 Dziś już i złudzeń zjawisko
 Nie wiesza zasłon na oku...

Wszystko nagie, wszystko blisko:
 Dziś mój żywot — to urwisko,
 Woda, ot, tego potoku —
 Urwisko jałowe, dzikie,
 Wieczna pastwa rwącej fali:
 Czy się na niem kwiat zapali,
 Czy skromna trawka uczepi,
 Brzeg się natychmiast odszczepi
 I leci w kipiącą rzekę —
 Ta łup chłonie i rwie dalej.

1831.

PRZY SADZENIU RÓŻ.

DO M. S.¹

Sadźmy, przyjacielu, różę!
 Długo jeszcze, długo światu
 Szumieć będą śnieżne burze:
 Sadźmy je przyszłemu latu!

My, wygnancy stron rodzinnych,
 Może już nie ujrzym kwiatu —
 A więc sadźmy je dla innych,
 Szczęśliwшему sadźmy światu!

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
 Gdzie idziemy — same głogi,
 Gdzieśmy przeszli — różę wzrosły;
 Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy! Gdy to znuży,
 Świat wiecznego wypocnienia
 Da nam milszy kwiat od róży:
 Łzy wdzięczności i spomnienia.

1831.

¹) Do Michała Szwejcera. Wiersz napisany w domu Tetmajerów w Mikołajowicach pod Tarnowem, gdzie poeta dłuższy czas bawił po wyemigrowaniu z Królestwa.

PIELGRZYMKA KRZYŻOWA.

Już to lat tyle idę i wlokę
 Duszę, krzyżem mym ciężarną —
 Przed sobą widzę kaźni opokę,
 Na niej — moją śmierć ofiarną.

Każdy spoczynek u mej Golgoty —
 Nowe stanowisko męki,
 A z duszy wiecznie, jak krwawe poty,
 Krwawe się leją piosenki.

Bo, gdzie przechodzę, kupią się zgraje:
 Ci mię sądzą godnym krzyża,
 Tamten bluźnierczy pokłon oddaje,
 Inny litością ubliża.

Znajdę-z ja kiedy serce łaskawe,
 Co mi moją twarz skrwawioną
 Obetrze i jej odbicie krwawe
 Skryje w kochające łono?

1831.

PROŚBA DO BURZY.

Zimowa burza we wściekłość się sili,
 Nieba pomrokiem, jak morzem, zaléwa,
 Śniegiem, jak śniegu potopem, w dół spływa,
 Olbrzymiem wichrów skrzydłem lasy chyli; —
 A ja sam stoję na pustem zameczysku,
 Wsparty o drzewo nierodzinne — stoję,
 Wlepiał wzrok w burzę i do wichrów pisku
 Pośród gałęzi mięszam skargi moje.

Grobowy liści uwiędłych szeleście!
 Burzo, co nieba zawiejami mroczysz!
 Szumie, co wichry nad lasami toczysz —
 Przynieście mojej duszy, o, przynieście
 Ten obraz z mojej przeszłości wiosnowej:
 Blask coraz tępszy w coraz mglistszym niebie,

Kiedym stał pośród śmilańskiej dąbrowy,
Jak dziś, słuchając — to burzy, to siebie.

Chmura, szumiąca nad głową, jak morze,
Biła w twarz śniegiem, jak morze pianami,
A tuż w gałęziach syczał stu żądłami
Wiatr, co drzewami grzechotał po borze —
A ja wesoly i szczęśliwy stałem,
Że w mroku burzy myśl świeciła mile,
Że w zgiełku burzy ciche serce miałem...
Wróć mi tę chwilę, burzo, wróć na chwilę!

1836.

KROPLA KOCHANKĄ SŁOŃCA.

Pochwycona z wód ojczystych
Okiem słońca miłosnego,
Kropla na skrzydłach promiennych, szklistych
Leci ku słońcu, śpiewa do niego:

— „Słońcu całą siebie niosę,
Rzucę wód rodzinnych gniazdo;
Słońce mi dało tę światłą kosę —
Jego spojrzanie robi mię gwiazdą.

„Wiem, że w mocnym skwarze zginę,
I w dół spadnę rosą skrzeplą:
Przecież ochoczo do słońca płynę,
Bo w słońcu tylko jasno i ciepło.“

„Jak swe wody ta kropelka,
Tak ja rzucam serca bliźnie.
Nic mi po ziemi, jak ziemia wielka —
A tylko dążę ku mej ojczyźnie.

W każdym kroku, z każdą chwilą
Zguba grozi mdłemu ciału —
Ja idę dalej, do tej, co tylko
Skrzydłem i wieńcem mego zapału.

— „Leć, kropelko — leć ku słońcu! —
Słońce z góry zawołało;
Zagaśniesz w sobie, błysniesz w tysiącu,
Znów będziesz jasna; leć dalej śmiało!“

Październik 1835.

TWÓRCZE CHWILE POETY.

Czy los, złowrogi bez przerwy,
Tak rozstroił umysł młody
Że tylko wiatr niepogody
Zdolny już grać — tylko nerwy?
O, gdy chmura niebo kryje,
Jak zboleły wzrok powieka —
Kiedy samotny wiatr wyje,
Jak jęcząca pieśń daleka,
Dla mnie wtedy pełne życie
I wylewa się obficie.
Potężny nadziemską mocą,
Otoczony zewsząd nocą,
Trzymam wielowładne dłonie
Na świecie roboty własnej:
Serce tam, jak słońce, płonie
W gwiazdzie ni ciemnej, ni jasnej,
Jak słońce przez pól w zaćmieniu —
A ja na tle tego blasku
Maluję nowe plemiona,
Obce całemu stworzeniu,
Mego tylko wynalazku...
Może być, że pomysł boży
Coś podobnego gdzieś tworzy,
A ziemia później wykona...

1834.

UNIEWINNIE NIE POETY.

O moi bracia! Wam się nie podoba,
Żem wybudował poezyi bożyszczu
Świątynię, w której kapłanem żaloba,

A płomień śmierci na ofiarnem zgłiszczu —
 Że samą uczuć krwiałych się szkaradę,
 Jako obiatę, na jej ołtarz kładę?

Szermiecie na mnie, że po jej sklepieniach
 Ustawna burza mroczy się lub błyska;
 Że dzięki tylko wiatry brzmia w jej pieniach,
 Że w niej okropność i nieład, zwaliska,
 Że się w niej roją same grobów larwy,
 Że w jej obrazach same czarne barwy?

Bracia, usiądźcie w stuletnich drzew mroku,
 Gdy ziemia zamknieienne swoje życie
 W podwójnym nocy i burzy obłoku;
 Posiedźcie chwilę — cóż tam zobaczycie,
 Choć ziemia geniusz, geniusz w całej sile,
 Co umie tworzyć rozlicznie i mile?

Za całą światłość — z gęstwiny powicia
 Błyszczą ci czasem sowy oczy kocie —
 A ruch jedyny, jedyny znak życia,
 Nietoperz w cichym przewinie się locie,
 Albo ciężkiego podskoku ropucha
 Głuchym tętentem przerwie nudę ucha.

Rozpalcież słońce, a w tejsamej stronie
 Co barw, co kształtów, co dźwięków, co tonów
 We mgnieniu oka ozwie się, zapłonie!
 O, póki ciemne słońce milionów,
 Póty, o bracia, niech mię nikt nie wini,
 Że tak ponuro w mych uczuć świątyni...

1834.

POTOK ŻYCIA.

Dowoli jużes, dowoli,
 Burzliwa moich dni rzeko,
 Ryczała wicherów muzyką,
 Niszczyła kwiaty mej doli —
 Stój, potoku mój,
 Cichem źródłem stój!

Tu takie lube ustronie,
 Tu wieniec uczuć tak rzadki,
 Tu lica świeże, jak kwiatki —
 Aniołem każdy wzrok płonie —
 Stój, potoku mój,
 Cichem źródłem stój!

Tam, dalej o krok, o chwilę,
 Znów może burza cię spieni,
 Znów może krew cię zrumieni,
 Tam może znikniesz w mogile —
 Stój, potoku mój,
 Cichem źródłem stój!

A wkoło braci tysiące
 Bez kraju, rodzin, swobody,
 Jak kwiaty w puszczech bez wody,
 Schylają czoła więdące! —
 Nie czas ciszy chcieć:
 Leć, potoku, leć!

1834.

DO DZIECI.

W IMIONNIKU.

Bywają wichry tak straszne czasem,
 Że, jak się zerwą, jak pójda lasem,
 Drzewa największe z korzenia zwałą;
 Lecz dzieci lasu, drzewiny drobne,
 Małe i słabe, do was podobne,
 Między staremi co padły z falą,
 Rosną w nowy las spokojnie.

Dzieci — wy wiecie o wojnie:
 Wojna to burza, przed którą naród,
 Jak las, upada; wy lasu zaród,
 Wy drobne drzewka — a my, o dzieci,
 My, starsi wiekiem, my, co walczymy,
 Niech, co chce, będzie, my was skryjemy,
 Jak ten bór stary, co od burz leci.
 Rośnij, rośnij, drobny rodzie,
 W ciszy, szczęściu i swobodzie.

Oby pamiątka czasów dzisiejszych
Przeszła nam kiedyś, jak sen lat mniejszych,
A ja, co dla was te słowa piszę,
Obym mógł chociaż na stare lata
Ścisnąć was z sercem starszego brata
I śmiało wyrzec: „Już mamy ciszę!”

1893.

ŚWIAT NOWY.

WIERSZ, DANY W UPOMINKU EWELINIE CH...¹

— „To przecie potop nie wszystko schłonał,
To świat nie cały przecie utonął,
I bije życiem zniszczenia łono.“ —
Tak się cieszyła korabiu rodzina,
Gdy jej przyniosła korabiu ptaszyna
Gałązkę, wśród fal potopu uszczknioną.

I my potopem klęsk kołatani —
I my też mamy gońców przystani,
Szczęśliwszej wróżby mamy godziny,
Co przypomnieniem, jak tęcza, jaśnieją,
A, oskrzydłone wiarą i nadzieją,
Pędzą nasz korab w zbawienia krainy.
Blizka ta chwila, wszystko nam wróży,
Kiedy świat nowy wypłynie z burzy,
Kiedy zakwitną wieki pogody,
A czas, co dzisiaj tylko się nam wdzięczy
Milem życzeniem — roztoczy się w tęczy
Wiecznego życia i wiecznej swobody!

1892.

DOBRE POLKI.

Gdy nad nocnym wędrowcem zerwie się szaruga
I widmami obłędu krąży po drożynie,
O, jak wdzięczna ta gwiazda, co we chmur szczelinie
Na zbląkanego okiem Opatrzności mruga!

¹) Zapewne do Eweliny Chabowskiej z Ukrainy, siostry Zenona, kolegi poety, który również emigrował do Galicji.

Szlachetne, czyste dusze! Wy, jak gwiazda druga,
Wschodzicie na burzliwej naszych dni dziedzinie
I świecicie pielgrzymom... Lecz ta chwila minie
Tam, w dali! Noc tak chmurna, wędrówka tak długa!

Tam znów nam zgaśnie światło waszego spojrzenia,
I nic nam nie zostanie, nic, oprócz spomnienia,
Co promieniem dusz waszych, jak braskiem zachodnim,

Śród nocy naszych przygód będzie wiecznie świtać.
Gdybyż ten blask zachodni spłynął się ze wschodnim
I, jak nas dzisiaj żegna, mógł kiedyś powitać!

1892.

BRZOZA I ŹRÓDŁO.

Brzózko w zielonym zawoju,
Co tam w twoim gra warkoczu?
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Co tam patrzy z twoich oczu?

Myślałem, o drzewko kasne,
Że to brzęczy głos milego —
Myślałem, o źródło jasne,
Że to błyszczy oko jego.

Brzózko w zielonym zawoju,
Wiatr gra ci po warkoczu;
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Gwiazda patrzy z twoich oczu.

Nie! To on, to on, daleko,
Wspomnił sobie, że tu miła,
I swoje oczy tą rzeką —
Serce — wiatrem tym przysyła.

Brzózko w zielonym zawoju,
Trzymaj wietrzyk ten w warkoczu!
Zwierciadlany, czysty zdroju,
Nie wypędzaj gwiazdy z oczu!

Bo co noc wiernie i skrycie
Biedna przyjdzie tu dzieweczyna
I spyta, a wy powiecie:
„Żyje, żyje i wspomina.“

1892.

DO GRAJĄCEJ.

Graj, nie przestawaj, przez Boga!
 Patrz, jak się huśta wiatr na drzew warkoczach,
 Jak dzień omdlewa w zachodu przeźrocach
 Przy twojem graniu, o droga!

Patrz, jak zorza się wpatruje,
 Jak po tej ścianie tańczą jej płomyki!
 Graj, graj, o droga! Urok twej muzyki
 Ziemię i niebo czaruje —

Cóż dopiero serce moje?
 O, gdybyś mogła dojrzeć w łona toni,
 Kiedy pod wolą twej uroczej dłoni
 Harmonijne trysną zdroje!

Opryskany, odurzony
 Powodnią dźwięków, wnet przy pierwszej nucie
 Tracę słuch, oczy, wszystkie zmysły, czucie —
 Cały rozlewam się w tony,

W dźwięczną, zachwycenia lezkę,
 Nie widzę świata, nie pojmuję siebie —
 Duch się rozprasza w sny, co krążą w niebie —
 Myślę przez mary niebieskie.

Żądze, nadzieje, spomnienia,
 Zgieklliwe boje, dumania odludki,
 Czyste lzy szczęścia, wyjaśnione smutki,
 Proste lat dziecińczych pienia,

W lubyh zasłonach przecucie,
 Wonne powietrze rodzinnej krainy,
 Pierwszej miłości rozkosze i winy —
 Wszystko, wszystko w jednej nucie!

I ty, ty, czarnoksiężnico,
 Jak widmo z ognia pośród tych uroków;

Wkrąg ciebie dźwięki, jak kłęby obłoków:
 Przelatują błyskawicą,

A ty we słonecznem ciele
 Na mojem sercu trzymasz dźwięczną rękę
 I wciąż całego roztapiasz w piosenkę!
 Graj tak wiecznie, mój aniele!

1834.

POKUSA.

Było to już w północ ciemną:
 Tylko o ścianę od kochanki spałem.
 Właśnie mnie budzi złe jakieś marzenie,
 I wraz słyszę jej westchnienie,
 Jakiegom w życiu nie słyszał całem —
 A po niem: „Boże, zlituj się nade mną!”

Wypowiedzieć nie mam siły,
 Czem były te słów kilka wśród westchnienia.
 Najkrwawsza walka wśród piersi niewieściej,
 Tryumf najsroźszej boleści,
 Z przepaści serca wybuch cierpienia,
 Kłątwa rozpaczy, piosnka z pod mogiły,

Na zbrojnej rozkoszy rękę
 Cnota, mdlejąca pośród szyderstw świata,
 Powódź łez krwawych w prośbie niesłuchanej,
 Pożar żądzy niezalanej,
 Raju dziewicy wieczna utrata —
 To wszystko było w tych słowach, w tym jęku.

Czart, zda się, ogniem zadyszał
 I myślom błysnął, kiedy to wyrzekła.
 Śmiertelnej walki konwulsyjne bole,
 Najbrzydszą życia niedolę,
 Odmalowane ogniami piekła,
 Ujrzałem w chwili, kiedy to usłyszała.

Więc zawołałem gorącej,
 Niż kiedykolwiek modlitwą tajemną:

„Ta, co tak cierpieć i przecierpieć zdoła,
Musi mieć czystość anioła!
Lecz ty, Boże, miej litość nade mną,
Bym westchnień takich już nie słyszał więcej!”

1834.

WŁOSY KOCHANKI.

TLUMACZENIE Z PARNEGO.

Aslego piękna! Czy nad tumany
Zorza podnosi skronie świtania,
Oko me pada na twój włos kochany —
Czy zazdrośnica dnia promiennego,
Noc, nas gwiazdzistym rąbkiem osłania —
Usta me na twych włosach, Aslego!

Król mówił do mnie: „Mam ja, Isnelu.
Córę przede mną, dziwo pieścizoty:
Jej strzał do sarny nie chybi celu —
Lira jej miła, a ptasie głosy.
Idź! Ona przyjmie twoje załoty!...”
Jam pocałował Aslegi włosy.

Widziałem Rismę. Toczona szyja
Promieni bielą w czarnych warkoczach,
Świeżym się pączkiem wargi rozwija —
Miłość z jej czoła zadumanego,
Z westchnień przemawia, miłość w jej oczach —
A jam całował twój włos, Aslego!

Raz zadrzemałem. Dziewczę nadobne
Nad mem wezgłowiem schyla oblicze —
Jej tchnienie woni kwiatów podobne:
„To ja, młodzieńcze kraju obcego,
Przynoszę tobie serce dziewicze!...”
Jam pocałował twój włos, Aslego!

1835.

PIEŚŃ NA CZATACH.

(Z PARNEGO).

Gwizdaj, o wietrze, gwizdaj przez tę dziczą,
Trzymaj w czuwaniu me oko strażnicze!

Wilki zgłodniałe, wyście w głębi borów,
Mętne potoki, grzmijcie po opokach,
Krajcie powietrze, strzały meteorów,
Hukajcie, sowy, w głuchych nocy mrokach!
Gwizdaj, o wietrze, i t. d.

Noc! A ty sama i tęskna, o droga!
Marząc pieścizoty, czekasz mię, wpół naga,
Na każdy szelest pośpieszasz do proga —
Spocznij, kochanko! Wokrag noc i flaga.
Gwizdaj, o wietrze, i t. d.

Krople mgły zimnej włos ci uperliły,
Drobną śnieg pruszy: pole nim pobladło!
Spocznij, kochanko! Spocznij, a sen miły
Ześle w twój uścisk kochanka widziadło.

Gwizdaj, o wietrze, gwizdaj przez tę dziczą,
Trzymaj w czuwaniu me oko strażnicze!

1835.

PIEŚŃ GODOWA.

(Z PARNEGO).

Pijcie, śpiewajcie, dzielni Skandynawi!
Zaczem zwycięstwo nowe da bóg świeży.
Pijcie, śpiewajcie! Mężny rad się bawi,
Uczta pokrzepia rycerzy.

Darmo winujem bogi o złą wolę,
Darmo się skarżym na daną nam dolę!
Czegoż chce jeszcze miły niebu lud,
Gdy ma żelazo, kochanie i miód?

Pijcie, śpiewajcie, i t. d.

Niech żyją nasze młode kochanice
 I ich powaby i ich obietnice,
 Lube pieszczoty, nawet dasy ich
 A ich imiona skryjcie w sercach swych!
 Pijcie, śpiewajcie, i t. d.

Teraz uczcijmy naszymi czarami
 Tych, co polegli pod wrogów ciosami:
 Cześć wam i pamięć! U Odyna, tam,
 Na wieki mieszkac, biesiadować wam!
 Pijcie, śpiewajcie, dzielni Skandynawi!
 Zaczem zwycięstwo nowe da bój świeży;
 Pijcie, śpiewajcie! Mężny rad się bawi,
 Uczta pokrzepia rycerzy.

1835.

DO WYŚNIONEJ KOCHANKI.

Kiedym był jeszcze w latach dziecinnych,
 I sny tęsknoty w przeszłość mię gnały,
 Wiecznych mi śniegów kraj się uśmiechał —
 Leciałem duszą w podniebne skały;
 Ja nie widziałem, żem wzdychał
 Do twoich krain rodzinnych.

Kiedym się palił młodości latem,
 Burzami serca do snu hułtany,
 Marzyłem ciągle jakąś pustynię,
 Gdziebym, spieczony, upracowany,
 Zamieszkał dziką jaskinią
 I żył cicho, jak za światem.

Jakże się prędko te sny sprawdziły!
 Tułacz ja dzisiaj, światu nie żyję,
 Błądzą po ziemi, jak po jaskini —
 Jak sklep ze skały, niebo mię kryje,
 I tylko spokój pustyni
 Pożądany mnie i miły.

Ale i ową gwiazdeczkę jasną,
 Co te sny złotą rąbiła tkanką,
 Wyśniłem sobie w zaświatnej dziczy:
 Ciebie wyśniłem, moja kochanko!
 Świeć-że mi, duchu strażniczy,
 Świeć, póki oczy nie zgasań!

1834.

DOBRYDZIEŃ!

Dobry dzień tobie! Już gaj szeleszcze
 Tehnieniem poranku — góry się złocą
 Ogniem poranku — ptaki szczebiocą
 Słońcu dobry dzień! Czy ty śpisz jeszcze?

Dobry dzień tobie! Już ziemia wstała,
 Patrz, jaka piękna w szacie porannej;
 Jak żeby wyszła z kąpieli szklanej,
 Taką świeżością i blaskiem pała!

Dobry dzień tobie! Patrzaj, już oto
 Na oknie twojem gore obsłonka,
 Jak sieć ognista z promieni słońka —
 A ty śpisz jeszcze, moja pieszczoto!

Cóż stąd, że ziemia, że świat się budzi!
 Trzebaż dlatego jej sen przerywać?
 Ona za wszystkich może spoczywać,
 Bo ona czuje za wszystkich ludzi.

1834.

DZIEŃ ROZKOSZY.

Co za dzień, o moja droga —
 Chyba w twojem oku piękniej!
 Oto klękam — i ty klęknij,
 I wychwalmy miłość Boga,
 Że nas takim dniem obdarzył,
 Że na nowo nas skojarzył!

Gdym cię rzucić miał, gdym rzucił,
Żem umierał, mnie się zdało,
Boś mi duszą, ja twe ciało;
Dziś do życia znowu-m wrócił.
Dzięki Bogu, dzięki tobie,
Było to tylko pół-grobie.

Dzisiaj cały świat piękniejszy,
Mocniej żyje i promieni;
Młoda wiosna przy jesieni,
Przy wieczorajszym dzień dzisiejszy;
Tylko nasze serca razem
Są takiego dnia obrazem.

Gdyby Bóg w me usta włożył
Siłę nowych dni tworzenia —
Po dniu siódmym odpocznienia
Dzień rozkoszy jabym stworzył
Na wieczystą pamięć chwili,
Któraśmy dziś tu przeżyli.

1834.

GWIAZDY NIEZAPOMINKI.

Piękny, luby jest ten kwiatek,
Bo go rączka twoje zerwały;
Drogi dla mnie, bo twój datek,
Ależ nietrwały, ależ nietrwały!
My przysięgli, moja duszo,
Że się będziemy kochać do grobu,
I pamiątki więc być muszą
Trwalsze, niż kwiatek, trwalsze dla obu.
Tam, o luba, tam na niebie
Niezapominków łąka nam gore:
Tam dla siebie i dla ciebie
Wieczny, jak niebo, datek wybiorę:
Te dwie gwiazdy, te jaskrawsze,
Co, jak małżeństwo, ciągle przy sobie,
Dla nas będą, dla nas zawsze:

Jedną ja wezmę, drugą dam tobie.
Nas na ziemi los rozdzieli —
Nic nie rozdzieli gwiazdek na niebie:
Wnich będziemy się widzieli,
Okiem ich będziem patrzeć na siebie.
Takie kwiaty kwitną jasno:
Barwy, co z nieba nigdy nie zbledną,
Kwitną oczom, gdy te zgasną.
Naszym, ach, duszom kwieć się będą! —
Czuje prawdę słów dziełwica,
Chociaż gwiazdeczki zgasły w obłoku.
Gwiazdy zgasły, lecz przyświeca
Ciału na ustach, miłość na oku.

1834.

KOCHANKA DUCHA.

Jakiegoż to dziełem cudu
I przez jaką łaskę Boga
Mogła się począć perła tak droga
W tem morzu błota, w tej konsze brudn,
Ten anioł z niebios poety
W wątych powłokach kobiety?
Co za oko mego ducha!
Jak się tu nie podnieść w dumie!
Szła niewidzialna w śmiertelnym tłumie,
Skryta dla oka, skryta dla ucha —
I przeszlaby ducha krokiem,
A jam ujrzał ją mem okiem.

Zgadłem ją — ona mnie zgadła:
Ledwo płomienny obłoczek
Ofiary serca dosięgł jej oczek —
Zwinęła polot, w duszę mi padła;
Odtąd duszą duszy mojej,
Odtąd nic nas nie rozdzieli.

1834.

MODLITWA KOCHANKI.

Moja luba gdy ciszę upatrzy dokoła,
To ulgi na kochanie szuka w świętych stronie:
Ukłęka przed obrazem, załamuje dłonie,
Podnosi czarne oczy i śpiewem aniola:

„Matko bołości, matko miłości! — zawoła, —
Przez te miecze cierpienia, co tkwią w twoim łonie,
Przez ukochanie syna, co z twoich ocz płonie
Ostudź ten żar, któremu pierś już nie podoła!

Ratuj mię, matko bólu, jak miłości matka...“
Jam nadszedł i dokończył modlitwę przerwana:
„Zdarz, niech te prośby drugą potrzebą się staną!!!“

— „Jakże tam nasze modły i miłości matka?“ —
Zapytałem niedawno z uśmiechem kochaną.
— „Ach, wysłuchano — rzecze — lecz tylko ostatka!“

1831.

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się, o luba! Sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w której wiecznie się rozstaniem.
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem
W zegarze naszych losów będą bić kolejną.

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Stępią się blaski spojrzeń próżnym wyglądanem,
Przygasną ust płomienie maryl całowaniem,
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją!

Nie! Przestań, przestań płakać! Mam jeszcze sposoby
Z moich słów, z twego łkania piosenkę złożymy.
Skoro zechcesz mię ujrzyć, zanuć płaczu rymy!

Choćbym grobów był więźniem, muszą pęknać groby.
Co ja gadam, szalony? Marzę, jak z choroby!
Tem lepiej, że się tracąc — i rozum tracimy.

1834.

RĘKOJMIA WIERNOŚCI.

O najmiłsza! Nie prorokuj,
Że ciebie kochać kiedyś przestanę;
Mało ci tajnie mych uczuć znane,
Że wpuszczasz w siebie taki niepokój.

Moja miłość nie wyrasta,
Skąd rośnie tyle innych powszednich:
Ona nie żyje z tych pieśszcót biednych,
Którymi darzy lada niewiasta,

Ani ową rozkosz zwykłą
Na dnię twych piersi przeczuło serce.
Nie — moje oko w twego iskierce
Ducha poznało, ducha przenikło.

Ja znalazłem w duszy twojej
Połowę własnej, w niebie zgubioną,
Znalazłem całą, tylko z osłoną
Czystszą, piękniejszą, niżli na mojej.

Ja ciebie kocham dlatego,
Że w każdej chwili tak mię rozumiesz,
Że wtedy nawet pojąć mię umiesz,
Kiedym zagadką dla mnie samego.

U mnie jeszcze w sercu radość,
A już jej blaskiem skrzy oko twoje;
Ja jeszcze z troską prowadzę boje,
A tyś już rauna, zdradza cię bladeść.

W twórczych chwilach wyobraźni
Jej widma często dla mnie uleca,
A ty je chwytasz — i z ciebie świecą
Dla mnie samego żywiej, wyraźniej.

Dwie zgodne struny nas dwoje:
Kiedyśmy razem — to gramy pięknie,

W nie pójdzie druga, gdy jedna pęknie.
Wiecznie już, wiecznie być nam we dwoje!
1834.

OBRAZ KOCHANKI.

Ja tak mej lubej obrazem się pieszczę,
Tak dla niej myśli, czucia, wszystko moje,
Ze, co tylko mają wieszczę
Barw, dźwięków, ognia, to wszystko przyswoję
I obraz mojej kochanki przystroję.

Potem na szczycie wieków go umieszczę,
A moją miłość, jak ofiarny wianek,
Wokoło niego zawieszę —
I wieczność przetrwam, zawsze, jak kochanek
Najuroczniejszej z pomiędzy ziemianek —

I wiekom będzie ku czci i pociesze
Bożyszcze mego serdecznego wianka:
Przyszłość nie zdoła już wybić
Drugiego wzoru, jak moja niebianka;
Wieki ją będę czcić sercem kochanka.

Pojrzyjcie tylko na mej lubej kibić:
Nie jest to wasza powszednia kobieta,
Co, choć smukła, wybujała,
Jednakże widać, że się ziemi chwytą:
Moja kochanka, jak płomyk — wykwita,

Moja kochanka, jak słoneczna strzała,
Która się łamie wieczystym odskokiem
Ku swojej gwiazdy koronie —
Zda się za każdym ulatywać krokiem,
Zda się być jasnym, powietrznym obłokiem.

Moja kochanka rumieńcem nie płonie,
Ale jej ciała białość promieniająca
Jest tego blasku przeźroczem,

Którymby dusza, z rozkoszy mdlejąca,
Oblokła ciało pokrewne miesiąca.

Moja kochanka tym czarnym warkoczem
I tą żrenicą płomienistą, dużą
Zdradza ziemskie nawałnice,
Które w jej serce biją wnętrzną burzą
I które może wkrótce ją rozburzą.

Chcesz-li to dojrzeć? Wpatrz się w jej żrenice:
Tam to, długimi zasnuła rzęsami,
Świata cię boleść rozżali,
Boleść, takimi powleczone łzami,
Jak łzy anioła, któryby żył z nami.

Ale nie zbliżaj ust swych do koralu,
Co gaszą białe ząbków promienie —
Bo tam, stamtąd zieją żary.
Ciche, nęcące, niby kwiatów tchnienie,
Pałące, wieczne, jako potępienie!

Moja kochanka — do wdzięków bez miary,
Ma jeszcze jeden urok nieczównany:
Pieszczoty miłosnej czary.
Wierzcie mi, komu ten urok jest znany,
Ten wie na ziemi, co to być z niebiany.

1834.

DO DUMNEJ.

Chcesz mię uśmiechem tryumfu dotłoczyć!
Zawczasie! — Taki uśmiech nie zwycięża.
Długo się jeszcze walka musi toczyć,
Jeżeli pierwsza nie złożysz oręża.

W czymże moc twoja? Pieniądz, przodków rzędy,
Piękność, jej berło nad zgapioną zgrają,
A nadewszystko drobne niewiast względy?
Krocie to mają, więcej, niż ty, mają.

Jednakżeś zbrojna — jam także okryty,
I mnie i tobie zda się trudna klęska:
Lecz z tobą tylko przynęty kobiety,
Ze mną moc męża, ze mną godność męska.

Mój oręż — razem uzbrojenie moje:
Natrzeć, czy odbić — to on równo sprawi;
W tysiącnym miejscu przełamie twą zbroję,
A twemu cięciu wszędzie się zastawi.

Czemże mię zranisz? Może, wszystkim hojna,
Piękne twe oko zdejmiesz tylko ze mnie?
Skarb to niemały — bądź jednak spokojna,
Na pierwszej drodze mam go — i daremnie.

Podobny zamach łatwo się odeprze:
Wszystko, czemkolwiek drożycie się, panie,
Za tańszą cenę i najczęściej lepsze,
Kto zechce, wszędzie i zawsze dostanie.

Może nadzieją wezmiesz mię w niewolę?
Jeśli się poddam — któż swe szczęście zgadnie —
Może i na mnie w wielbicieli gronie
Miłość i uścisk bożyszcza upadnie?

O, póki piękność do kruszcu się wdzięczy,
Nie zginiem z głodu pieszczoty niewieściej!
Lecz szczerłość, czystość! A któż nam zaręczy
Że taka, jak ty, szczerzej, czystiej pieści,

Niż...? Jeśli wreszcie żyjemy złudzeniem,
Jeśli koniecznie kupić je musimy —
Nie płacmyż, przebóg, czasem i cierpieniem!
Dajmy, co warto — znajmy, co bierzemy!

Więc mną pogardzisz! — Ha, pogarda przecie
Zada śmierć dumie! — Nie, bo, komu widno,
Jak mnie, co jedna cześć na waszym świecie,
Ten łatwo zniesie waszą wzgardę sztydą.

Tak! Bezskutecznie wyczerpiesz moc swoją.
Uśmniech szyderstwa, gniewu wzrok niechętny,
Nętę przymień — złamię jedną zbroję,
Będę na wszystko zimny, obojętny

I dumny — ale naówczas dopiero,
Kiedy się rzeczesz twej broni niewieściej,
Bym z niej miał pomnik, zem mógł prawdą
szczerą

Zwalczyć kobietę i przyjść do jej cześci.

1834.

DO...

Kocham ciebie, mój aniele —
I taką mocą kochania,
Że dumne serce temu się nie wzbrania,
Że, jak do cnoty, przyznaje się śmieć!

Ja kocham — i mówię śmiało:
Kocham ciebie, mój aniele!
Ja, co przed laty, przede dni niewiele
Zniszczyłbym serce, gdyby kochać chciało!

Jakże spadła moja pycha!
Jakaż siła w twej pokorze!
Mnie, com niedawno burzył się, jak morze,
Panuje teraz jedna gwiazda cicha!...

Widzę po oczach ukośnych,
Słyszę w pokątym uśmiechu,
Jeden drugiemu podaje po cichu:
— „Patrzcie! Szaleniec płomieni miłośnych!“ —

Nie! Mój rozsądek, o miła,
Tak jasny, jak oko twoje,
A w całej duszy tak błogie pokoje,
Jak żeby twemi uśmiechami żyła.

Znikł mi w tobie ród niewieści;
Ty zostałeś przy tulaczu

Świątą kropelką anielskiego płaczu,
Co leczy duszę z czyścowych boleści.

1834.

USTROŃ PIESZCZOTY.

Wietrzyk z miłym szumem płynie,
Kładną się pod wiatrem trawki,
W gęstwie wabią się turkawki,
Słowik wabi ku gęstwinie.

Siądźmy tutaj; tu tak mile!
Odpocznijmy na tej trawce,
Przysłuchajmy się turkawce
I popieśmy się przez chwilę!

Może ócz się moich wstydzisz?
To powieką je zasłonię,
Oddech nawet wstrzymam w łonie,
Nibym omdlał, ot tak! Widzisz?

Nie broń się od tej zabawki,
Bo nie zawsze, bo nie wszędzie
Czas i miejsce pieśczot będzie,
Świeży wietrzyk, wonne trawki...

Bo nie zawsze, bo nie wszędzie
Znajdzie się takie ustronie —
O, i nie w każdego łonie
Czysty, jak tu, ogień będzie!

1833.

DO TRZYDZIESTOLETNIJ.

Chodź tu, chodź tu, moja miła,
I twarz w twarz, łono do łona —
Niech żar, niech uścisku siła
Twe usta, twą pierś przekona,
Żeś jeszcze kobieta.

Zaprzecza ten południowi,
Jego spieki i jasności —
Nie zna ten kobiet, kto mówi,
Że twój wiek nie do miłości,
Że nie do pieśczoty.

Każdy wdzięk twojego ciała
To kwiat w zupełnym rozkwicie;
W twojem sercu miłość pała,
Jak na letnich niebios szczycie
Słońce południowe.

Z ciebie rozkosz się wylęwa,
Jak pełna w brzegach swych woda;
Twój całunek się rozplywa,
Jako dojrziała jagoda,
Upałem nabrzmiała.

Niech inni, wzięci ponętą
Róży w pączku, niech ją gonia,
A ja wolę rozwiniętą:
Rozwiniętej barwą, wonią
Będę się napawał.

Rzuć więc na twe lata skargę,
Chodź śmiało w moje ramiona —
A żar, co pali mą wargę
Twą wargą, ten cię przekona,
Żeś jeszcze kobieta!

1833.

TEŚKNOTA DZIEWICZA.

Rośnij, mój kwiateczku,
W słońcu, w okieneczku!
Wszak wodą czyściutką
Zlewam cię co ranku...
Rośnijże prędziutko,
Rośnij, mój kochanku!

Ach, już to dni tyle
 Patrę w ciebie mile,
 Wyglądam kwitnienia —
 I darmo się łudzę!
 Kwiatku, czyś z kamienia?
 Już się z tobą nudzę.

Wezmę dwie koszulki,
 Pójdę do babulki:
 Dobra to staruszka,
 Bo mamie co lata
 Przynosi do łóżka
 To siostrę, to brata.

Daruję babulce
 Po jednej koszulce
 Każdemu wnuczku —
 Ona mię uprzejmie
 Obok usadowi,
 Za szyję obejmie.

— Daj mi, babuleńko,
 Laleczkę maleńką,
 Tylko niech ma nóżkę
 Ażeby biegała,
 Tylko niech ma buzię,
 Żeby całowała.

Przy kwiatku już nudy,
 Z kwiatkiem próżne trudy;
 Radam, bardzo rada,
 Kiedy rozkwitniony —
 Lecz kwiatek opada
 I już mi stracony.

Babunia przystanie,
 Da mi całowanie,
 Da mi całowanie
 I laleczkę z ciała,

Żeby na kolanie
 Huścić kogo miała.

Lulu na kolanku!
 Lulu, mój kochanku!
 Czemuż, gdy cię pieścę,
 Patrzysz, a nie czujesz?
 I twe ustka jeszcze
 Zimne, gdy całujesz!

Lulu na kolanku!
 Póki, mój kochanku,
 Zreniczką palącą
 Nie popatrzysz we mnie,
 Póki mię gorąco
 Nie ściśniesz wzajemnie.

Mądre a dziecinne,
 Wrzące a niewinne
 Tak dziewczę nuciło —
 Nagle w sarnim skoku
 Spłonilo się, skryło;
 Ktoś podsłuchał z boku.

A ludzie mówili,
 Że po pewnej chwili
 Lalka, jakiej chciała,
 Choć nie z jej kolanek,
 Mile w nią patrzała.
 Był to już kochanek.

1832.

MAZURKA W KŁOPOCIE.

Sosnowy bór szumi, pies wyje u wrótek —
 I bór się zasmucił i pies się zasmucił.
 Mój chłopiec mię rzucił,
 Zostawił mi smutek.

Wziął kosę i poszedł za lasy rodzinne
I, biedny, gdzieś błądzi cudzymi krajami,
Gdzie Niemcy już sami,
Gdzie słońce już inne.

Ksiądz ze mszą wychodzi, ja krzyżem do ziemi:
„O Boże, o Boże! — w głos wołam do Boga —
Gdzie naszych jest droga?
Polecę za niemi!”

Mać, gdy to posłyszysz, ofuknie mię z góry:
„Czyś rozum straciła! Iść między lud obcy!
Tam wydrwią cię chłopcy,
Tam już nie Mazury.”

Po śmierci duch, mówią, gdzie zechce, tam lata:
O Boże, o Boże! Uwolnij mię z ciała,
A będę leciała
Za moim wzdłuż świata!

Mać to posłyszała — znów hałas po domu:
„O dziewczko, o dziewczko! Gdzieś rozum podziała?
Dla ludzi trza ciała,
Co po duszy komu!”

Ja siadam i płaczę — aż mać się zasmuci:
„No, utul się, dziewczko! Bóg wesprze nas w biędzie:
Wnet Francuz tu przydzie,
To i twój powróci.”

Mikołajowice r. 1831.

DZIEWCZYNA W STRAPIENIU.

Przelotna chmurka dżdży zwolna,
Kwiat mokry główkę swą skłania,
Po stawie rybka swawolna
Za bąbelkami ugania,

A dziewczę — serdeczną sprzeczką
Uciecha i żalność mącą:

To igra z płochą rybeczką,
To płacze z trawką płaczącą.

Nieboga, to się zasmuci,
Ze Jasia pod broń jej wzięli,
To znów pomyśli, że wróci,
I jak rybka się weseli.

Powionął wietrzyk pogody,
Obłok przepasał się tęczą,
Rybka skryła się w głąb wody,
Łzy deszczu kwiatka nie męczą.

A dziewczę nie zna odmiany:
Póki nie wróci się miły,
Radość — smutek — na przemiany
Będą jej serce drażniły.

1831.

SKRZYPEK NA KSIĘŻYCU.

Nie uwierzycie, kochani moi,
Jak ona rada się pieści,
Jak niezrównany jej dowcip niewieści,
Kiedy, chcąc pieśzczot, wydać się z tem boi.
Jednego — pomnę — letniego wieczora
Siedzimy sobie tylko we dwoje.
Jakieś głębokiej zadumy zmora
Spadła na oczy i myśli moje,
I zapomniałem — przyznam się szczerze —
Żem miał kochankę przy boku.
Nad nami księżyc w całym uroku
Jaśniał na czystym szafirze,
Przed nami obszar cudnej okolicy,
Oblany nocy miesięcznej ogniami,
Leżał w tem pierwszym drzemaniu dziewczycy,
Które niekiedy drga miłości snami;
Alem ja na nic nie dawał baczenia,
Aż mię jej głosik wyrwał z zamyślenia.

„Śliczna noc! — rzece moje dziewczątko;
Ale śliczniejszy ten krąg księżycowy.

Ty nie wiesz, luby — on mi jest pamiątką
Ważnej, o, bardzo ważnej rozmowy.

Znałam ją pewną dobrą staruszkę,
Głośną w naszych stronach wrózkę.

Byliśmy, jak dziś jesteśmy, sami —
Jak dziś goniłam księżyc oczami,

Bo od dzieciństwa mojego
Dziwniem lubiła, nie wiedząc, dlaczego

Patrzeć się w jego obłoczek.

„W co się tak patrzysz, panienko!“

Przemówiła do mnie wróżka.

„W twoich oczkach cała duszka,

Jak żeby przez to nieba okienko

Śmiał się aniołek do twoich oczek.“

„To prawda, matko; ciekawam, co znaczą

Te niby chmurki w księżycy szybcie?“

„Różni różnie to tłumacza,

Ale mądrsi powiadają,

Że to jest człowiek i trzyma skrzypce.“ —

„Grająż te skrzypce?“ — „A jakże, grają.“ —

„Jakbym ja rada słyszeć to granie!“ —

„Ty już je słyszysz, moje kochanie,
Tylko, że jeszcze nie znasz się na niem.

Wszak prawda, lubisz noc taką jasną,

I przebyłabyś całą niespaniem,

Dopóki oczy księżycy nie zgasną?

Tobie się zdaje, że blask promyka,

Że świeżość nocy twą duszę drażni —

A to tych skrzypców muzyka.

Później posłyszysz wyraźniej.“ —

„O matko moja, kiedyż-to będzie?“ —

„Kiedy noc taka, jak, ot, ta nadejdzie,

A ty siądziesz do księżycy,

A przy tobie chłopiec siądzie,

A w chłopczyny tego lica

Ten z księżycy skrzypek wejdzie,

A chłopiec w ogniu, w milczeniu

Wciśnie swe usta między dłonie twoje,

A ty mu głowę oprzesz na ramieniu,
A będzie to poeta — wówczas, dziecię moje,
Zrozumiesz księżycy granie,

Bo skrzypek z księżycy
Będzie — będzie przy tobie tuż!“

Lube dziewicze zmieszanie

Zgłuszyło ostatnie słowa.

„I jakże? — rzekłem — staruszki gadanie

Czy się już sprawdziło?“ — „Już...“

Z cicha wyjękła... i kochana głowa

Zwiśła na mojem ramieniu...

Jam cały stanął w płomieniu,

Schwycił jej obie dłonie w milczeniu,

Weisnął w nie usta — i takeśmy dalej

Skrzypców księżycy słuchali.

1836.

MAŁŻEŃSTWO.

O małżeństwie raz myślałem

I takie widzenie miałem:

Ujrzałem kogoś nad sobą,

Czy szatana, czy anioła,

Tego i dziś nie wiem zgoła;

Jaśniał on duchów ozdoba,

Bujał eterów powiewem,

Lecz w blasku, bijącym z niego,

Było coś groźnie chmurnego,

A przemawiał gniewnym śpiewem:

„Jestem aniołem nadziemskiej sławy; —

Widzę cię pod ziemi mocą;

Chcesz się upłatać w związek nieprawy —

Przybywam z wyższą pomocą.

„Kogo do wyższych trudów obarcza

Opatrzność natchnieniem świętem,

Taki sam sobie niechaj wystarcza,

Dla tego żona jest pętem.

„Całej on ziemi ma być małżonkiem;
A w miejscu kapłana, chwała
Święconym w niebie wieków pierścieniem
Byt jego z czasem skowała.

„Jemu świat cały rodziną strzecha,
Dziećmi całe pokolenia;
W chwilach niemocy jego pociechą
Pochwalne ludzkości pienia.

„Czy ty wezwanie moje pojmujesz,
Czy pojmujesz byt tak wielki?
Mów, czy ty w sobie dość siły czujesz
Być oceanem z kropelki?“

Tak mi nucił anioł chwały,
Blaskiem eteru oblany,
A eteryczne bałwany
Nad ziemią go kołysały.
Słuchałem go duszą całą:
Rwał mię czasem ducha zapął,
Ale, gdym się w głowę drapał,
Kłopotał, poczułem ciało —
Więc mu rzekłem: „Duchu sławy!

Ty, jak duch, widzisz, czujesz nasze sprawy,
Z wyżyny ducha w nasz padół poglądasz
I w tworach z ciała duchy widzieć żądasz.
Chmury eteru wznoszą cię nad nami:
Ja, gdybym zechciał z ludzkimi głowami
Nogi me zrównać — do góry nogami
Musiałbym stanąć lub ludzi przewrócić;
I tak i owak musiałbym skłócić
Porządek ludzki! Przebac mi, aniele!
Lecz ten Bóg, który ciało natchnął duszą,
Zamknąwszy duszę w niedołącznym ciele,
Sprawił, że wspólnie postępować muszą
W doczesnych sprawach wspólnego istnienia,
Ażebym błogo tak duszy, jak ciału
Przeszło to życie, nim chwila rozdziału
Wskaże im wyższą sferę połączenia;

A do tej chwili — tak przynajmniej sędzę —
Wszystkie, czy ciała, czy też ducha żądze,
Skoro oddzielna korzyść jest ich celem,
Skoro na zgodę wzgląd nie przewodniczy —
Ludzkość pomiędzy szaleństwa policzy,
A będą zbrodnią tam, przed Stworzycielem!

Gdyby to było wolno i podobna
Dobiedz do niebios każdemu z osobna,
Bóg byłby tylko jedną pleć utworzył,
Z jednej płci byłby rodzaj ludzki mnożył.
A że tak nie jest, więc prosty rozsądek
Każe szanować, jaki jest, porządek,
Każe i w żonie widzieć wsparcie boże,
Bo, co mi ciężkie, dwom lżejsze być może.
Tak ja rozumiem. Chyba z czasów zmianą
Ludzie mniej ludźmi, niż są dziś, zostaną.
Nim to nastąpi, z potrzeb człowieczeństwa
I ducha będę wzdychał do małżeństwa —
A jeśli Bóg niem dni mych nie uświęci,
Ha — moja wina — ale nie brak chęci.“

1836.

ZMARTWYCHWSTANIE.

1.

Za latami biegną lata,
Coraz cięższa chłosta klęski:
Rośnie w przemoc wróg zwycięski —
Coraz głębiej w grób nas wgniata;
A świat burzą grzmi dokoła,
Lada chwila hukną gromy,
Wstanie anioł nasz widomy
I w wojenny róg zawoła.

2.

Błyśnie nowe ludów znamię,
Myśli bożej zmartwychwstanie;
Boże ozwie się wezwanie:
„Czuwaj, wszelki duch i ramię!“

A więc wszelkie nienawiści
Na stos, na stos poświęcenia!
W piekło wszelkie przywłaszczenia —
Stańmy z ludem, duszą czyści!

3.

Dumą panów z serca złożmy,
Żal za winy zmieńmy w czyny,
Z rozprószonej mdłej rodziny
W wielki naród się rozmnożmy —
Zmieńmy się na jedno plemię,
Technące jednym bożym duchem
I zbratanych serc łańcuchem
Zwiążmy całą ojców ziemię!

4.

O, znijdź, znijdź nam, twórcze Słowo,
A powstanem zmartwychwstałi,
Nowi, jak z potopu fali,
Wyszedł świat z postacią nową —
A z dziewięciu wieków cieni
Nad olbrzymem znów Łomnickim
Błyśnie niebo dniem lechickim
I trzy morza opromieni!

Paryż 1839 r.

POEZJA SZATAŃSKA.

Była to chwila straszliwa —
Jeszcze mię jej strach przeszywa!
Nie daj, Boże, do niej wrócić,
Kiedym się w piekło chciał rzucić
Przez jedną chwilę próżności,
Gniewu na świat, niemilości,
Przez zerwanie z wyższym światem,
A, niby w czystym pragnieniu,
Popędzić świat ku zbawieniu
Chociażby piekielnym batem!

Szczerze opowiem rzecz całą
Dla przestrogi drugich w części,
Bo, co wtedy mnie spotkało,
Zdarza się łatwiej i częściej,
Niżby się zrazu zdawało.

Gdym raz głębiej, niż zwyczajnie,
Badał człowieczeństwa tajnie
I myślami je przenikał
I zmysłami je dotykał —
Gdy obraz jego widomie
Stanął mi w całym ogromie —
Taką-m zobaczył nikczemność
W duchu i życiu ludzkości,
Taką śmierć i taką ciemność,
A dla śmierci, dla ciemności
Tyle w człowieku miłości,
Tak silny na złe kierunek,
Tak próżny wszelki ratunek
W prawdach, z wysoka podanych,
Odpartych lub mordowanych,
Tak zniszczone czyste czucia
W tej atmosferze zepsucia —
Żem już nie widział sposobu,
Aby na dnie tego grobu
Prawe życie się zbudziło,
Chyba pod nieprawą siłą.
Gdym się w tajnie te zagłębiał
W rosnącym do ludzi wstręcie —
Zły zaduch i mnie oziębiał,
Sam znalazłem się w zamęcie:
Wyszła ze mnie święta siła
Ofiary pokornej, cichej,
A moc nieczysta wstąpiła
Nienawiści, wgardy, pychy!
Nie można niebem — więc trzeba
Pokonać piekło bez nieba! —
I, tym opętany szaleń,
W żółci i dumie wołałem:
— „Duchu zły, czarcie, szatanie,
Słuchaj — stawaj na wezwanie,

Najplugawszy z najplugawszych,
 O ty, samych piekieł zmazo!
 Klnę ciebie całą obrazą
 Słów zelżywych, krzywd najkrwawszych —
 Przybywaj, szatanie, czarcie!
 Potrzebne mi twoje wsparcie.
 Ha, jesteś! Słuchaj, przeklęty!
 Ja podzielał twoje wstręty
 Do rodzaju człowieczego:
 Zbrzydł mi ten ród światła lichy,
 Nudzi mię stan jego cichy.
 Ja chcę zmieszać spokój jego
 Tem, co lubi: biczem pychy!
 Ja pragnę zatrząść, ja muszę,
 Aż do głębi, wszystkie dusze!
 Ale chorągiew ich wiary
 To łachman dla nich za stary;
 Ich cnoty takie powszednie,
 Ich miłości — takie brednie,
 Że się nic z tego wszystkiego
 Nie zda do zamiaru mego.
 Mnie potrzeba tego świata,
 Gdzie najnieczystszy szatani
 Przez całej przeszłości lata
 Znosili sprośność stworzenia,
 Jak do plugastwa otchłani:
 Tam będę szukał natchnienia!
 Tam zaczerpnę i pokażę
 Niewidziane dotąd rzeczy;
 Brynę niemi ludziom w twarze,
 By się z nich rodzaj człowieczy
 Czyścił w wieki najpóźniejsze,
 Jak z plam, wypalonych trądem,
 Jak z krwi, skażonej nierządem.
 Ludzkość do kości obnażę,
 Przedrę się aż do jej śpiku —
 I, co jest najbezpieczniejsze
 W najnieczystszy jej tajniku,
 Tem będę oczy jej mazał,
 Aby się taką ujrzała,

Jaką nikt jej nie pokazał,
 Aby zawołać musiała:
 „Oto poeta, któremu
 Równego dotąd nie było
 W okropnościach, w bezecznościach
 Chwała i przekleństwo jemu!
 Chwała w piekieł głębokościach!“
 A ty, czarcie, całą siłą
 Twojego świata mię wspieraj,
 Prowadź mię w twój świat, otwieraj!“ —
 Otworzył... Ledwom węł wkroczył,
 Ledwom wzrok po nim potoczył,
 Oślupiałem, skamieniały
 I w mem ciele i w mym duchu.
 Włosy z trwogi się rozpięchły,
 Drutem się powypreżały,
 Oczy zastygły, zamierzchły,
 Stały w trupim nieruchu —
 Wszystkie zmysły ciała prysły,
 Zaledwie ten świat dotknęły —
 Przerażone ducha zmysły
 Ku nicości się cofnęły
 Przed tym gniazda larw widokiem —
 Wzgarda ludzi, w żal rozlana,
 Uszła rzewnych łez potokiem —
 Duma padła na kolana.
 „Precz, precz, szatanie! — krzyknąłem. —
 Weź twój świat z przed mego oka!
 Choćby blask wiekowej sławy
 Miał nad mojem wieszczem czołem
 Tak jasnem zaświecić kołem,
 Jak jest czarna twa pomroka —
 Precz, świecie sprośny, plugawy!
 Nie ja twe skarby posiędę,
 Nie ja korzystać z nich będę!“
 I znakiem zbawienia świętym
 Czarta wraz z jego dziedziną
 W znikome dymy rozwiałem —
 Na zawsze z światem przeklętym
 Związek nieczysty zerwałem,

A z ludzką światła rodziną
Na wiek wieków się zjednałem:
Takiej była okropności
Owa poezja sprośności.

A — niestety — są niektórzy
Ognia wieszczego kapłani,
Co schodzą do tej otchłani,
Czerpią jady z jej kałuży,
Durzą się niemi z rozkoszą,
Między ludzie je roznoszą,
Poklaski za nie kupują —
Dla oklasku sobie, złemu,
Dla ulgi wewnątrz strutemu,
Bez litości braci trują...
O biada, biada takiemu!

1898.

CHWILA ŁZA.

Co za rajska noc, o Boże!
Co tam blasku i uroku!
Niebo bez plamki obłoku,
Jak ciche błękitne morze —
Gwiazd miliony, barw tysiące,
Jak żeby rozbite słońce
Rozsypało się po niebie —
Cała ziemia, śniegiem biała,
Brylantami mrozu pała:
Drugie niebo ziemia cała,
Ściągnęła niebo do siebie.
A co życia, a co ruchu!
Roją się wkrąg tłumy ludzi,
Uciecha uciechę budzi,
Zewsząd śmiechy, śpiew, okrzyki,
Wszędzie wrzawa, niby w uchu,
Pełnem wesołej muzyki —
A tu takie pustki, cisze!
Ciemną izbą ogarniętą,
Mam tylko za towarzysze
Głuche ściany, martwe sprzęty...

Światło nocne oknem wbiegło,
Jakby zabłąkane w drodze —
Wbiegło, złękło się i legło
Bładym trupem na podłodze.
Zrywam się, wzdłuż domu biegnę —
Może gdzie życie postrzegę
I nadmiar mego dam komu?
Darmo — sam ja w całym domu;
Tylko na każdym zakręcie
Bije w twarz chłodne dmuchnięcie
Wiatru, szpiega moich kroków.
Stanę, natężam wkrąg ucho —
Cisza... Tylko w piersi mroków
Płaz zegaru bije głucho.
Darmo, darmo tutaj śledzić
Myślą, uchem i oczyma:
Nikogo, nikogo niéma,
By mu z serca wypowiedzieć,
Co za noc — w czyjebym serce
Obraz tej nocy mógł złożyć,
Aby go kiedyś otworzyć
W odmłodzonych lat iskiecce,
Słowem wspomnienia tkliwego!
Jak ten wieczór, tak mi biegną
Najpiękniejsze i wieczory
I poranki życia mego,
Wszystkie dnia i roku pory
Tak się w sercu wypalają,
Tak mi w duszy wymierają
Najdroższe serca wzruszenia,
Najświętsze duszy natchnienia.
Najwdzięczniejsze i najkrwawsze.
Tak się smucę, tak się bawię,
Tak mi we śnie, tak na jawie:
Sam i sam, zawsze i zawsze!
Przyjdą-ż kiedy dni łaskawsze,
By bliźnę życia zagoić,
Dług nieszczęścia zaspokoić?
Mnie-ż to, mnie nagrody roić?
Tyle takich strat doznałem,

Ze niema, niema sposobu
 Nagrodzić ich życiem całem
 Na tej stronie mego grobu!
 Tam dopiero, dobry Boże,
 Gdzie trzeba płaczem sumienia
 Dokupywać się zbawienia,
 Szaty moje we łzach złożę,
 A ty zapłacisz mi za nie.
 Być-że mogą przewinienia,
 Którychby w obliczu Pana
 Odkupić nie była w stanie
 Taka chwila, we łzę zlaną,
 Łza, tak czysta, nieskalana?

Rok 1837.

GWIAZDA DUCHA.

W chwili, gdy powiew przedwiecznego technienia,
 Wlatując w zaród nowego istnienia,
 Ducha nowemu człowiekowi tworzy —
 W tej samej chwili z bożego spojrzenia
 Wytryska iskra w podobieństwie zorzy.
 Zawisa, jasna niegasnącym blaskiem,
 Nad ziemską ducha bratniego ciemnicą
 I, świecąc jemu gwiazdą przewodnicą,
 Prowadzi brata promienistym paskiem
 Przez wszystkie jego żywotów koleje,
 Póki się w bóstwie w jedno z nim nie zleje.

O zorzo boska! Czy błąd niedowiarstwa
 Policza ciebie do marzeń gwiazdarsstwa. —
 Czy wieść, potworna starych czasów mrokiem,
 Daje ci postać geniusza, demoną —
 Czy cię przystraja wiara objawiona
 Skrzydeł i wdzięków anielskich urokiem —
 Jakąbądź człowiek ma cię w swem widzeniu,
 Nawet, gdy przeczy twojemu istnieniu,
 Wiecznie przeczuwał i pragnął on ciebie,
 Wiecznie był w światła twojego potrzebie,
 I jesteś, jesteś, lecz na ducha niebie.

Cóż stąd, żeś skryta cielesnemu oku,
 Ze ciebie rozum nie widzi powszedni?
 Ale mnie — tutaj, we wnętrza bezedni,
 Tyś tak widoma mego ducha oku,
 Jak gwiazdy-światy wśród nocnego mroku!

Kiedys ty w pełni, każdy zmysł duchowy
 W całej pełni i żyje i czuje:
 Wzrok wewnętrzny twoim blaskiem się lubuje,
 Słuch wewnętrzny dzwoni muzyką twej mowy,
 Woń nieba krąży w ducha powonieniu,
 Pieszczące ciepło niebios go oblewa,
 A w treści zmysłów duchowych, w sumieniu
 Swoboda, szczęście, spokojność, pogoda
 I ze zmysłami cielesnymi zgoda.

Pamięć, przecucie, jak dwa słońca, stają
 W dwóch końcach czasu i, jako dwa słońca,
 Przeszłość i przyszłość wieków rozjaśniają;
 Czas mi naówczas bez cieni, bez końca,
 A myśl, co ducha wznosi, rozpromienia
 Pełne południe wieszczego natchnienia.

Niechże powstanie burza ziemskiej chuci
 I wichrem zmysłów ciszę ducha skłóci,
 A oko ducha za żądzą namiętną
 Ku cielesnemu światu się odwróci —
 Ty się natychmiast zmieniasz w światłość
 smętną,

Wdziewasz żalobnych tumanów zasłonę
 I zanurzasz się w nieba omroczone.
 Duch, pozbawiony swej gwiazdy przewodniej,
 Pada, zamiera pośród nocy chłodnej —
 A ja, pomiotło zwierzęcych zapędów,
 Gonię złudzenia, brnę z błędów do błędów,
 Każdą się chwilą, jak wiecznością, biedzę;
 Wewnętrzną walką bez przerwy szarpany,
 Wynoszę tylko bolesne z niej rany,
 Wiecznego bytu tracę czucie, wiedzę,
 Utracam nawet wiedzę, pamięć ciebie —
 Aż w końcu, starty przez życia tortury,
 Za własnym trupem idę sam, ponury
 I w grobie sobie sam zwłoki me grzebię.

O zorzo, boska sestro ducha mego!
 Och! Nigdy, nigdy nie gaśnij dla niego.
 Znam całą cenę twej błogiej opieki,
 Twego zaćmienia znam całą niedolę,
 Znam szczęście raju i padołu bole;
 Wiodłaś mię z wieków, przeprowadź przez wieki!
 Promieniem twego anielskiego oka
 Wiąż mię z twym światem, podnoś mię ku sobie,
 Bym, zlany z tobą, rozplynął się w tobie!
 Bądź mi tym wozem ognistym proroka,
 Co wznosi ducha tam, gdzie jedność nasza,
 A rzucę ziemi chętnie płaszczyznię Eliasa.

1837.

WALKA PORANNA.

ANIOŁ PORANKU.

Dosyć snu, dosyć! Podnoś się, powieko!
 Wszystkie się gwiazdy już podopalały,
 Już i jutrzrenkę zatopił dzień biały.
 Noc przed mem tchnieniem uciekła daleko,
 Rosa zagasła, słońce już wysoko,
 Cały świat powstał — otwieraj się, oko!

OKO.

Nie ściągać jeszcze ze mnie mej powieki!
 Lubo mi pod nią. Gdyby tak na wieki...
 Cóż tam zobaczę, kiedy się otworzę?
 Ściany ponure, jak mury więzienia,
 Oblicza obce, zimne, jak z kamienia,
 Ludzie, niebios, wszystko — jak nie boże.

ANIOŁ PORANKU.

Duchu, gdzie jesteś? Czas wracać do ciała!
 Już w dalszą drogę poszła ziemia cała;
 Żegnaj złudzenia, rzuć światy błogie,
 Podnoś twe ciało i dalej z niem w drogę!

DUCH.

Co? Głos poranku znowu sny me ploszy?
 Przypatrz się, przypatrz mej wielkiej rozkoszy:

Czy i tych nawet zabawek w nicości,
 Czy i mar nawet mój los mi zazdrości?
 Wielkaż, bo wielka mych uciech rozpusta:
 Przeszłość, splakana na swym własnym grobie
 Przyszłość niepewna, półwidna, w żalobie —
 Przeszłość i przyszłość niemu szczęściu pusta:
 Oto świat, gdzie się pokrzepiam i bawię —
 Wolę go jednak, niżli świat na jawie.

JA.

Precz, precz, poranku, od mojej łożnicy!
 Nie plosz mi ducha twych skrzydeł szelestem,
 Strzałami blasku nie rani mi żrenicy.
 Alboż-to nie wiesz, kto jestem, gdzie jestem?
 Myślisz, że doli mojej nie dopędzę?
 Niech wstanę równo ze słońca zachodem,
 Jeszcze prześcignę najrączniejszą nędzę,
 Jeszcze się spotkam z troskami i głodem,
 Napelnę wzgardą mą torbę żebracza,
 Całą tę ziemię obejdę rozpaczą,
 I dosyć jeszcze nazbieram zasobu,
 By znowu usnąć, jak pod głazem grobu.
 Rozwał koło mnie tę murów zagrodę,
 Roztocz koło mnie rodzinną przyrodę,
 Zawieś nade mną moje niebo jasne:
 Pierwsze spojrzenie niech padnie na drzewa,
 Niechaj chór ptaszy pobudkę zaśpiewa!
 Lecz ptastwo, drzewa, niechaj będą własne:
 Drzewa z rodzinnym, znajomym powiewem,
 Ptastwo z rodzinnym, zrozumianym śpiewem —
 A wtedy każdą wstającą jutrzrenkę
 Będę pozdrawiał przez nową piosenkę.
 Będę czujniejszy od gwiazd najczujniejszych,
 Po całych nocach nad światłem księżycą
 Będę na straży, jak za dni dawniejszych
 Nad świętym ogniem kapłanka-dziewica —
 A dziś mię zostaw ze snami mojemu!
 Ciężko w ich świecie, lecz ciężżej na ziemi.

ANIOŁ PORANKU.

Nie bluźnij dniowi i sobie nie bluźnij,
 Ażebyś nie był przymuszony później
 Sam siebie karać przez własną twą wzgardę.
 Ty się uskarżasz na twe losy twarde!
 Czyż to już niema nędzniejszych od ciebie?
 Czy nikt już nie jest w twojej pracy potrzebie?
 Czy już spełniłeś twoje powołanie?
 Czy więcej zrobić nie jesteś już w stanie?
 Czy więcej zrobić nie jesteś powinien?
 A może oto tysiące twej braci
 Twoje sny gnuśne cierpieniami płaci,
 A co odplacić będziesz kiedyś winien!
 Nie służysz bliźnim, a żądasz po niebie,
 Aby robiło dla ciebie — za ciebie?
 Bez trudu walki chcesz mieć jej korzyście:
 Złe rządzi, ciśnie ziemię rzeczywistość;
 Czujesz to, widzisz na sobie, dokoła —
 A ty co? Zamiast postawić mu czoła,
 Chcesz wybrnąć z niego nieruchem, skargami
 Kryjesz się przed niem pomiędzy marami —
 Chcesz się wyzwolić, dając w jarzmo szyję,
 Rzucając oręż, gdy wróg zewsząd bije!
 Upominasz się u Boga o dary,
 Co są nagrodą tylko szczerzej pracy;
 Leniwiec, żądasz pracownika płacy —
 Twojej nieofierze każesz nieść ofiary.
 Żądasz miłości, nie dając miłości!
 Nic podobnego sam szatan nie rości.
 Ocuć się — ocuć przed straszmem ocknieniem,
 Ocknieniem wiecznem, gdzie żadnem uśnieniem
 Nie zlagodzą się praca i zgryzota,
 Które nakłada przespanie żywota!

JA.

Dzięki, aniele! Bądź błogosławiony!
 Patrz! Ja już wstaję — jam już ocucony
 I odtąd marom nie dam się uludzić.
 Twe słowa siłę życia mi wlewają!

Duchu mój, do mnie! Idźmy innych budzić,
 Idźmy tych budzić, co śpią, choć czuwają!

1840.

MODLITWA PRZEDSENNĄ.

Duszo dusz, duszo świata, władco świata, Boże,
 Boże, co, zdjawszy z nieba słońce błogie,
 Ubierasz ciemność w promieniące zorze,
 Ażeby ziemia widziała swą drogą —
 Otocz mój umysł mrokami spokoju,
 Niech oschnie na nim pot dziennego znoju,
 Niech sił nabierze do nowego trudu,
 Do nowej walki dla Twojego ludu:
 Ale niech lekkie będzie uśnienie,
 Lekkie, jak nocnych światła promienie!
 A na mej straży postaw ułoża
 Mary snu jasne, jak nocna zorza!
 Niech świecą duszy, niechaj ją ostrzegą,
 Gdyby wróg chytry chciał mnie podejść
 Zdradnie —
 A po ocknieniu pierwsze pomyślenie,
 Pierwsze od tego rozpocznę pienie:
 — Nie wpadnie w sidła zguby, nie wpadnie,
 Kto z Tobą, Panie, żyje i dla ludu Twego! —

1836.

WESTCHNIENIE DO BOGA.

O Boże! Ja w ciebie wierzę,
 Ja Ciebie kocham, o Boże!
 Jaby tak chciał kochać Ciebie,
 Kochać i wierzyć tak szczerze
 I z taką siłą, jak tylko ten może,
 Komuś zdarzył być chwilę w Twem niebie.
 Od Ciebie tylko w tej chwili
 Pełność mej wiary zależna —
 Tobie taki dar jest niczem:
 Daj mi go! Oto do Twoich stóp się chyli
 Chęć bezdenna, chęć bezbrzeżna —

Pada przed Tobą pokutnem obliczem:
 Dopełnij mojej miłości i wiary!
 Jam nigdy nie wchodził w sprzeczkę,
 Że, co mam tylko, to są Twoje dary.
 Ja zawsze widzę Twoją cząsteczkę:
 W każdym uczuciu mego istnienia
 Uznaję siłę Twego ramienia —
 Za każdą rozkosz sumienia
 Wielbię Twą dobroć jedynie —
 Czuję Ciebie w każdej cnocie,
 W każdym wieszczego natchnienia polocie —
 Alebym pragnął jaśniej, wzniosłej, szczerzej
 Czuć, kochać, wierzyć; pragnąłbym bez miary!...
 Dopełnij mojej miłości i wiary!
 Podnieś lot mej duszy wyżej,
 Postaw mię przy Sobie bliżej,
 Zabłyśnij mi choć na chwilę,
 Choć jedną iskrą Twoją, Wszechświęty!
 A ostatnią moc wysilę,
 Choćbym miał zdeptać nogami
 Najkosztowniejsze ziemskie ponęty,
 Stargać tę wstęgę, co serce wiąże
 Z najdroższymi sercami, miejscami —
 Choćby natychmiast to ciało
 Trupem ze mnie opasć miało —
 Pójdę do Ciebie, podążę,
 Byle tylko to sumienie,
 Które tak Ciebie przeczuwa, zgadywa —
 Byle ta dusza, co tak niecierpliwa
 Puka ku Tobie w podniebne sklepienie,
 Stań się rychlej przed Twoim tronem,
 Ujrzały Ciebie okiem bez plam nocy
 I uderzyły wiecznym pokłonem
 Twojej, po trzykroć świętej, Wszechmocy.

NA SCHYŁKU, 1841—1872.

W STRAPIENIU MOJEM...

W strapieniu mojem, w moim upadku
Tobie się, Panie, naprzód spowiadam,
Tobie, najskrytszych mych marzeń świadku,
Tobie mą boleść, łzy moje składam.

Przed Tobą leję łzy sercem całem,
Łzy, jakich dotąd nigdy nie znałem:
Już to nie oko w płaczu się pławi,
Lecz duch, co krwawym potem się krwawi.

Do kogóż, Panie, z mych nędz ogromem,
Do kogóż pójde w takim strapieniu?
Oto ten cały świat Twoim domem
I cały w Twojem wszechmocnem tchnieniu.

Cóż tutaj żyje, cobys nie tworzył?
Co ginie, cobys Ty nie umorzył?
Złe tu i dobre pod Twym szafunkiem,
Pod Twej potęgi wiecznym kierunkiem.

Ty w każdej chwili możesz mię zwalić —
Tylko Ty jeden podnieść mię możesz,
Tylko Ty jeden możesz ocalić,
Kiedy mię gromem kary przeorzesz.

Stąd się do Ciebie udaję, Panie —
Pokaż nade mną Twe zlitowanie!
Nie sam już człowiek, lecz duch mój boli!
Wyrwij mnie, podnieś z mojej niedoli!

Paryż, 20. listopada 1843.

CISZA POWSZECHNA...

Cisza powszechna, jak po długiej wojnie —
 Nakoniec Boga wypędzono z ziemi.
 Zło w bezpieczeństwie i władza spokojnie,
 Bezbożność igra władzami wszystkimi.
 Ten się na siłach upadłych pokrzepił
 I nowych uciech krąg sobie zakreśla,
 Tamten aż na śmierć rozpustną się upił
 I o słodczy spoczynku przemysła.
 Cisza — świat cały do snu się ułożył,
 Błogiem ocknięciem dusze się ochocą —
 Człowiek spokojny, jakby on świat stworzył,
 Pewny, jakby on wiódł go swoją mocą.
 A Bóg? O, o nim dawno zapomniano!
 Kiedyś tam, ktoś tam zasłyszał to imię,
 Ale to przeszło, jak mara snu rano,
 I ani śladu po nim, jak po dymie.
 Z tajemnic wiary drwić już nawet nie chcą:
 Są te przedmioty zużyte, bezpłodne,
 Nie jątrzą gniewów, do śmiechu nie łechcą —
 Zanadto nízkie na dowcipy modne.
 Nagle — jak łoskot tysiąca piorunów —
 Bóg się objawił! Po światach runęło,
 Pękły zasłony piekielnych całunów,
 Niebo nad ziemią znów się rozwinęło,
 Jasne niebiosy znów ziemię objęły,
 A strzały jego przebiły noc powiek!..
 Świat się przebudza..... a właśnie,
 Jako uspiiony w bezpieczeństwie człowiek,
 Gdy gwałt pożaru nad uchem mu wrzaśnie,
 A pożar wielki, a nieugaszony
 I pod nogami i nad głową pała,
 I tak na wszystkie otoczył go strony,
 Że żadna pomoc na nic się nie zdała.
 O, dzień to straszny, ten dzień Pańskiej chwały.
 Przyjdzie, jak złodziej — już jest między nami!
 Już pożar jego ogarnął świat cały!
 Wkrótce świat cały własnymi oczami
 Ujrzy się w ognjach bożej błyskawicy.

O, sprawa Pańska zjawi się ze strony,
 O której ani myślą przeciwnicy,
 W sposób, rozumem żadnym niezgadniony.
 Na nic obronne środki najbieglejsze!
 Już otoczeni są potęgą Boga,
 Jak obóz, wzięty w zasadzki silniejsze:
 Gdy w jedną stronę rzucają się na wroga,
 Ze stron przeciwnych, z innego ukrycia
 Nieprzyjacielem pokażą się nowi,
 Że wkońcu trzeba albo pozbyć życia,
 Albo w pokorze oddać broń wrogowi.

Paryż, 1843.

TYLE, O BOŻE, TOBIE SIĘ PRZYRZEKŁO...

Tyle, o Boże, Tobie się przyrzekło,
 I nie spełniłem, tylko się zadłużył!
 Co pomnę, czego nie zatarło piekło,
 Jużem na karę najsroższą zasłużył,
 Abyś się całkiem odwrócił ode mnie,
 Żem Twej miłości dał zgasnąć nikiem.
 Kiedy bliźniemu słowa nie dotrzymam,
 Kiedy ludzkiemu chybię przeznaczeniu,
 Czuję krzyż długu — wypoczynku nie mam,
 Obwiniam siebie, kruszę się w cierpieniu,
 A cóż to wszystko obok przewinienia
 Niespełnionego Bogu przyrzeczenia!

1844.

POŻEGNANIE MARIA-STEIN.

O Matko Boga naszego,
 O królowo ludu mego!
 Szedłem tu z wiarą — z wiarą odchodzę,
 Że mnie wesprzesz w mej potrzebie,
 Że wreszcie stanę przez Ciebie
 Na bożej życia nowej drodze.

Kiedy się znajdę u celu?
 Dzisiaj, czy po latach wielu?

Nie wiem — ale wiem, że się to stanie,
 Bo tak stoi w bożej woli,
 Bo mój duch tą żądzą boli
 I woła: „Stań się wola Twa, Panie!“

Tylko Ty, boska Dziewico,
 Wspieraj mnie Twoją prawicą,
 Tylko, Maryja, Ty mi towarzyszyć...
 Miejsca Ciebie nie niewola,
 Cały świat Twych cudów rolę,
 Miłością Twoją cały świat darzysz.

Nie kościół, co ludzie czynią,
 Najmilszą Tobie świątynią,
 Ale duch ludzki, twórz czysto boży;
 Tylko dla brudu człowieka
 Niebo z ludzkich serc ucieka,
 A z głązów sobie przybytek tworzy.

O, zamieszkaj, jak władczyni,
 W moim duchu, jak w świątyni —
 Oczyszć go, w godny Ciebie dom zamień
 Niech za Twojej łaski sprawą
 Promieni się bożą sławą
 Dla dobra ludzi, jak ten, ot, kamień.

Żegnam cię, święta ustroni!
 Moja powinność mnie goni
 Do służby bliźnim. Odejsz mi trzeba —
 Ale odchodzę z żalobą,
 Bo duch mój związał się z Tobą
 Promieniem łaski, miłością nieba.

Tu on oczyszczonem wnętrzem
 Odetchnął powietrzem świętszem,
 Odżył rodzinnem życiem — był w niebie.
 Odchodzę z żalem dziecięcia,
 Jak z lubej matki objęcia,
 A biorę miłość i cześć dla ciebie!

Chrześcijanin, dziecię boże,
 I przed kamieniem się korzę,
 Gdy nad nim promień boski zabłysnął —
 I różdżką mojej miłości
 Uderzam w głazu wnętrzości,
 Byle zdrój życia z niego wytrysnął.

Żegnam cię, zaciszę błogie:
 Pobłogosław moją drogę,
 A to mi w dalszem życiu pomoże
 Tak każdego umiłować,
 Tak się z każdym w jedność skować,
 Przez kogo prawdy przechodzą boże.

MODLITWA W ROCZNICĘ BIESIADY NA GÓRZE ETZEL.

W dniu tym wielkim, w dniu tym świętym,
 Kiedyś, Panie, w nowem prawie
 Nad starej ziemi zamętem
 Wywiódł wodza Twojej sprawie,

Gdyś przez męża tego, Panie,
 Dał mu Twoje namaszczenie —
 Wznosim do Ciebie wołanie,
 Ducha naszego pragnienie:

O Ty, coś w wieków skrytości
 Raczył nam wodza wychować,
 W tej samej, Panie, miłości
 Wojsko Twe na świat wyprowadź!

Niechaj Twój ten hufiec mały
 W boży naród się rozmnoży,
 I naród niech stanie cały,
 Jak mąż jeden, jak mąż boży!

Stopieni w żądy tej samej,
 Jednem czuciem, jednym ruchem

I jednym głosem wołamy:
Owion, przejmij nas Twym duchem!

Co w nas twarde, niechaj zmięknie,
Niech rozjaśnieje, co ciemne,
Co krępuje, niechaj pęknie,
Niech się wzniesie, co nikczemne,

Niech ożyje, co zamarte,
Niech w ostatnim Twojem kole
Złe nasze będzie przeparte —
Daj nam, daj nam Twoją wolę!

Nasza wolność — wola Twoja;
Twoja wola — nasza droga,
Nasza siła, nasza zbroja,
Nasza jedność w duchu Boga.

Nasza jedność z mężem Twoim
Twojem dzisiaj Słowem-Ciałem —
Dozwól, niech się nią napoim
I człowiekiem weźmiem całym —

I niechaj ją tak jawimy
Naszem życiem, o nasz Boże,
Jak ją przed sobą widzimy
W Twojem Słowie, naszym wzorze.

Niech z głębi ducha wołanie
Wstrząśnie już duchem każdego:
„Otom Twój żołnierz, o Panie!
Prowadź mię na wroga Twego!” —

Aby wkrótce ziemia cała
Zagrzmiała w zwycięskim pieniu:
„Nie nam, nie nam, Panie, chwala,
Ale Twojemu Imieniu!”

Bazylea, d. 1 października r. 1847.

CHRYSTUS PAN WZYWA SWEGO ŻOŁNIERZA...

Chrystus Pan wzywa Swego żołnierza,
Sztandar Swej sprawy jemu powierza:
„Czas mój jest blisko, bardzo już blisko,
Kto ze mną, zajmij twe stanowisko!

Z duszą ofiarną, w niebo wzniesioną,
Z chorągwią życia, w ziemię utkwioną,
Wierną mi działwę koło niej gromadź
I szyki złego zacznij już łomąć!

Niechaj świt wyższej Słowa epoki
Przedrze już globu ziemskiego mroki —
Niechaj już Słowem, w ludziach widomem,
Powstaną z martwych nad mym ogromem!

Krzyżem ofiary mojej orężny,
Spółką braterską niebios potężny,
Idź śmiało, w trwodze tylko przed Bogiem —
Staw miłość moją nawet przed wrogiem!

Nie bój się tłumów brzydkich na oko:
Są one marną piekiel powłoką;
W ich ducha naprzód ciosy wymierzaj —
W ducha, nie w ciało, naprzód uderzaj —

Stawaj tak tylko, ażeby piekło
Przed twoim duchem czystym uciekło,
A wnet za wodzem żołnierze zbiegą,
Za panem piekła ziemski dwór jego.

Pokaż, że odtąd nie ziemską siłą
Trony mocarzów będzie waliła,
Upadłe ludy wskrzeszać lub dźwigać
I los wiekowy ziemi rozstrzygać:

Pokaż, co wątłe ciało ma mocy,
Kiedy duch boży jest mu w pomocy —

By wróg zawołał, patrząc na ciebie:
„Jest Bóg na ziemi, jak jest na niebie!”

Bazyloa, d. 1 października r. 1847.

SPÓR ANIOŁÓW.

Nie wiem, z jakiego powodu —
Podobno o klucz od ogrodu,
Gdzie pochowano Chrystusa zmarłego,
A gdzie Go ludzie chcą znaleźć żywego —
Powstała walka zaciekle,
I to między znaczniejszymi
Dygnitarzami piekła,
Bo każdy z nich dla głupiej ziemi
Pod tym płaszczykiem pierwszeństwo-by miał.
Sam tylko Arcyszatan z tej kłótni się śmiał.
Spór się ten odbił w niebie najniższym,
A przez to ziemi i piekiel najbliższym.
Niepełne jego anioły —
I anioły i ludzie na poły —
Jedni przez szczerą o ludzi gorliwość,
Inni przez nowin chciwość,
A inni rwani
Wirem ziemskich otchłani,
Więcej ciekawi, co się dzieje
W piekle, jak w niebie —
Sprawą piekła się zajęli
Więcej, niżeli powinni anieli.
Ten utrzymywał stronę Samiela,
Że Belzebuba pokona —
Ci Belzebuba znowu bronili,
Bo ma po sobie Mefistofela —
A inna znowu spierała się strona,
Że się Belzebub omyli,
Bo Mefistofel działa zawsze zdradnie,
I że Asmodej ofiarą padnie.
Zgoła, że w bardzo gorącym sposobie,
Zwłaszcza dla duchów tak wysokich grona,
Za każdym dyablem znalazła się strona,

I wystąpiły w sporach przeciw sobie
W obronie piekła, jakby bożej sprawy.
A Szatan patrzył na to i w duchu się śmiał.
Szczęściem Jan Święty nadszedł na te wrzawy
I powodu ich dowiedzieć się chciał.
A, jak tylko się dowiedział,
Tak im w miłości powiedział:
„W tej sprawie żaden z was słuszności nie ma:
Widzi się ją tylko bożemi oczyma —
Końca tej walki wiedzieć nie możecie.
Może ich wszystkich Bóg za chwilę zgnieć.
Wszakże to dyabli — wiecie to sami —
Żaden z nich w prawdy obronie nie staje,
Prawda nie może być między dyablami.
Wam się w tę sprawę mieszać nie przystoi,
Wam się zajmować nie piekłem, lecz wami!
Róbcie tylko dobrze waszą rzecz w niebie,
Postawcie tylko prawdę wśród siebie,
Tylko się kochajcie wzajem,
Tylko wy bądźcie zgodni, doskonali.
Ażeby raj wasz został wiecznie rajem,
Ażebyście wy wiecznie w nim zostali,
Tem się troszczcie, tem się bawcie,
A losy dyabłów Bogu zostawcie“.
Wkońcu zaś dodał z widocznym smutkiem:
„Otóż to, mili bracia, oto skutkiem,
Że w bożem kole jeszcze wam za ciasno
I z dawnej, grzesznej skłonności
Rzucacie nieraz waszą sferę jasną,
Aby się błakać w dziedzinach ciemności.
Oto skutek, że dyabłów niebacznie
Pomiędzy siebie puszczacie,
Że się niebacznie z nimi zadajecie
I czasem chętniej, niżli z wybranymi.
Przestańcie tego, moi bracia mili,
Byście raju waszego w piekło nie zmienili;
Walczcie dla własnej wygranej,
A bożej woli zostawcie szatany!”

Nanterro, 1853.

DO DUCHA MEGO.

Duchu mój, wzmóż się! W wielkie imię boże!
Przez twej ojczyzny sprawę i cierpienia,
Przez twoje święte tutaj przeznaczenia,
Przez sprawę twego wiecznego zbawienia,
Wzmóż się, mój duchu! Bóg ci dopomoże!

Twoja bezwładność trwa już nazbyt długo,
Za nazbyt długo zły duch cię krępuje:
Patrz tam, na niego, jak się on raduje!
On pewny, że już z ciebie tryumfuje —
A Bóg twym Panem, czuwa nad swym sługą.

Zaufaj Jemu, udaj się do Niego —
Wszakżeś z Nim nigdy nie zerwał, z twym Panem!
Uderz o ziemię pokornym kolanem,
Zawołaj w niebo sercem zapłakanem —
Bóg ci dłoń poda, wyrwie z sieci złego.

Czas już, byś wrócił do swej dawnej mocy!
Wszystko cię wzywa, wszystko ciebie błaga:
I ta ojczyzna, którą piekło smaga,
I twoja słabość, co się coraz wzmacnia,
Ten Bóg na koniec, gotów ku pomocy.

Ożyj, mój duchu, przeszłem życiem błogiem,
Unieś się, duchu, dawnem uniesieniem —
Rozgorej znowu twym dawnym płomieniem,
Rzuć się ku Bogu starem poświęceniem:
Znajdziesz Go znowu, nie przestał być Bogiem.

Stań mocno w wierze, z nadzieją się ożeń,
Zwierz się miłości, niebios powiernicy,
A ten człowieka Anioł-Stróż trójlicy
Zerwie twe pęta, wywiedzie z ciemnicy:
Bóg mocen wyrwać z najgorszych położań.

Odrzuć bezsilność, jak straszną bezbożność,
Wszelkim upadkiem człowieka upadnij,

Ale się w gnuśną bezczynność nie kładnij!
Wszelki grzech inny Bóg przebaczy snadniej;
Nigdy krzyż jego nie jest nad twą możność.

Rzuć się co żywo w pokorne błaganie!
Nie wyczerpałeś jeszcze w zdroju owym,
Jeszcześ nie spotniał potem ogrójcowym,
Jeszcześ nie omdlał mdleniem chrystusowem —
Omdlej, jak Chrystus, a twa moc powstanie!

Paryż,

POKÓJ I WOJNA.

Idea tej poezji: Pokój! Wojna! — Dwa głosy wznoszą się dziś przed tron Boga. Bóg to rozstrzygnie. — „Wojny! Wojny!” — wołają ludy pokrzywdzone.

„Pokoju! Ach, pokoju! Trzeba nam pokoju!” —
Wołają ze wszech stron po dwóch latach boju,
Ze spienionym wściekłością pokoju językiem:

I któż to jest, co wstrząsa świat cały tym krzykiem?
Nie ci, co z poświęceniem wytrwale i zbrojnie
Stawili wśród tej walki swoje piersi wojnie —
Nie ci, co, w każdej chwili odkryci wrogowi,
Żyli trudem, krew leli, paść trupem gotowi —
Ale tłuszcza, od trudów, od bojów daleka,
Co po boju odzienie z pobitych ciał zwleka
I, obca walce, tylko ze zwycięstw korzysta:
Oto najnikczemniejszy z nikczemnych bursista,
Barometr, co opada więcej, niż lód stygnie,
Ile się razy chwała narodu podźwignie —
A pędzi, pędzi z górą płyn swojego brudu,
Gdy pod policzkiem wroga spłoni się twarz ludu:
Oto handlarz wielkiego, małego kalibru,
Którego pierwszy pokłon codzienny jest srebru,
Złotu, a nawet miedzi ze stępem mennicy,
Jako hostyi jego domowej kaplicy —
Któremu kramny stolik jest mszalnym ołtarzem,
Księga jego rachunków — mszałem i brewiarzem,
Chwila modlitwy — chwila zręcznego oszustwa,
A kasa pełna — arką opatrzności bóstwa.

Oto nieszczęsna dusza, zaklęta w doktrynie,
 Szcześliwa, kiedy cały naród w hańbie zginie,
 Radośna własną hańbą przez zemsty swej radość.
 Naród zhańbiony? Ale jej zemście jest zadość.
 Naród podły, jak ona? Korzyść oczywista!
 Oto polityk — partacz, lokaj — żurnalista,
 Dla którego jest rajem bankierów kieszenia,
 Co z niej patrzy na wszystko, z niej wszystko ocenia!

1855.

PIEŚŃ POGROBNA MICKIEWICZOWI.

Na kolana, Polsko cała!
 Czoło w proch i na kolana —
 I uderzaj pierś twą w skrusze!
 Potęga boża zagrzmiała,
 Nowy piorun światów Pana
 Przeszył nawskróś twoją duszę,
 Wziął ci jedno życie ze dna
 I w świat ducha uniósł z sobą.
 O Polsko nasza, wciąż biedna,
 Zgasła znowu z twych gwiazd jedna:
 Miejsce po niej pod żałobą
 Niebo twoje cieniem plami,
 Bo, ot — wieszcz twój nad wieszczami
 Nie jest już pomiędzy nami,
 Pomiędzy nami żywemi:
 Zniknął nam z oblicza ziemi!

* * *

I pod jakim upadł gromem!
 Błysku jego nie widziano,
 Grzmotu jego nie słyszano —
 Przemknął niebem niewidomem
 I dopiero się objawił,
 Gdy swe posłannictwo sprawił,
 Kiedy po nim nie zostało,
 Tylko martwe, zimne ciało!

A to ciało przez lat tyle
 Był to mąż w proroka sile,
 Co w tej sile w bożą chwilę
 Wstał nowych czasów świtanie
 Na ciemnej Polski mogile
 I, płomienny swem wezwaniem,
 Tryskał i światłem i żarem,
 I stał się Polski kochaniem
 I bożym dla Polski darem;
 Że, gdy uderzył w swe tony,
 Zrywały się serc miliony,
 Jak na pobudkę porann —
 I stawaliśmy się syci
 Tą pieśnią, jak Izraelici
 Na puszczy niebieską manną.

.....
 Ale jakakolwiek była
 Twoja potęga i siła,
 Twój czar ziemski, twoja chwała —
 I jakkolwiek nam bolesny
 Twój skon, dla ciebie zawczesny —
 Lutnia Polski znowu cała:
 Struna, niebem nawiązana,
 Wierna tonom niebios Pana,
 Struna prawdy jej została,
 Twoja śmierć jej nie zerwała:
 Bo w tej strasznych sądów chwili,
 Gdy się całe piekło sili
 Duch mego ludu osłabić,
 Zbłąkać go i w końcu zabić,
 Jej to raczył Bóg powierzyć
 Ze wszelkim fałszem się zmierzyć!
 Ona bez trwogi wypowie
 Fałsz — chociażby narodowi —
 I wszelkiemu też fałszowi,
 Co chce obłąkać lud boży,
 Takie piętno bożą władzą
 Na czołe jego położy,
 Ze już go wieki nie zglądzą.

* * *

W strunę prawdy dziś uderzę,
 A głos jej dojdzie do ciebie.
 W jakiegokolwiek jesteś sferze,
 Czy cię ogarnia podniebie,
 Czy w cieniach błąkasz się smutnie,
 Usłyszysz znaną ci lutnię.

.....
 Wszak my się od wieków znamy,
 Wszak jednego czasu bramy
 Na tej ziemi w jednej chwili
 Otworzyły się dla nas obu;
 Z jednego bożego żłobu
 Myśmy w tym żywocie żyli —
 Na temże polu bojowem,
 Pod tymże sztandarem Boga
 Łamaliśmy tegoż wroga
 Jedną bronią, jednym słowem.
 Razem byliśmy w przedsienu
 Nowej świątyni ludzkości;
 Myśmy wiekami przyszłości
 W imię Boga połączeni —
 Myśmy razem zwyciężali
 I nieraz przegrali razem.

.....
 A choć dzisiaj między nami
 Śmierć granicznym leży głazem,
 Lat kilka, kilka dni może —
 A i ja ten głaz przekroczę
 I przez mogiły zamroczę
 Wy płynę na światło boże,
 I znów się może znajdziemy
 Oko w oko, duch przed duchem,
 Pod myśli bożej łańcuchem
 I przed Bogiem się sprawiemy
 Z wspólnego dni tych użytku.

.....
 Które nam najwyższe sądy
 Dały pod wspólne zarządy.
 Tam prawda na jaw wypłynie —
 Niech wypływa w tej godzinie!

Co słowo boże wyrzekło
 O twoim losie zagrobnym,
 To wie niebo, albo piekło:
 Nie nam, nie nam, lichym, drobnym,
 Slepym na koleje własne,
 Mieć widzenie tego jasne
 W naszym stanie tu powszednim;
 Lecz i na naszym padole
 Mamy prawo — bożą wolę —
 Nieomylnie w chrześcijan kole:
 Wszyscyśmy pod niem i przed niem,
 Według niego żyć powinni.
 Według niego się widzimy,
 Oceniamy i sędziemy,
 Czyśmy winni lub niewinni.

Paryż 1855.

W TOBIE JEDNYM, BOŻE PANIE...

W tobie jednym, Boże Panie,
 Składam całe me ufanie,
 W tobie całą mam nadzieję:
 Ni jej szatan nie zachwieje,

Boś ty moim twórcą, zbawcą,
 Nieprzebranym łaskodawcą,
 Bo od Ciebie tylko idzie
 Zmiana w szczęściu, pomoc w biedzie —

Bo twej woli są poddani
 Jak anieli, tak szatani...
 W tobie jednym, o mój Panie,
 Składam całe me ufanie!

1862.

POSŁANIE DO POLSKI.

I. NIEDOLA POLSKI.

W radości świat chrześcijański:
 Świta nad ziemią rok nowy,
 A ten rok nowy, rok Pański,
 Rok zbawienia — Chrystusowy.

Odblask owego błysnienia,
 Którym się niebo otwarło
 W chwili, gdy z bożego technienia
 W pierś ludzkości obumarła

Zeszło nowe, boże życie,
 Najwyższe ludzkości słowo,
 Duch-Zbawiciel, Maryi dziecię
 Pod postacią Chrystusową —

Gdy w lichej stajenki żłobie
 Zjawił się między bydłą
 Poraz pierwszy na tym globie
 Bóg-człowiek, z najświętszych święty.

Nowy rok! Roczno go świtu,
 Tej pieśni doroczne echo,
 Co zabrzmiała z wieków szczytu
 Dla dobrej woli pociechą.

W takiej chwili człowiek patrzy
 Nowego od Boga daru:
 Drogi swych przeznaczeń gładszej,
 Lżejszego dni swych ciężaru,

Powszedniego prawdy chleba,
 Coby go nasycił więcej,
 Widzianego bliżej nieba,
 By kochać Boga goręcej.

A więc ją wita wesoły:
 Świętą radością brzmia dzwony,

Świątym blaskiem lśnią kościoły,
 W tryumfie boże miliony,

Oblubienicy poskokiem,
 Z weselnym na sercu wieńcem,
 Witają się z nowym rokiem,
 Jak z żądanym oblubieńcem;

Świat cały rad sobie wzajem —
 Życzeniami się obdziela
 Człowiek z człowiekiem, kraj z krajem,
 Świat cały domem wesela.

Tylko ty, Polsko, ty jedna,
 O moja ojczyzno droga,
 Stoisz samotna i biedna,
 Jak odrzucona od Boga!...

Pozdrowienia tobie niema
 Ni duszy w dłoni podanej:
 Kto przejdzie, zmierzy oczyma
 Twoje królewskie łachmany

I nagle w ziemię wzrok chowa,
 Jak winien złego uczynku --
 Zniskąd ci dobrego słowa,
 Serdecznego upominku.

Każdy obchodzi cię wkoło,
 Stroniąc, jak od trędowatej,
 I wstrząsa swej szaty połą,
 Gdy dotknęła twojej szaty.

Takeś straszna w nędzy twojej,
 Że ten nawet, co ci sprzyja,
 Dzisiaj, wydać z tem się boi —
 Jak nieznana ciebie mija;

Bo tu ziemię tylko ważą,
 A twa ziemia, twa świątynia,

Pod zlej mocy dzisiaj strażą,
I ruina i pustynia.

Tu możnych tylko biesiada,
A ty odarta z twych włości,
I ten, co je dziś posiada,
Zaproszony tutaj gości.

I gdy cały świat wesół,
Gdy mu wszystkie grają dzwony,
Gdy mu otwarte kościoły,
Gdy go święte krzepią tony,

Tobie — zamiast bożych dzwonów
Pobrzękują twe kajdany,
A serca bitych milionów —
To dzisiaj twoje organy!...

A jeśli z twych ziem zalata
Jakiś głos wśród gwaru tego,
To skarga pod chłostą kata,
Lub ryk „hurra“ piekielnego.

Świat też od ciebie ucieka
Z życzeniami uprzejmymi:
Twoja przeszłość tak daleka,
Że już niema jej na ziemi —

Twoja przyszłość tak wysoko,
Że jej lada wzrok nie dopnie,
A, co może objąć oko,
To się jawi tak okropnie!...

Bo krążący wśród stworzenia
Wóz boży wieków anioła
Za swe wiekowe zboczenia
Stracił cię pod swoje koła:

Odtąd każdy rok po roku
Po twojem ciele przelata

I druzgocze cię w swym toku,
Jak mordercze koło kata.

Pod fatalnym ich przebiegiem
Twój tułów krwawy, zmiażdżony,
Bity, jak cepów szeregiem,
Pryska na wsze świata strony.

Zbryzgana nim ziemia cała —
Padły na wszystkie krainy
Odrywy twojego ciała,
Twoje rozproszone syny —

Popękały twe wiązadła —
Zgruchotane twoje kości,
Piers na poły się rozpadła,
Rozpłynęły się wnętrzności —

Serce narodu olbrzymie
Prysnęło, jak szkło, i zmierzchnięło
Wielkie narodowe imię
W krocie głosek się rozpierzchnięło,

Poszła w niebo dawna wiara,
Narodowy rozum zgłupiał,
Zgasła polska miłość stara,
Narodowy ogrom strupiał,

I wylażą ze zgnilizny,
Jak brzydki robak grobowy,
Mnogie, a różne ojczyzny,
Różne wiary, różne mowy —

Rozpada się na plemiona,
Tak jedna niegdyś, rodzina
I wśród matczynego łona
Już się bój bratni poczyzna,

I każdy członek z osobna
Tryska krwią, lub zółcią ziele...

Ale czyż wydać podobna
W słowach obecne twe dzieje?...

A co klęsk pod nieba stropem,
Co plag w czarze bożej kary —
Wszystkie spływają potopem
Na ziemi twojej obszary:

Powodzie, pogorzeliska,
Śmierć głodna, zarazy, mory,
I polsko-bójca, co wciska
W dłoń Polaka swe topory,

By własnych synów rękami
Krwawić pierś matki bolesnej,
A kto sroższy, tego plami
Piętnem swej cześci bezczesnej —

I gorsza od tych plag możność,
Której nazwa w pieklach: Pycha
Zmienna, jak czart — tu: Bezbożność,
Boga z praw Polski wypycha —

Tam, zwierzęco-bałowchwalcza,
Zna Boga tylko w dział paszczy —
To znów, podła i służalcza,
Mocarzom ziemskim się płaszczy.

Tam, bez wiary i sumienia,
Krzyż Chrystusa z serca strąca,
I chorągiew polską mienia
Na chorągiew pół-miesiąca,

Lub wylepia świętokradzko
Z Polski, z jej wiary, mamidła,
I łowi za tą zasadzką
Biedne dusze w swoje sidła.

W kolej harda — i nikczemnik,
Pełzająca — i zuchwalec,

Dumny pan — podły najemnik,
Świętoszek — czarta służalec,

Gdy jedną ręką zabija,
Co nam dni i czci zostawa —
Drugą sztandar swój rozwija
I woła: „Ja Polska prawa!”

I są nieszczęśliwi ciemni,
Co wierzą w owe widziadła,
I nieszczęśliwi nikczemni,
Co lgną na ten lep — dla jadła —

I najnieszczęśliwsi owi,
Co winniejsi, jak opryszki,
Mordować bliźnich gotowi,
Dla przystrojenia swej pyszki.

I taki huf, taki cały,
Ma podnieść między narody
Sztandar dawnej polskiej chwały
I przyszłej polskiej swobody!

Ma wyjść, jako spadkobierca
Starych Polaków wielkości —
Ma pozyskać Polsce serca
Najszlachetniejsze w ludzkości!

Ma jej winną przeszłość zmasać
I nowym, żywym dowodem
Bogu i światu okazać,
Że Polska bożym narodem!

O plago, jak żadna plaga
Między wszystkimi wszechstworzeń!
Wszelka inna z zewnątrz smaga —
Ta w narodzie ma swój korzeń.

Plaga boża, chłoszcząc ziemię,
Tępi zło, oczyszcza z niego —

Ta — piekielne mnoży plemię,
Gorsze jedno od drugiego.

I gdyby Bóg w swej miłości
Dla tych, co mu zaufali,
Nie zhamował w końcu złości,
Nie zakazał jej iść dalej,

To z owej Polski dwójmorzej
Byłby wielki tułów ścierwi,
A z owej niegdyś półbożej,
Tylko wielkie gniazdo czerwili...

Nie dziw, że to widowisko,
Jakie świata dziś dajemy,
Obraca nas w pośmiewisko,
A w dobrych budzi żal niemy.

Nie dziw, żeśmy poczytani,
Jako bezbożne narzędzie,
Jak zbywca swej krwi, tak tani,
Że ją, kto zechce, nabędzie.

Nie dziw, że nasz wróg, tak silny,
Z naszych się miotañ urąga,
I pomoc ręki przychylniej
Z taką łatwością powściąga —

Że sam Pan Bóg do tej chwili
Ścieśnia coraz nasze pole,
Plany robót naszych myli,
Zwraca przeciw nam swą wolę.

Nie dziw, że i ty, o matko,
Nad wszystko nam ukochana,
Stoisz śród świata zagadką,
Skrwawiona, jak świeża rana,

I nie śmiesz przestąpić progu,
Dzielić ucztę ludów dzietną.

Ach! Jesteś wdową po Bogu,
Masz-że być wdową bezdzietną?

Zmoro straszna! Zagiń oku
Pod zgasłych wieków żałobą!
Zagiń w wiekach, stary roku!
Nie byłeś nam bożą dobą.

II. DUCH POLSKI I WIERNI JEMU.

Duchu niebieski mej ojczystej ziemi,
Co się promienisz i w nas i nad nami
Naszych naddziadów duchami wielkimi,
Naszej przeszłości wielkimi chwilami!

Pod jakimkolwiek licem znamy ciebie,
Czyś myślą bożą, czy aniołem-stróżem,
Czy gwiazdą świętą na Polaka niebie —
Ty duch, któremu my za ciało służym,

Ty z łaski bożej Polski gospodynem,
Matką nadziejską w Polaków rodzinie,
Czystej miłości ogniskiem jedynem,
Zdrojem, skąd życie i światło nam płynie!

Otwórz się, duchu, otwórz się przede mną!
Moją ohydę i moje boleści
Rzuciłem wszystkie w obecność nikczemną,
Rzuciłem złemu, co nas dziś bezczęści,

I oto stoję u twojego proga,
Bym posiał w przyszłość blizką lub daleką,
Co mam w mej duszy z wielkiej łaski Boga!
O duchu Polski, przyjdź mi z twą opieką,

Aby mój naród wziął rychło i łatwo,
Czem pragnę jego dobrej woli służyć.
Zło, które broi między twoją działwą,
Nie mogło całkiem twojej władzy zburzyć,

Ani tej świętej nici nie zerwało,
Która ich dusze w związku z tobą trzyma:
Posiada ziemię, posiada ich ciało,
Bożej ich iskry w swojej mocy nie ma.

A choć ty jesteś wzniesion tak wysoko,
A Polska w swoim upadku tak niska
A taką grubą okryta pomroką —
Wszakże jej sięga żar twego ogniska.

I wśród niewiernych masz tych, co ci wierni,
Przy twych promieniach swoje serca grzeją,
Rosną pod nimi wśród chwastów i cierni
I — przyjdzie chwila — w boży plon dojrzeją.

W nich, duchu Polski, masz ową rodzinę,
Co żywym polskim łańcuchem
Wiąże z niebieską — ziemską twą dziedzinę,
Twoje ciało — z tobą, duchem.

W ich sercach czystych, zoranych przez bole,
Twych przeszłych wieków świętości
Mają już sprawną, kielkującą rolę
Rozrosłym plonem przyszłości

W nich masz te pszczołki, co, zbite rojem,
Gdy chór trutniów gra i hula,
One, przy sercu grzejąc się twojem,
Przybierają się do ula —

I, kiedy trutnie przepadną marnie,
Rój ocalony zostanie
I gospodarstwo ula ogarnie
Za wierne przy matce trwanie.

Ten to lud bożej, a nie swojej woli,
Wierzący miłości bożej,
Do niej ucieka we wszelkiej doli
I najsroższą się nie trwoży.

Mądry ofiary kornej podaniem,
Świątą po dziadach spuścizną,
Zna słowo boże, leżące na nim,
Żyje prawdziwą ojczyzną.

Nie bije o nią czołem nikomu,
Krwi swej na oślep nie leje,
Ani się wkrada do swego domu,
Jak się wkradają złodzieje;

Sprawy swej chytrze w obce nie wszywa,
Ani jej obcemi lata:
Ona mu z jednej sztuki i żywa,
Jak była Chrystusa szata.

Wierzy on, że nam wszyscy pomogą,
Gdy się Bóg pokaże z nami,
Ale nie będzie wprzęgał nikogo
W swoje jarzmo podstępami,

Ale się na to nigdy nie zgodzi,
Ażeby nas kłamstwo wzięło,
Bo wie, że w jego robocie chodzi
O samego Boga dzieło.

W tej części dzieła i sam nie kłamie
I oszustów się nie lęka:
Wszystkiem dla niego jest boże ramię,
A zawodna ludzka ręka.

Wierzy on jeszcze, że mimo Boga
Ziemi naszej nie posiądzim,
I że na starcie naszego wroga
My pierwszym bożem narzędziem:

Stąd ma wytkniętą prostą swą drogę
Pośród rozumu manowców,
I stawia na niej bezpieczną nogę,
Nie troszcząc się sidłem łowców.

Piers jego czysta światu odkryta —
 Nagość jej prawda oświeca;
 Niechaj w jej głębi cały świat czyta —
 A resztą Bogu poleca,

Gotów, gdy chwilę walk dla świętej sprawy
 Zegar niebieski wydzwoni,
 Rzucić swe wszystko na stos ofiar krwawy,
 Bo, co ma, to z Boga dłoni.

Taki jest lud twój, taki chór strażniczy
 Żywotnego Polski słowa:
 Niebieski ogień z ojców on dziedziczy
 I święcie w piersiach go chowa.

Lecz i on dzisiaj wśród tej nocy grubej
 Złego, co ciśnie w domu i za domem,
 Jest wystawiony na tak ciężkie próby,
 Że może upaść pod tym złą ogromem,

On, podwalina naszego istnienia!...
 Dla tych to braci przed innymi braćmi
 Winny być trwogi polskie i życzenia.
 O! Niech noc piekła nieba w nich nie zaćmi!

Ta chwila ważna nowych czasów dnienia,
 Jak owa chwila krzyżowej ofiary,
 Drogę człowieka w dobrą lub złą zmienia,
 Może mu przynieść łaski albo kary.

W woli człowieka, w jego wolnej woli
 Leży: począć rok boży lub nieboży;
 Nie z Boga lata chłosty i niedoli:
 Człowiek je sobie własną winą tworzy!

O duchu Polski! Bądź wśród twego ludu,
 Niech się rozbije groźna dziś pokusa
 O jego życie ofiary i trudu,
 Jak się rozbiła o mękę Chrystusa.

III. TAJEMNICZOŚĆ SPRAWY POLSKIEJ.

Oto świat w wojny pożarze
 Roi się orężną zgrają:
 Najwięksi ziemi mocarze
 Przeciw sobie się rzucają.

Walka prawie bezprzykładna,
 A stoi w miejscu, jak wryta:
 Dotąd nie wie strony żadna,
 Czy zwyciężka — czy pobita?

Ponad całe bojowisko,
 Pośród stron walczących obu,
 Podnosi się stanowisko
 Tajemnicze, jak noc grobu.

Ono tylko, ono jedno
 Panuje temu bojowi:
 Najzuchwalsi przed nim bledną,
 Raczej złożyć broń gotowi,

Anieli się odważyć
 Na wzgórza tego zdobycie
 I chorągiew swą skojarzyć
 Z krzyżem, co na jego szczycie.

Według sumień winnych wiary
 Mogłoby to z miejsc pokuty
 Wywołać widziadło mary,
 Ducha, który, tam zakuty,

Czeka z bożego wyroku
 Na chorągiew ludu — brata,
 Aby wyjść z otchłani mroku
 Z nowym porządkiem dla świata.

Lecz być tym bratem ktoś pragnie?
 Dla jednych jesteś złudzeniem,

Błędnym płomykiem na bagnie —
Dla innych ty ich sumieniem,

Krwia niewinną tak zbroczonem
I splamionem przez krzywd tyle,
Że cię, zdusiwszy swem łonem,
Pogrzebli tam, jak w mogile;

Teraz rozważni morderce
Poruszyć się ciebie boją,
Aby nie pękło im serce,
Mózg nie prysnął pod krwią twoją.

Dla wielu tyś tylko dymem,
Co z węgla kilku serc wzlata —
Dla wielu cieniem olbrzymem
Przedmiotu nie z tego świata —

W innej chwili jesteś trupem,
Którym straszą siebie wrogi,
Póki wzajemnym okupem
Spólnej nie zbęda się trwogi —

A dla wszystkich tyś widziadło,
Co nad dwóch czasów granicą,
We mgłach zaświata usiadło
Straszną jakąś tajemnicą.

Świat patrzy w ciebie ze wstrętem:
— Czem cię nazwać? — Pyta w gniewie —
Czy czems świętem? Czy przeklętem?
Co z tobą począć? — Sam nie wie.

Darmo cię grzebie i grzebie,
Stoisz mu wciąż przed oczyma;
Darmo woła, że dla ciebie
Miejsca już na ziemi niema —

Wszakże i w najkrwawszym sporze
Nikt twego miejsca nie bierze;

Nie bierze — i wziąć nie może,
Niebo i piekło go strzeże,

Bo Przedwieczny, co nie zmienia
Planu, który raz zakreśli,
W chwili twojego stworzenia
Natchnął cię jedną z swych myśli

I sam ci na ziemskim planie
Wytknął twojej pracy pole
I strzedz jego nie przestanie,
Aż, przeszedłszy śmierci bole,

Wskreszony święty twój zawód
Życiem swoim uwydatni,
Jakim być ma boży naród,
Naród, Chrystusowi bratni.

IV. POLSKA BEZ DUCHA POLSKI.

Duchu Polski, ty wysoko,
Może gdzieś tam u podniebi —
A zło, strojne twą powłoką,
Twą własność dla piekła trzebi.

Kłamanem prawem gospodarz,
W twe imię domem twym władnie,
Przejmuje, co twoim podasz,
I przetwarza albo kradnie.

Serca, wiekami orane,
Narodowych ofiar żniwa
Niszczy, kala — i skalane
Chwastem jałowym zasięwa.

Twe dziewice, twe młodzieńce
Morzy w samym ich zarodku,
A w ich miejsce masz odmienne
Jego własnego rozplodku.

Co nie skalał — to rozpędza,
I w ogień i w wodę miota;
W domu niewola i nędza,
A przed obcymi sromota.

Patrz, jak pędzą, owiec rzeszą,
W zawód do zguby, kto skorszy:
Nieprzyjaciele się cieszą,
A druh smuci się lub gorszy.

Duch to obcy, duch kłamliwy,
Co wziął twe pozory święte,
Wyprawia te wszystkie dziwy!...
A tu dzieło twe napięte!

Ale bez ciebie w twem dziele
Twój syn — naród nic nie sprawi:
Może walczyć, cierpieć wiele,
Wszakże tem się nie wybawi.

Powierzy się wszystkim drogom,
A tylko prawdziwa pusta;
Odda serce wszystkim bogom,
Bogu bogów — ledwo usta.

W kołach narad tylko zwada,
W wykonaniu szal i nierząd,
Bo bez ciebie syn twój spada
W szereg zwierząt — niżej zwierząt.

To też wloką go wypadki,
Jako powróż, niby czynnym,
W rzeczy, jak bydle na jatki,
Na pastwę narodom innym.

Bez ciebie — ziemia mu bóstwem,
Bodźcem — pycha lub rachuba,
Piękny cel — pięknem oszustwem,
A kres ostateczny — zguba.

Widzieliśmy, ach, widzieli
Nieszczęśliwych samozwańców,
Co świętokradzko stanęli
W urzędzie twych pomazańców:

Niepoświęceni twem technieniem,
Ufni w ofercie zwierzęcej,
Padli pod świętem brzemieniem,
Padli — by nie powstać więcej.

Bóg pokazał nam w tę porę,
Co widziano w Izraelu,
Gdy ów świętokradzki Kore
Zapadł w ziemię, a z nim wielu.

I nas z Egiptu wyrwano,
I my idziem przez pustynię
Posiąść ziemię obiecaną,
Która nowem życiem płynie.

A ty, aniele ojczysty,
Ty, coś wiódł nas przed wiekami,
I, jak byt nasz wiekuisty,
Tak do końca będziesz z nami —

Ty nam kolumną promienną,
Ty masz być obłokiem chwały,
Co strażą nocną i dzienną
Nad Izraelem czuwały,

By Chrystus, nasz pan nad pany,
Obecny w tobie, jak w niebie,
Tobą, jak szatą, odziany,
Gościł pośród nas przez ciebie.

Wszystkie struny w sercu twojem
Do serc polskich milionów,
Gdy ty zagrasz — polskim strojem
Ozwa się miliony tonów.

Twem jest wszelkie nasze łono:
 Byleś tchnął niebem jarzącem,
 Wszystkie polskie piersi spłoną,
 I naród wybuchnie słońcem

I stawi się jednym mężem
 Na polu walk Chrystusowem,
 Z niepokonanym orężem,
 Z Duchem Bożym, z Bożem Słowem.

Lecz pokąd ty twemu ciału
 Jesteś władzą jakby obcą,
 Naród jest lampą z kryształu,
 Którą niedogarki kopcą;

Naród — jak w letargu człowiek:
 Z ust dech się niby wije,
 Ale śmierć siedzi u powiek,
 I nie umarł — i nie żyje.

A gdy, wolny od pęt ciała
 W lotach ducha po swym bycie,
 Mniema że żyje, że działa —
 Biedny, on tylko śni życie.

W nim tak mało życia, uczucia,
 Że — choć się ciało już psuje,
 I choć woń tego zepsucia
 Wszyscy czują — on nie czuje.

V. POSŁANNICTWO POLSKI.

O moja droga ojczyzno!
 Biję w ciebie strzałów wiele,
 Ale się wszystkie prześlizną,
 Jak po duchu — po twem cielem,

Gdy przywdziejesz twoją zbroję,
 Którą tobie niebo dało:

Twój duch — uzbrojenie twoje:
 Weź je w ciało i na ciało.

Otwórz się duchowi twemu,
 Rozpal w sobie jego płomień,
 Daj się cała strawić jemu,
 Jego blaskiem się opromień,

W jedną całość z nim się zamień:
 Jego boskie pochodzenie
 Zmieni cię w miłości kamień,
 Co skruszy wszystkie kamienie —

Da tobie puklerz ofiarny
 Którym wszelki cios odbijesz —
 Spadnie z ciebie twój krzyż czarny,
 Nieśmiertelnością ożyjesz —

Lecz nie błakaj się już dłużej,
 Jak upiór, między ludami:
 Niech twa gwiazda się rozchmurzy
 Pomiędzy ludów gwiazdami.

W epoce nowej, co dnieje
 Nowego dnia wieków brzaskiem,
 Niech i ona zajaśnieje
 Nad ludzkości niebios blaskiem.

Na to czeka, tego żąda
 Wierne Bogu serce wszelkie,
 Na twój sztandar się ogląda,
 Widzi w tobie zbawicielkę.

Słyszysz, jak w tym świata gwarze
 Wzbija się okrzyk chwilami:
 „Podnieś się, polski sztandarze,
 A zwycięstwo nad złem z nami!“

W głosie ludów boże głosy —
 Serca ich czują, czem bolą;

Twój los rozstrzyga ich losy,
Twoja dola jest ich dola.

Nie myli się wzrok ich wnętrza:
Z niebios tobie jest podana
Twoja chorągiew najświętsza,
A przy niej pewna wygrana.

Nie dla przeszłych wielkich czynów,
Co już poszły wieków drogą —
Nie dla mocy twoich synów,
Którą większe złamać mogą —

Nie dla twoich praw dziedzicznych
Do pradziadów ziemi nagiej —
Nie dla względów politycznych
Równowagi lub przewagi

Jesteś ty sztandarem owym,
Co wszystkie Bogu ukorzy —
Lecz, że jesteś Chrystusowym
I stoisz na woli bożej.

Polsko — twa sprawa jest sprawą
Chrystusowego dziś dzieła,
I Chrystusa raną krwawą
Na twoim duchu spoczęła.

Twój krzyż biały narodowy,
Na krzyżu światów wszczepiony,
Twą ofiarą Chrystusowy,
Wyda światu niebios plony.

Tyś pierwsza wezwana ożyć
Miłością z bożego rodu,
I pierwsza w sobie utworzyć
Wielkie braterstwo narodu.

Ty się pierwsza masz oczyścić
Z nizkości, z przeszłości brudów;

Pierwsza masz tę przyszłość ziścić
Którą Bóg chowa dla ludów.

Tobie najwyższe wyroki
Dały prawdę, choć nie nową,
Lecz prawdę nowej epoki,
Mnogim wiekom boże Słowo.

Ty masz wyższy zakon boski
Odkryć przed świata obliczem
Nie przez martwe pisma głoski,
Ale życiem ofiarniczem.

Ty masz ogniwem widomem
Błysnąć wśród tego łańcucha,
Co z widnym globu ogromem
Łączy wyższe światy ducha,

Byś pierwszą była najszczęśliwą
Dla ziemi prawd bożych księgą,
By ją Bóg przez ciebie pierwszą
Obdarzał życia potęgą —

Aby nurtem twego łoża
Szły przez wieki, jako rzeka,
Boża wola, łaska boża,
Wolność i szczęście człowieka.

I są, co to odgadują:
Więc serdeczne swe spojrzenia
Ku tobie stale kierują,
Jak ku chorągwi wskrzeszenia,

Jak ku gwiazdzie, co ich statki
Zaprowadzi do ostoi,
Jak ku słońcu tej zagadki,
Co dziś ludzkość niepokoi...

O, dlatego sercem całym
I duszą modłę się całą:

Sławo Polski, stań się ciałem!
Duchu Polski, wejdź w twe ciało!

VI. POLSKA WSKRZESZONA.

Polsko, obudź się twym Bogiem,
Obudź Bogiem ciało twoje!
Oto Chrystus Pan za progiem
Puka, jak gość, w twe podwoje...

Przyjmij go otwartem czuciem,
A cała klęsk i plag fala
Zniknie razem ze zepsuciem,
Które ogień ich wypala.

Dom twój stanie oczyszczony
I mocniejszy i piękniejszy,
Nowym chrztem ducha ochrzczony,
Ciebie i Boga godniejszy.

Wierny tobie, twój Zbawiciel
Trzyma nitkę twojej wiary;
Dzisiaj stoi, jak wskrzesiciel,
U otworu twej pieczary.

„Wyjdź, Łazarzu!“ — woła na cię;
O powstań, wynijdź, Łazarzu,
A szmata grobu po szmacie,
Opadną na twym cmentarzu.

Nieczyste obowiązki pękną,
W których złe cię pogrzebało,
Wstaniesz znowu niebem piękną,
Silną ciałem, zmartwychwstałą.

Tylko usłysz to wołanie,
Tylko przyjmij nowe życie,
Tylko przez twe zmartwychwstanie
Przyświadc Bogu, żeś mu dziecię.

Nie na to byłaś stworzona,
Abyś marnie dziś zginęła:
Co wyszło z bożego łona,
Ma trwałość bożego dzieła.

Powołanie twoje święte
Śród ludzkości czeka ciebie;
Chociaż na ziemi przecięte,
Czeka cię złożone w niebie,

Byś je wzięła na twym grobie
I z nim w obec świata wstała,
Duch boży nad tobą, w tobie —
Przed tobą żywot i chwała.

Przed tobą krzyż powinności,
Życie niebem ziemi dłużne:
Bo, gdy duch nad ziemią gości,
Twe miejsce na ziemi próżne.

Jak zagadka zagrobową,
Trwoży i mąci umysły,
Jakby od niej, od jej słowa
Losy narodów zawisły.

O matko nasza! O, ożyj
Wyższem życiem, w wyższej krasie!
Powstań w wyższej sile bożej,
Póki czas twój w bożym czasie.

Kto ma ku słuchaniu ucho,
O, ten dosłysz anioła,
Co przez puszcę świata głuchą
Idzie lat tyle i woła:

„Czasy jedne się spełniły,
A nadchodzą nowe czasy:
Większe dobre i złe siły
Pójdą o ziemię w zapasy.

„Niebo bliższe, miłościwsze,
 A z niebem spływa na ziemię
 Czystsza miłość, życie żywsze
 I ofiary wyższej brzemię.

„Dla ofiar z wyższej miłości
 Trzeba serca według nieba,
 Dla usłużenia ludzkości —
 Ofiarnika-ludu trzeba.

„Na plac walki, gdzie się zmierza
 Stary kłamca z prawdą nową,
 Potrzeba ludu-żołnierza
 Pod chorągwią Chrystusową!

„Polsko! Pod nowem przymierzem
 Ty mojem sercem-narodem,
 Moim kapłanem-rycerzem,
 Ty pierwszym sługą. — Idź przodem!”

Naprzód, Polsko, w imię boże:
 Bóg w tym głosie woła ciebie!
 Rzuć letargu twego łożę,
 Wystąp ku świętej potrzebie.

Wystąp, a boża opieka
 Ośloni cię wśród walk burzy;
 Bóg i ludzkość na to czeka —
 Nie ociągaj się już dłużej!

Podnieś nad ziemię ciemństwa,
 Przez twe czyny ofiarnicze,
 Znak krzyża, godło zwycięstwa —
 Odkryj prawe twoje oblicze.

Krnąbrne syny twe upokorz,
 Rozbitych po ziemskiej kuli
 Zgromadź i przytul, jak kokosz
 Spłoszone pisklęta tuli.

Przez miłość, z niebios ci dana,
 A żywą, ludzką i czerstwą,
 Twą rodzinę, w jedność zlaną,
 Rozplódź w powszechne braterstwo,

Aby myśl narodu boża,
 Rozżarzona duszą laszą,
 Zapalała, jako zorza
 Niebieska, nad ziemią naszą,

Aby od końca do końca
 Błysła Polska niebios brzaskiem,
 Aby do niej, jak do słońca,
 Jak za ciepłem, jak za blaskiem,

Zbiegły się w zgodnym nacisku
 Pobratnie Słowian gromady
 I przy wspólnym już ognisku
 Siadły do bratniej biesiady,

Aby z sercami jednemi
 Szły już odtąd obok siebie
 Jednym narodem na ziemi,
 A jednym chórem na niebie!

Daj to, Panie! Gdy dasz, Panie,
 Jedno mi tylko pragnienie,
 Jedno, o Polsko, zostanie:
 Dzielić twoje odkupienie.

VII. MODLITWA WIESZCZA.

Daj to, o Panie, dawco dobra wszelakiego!
 Stąd przedewszystkiem sobie, u tronu swojego
 To moje narodowe czucie dozwał złożyć
 I racz je w swej dobroci poświęcić, rozmnożyć!
 Ja, proch z najlichszych prochów — i mój hołd jest niczem
 Przed Twojem, nieobjętym niebami, obliczem,
 A choćbym, jako naród, oddawał ci chwałę,

Co przed Tobą narody, co są globy całe?
 Nie skalą objętości mierzysz Twoje twory,
 Lecz ogniem ich miłości, szczerością pokory.
 I na tę miarę jam proch tak duchem, jak ciałem,
 Aleś chciał kochać, ale, jak mogłem, kochałem.
 Czując Ciebie najsilniej pod duszą ojczystą,
 Jej miłością zarzyłem moją miłość czystą;
 Wpijałem się w mą Polskę i ciałem i duchem,
 Żyłem jej życiem, drgałem każdym prawym ruchem,
 Dzieliłem mej ojczyzny wszelkie przeznaczenia,
 Przejmowałem jej wszystkie czucia, krom zwątpienia —
 Ale nie odepchnąłem żadnego cierpienia,
 Podstawiałem mą duszę pod wszelką jej karę:
 Jej łzy, jej krew zlewałem w me serce, jak w czarę,
 Wszelki jej jęk męczeński chwytalem w me łono
 I wiązałem na duszę strunę wypreżoną,
 Gromadziłem do ducha iskry Twojej wiary,
 Które z niego krzesaly Twe łaski lub kary...
 Jam proch, Panie — lecz z duchem, który Ciebie kocha;
 Jam proch, lecz z sercem, w którym płacz narodu szlocha;
 Jam proch, lecz krwią pokutną przesiąkły, zmiekkczony,
 Z lutnią w piersiach, na których jęczą miliony,
 A jasny, nieśmiertelną iskrą Twej miłości,
 Jak to wiesz Ty, co widzisz tworów Twej wnętrzości.
 To też, Panie, na nicosć moją nie uważaj,
 Ani się tą ofiarą lichą nie obrażaj,
 Lecz jej w swojej wielkości pobłogosław, Panie,
 I racz przyjąć to moje a polskie wołanie:
 Staw się w tych czasach łaski, staw się, miłosierny,
 Ludowi, co Ci przetrwał wśród prób tylu wierny,
 Rozprósł te chmury fałszów, co go, jak straż, strzegą,
 Niech prawda nowych wieków przedrze się do niego
 Z tem życiem i z tem światłem, w któreś ją uzbroidł,
 By się do niej duch ludu co rychlej dostroidł,
 By zobaczył, by dotknął, że jesteś z nim, Boże,
 Bliżej i pewniej, niżli kiedykolwiek może,
 By w tej wierze, wrogowi, co go uciemieża,
 Pokazał to miłością lub ostrzem oręża.
 Zlituj się już nad tymi, co litości godni
 I nie chłostaj ich więcej dla tych, co wyrodni,

A i takim bądź raczej łaskawy, niż srogi,
 Bo nie wiedzą, co czynią, gdzie wiedzą ich drogi.
 Wszakże, o Panie, gdyby przez ich złość upartą
 Twa prawda na mej ziemi miała być zatartą,
 Twoje światło zgaszone, zdmuchnione Twe technienie,
 I lud cały na wieczne miał pójść zaginienie —
 Wtedy, o Panie, prosim — gromu prawa użyj!
 Niechaj życie pod śmiercią nie miota się dłużej,
 Niech pęknie nad twym ludem dusząca go warstwa
 Ze skorup samolubstwa, z mózgów niedowiarstwa,
 Z umysłów, najeżonych żądzą górowania,
 Z sumień zeszczaranych, z piersi bez kochania,
 Ze sideł przewrotności, ze śmieci służalstwa,
 Z czół, dumnych swym bezwstydem, z bożyszcz bałwo-
 chwaltwa
 Wybaw ducha polskiego, ziemię polską od niej,
 Strzaskaj tę warstwę, przeorz choćby Twoim gromem,
 Rozmiełcz Twoją miłością, Twem słowem zapłodnij,
 I sam już odtąd władać Twoim polskim domem!
 Niech przed Twojem obliczem padną w proch bałwany
 Tych władz, co walczą w Polsce o stolicę Twoją;
 Niech płomień gniewu Twego spali te łachmany,
 Co pozorem sztandarów polskich Polskę dwoją:
 Twój tylko sztandar wszystkie przeciwne nam zmoże —
 Ten sztandar już nam podnieś nad Polską, o Boże!
 Jedna nam władza: Twoja łaska ją stanowi;
 Tę władzę postaw, pokaż Twojemu ludowi —
 Otwórz oczy ludowi, ażeby zobaczył
 Dobro, któreś od wieków obmyślił mu raczył.

O Boże Izraela, coś przez lat czterdzieści
 Prowadził go koleją zwycięstw i boleści
 Po pustyniach bezdrożnych w obiecaną ziemię,
 Coś potem niósł przez wieki krnąbrne jego plemię,
 I o świecie dni nowych w poziomej stajence
 Zwierzył go na chód dalszy w Chrystusowe ręce,
 Oto dzisiaj, Izrael nowego przymierza.
 Lud Polski do swej ziemi obiecanaj zmierza:
 Nie opuszczaj go, Panie, wzmacniaj Twoją łaską,
 Wiedź go jeszcze, jak dotąd wiodłeś, Twą opaską,

Aż, pożywszy dane mu słowo życia błogie,
 Zdoła w sile młodszej odbywać swą drogę!
 Krzep go, ażeby Twoje gwałcone wyroki
 Nie zwały nań krzyża czarnego epoki,
 Jaki spadł na starszego Twego Izraela,
 Gdy się zgorszył miłością swego Zbawiciela —
 A oto rok ten może być rokiem wesela!
 A ja, co dziś te modły ku Tobie podnoszę,
 Choćby o chwilę w uczcie mego ludu proszę!

Pójdzie przed nami muzyką bojową
 I, jako odgłos niebieskich podwoi,
 Będzie nas wiodła ku dziedzinie swojej
 Świętych walk krwawym i zwyciężskim szlakiem.
 Zaczem wieszcz taki zagra hymnem takim,
 Niechaj mi Maryo twa dobroć dozwoli
 Podnieść pieśń cichszą — na lirze niedoli.

WYIMKI Z POEMATU:

BOGARODZICA.

Z CZĘŚCI PIERWSZEJ.

(POCZĄTEK.)

Bogarodzico, dziewico,
 Przeczysta oblubienico
 Boga-ojca stwórcyziela,
 Matko Boga-zbawiciela!

.....
 Tem przenieświetszem imieniem
 Lud-niemowlę Chrystusowe
 Rozwiązywał ust swych mowę —
 Tego hymnu świętem pieniem
 Polska, Chrystusowe dziecię,
 Kołysała swoje życie
 Przyszłe, wielkie, narodowe —
 Polska-rycerz tych słów dźwiękiem
 Odzwaniała walk swych pola.
 Długo potem lud-niedola

Spiewał tylko bólów jękiem:
 Z duchem Polski, co go rzucił,
 I spiew jego uświęcony
 Ucichł, jak gdyby powrócił
 W natchnienia swojego strony —
 A, kiedy echem tulaczem
 Na nasz padł się przybłąkał,
 Lud-żebrak chwycił go płaczem
 I u progu niebios jękał:
 „Maryo, nadziejo jedyna,
 Błagamy cię, usłysz nas!
 Uproś u twojego syna,
 Niech już nam zesle swój czas!“
 Syn rodzony mego ludu
 I przez wspólność pochodzenia,
 I przez wspólne przeznaczenia,
 I przez wspólne zawinienia,
 I łańcuchem tegoż trudu
 Razem z nim oddawna wkuty
 Do jarzma ciężkiej pokuty,
 Dręczony jego potrzebą,
 Razem z nim w ciebie wierzący,
 Razem z nim wznosiłem w niebo
 O czas boży głos żebrzący.

I otośmy wysłuchani:
 Chrystus się ku nam przychyła,
 Nowem nas życiem zasila...
 Dzięki tobie, nasza pani!
 Twojej-to łaski cud świeży,
 Nowa-to dla świata chwila,
 Nowy-ć od nas hymn należy:
 On z ziemi zabrzmiał aż w niebie
 Na skrzydłach naszych dziękczynień,
 Dusze nasze Bogu złoży
 Czyste od naszych zawinień,
 Uwielbi godnie dar boży
 I wzniesie prośbę do ciebie,

Byśmy, twoją łaską wsparci,
 Pokazali się go warci,
 Przyjęli go w bożej chwili,
 W myśl najwyższą w nim ożyli,
 Zamienili się weń cali
 I Bogu z lichwą oddali.
 On uderzy w zegar Pański
 Na ów czas — z win się pokajać,
 Ująć swój krzyż chrześcijański,
 W miłościach się nie rozdawać,
 A Bogu dać serce całe,
 Z całych sił go umiłować,
 I na wieczną jego chwałę
 Wiecznie mu się ofiarować —
 W prawdzie życia się pokazać,
 A tem przeszłe kłamstwa zmazać,
 Stanąć przed Bogiem czystymi,
 Jak świecznik ludów olbrzymi,
 I słońcem ojczystej myśli
 I wielkich ojczystych czynów
 Poprowadzić bożych synów
 Droga, którą Bóg im kręśli.

Zaczem Bóg poda słowo takiej pieśni
 I wzbudzi wieszczą, co ją ucieleśni,
 Co, uzbrojony dźwiękiem arfy Pańskiej,
 Stworzy dla całej gromady słowiańskiej
 Bogarodzącą, nowym czasem nową,
 Bogarodzącą, która jeszcze świętsza,
 Epoką wyższą; postawi jej słowo,
 Zwiąże niem w Polsce wszystkich Słowian
 wnętrza,

Pójdzie przed nami muzyką bojową
 I, jako odgłos niebieskich podwoi,
 Będzie nas wiodła ku dziedzinie swojej
 Świętych walk krwawym i zwycięskim szlakiem.
 Zaczem wieszcz taki zagra hymnem takim,
 Niechaj mi Maryo twa dobroć pozwoli
 Podnieść pieśń cichszą — na lirze niedoli.

Nie przystrojony kapłańskim ornatem,
 Nie w twych urzędów przepychu i pysze
 Staję, o pani, przed twym majestatem;
 Kadzielnicą ci złotą nie kołyszę,
 Nie mam brylantów, ni pereł, ni złota
 Na dyademy, na szaty, na wota —
 Nie chcę cię oćmić woniami kadzideł,
 Nie chcę cię olśnić błyskami świecideł,
 Nie! Ja upadam przed stopami twémi,
 Jak najuboższy między ubogimi,
 Bo oto nawet ta przestrzeń tej ziemi,
 Na której leżę, nie jest mi ojczystą —
 Bo oto nawet to skalane ciało,
 Które ci rzucam pod stopę przeczystą,
 Ono mi jeszcze nieraz się opiera;
 Lecz mam, co mogę złożyć tobie śmiało:
 Mam moją miłość: wierna ona, szczerą,
 A moja własna, właściwsza, niż dusza,
 Bo moje rządy nad nią samowładne,
 Bo wyszła ze mną, jak ja, z twórcy łona,
 Ona tam, gdzie ja, a ja tam, gdzie ona,
 A nikt mię do niej nie pędzi, nie zmusza.
 Taką ci miłość na wiek wieków kładnę:
 W niej ducha mego i mą duszę biedną,
 Bo one, a moja miłość, to jedno.

Tak, matko niebios i matko mnie, procha:
 Nie serce tylko, lecz mój duch cię kocha.
 Ja ciebie kocham — o, nie w tych obrazach,
 Gdzie mistrz poganin pędzłem wyobraźni
 W zmysłowej tylko przedstawia cię krasie,
 Ani w tych dźwiękach, ani w tych wyrzaczach,
 Którymi sztuka ludzka nerwy drażni
 I niską rozkosz zmysłów niebem pasie:
 Ja duchem moim zajrzałem cię w niebie,
 Jak żebym kiedyś oczami, ot, temi
 Widział cię w twoim przechodzie, po ziemi
 Jak żebym kiedyś żył gdzieś blisko ciebie,

Jak żebym widział na ziemskim padole
Twój żywot matki Chrystusa, twe bole:
To też mam zawsze dla twego spomnienia
I cześć — i miłość — i lzy rozrzewnienia.

Pani, co twoim ogromem
Krocie światów obejmujesz,
A potęgą twej miłości
Wnikasz w robaczka wnętrzości —
Pani, ty to dobrze czujesz,
Jasno tobie jest widomem,
Że szczerze to moje czucie.
Ty wiesz: we śnie czy na jawie,
W każdej chwili, w każdej sprawie,
Czy to w trudzie, czy w zabawie,
Czy w radości, czy w pokucie,
Wszędzie, zawsze i we wszystkim,
Duchem, jak powiewnym listkiem,
Przed tobą na klęczki padam,
Tobie moją myśl spowiadam,
A we wszelkiej życia dobie
Na wzmiankę, na myśl o tobie
Otwieram się prędkiej do dna,
Niż przed strawą wargą głodna —
I łzą pełną, czystą, błogą
Roztapiam się w sercu prędkiej,
Niż z bólu jakiejbądź nędzy,
Niż jaką krzywdą od kogo.
Alboż inaczej być może?
Alboż nie ta wola twoja
Była, o Chryste mój, Boże,
Kiedy-ś, u niebios podwoja
Krzyżem na śmierć już rozpięty,
Ostatniej ofiary wola
Związał w jeden węzeł święty
Dolę Maryi z Jana dolą?

Zachowałem ja ducha dziecinna pamięcią
I dotąd w duchu strzegę pod wieków pieczęcią
Tę chwilę nieśmiertelną, gdyś Twem słowem,
Panie,
Dał Twojej matce boskiej syna w uczniu Janie.
„Maryo, oto syn twój! Janie, to twa matka“.
Panie! W tych słowach twoich niebieska zagadka,
Którą powinny rozwiązywać wieki,
Od człowieka miłości i cześci synowskiej
Dla Maryi, matki człowieczej i boskiej,
A od Maryi, niebieskiej nad ziemią opieki,
Przez wieki wieków do wieków ostatka.

Moją miłością i moją niedolą,
Dla dobra mego zgadłem tę zagadkę,
I, uprawniony Chrystusową wolą,
Maryo, ja, nędzarz, śmiem znać w tobie matkę,
Bom ja te słowa usłyszał, przechował,
Zwrócił do siebie, przez wieki miłował,
Przez nie w niebieski wszedłem z tobą związek
I w nich mam wieków moich obowiązek.
Tak! Tyś mi matką, a ja tobie synem
I powinienem we wszelkiej potrzebie,
Jako syn matki takiej, bronić ciebie,
Okazać — myślą, słowami i czynem,
Okazać nie już przed obliczem ziemi,
Ale przed piekła siłami wszystkimi —
Ześ moją matką, a ja twoim synem,
Jako, o Maryo, czas niedawny temu,
Ty okazałaś dziecku niegodnemu,
Kiedyś go twoją miłością wydarła,
Jak owcę wilkom z szatańskiego gardła,
I kiedy znalazł, jak syn marnotrawny,
W objęciu matki łaskę zamiast chłosty.

Przyszedłem na świat wierny drodze prostej,
Lecz czyhał na mnie wąż ów starodawny:

Trafił na chwilę, gdy byłem sam jeden,
 Wśliznął się we mnie, jako niegdyś w Eden,
 Zmówił się z moim pierworodnym grzechem,
 Jak z Ewą słabą, i podszepem cichym
 Podał mi owoc, długo kosztowany
 W moim narodzie, owoc zakazany.
 Nie zbroił mię wprost na bożego wroga,
 Tylko odwieczną pokusę odświeżył,
 Tylko mię nadał i tylko najeżył
 Moją swawolę przeciw woli Boga,
 Tylko mię z Bogiem na równi postawił
 I dał ojczyznę, ażeby ją zbawił.
 Więc, jak na tron mój, siadłem na ojczyznę
 I na mą rękę począłem jej dzieło,
 Nie przypuszczając ani na myśl troski,
 Czyby nie dobrze błagać łaski boskiej,
 Kiedy się sprawę tak świętą podjęło.
 Bóg winien mi być wspierać za pańszczyznę,
 Służyć mi, jak chłop panu swojej wioski —
 Do tego zmierzał. Bóg sądził inaczej,
 I w końcu wszystko w nie się rozpierzchnęło.
 Stłumiłem w sobie wybuchy rozpaczny,
 Cisnąłem na świat pogardy spojżenia,
 Rzekłem: „Już nie mam nic tu do czynienia“ —
 I miałem wytchnąć po wielu lat nuży,
 Rad z siebie, pewien nagrody w wieczności —
 Wówczas mój radca znikł w piekiel ciemności
 Z szyderskim śmiechem — jam leżał w kałuży.
 Poznałem wtedy, w jakim byłem stanie.

Niedługie było moje obląkanie,
 Niewielem zabrnął w piekielną niewolę,
 Ale poznałem bezprawia niedolę,
 Alem się skalał niższości nierządem;
 Co mi zostało z łask i czystej siły,
 Nieodjętych mi Przedwiecznego sądem,
 Z tego mię ziemia i piekło złupiły,
 Tak, że z całego niebieskiego mienia,
 Ze szat godowych ojcowskiego domu,

Wyniosłem tylko łachmany odzienia,
 A w licu, w sercu — płamę i ból sromu.
 Z taką to hańbą i w odzieniu takim
 Wlokłem się, Maryo, ku tobie żebrakiem,
 Ze wstydem, z żalem, lecz razem z ufnością,
 Że miłość twoja jest niebios miłością,
 Że, gdy ufamy miłości zwierzęcej,
 Możemyż twojej nie zaufać więcej?
 A działo się to w chwili nadzwyczajnej,
 W tej chwili, w której z woli bożej tajnej
 Zostało ludzkim zwiastowane synom,
 Że jest najwyższe przebaczenie winom
 Temu, kto wejdzie na drogę poprawy,
 Że już więzienie wieków odemknęto,
 Że się piekielne rozłamię wnet pęto
 Temu, kto westchnie do wolności prawej,
 Że się otwarła bożem rozrządzeniem
 Tu i nad ziemią dziedzina ojczyzna
 Temu, co z chwili łaskawej skorzysta
 I stanie czysty twojem poświęceniem.

Posłyszałem to wezwanie
 I odpowiedziałem na nie,
 Spiesząc i duchem i ciałem
 Pod twą szatę rozpostartą;
 A choć stawałem obdarto
 I z żebraczą tylko lirą,
 Lecz z skruczą, z miłością szczérą
 Pieśnią żebraka wołałem:
 „Przyjmij mię pod twe osłony
 Z moją pokutniczą biedą!
 Przyjmij mię, bo miliony
 Takich, jak ja, ze mną idą!“
 Aż zostałem wysłuchany
 I znakiem twojej miłości dotknięty.

.....
 Tak dotknąłem tej prawdy władzami wszystkimi,
 Że wysłuchane w niebie błagalne jęczenia,
 Które się od wieków podnosiły z ziemi,
 I odkryta dla ludzi droga wybawienia,
 Prostsza, jaśniejsza, krótsza, łatwiejsza z jej biedy
 Wobec złego mędrszego, gorszego, niż kiedy.

 Nie z pieczary pustelnika,
 Ani z celi zakonnika,
 Nie w drzemiącej mniszej nucie
 Moje ci wylewam czucie,
 Ale z pod walki sztandaru,
 Ale z bojowego gwaru,
 Wobec przeciwnych szeregów
 Niewcielonych i wcielonych,
 Z odmetu zdrajców i zbiegów,
 To jawnych, to utajonych,
 Fałszywych świadków i plwaczy,
 Pod ogniem dyablich siepaczy,
 Śród szyderstw, obelg potwarzy,
 Jakie Lucyfer wymarzy
 I swej służbie podać raczy
 I które w swojej rozpaczy
 Ciska w nas, jak grad kartaczy —
 Z zakrwawionego padolu,
 Gdzie się złączyły pospołu
 Świat i piekło dla zmnożenia
 Odwiecznych bożych wyroków —
 Z chmury okropniejszych mroków
 Od egipskiego zaćmienia —
 Wołam całych ludów jękiem,
 Co się kupią w jednym łonie,
 Kajdan całej ziemi brzękiem
 Ku twojemu uchu dzwonię:
 „Matko światów zbawiciela,
 Usłysz twego Izraela!”

Moi ojce, wojownicy,
 Nim się do boju rzucili,
 Nim błyskiem swojej szablisy
 Wrogom w oczy zaświecili,
 Twego w pieśni uroczystej
 Naprzód wezwali imienia.
 Syn rycerskiego plemienia
 I dziedzic walki ojczystej,
 Stając dzisiaj walki mężem,
 Z pola bitwy pieśń tę wznoszę
 I tą pieśnią ciebie proszę:
 Uzbrój mię twoim orężem;
 Otoczony, obłożony
 Wrogami na wszystkie strony,
 Odcinany od wszystkiego,
 Co jest w mocy świata tego,
 Mój duch, me ciało, jam cały,
 Jestem ze wszech stron na celu
 Ciosów wszystkiego szaleństwa,
 Jakie jest w nieprzyjacielu;
 Dzień i noc odbieram strzały,
 Nie mam chwili bezpieczeństwa,
 Chwili wypoczynienia nie mam.
 Znój żywota bije w ciało,
 Na ducha bije pokusa,
 Lecz, gdy pomoc twą otrzymam,
 Dotrwam na mem miejscu śmiało,
 Jak prawy żołnierz Chrystusa!

 O, nigdy nie pokalana,
 I tam, przed wieczności licem,
 W twojem życiu wiekuistem,
 I tu, na ziemię, zesłana
 W ucieleśnieniu kobiećcem,
 Ni technieniem ducha szatana,
 Ni dotknięciem ciał nieczystem,
 I stąd wołą światów pana
 Przed wiekami naznaczona,

Ażeby z twojego łona
 Wyszedł zbawiciel człowieka,
 By od ciebie się poczęło
 Zbawienia ludzkości dzieło —
 Ty, coś, jak pączka opieka,
 Strzegła kwiat słowa bożego,
 Coś potem, jak listek kwiatka,
 Otulała ziarno jego
 I wytrwałaś, jako matka
 Boga Syna wcielonego —
 Ty wiesz, jakich trudów trzeba,
 Aby być rolnikiem nieba,
 W jakiej potrzeba być horze,
 By wychować słowo boże.
 Latorostka Chrystusowa,
 I ja mam część jego słowa,
 I ja przez nią boży chłopak,
 I ja mam złożyć mój snopek
 W żywotach mojej wieczności:
 Pobłogosław mi tę pracę!
 Niech przy twej łasce nie stracę
 Cierpliwości, wytrwałości,
 Niech nie stracę tej miłości,
 Z którą winien pielęgnować
 Słowo naszego zbawienia!
 O, gospodyni stworzenia,
 Ty mię w tej robocie prowadź,
 Oczyszczyć nową moją rolę!
 Jak czyste jej ziarno boże,
 Niechaj w miłości, w pokorze,
 W zdaniu się na bożą wolę,
 W ducha i człowieka horze
 Zeschną, przepadną kąkole,
 Zasiane przez ducha nocy
 Podczas snu mojej niemocy —
 Niechaj raz na zawsze zginą
 Wszystkie nieprzyjazne siły,
 Które własną moją winą
 Życie ducha zamorzyły!

Z CZEŚCI DRUGIEJ.

O Maryo! My szczęśliwi,
 My chlubni z twej świętej pieczy!
 Niech się niedowiarek dziwi,
 Niech bezbożnik, jak chce, przeczy —
 Twoja nad Polską opieka,
 Twoja duchowa z nią jednia,
 To nie wymysły człowieka,
 Nie marne słowo, nie brednia
 Pobożności przebijając,
 Nie przechwałka niskiej chwały:
 Świadczy tej prawdzie istota
 Wieków polskiego żywota,
 Świadczy cały bieg zawodu,
 Cały byt polskiego rodu.
 Był on od początku swego
 Słowa bożego kołyską,
 Troskliwym piastunem jego —
 I na takie stanowisko
 Część twego ducha mu dana,
 Piastunko naszego pana.
 Gdzie lud, co tak nieskalanie
 Przyjął niebieskie posłanie,
 Coby zgadł je tak proroczno,
 By tak kornie, tak ochoczo
 Pod krzyżem ofiary stawał
 I tak go innym podawał?
 Gdzie tacy mężowie ze stali
 Na polu walki przed wrogiem,
 A tacy miękcy, tak mali
 Przed miłością i przed Bogiem?
 Gdzie łask bożych takie mnóstwo,
 A takie w ziemi ubóstwo?
 Gdzie jest szereg taki długi
 Innym narodom posługi
 Tak wysokiej, tak ogromnej,
 Że dziś światu niepojęta,
 A tak cichej, a tak skromnej,
 Że świat już jej nie pamięta?

Gdzie lud, tak uprzejmy zawsze
Temu nawet, co go tłoczy,
I przebaczać tak ochoczy
Swoje krzywdy, by najkrwawsze?
Gdzież, ach, naród, co tak boli,
Przebity mieczami tyła...

Nie takież było i twoje
Życie, matko Chrystusowa,
Kiedys tu zesła na znoje
Piastunki bożego słowa?
Tak jest! Lud mój — on jedynie
Najwierniejsze twe odbicie:
Tyś go w narodów rodzinie
Wybrała za bliższe dziecię,
Ożywiła twojem tchnieniem,
Poczęła w miłości takiej
Pod bożym słowa płomieniem,
Że wyszedł z twojego łona
Z rodzinnymi twymi znaki,
Że, jak duch, tak ciało jego
Przybrały święte znamiona,
Święte rysy ducha twego.
Stąd znam tę łaskę najwyższą:
Wieczna tobie wdzięczność za nią,
Że na całą wielką ziemię
Niema, jak me polskie plemię —
Byś mu była bliższą panią,
Byś mu była matką bliższą.

I dziś oto myśl zbrodnicza
Podnosi rękę zbójceją,
By zgładzić z ziemi oblicza
Na wiek wieków niebios dziecko:
Płód, stworzony bożym cudem,
Poczęty twoją miłością,
Wykarmiony twoim trudem,
Płód, co przed całą ludzkością
Przez podobieństwa swe z tobą

Miał tobie służyć za świadka
Twojej nad światem opieki —
Dzisiaj pod szatańską złością
Ma zginąć, zniknąć na wieki!
O, ty osłonisz go sobą,
Ty go ocalisz, jak matka!

Prawda, liczne, ciężkie złości
Leżą na naszej przeszłości,
Ciężkie, jak może niczyje;
Ależ, Maryo, to twe dziecię,
A piekło chce mu wziąć życie,
I, patrz, zaczem je dobieje,
Patrz, jak, sroższy od Kaima,
Wróg, krwią jego poczerńiały,
Przewłóczy go przez świat cały,
Przez całe wielkie stulecie!...
I niema kraju na świecie,
Kąta na tej ziemi niema,
Gdzieby szatan, nasz morderca,
Nie przeciągnął, jak bluźnierca,
Doli twego ludu krwawej,
Przed całej ziemi oczyma
Nie odkrył jego niesławy —
Gdzieby części jego serca
Nie rzucił na śmiecia obce,
Na najdalszych krain kopce —
Nie rozciągnął go, jak trupa,
Nie przykuł do hańby słupa
Na bezbożne urąganie,
Na postrach narodom głupim.
Ty słyszysz jego wołanie
Nad tem ciałem, przez pół trupiemi:
„Ludy, chodźcie! Patrzcie, ludy,
Patrzcie, co się oto stało
Z ludem, co miał za królową
Maryę, matkę Chrystusową,
Co szedł przez ziemię tak śmiało,
Ubezpieczony jej cudym!

Widzicie to nędzne ciało,
Te nędzne jego ostatki?
To potęgi mojej świadki!
Tak jest! Moja własna siła
Cały lud w nic obróciła;
Patrzcie i zadrzyjcie przed nią,
Jak przed straszną przepowiednią!
Władza ziemi w mojej dłoni,
I nic przed nią nie obroni.“

Wielkie, wielkie niezawodnie
Nasze winy, nasze zbrodnie
I dotąd nie starte pewno
Ani skruczą taką rzewną,
Ani tak szczerą poprawą,
Ażebyśmy mieli prawo
Ujrzeć cię dla nas łaskawą;
Ależ to jest twoje dziecię,
Ależ to jest dziecię Boga
I ma w sobie boże życie,
I przez duch jego jest droga
Myśli bożej dla ludzkości!..
Możnaż, aby je tak lżono,
By się tak nad niem pastwiono?
Żadnej-że już nam litości?

Gdybyż ta niszcząca siła
Nad tem się tylko pastwiła,
Co w nas ziemskie, co cielesne —
Znosilibyśmy w pokorze,
Jako słuszne sądy boże
Za nieofiary ofiarnie
Choćby najcięższe męczarnie,
Wszakże chwilowe, doczesne.
Ale co nas boli srożej,
I co nas najwięcej trwoży,
I co skargą z nas wybucha,
To sprawa naszego ducha.

Wróg nasz nie jest zwykłym wrogiem,
Nie jest ciała tylko katem,
On walczy z wyższym w nas światem,
Chce w nas wziąć górę nad Bogiem.
On nam praw boskich zaprzecza,
Robi nas narzędziem swoim;
Grabieżami i rozbojem,
Przemocą kajdan i miecza
Chce nam wydrzeć bożą wolę,
A poddać skinieniu swemu;
Chce nam odjąć boże pole
Danej przez Boga ojczyzny,
Naszej wiekowej pańszczyzny
Chrystusowi i bliźniemu;
W miejscu Zbawcy, niebios pana,
Stawi nam władzę piekielną,
Tak ohydą, jak bezczelną —
Za Boga stawia szatana.

Liczne pokryły nas plamy —
Ale myśl boża, myśl święta,
Którą tutaj spełnić mamy,
Nie była, nie jest z nas zdjęta.

O, my pomsty nie wzywamy
Na wroga, co nam tak czyni;
Naszych milionów łzami,
Naszą krewią, która go plami,
O krew jego nie wołamy;
Krzywdą naszą, co go wini,
Nie będziemy go skarżyli
W strasnej sądów bożych chwili:
Mybyśmy sami zostali
Twojej miłości niegodni,
Niegodni litości Boga,
Gdybyśmy zguby żądali
Śmiertelnego nawet wroga.

I on też boskie stworzenie,
 I nasze mówi sumienie:
 On nie czuje swoich zbrodni,
 On nie widzi ich ogromu,
 On już nie wie, przeciw komu
 Walczy, pastwiąc się nad nami.
 Szatan, co spółką przebrzydłą
 Odjął mu niewinność duszy,
 Tak go zwodzi swemi ómami,
 Tak go schwycił w swoje sidło,
 Tak go na głos prawdy głuszy,
 Tak mu zamącił pojęcie
 O bożem i o niebożem,
 Że już nie wie w tym zamęcie,
 Jakiem puścił się bezdrożem,
 A, pędzony pychą wściekłą
 W jarzmie piekła niewolniczem,
 Stawia przeciw niebu — piekła,
 Jest w szatana rękę biczem...
 Niezmierne są nasze bole,
 Ustajem pod ich brzemieniem,
 Lecz i tak ich nie zamienim
 Na wroga naszego dołą.
 To też nie o pomstę z niego,
 Nie o zgubę, nam zgubnego,
 Lecz błagamy cię jedynie:
 Zbaw nas od jego obucha
 I w tejsze łaski godzinie
 Ulituj się jego ducha:
 Niech się z piekieł snu ocuci,
 Niech się jego wzrok otworzy
 Na złość własną, na sąd boży,
 Niech drogę Kaima rzuci,
 Niech się ku niebu nawróci!
 Jeśli według przeznaczenia
 Koniecznie mu do zbawienia
 Kroczyć jeszcze drogą kary,
 Dopełnić win swoich miary,
 Niech rychlej u mety stanie,
 A może tam, grzesznikowi,

Może i niebo zadnieje,
 Więc i jemu zmiłowanie!
 Zresztą Panie, niech się dzieje.
 Co twa wola postanowi!

.

W IMIONNIKU MŁODEJ POLKI.

Na ziemi, w życia ziemskiego błędniku
 Jest przed człowiekiem dróg, ścieżek bez liku:
 Po wierzchu kwiaty, uciechy żywota,
 A pod kwiatami czarna otchłań błota,
 Gdzie wkońcu toną niebaczni wędrowce:
 To bezbożności, to pogan manowce.

A między nimi jedna prosta droga,
 Co idzie z Boga i wiedzie do Boga,
 Tak wytoczona Chrystusa ofiarą,
 Taka ubita śladami Chrystusa,
 Że, kto się puści po niej z pełną wiarą,
 Z wyższą miłością Boga i bliźniego,
 Tego już żadna nie zwiedzie pokusa,
 Bo pójdzie przed nim moc ducha bożego,
 Co tchem swym wszelką przeciwność rozmiota,
 I da w potrzebie męstwo poświęcenia,
 I lekkim zrobi krzyż tego żywota —
 Wkońcu nagrodzi radością sumienia,
 Najwyższą ziemską człowieka nagrodą.
 To droga chrześcijan — taką niegdyś drogą
 Polskie matrony wiodły przeszłość błogą:
 Niechże nas Polki i dzisiaj tak wiodą!

W ALBUMIE.

P. ANNY WOLSKIEJ.

Świat ten to wzburzone morze;
 Człowiek się, jak łódka, chwieje.
 Uzbrój-że cię, dobry Boże,
 W miłość, wiarę i nadzieję.

Gdy cię zwątpienie uchmurzy,
Niech ci gwiazdy wiary świecą;
Gdy los życie twoje wzburzy,
Krzep się nadziei kotwicą.

A blask twej czystej miłości
Zrobi twemu czuciu widnem,
Ile w Prawdzie jest piękności,
A Złe ile jest ohydne.

Przez nią szlak twego zawodu
Przejdiesz ogniem poświęcenia
Dla dobra twego narodu
I dla własnego zbawienia.

Z temi potęgami trzema,
Gdy je z duchem twoim spoisz,
Kłęski w boju życia niema,
Całemu piekłu dostoisz.

Tego ci, polska dziewico,
Życzy brat w Polsce, brat w Bogu,
A z duszy — bo już sam w progu,
Co dwóch światów jest granicą.

Lwów, 16. IV. 1874.

TESTAMENT POETY.

Idę w światy, które znam od dawna, o których wam
gadałem, a nie byłem zrozumiany.

Są już między wami, którym śmierć zamknęła uszy na
głos mój, których się serce nie poruszy miłością mojego
serca, ale mnie posłyszycie, poczujecie miłość moją dla
was duchem waszym.

Pracownik przyszłości ma do czynienia nie z tymi tylko,
co żyją z nim razem, co mają ciało; jego przyjaciele naj-
lepsi są ci, co się już pozbyli ciała, albo czekają na nie.
Biada mu, żeby się podobał tylko żywym! Podobać się
umarłym a pocziwym — oto jest, co sprowadza zmar-
łych zmartwychwstanie.



UZUPEŁNIENIE „POEZJI LIRYCZNYCH“.

PROROCTWA Ks. MARKA.

NIEDOKOŃCZONE FRAGMENTY.

I. ANIOŁ POŚWIĘCA Ks. MARKA NA PROROKA.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy,
I moje słowa weźmijcie do duszy,
I do słów moich stróście wasze czyny:
Dajcie mi ducha, mojej ziemi syny!

W głosie proroka niema obludy,
Niema ziemskości w proroka duszy;
Ludy mej ziemi, całej ziemi ludy,
Niech was wołanie proroka poruszy!

Mój głos, niebiańskich ognisko promieni,
Nie jest to waszych półmędrków nauka,
Co błędnym ogniem prostaczków oszuka,
A w dym korzyści dla mistrza się zmieni.
Ja głosem ziemskim myśl niebieską śpiewam,
Szczytne, jak niebo w niebiosach poczęte,
Trwałe, jak wieczność, a, jak Bóg sam, święte,
Szczęścia ludzkości tajnie wam odkrywam.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy
I słowa moje weźmijcie do duszy,
I do słów moich nastróście swe czyny,
Syny mej ziemi, całej ziemi syny!

— Cóż to za człowiek — krzyczy świat wron
wrzawą —

Że chce pochwycić ster ludzkości losów,
Cóż za nim mówi? Czy sędziwość włosów?
Czy ród, czy imię, czy mądrość, czy prawo?
— Rozum, sędziwość, przodki, blask imienia,
Bogactwo, urząd, niech to was nie ludzi —
Wszystko to może być u zwykłych ludzi

I wszystko zawieść. Patrzcie poświęcenia!
Słuchajcie życia mojego powieści:
Przeszłość to życie, jak iskrę, dziś chowa,
A było piekłem, bom je włókł w boleści;
Nieliczne jednak mej powieści słowa.

Był czas, że żyłem, nie wiedząc o tem,
Nie wiedząc o tem, żem żył między wami;
Niebudzonymi uwite zmysłami,
Rozum i dusza leżały, jak w grobie.
Jeden jęk dziki, straszny, konający,
Blyskiem piorunu rozbił me ciemności,
Strzałem piorunu skróś ciała szyjący
Zdał się rwać żyły, gruchotać me kości,
Aż się rozwinął w postawę anioła.
— Obudź się! — krzyknął. — Obudź się i w drogę!
— Co za jęk? — pytam. — Cierpiący świat — woła.
— Czemu ja, lichy, pomódz światu mogę?
— Cierp i nauczaj! Świat za siebie działa.
— I któż ty, jesteś? — Anioł proroczych dusz!
Ja tobie szczęście, ja dla ciebie chwała,
Ja twoje życie, ja twój anioł-stróż.

I tu mnie dotknął prawicą anielską.
W młodościach skonania z ciała wyleciałem.
Pobladył trupem padło na wznak cielsko,
A dziki anioł stanął nad ciałem.
Wyrwał mi serce przez piersi stłuczone,
Wyrwał mi oczy oprawcy prawicą,
Zażegł to wszystko katafalku świecą,
I na mem ciele złożył, zapalone.
Buchnęła słupem fala płomienista,
A gdy zagasła, nie zostało z ciała,
Tylko brudnego popiołu garść mała
I z ludzkim kształtem zasłona przejrzysta.

Wówczas wziął anioł serce brylantowe,
Gdzie słowo „Polska“ wiecznym ogniem płonie,
Zamknął je w ciała przejrzystego łonie,
A z swoich oczu dwie łzy wprawił w głowę.

Potem rozkazał, hym do ciała wrócił,
Potem przemówił: „Niebieski ci pokój,
Anielskie serce i oczy! Prorokuj!“
Anioł-stróż zniknął, a jam się ocucił.

Syny mej ziemi, skłońcie ku mnie uszy,
I słowa moje weźmijcie do duszy,
I do słów moich nastrójcie swe czyny,
Bo mądrość moja z niebieskiej krainy!
Odtąd, jak łzami, na ten świat pojrzałem,
Odtąd, jak twarde serce z dyamentu
Jęło mi świecić wśród ziemi zamętu,
A duch się obłókł przepalonym ciałem,
Odtąd, jak oczmi duszy proroczymi
Mogę obecność w szkielecie obzierać,
A przeszłość, przyszłość dowolnie otwierać.
Odtąd już dla mnie niema nic na ziemi.

W pierwszej godzinie nowego istnienia,
W pierwszej godzinie nowego spojrzenia
Wszystko-m wam oddał — sobie wziął życzenia
Waszego szczęścia — sobie wziął cierpienia.
I ja też ludzkie przepędziłem życie
I jam miał młodość i znał ogród wiosny;
Było tam kwiatów i ptaków obficie,
Alem go przebiegł, jak cmentarz żałosny.

Kwiaty rozkoszy nęcącej pstrocizny,
Śpiewy miłości czarownego dźwięku
Konały w uchu, padały z mych rąk,
Bom wszędzie widział grób i cień ojczyzny.

Wszystkiego wreszcie rzekłem się, wszystkiego,
Co was na ziemi tak dręczy i ludzi;
W sercu goreje tylko miłość ludzi,
A w życiu tylko chęć szczęścia waszego.
Więc mię słuchajcie, całej ziemi syny,
Bo nic nie żądam od waszej krainy!

*

*

Słuchaj i patrzaj! Zagrzmiało
 I gniewne skrzydło anioła
 Dmuchało mi w środek czoła,
 I wszystko krwią się oblało,
 Jak nawalnym dżdzem potopu.
 Błysnęły gwiazdy z niebieskiego stropu,
 A niebo, jak pierś, ranami okryta.
 Ode wschodu księżyc świta,
 A światło jego rozlewa się, zlewa,
 Jak fala w krwawem bezkształtnem jeziorze,
 Chwieje się blask jego łony,
 Jak zdarty gałgan skrwawiony,
 Krwią stanęło wszelkie morze,
 Wszelka rzeka krwią przepływa,
 Krew kapie z każdego listka —
 Od nieba do listka
 Krwią zaszła przyroda wszystka.

* * *

Duchu proroczy! Tak mocno, tak nagle
 Dmuchałeś w duszy mej żagle,
 Żem w wirze lotu stracił pieśni wątek,
 Żem stracił widzeń zakątek;
 Czy mam pieśń zakończyć na tem?
 „Patrzaj i śpiewaj!“ — z góry zagrzmiało.
 Ja śpiewam dalej. Ja wiszę nad światem.
 Tam, w głębi, mam ziemię całą
 Tak nisko, że doły i góry
 Kładną się oku, jak jedna płaszczyna.
 Alem ja poznał: to moja ojczyzna!
 Ojczyzna moja bez chmury,
 Tylko mgła jakiejś tajni nad nią ciąży,
 Tylko wiecznie piosnka krąży:
 Dzień strasznej wojny i zemsty przykładnej,
 Krew tam, gdzie dotąd nie było żadnej;
 Trup tam, gdzie kropla polskiej krwi bryzgnęła.
 Potem ujrzałem — a, co ja ujrzałem,
 Tego nie znały dotąd ludzkie oczy,
 Tego myśl ludzka dotąd nie pojęła.
 Jak okiem sięgniesz, w przestworzu całem

Buja milion trójbarwnych warkoczy,
 Każdemu sztylet słyży za drzewce,
 Każdy utkwiony w zabitego ciała,
 Zemsta ludu na każdej plonie chorągiewce.
 Pośród nich grono braci mych biegało.
 Przelekle wrogi, jak w śnie prześladowczym:
 Ci uciekają ze strachem owczym,
 Ci śmierć znajdują gdzie schronienia pragną.
 Każde zarośle gromami w nich strzela,
 Każde źródółko jadłem trzonki trzaska,
 Jak wir przeciąga i żre każde bagno.
 Czarodziejska zemsty laska
 Martwą przyrodę zmieniła w mściciela.
 A niebo jasne, jak zwierciadło czyste,
 Strojne, jak wzorza, w łony płomieniste
 Z dziwnego blasku dziwny dzień tworzy.
 Tylko ty czarny, potworny ptaku;
 Tylko ty jeszcze z powietrznego ślaku
 Cieniem twych skrzydeł plamisz dzień boży.
 Ale w tym cieniu chmura się wylęga,
 Zagrzmiało — grom leci
 Jego wąż słowem: „Zemsta ludu“ świeci,
 Już ptaka strzałem dosięga.
 Spadłem, karała niebieska potęga.

* * *

Aniele! Duchu straszliwy!
 Zesłańcze nieba czy piekła,
 Pocóż mnie znowu twoja moc wywlekła?
 Pocóż mi czasu rozdierać zasłony,
 Patrzeć na przyszłe klęski i dziwy
 I widzieć wiecznie lud mój męczony,
 I cierpieć za miliony?
 Boże ojcze! Boże wielki!
 Czyż już nigdy nie wywoła
 Twego mściwego anioła
 Krew mej ziemi rodzicielki
 Taka święta, czysta, wolna
 Archanioły płodzić zdolna?

Skądże ten letarg ziemi zbawiciela?

Ona tak uśnie na wieczne lata.

Ocuć ją, Panie! Pożal się świata,

Jeśli go zgubić nie masz na celu!

Jakaż melodia wplata się w skargi,

Głucha, jęcząca, a pełna słodyczy?

Czy pociechy sen zwodniczy

Przez śpiącej ziemi przemawia wargi?

Westchnienia konających, cierpiących jęczenie,

Przekleństwa zemsty, zemsty nciecha,

Zlewają się w jedno pienie,

Płyną pod nieba sklepienie

I powracają, jak niebiańskie echa.

I w duszę moją wirem się wtłoczyły

A wnet harmonią pełną i śmiałą

Struny duszy uderzyły,

A oko duszy nad świat wyleciało.

II. ŁOMNICA.

Podnieś się, podnieś, Łomnicki szczycie!

Podnieś się wyżej, moja Synai!

Precz nad te morza śmiertelnej zgrai,

Nad to śmiertelne, pełne mgłów, życie.

Podnieś się nad całą ziemię,

Niech mnie zgniecie nieba brzemie,

Niech świat, leżący tam, nizko,

Wyda mi się, jak mrówisko,

Niech go zburzę, jak mrówisko,

I jednym ciosem, za jedną chwilę

Zniszczę i to polskie plemię,

Gdzie cnót. gdzie zbrodni, gdzie cierpień tyle.

Za miłość, za wierność ojczyźnie i Bogu

Żebrzący tułacz przy cudzym progu,

Wyklęty od swego narodu,

Mrący od zimna i głodu —

Śród skał lodowych, śród skalnego lodu

Objęty śmiercią i mgły pomrokiem

Nad niską ziemią, pod niebem wysokim

Prorok szczupłej męźnych rot,
Walczącej, ginącej dla swobód i enoty,
Gdy wszystko martwym spoczywa głazem —
Polsko, ja jestem twoim obrazem.

Biją wichry mgłów zamiecią,
A przepaście i chimur cienie
Otoczyły mię, jak siecią,
Jak mój naród — przeznaczenie.

A przez tumanów zasłonę

Widać oczy roziskrzone,

Sowy, pułhacze i sępy

Obsiadły wszystkie przystąpy,

Ostrzą szpony, gładzą dzioby,

Radzą wyrok mojej zguby.

Wrogi życia i swobody!

To, Polsko, twoje sąsiednie narody.

Lecz straszniejszy od tej zgrai

Pastwa i ojciec wiecznego głodu,

Ten wąż, co w moich wnętrznościach się czai.

Jak ów ród możnych polskiego narodu.

Wierny zabójców życia sprzymierzeniec,

Chwili wytechnienia nie daje morderca,

Ujął wnętrzności w mrozący wieniec,

Ssące trójządko zapuścił do serca,

Aż wypije krwi potoki,

Aż ją do kropli wyłowi,

A potem blade, omdlałe zwłoki

Odda na pastwę pierwszemu sępowi.

Podnieś, Łomnico, garby twoich szczytów

Nad te światy wiecznej nędzy

Niech przynajmniej skonam prędkiej

Bliżej niebieskich błękitów

I jakaż korzyść dla Boga, dla ziemi,

Że w pomroce, na opoce

Rwę mękami piekielnymi

Ciało i duszę?

Czy tem poruszę

Króla losów do litości?

Czy tem wymuszę
 Szczęście dla ludzkości?
 Alboż krótko się ludziłem?
 Alboż nie długo cierpiałem?
 I cóż wymarzyłem?
 I cóż wycierpiałem?
 Wstyd mi wieczny, wieczne kary,
 Że dla czczej, piekielnej mary
 Piekła-m prowadził ofiary!
 Ten lud szlachetny, ten lud nadludzi
 Wierzył, jak w słońce, w każde moje słowo,
 Biegł, jak na ucztę, na ucztę bojową;
 On mówił i mówi jeszcze:

„Jego proroctwo nie ludzi!
 Jemu samo zsyła niebo
 Święte objawienia wieszczce,
 Dla niego Polska taką potrzeba
 W tem życiu ziemskim, jak w drugim zbawienie“.

Oni ode mnie szczęścia wyglądali,
 Bom ich tak ludził — a ja im cierpienie,
 I coraz większe, im w przyszłość dalej,
 Przygotowałem, a wkońcu upadek.
 Przebac mi, Polsko! Śmierć, którą dziś ginę,

Najcięższą starłaby winę.
 Gdyby tu jeden przynajmniej świadek,
 Jeden obecny mym chwilom ostatnim,
 On-by wieść o mnie zaniósł szykom bratnim,
 I wstałby okrzyk: „Ha! skonał zdrajca“,
 A w chmurnych twarzach choćby na chwilę
 Uciecha zemsty błysnęła mile,
 Ze w mękach skonał ludu winowajca.
 Ach, sama pewność tej lichy uciechy
 Rozjaśniłaby i moje sumienie,
 Tak czuję moje przeciwko wam grzechy,
 Tak godnem kary moje przewinienie.

Ale, o Boże, cóżem ja winien?
 Czyżem inaczej mówić był powinien,
 Kiedy mnie przeszłość i przyszłość otwarta

Aniła wdziękiem wołała do siebie,
 A we mnie i zewnątrz jaśniało, jak w niebie?
 I ktoś w tych marach byłby poznał czarta?

Krew buchnęła piekłem,
 Wichler zawył w duszy,
 Mózg się zaburzył, oczy się zaćmiły,
 Kość wyszła z stawów, zerwały się żyły.
 Błuznierstwo, bluznierstwo wyrzekłem!
 Dźwięk, jak dzwon grobu, rozsada uszy...

Zegar śmierci uderza.
 Śmierć! Śmierć! Jak cicho kroczy!
 Ku światom duszy zawraca oczy,
 Na ziemskie dźwięki czucie uśmiera,
 Że słyszę, słyszę ciche jej stąpanie,
 Że ją widzę w jej powietrznym stanie.

Rozwiązana więc zagadka.
 Konam tak bez świadka,
 Jak w mem życiu nie nie było,
 Coby go dzieliło.

Otóż wyjaśniona
 Tajnia tych uczuć dzikich, posępnych,
 Co, dmąc ciągle w żagiel łona,
 Zagnały mnie w samotność tych skał niedo-
 stępnych.

* * *

Pozdrawiam ciebie, pierwsza wieczności godzino,
 Pozdrawiam ciebie, jasna wieczności kraino,
 Wieczności duchu, pozdrawiam ciebie!

Jak miło zamknąć oczy wiecznym skonem
 Zedrzeć ciało o podniebie,
 A duszą upaść przed Boga tronem.
 I pocóż jeszcze, o Boże, zwlekać,
 Poco śród nieba i ziemi nam czekać?
 Rozkaż mię wpuścić przed stolicę twoją.

Widma! Czy ja sny roję?
 Pierwsze chwile skonania widno snem być muszą.
 Długo po świetle duchów człowiek krąży duszą,
 Zaczem ją wpuszczają w niebieskie podwoje.
 Dziwne sny! Dziwne zjawiska!

Ludzkie postacie w ziemskich okolicach —
 Jeszczem pewno na granicach,
 Gdzie niebo ziemię przyciska,
 Gdzie myśli ziemskie i anielskie w lidze:
 Równy tu w niebie i w ziemi widzę.

Te same strony, te same góry,
 Nieprzejrzystymi odziane chmury,
 Taż skroń Łomnickiego szczytu,
 Promienna, wolna od mgłów powodzi,
 Jak moja dusza, gdy po niej przechodzi
 Gwiazda proroczego bytu.
 Ziemia, jak wprzód, dla oczu
 Mgłą północnej émy zakryta,
 A niebo coraz wyraźniej świta.

Już w światłem jego przeźroczu
 Postrzegam migot brylantowych zbroi,
 W które pan nieba święte hufce stroi.

Błysnęło silniej — od gmachów Boga
 Wyleciał anioł, spuszcza się, przechodzi
 W obłoku światła, jak w łodzi.
 Jak tęcza z ogniów, gore za nim droga:
 To mój anioł-stróż! Krok uroczysty,
 Chmury na czole, gromy w spojrzeniu,
 Przeszedł koło mnie w groźnym milczeniu.
 — „Za mną!“ — zawołał. — Zbliżyłem się drżący.

„Bóg ci przebaczył, duchu wąpiący,
 Błuznierstwa twoje! Śmiertelny nie w sile
 Niebieską mądrość znieważać.
 Lecz na pokutę musisz jeszcze zażyć
 Ziemskiego żywota chwilę
 Dla zasług twego plemienia
 I dla jego pokrzepienia“.

Usiadł i skrzydła anielskie rozwinął,
 Na mojej głowie położył jedno,
 Na mgły poziome drugie ochynał
 Wonny wietrzyk myśl opłynął,
 Duch mój z ciała się wywinął.
 Ujrzałem powłokę biedną,

Leżała, blada omdlenia upadkiem.
 Wargi się trzęsły jakichś słów ostatkiem,
 A z drugiej strony było mgłów bezedno.
 Jasne, szklane stały one,
 Jak powietrze, jak kryształ, jak
 Jak niebiosy nieruchome,
 Tylko nigdzie dna nie miały.

Tylko postacie nieodgadnione
 Pływały po nich, jak chmurki znikome.
 „Oto — rzekł anioł — zwierciadło proroka.
 Płyn, póki burze czasu go nie zmacą!“

I popłynąłem w czółenku oka
 I zawisłem nad bezdnią, brzegów nie mającą
 Nawet dla oczu, dla duszy proroka.

O bezdenny, bezbrzeżny wieków oceanie!

O śnie wieków niepojęty!

Któż kiedykolwiek był w stanie

Obejrzeć wasze widma i odmęty,

Jak ja oglądam w tę chwilę?

Ja tu żyję Boga chluba,

Boga, co, sam nieznikomy,

Widzi, a sam niewidomy,

W wiecznym obrocie światów ogromy

Jak tu miło, jak tu lubo

Bujać nad życiem i zgubą

I w człowieczeństwa uczuciu

Urągać jego zepsuciu!

I każdą chwilę, co mylną rachubą

Miliony ofiar do grobu zawodzi,

Widzieć, nim się jeszcze zrodzi,

I śmiało mówić: Przyszłość mnie nie zwodzi.
 Któż tu był kiedy, gdzie jestem w tej chwili?

Któż kiedy widział, co mnie się godzi?

Słuchaj, o Polsko, jeśli zmysły twoje,
 Jeśli twe władze schwycić, pojąć mogą
 Słowa, co z niebios płyną duchów drogą,
 Słuchaj, roztrząsaj, Polsko, słowa moje!
 Ciskam ci skarby, wykradzione losom,
 Spuszczasz dreszcz mądrej, jak czas, nauki

Na twoje wnuki, na twoje prawnuki,
Otwórz twe piersi niebieskim rosom;
Dopełnij niemi mądrości twej zdroje.
O Polsko, życiem, szczęściem ciebie poję!

Cichość w całym świecie,
Nad całą ziemią zasłony grobowe.
Ciężko ją, ciężko potworny garb gniecie,
Garb, najeżony, jak Tatry stugłowe.
Każdy szczyt garbu jest zastygłą lawą,
Każdy się wznosi, jak pomnik olbrzymi,
Każdy jest łuną uwieniczony krwawą
I chmurą ciemną, co się wiecznie dymi,
A wszystkie stoją na jednym wulkanie
I radzą spółnie i mówią do siebie:
„Wieczne, królewskie nasze panowanie:
Wulkan nas żywi, głowa nasza w niebie;

I któż potrafi stłuc te opoki,
W które czas nasze uzbroił boki?
Któż nam potrafi zedrzeć te korony,
W które nas stroi ogień niezgaszony?

A wulkan, większy od oceanu,
Całąby ziemię objął pożarem.“
I mówi jeden z płomieni wulkanu:

„Póki się mamy nosić z tym ciężarem,
Co nas w głębiach ziemi tłumi,
Niebieskie światło zasłania,

Lśni naszym blaskiem, naszą zgrozą szumi,
Jeszcze z jakiegoś dmie się panowania?
Wyrzutki, brudy wiecznego płomienia,
Wylęgle, zrosłe z wieków oczyszczenia,
Niechaj już idą na dno zniszczenia!
Wstyd wam, że własne niepotrzebne śmiecie
Nasz blask tak czysty cieńmi swemi gniecie,
Że je tak długo cierpim tak łagodnie.
Czyliż nie pora buchnąć już swobodnie
Ku ojcu słońcu?“ — „Nie pora, nie pora!“ —
Inne płomienie mądrze się ozwały, —
„Aż wszelką ciemność z siebie wyrzucimy.

I cóż te gmachy? Lawa i dymy.

Przyjdzie czas, buchniem, pęknie zaporą
I na dno pójda stopione skały“.

Ale burzliwca zamiar niezmienny,
Choć sprawy jego ważą sobie mało.

Strzeż się, strzeż jednak, królewska skało,
Co masz za stopnie Alpy i Pireny.

Najprzód zagaśnie twój wianek płomienny.

Próżne przestrogi! Ród, w złościach zacięty,

Na przykład kary najsroższej przeklęty:

Na tej królewskiej górze się wylęga

Czarna od zbrodni przeznaczeń ich księga.

Ich koniec hańba — a rozbój ich życie.

Niebem i ziemią, jawnie i skrycie

Wabią zemstę na swe głowy.

Śmieją się z przestrog, zaczęli łowy.

I ot, pod niebem zawisły

Trzy ptaki, trzy orły, trzy potwory.

Pięć głów na trzech tułowach,

Trzy koron na pięciu głowach.

Twarz trupia, orle szpony, nietoperze skrzydła.

Trzy nietoperze upiory,

Piekielnych pustek straszidła,

Nad śpiącą ziemią zawisły,

Sowiem i oczami błysły

I mówią do siebie:

„Noc na niebie,

Noc i sen na ziemi,

Wszystko sprzyja nam!

Lećmy, ty tu, ja tam,

Każdy nad swoją

Cicho i wciąż

Lataj i krąż

I sam czasem siły wiąż.

A gdy będzie czas,

Wtedy każdy z nas

Padnie na swój łup.

Wtedy w serca się wpijemy

I póty ssać je będziemy,

Aż z ziemi zostanie trup“.

Rzekli, rozpadli się w kraje

I każdy zdobycz okraża swoją
 I czaruje i usypia.
 Już piekielną pracę kończą,
 Już ku ziemi pędzą ręczo,
 Już się do swego każdy przyczepia.

Skądże się wzięła w tej dziczy
 Ta rozkoszna okolica?
 Oż tu robi kwiat dziewica
 Śród tej zgrai rozbójniczej?
 Dziewica, wdzięk i cud wszystka,
 Kwiatem z pod ziemi wyrasta,
 Zapach i barwa — treść każdego listka,
 A wszystko jednak niewiasta.
 Obok niej leży mąż zbrojny
 I kochanka wzrok w niej topi,
 Choć kochanek, choć spokojny,
 Co westchnie — to grzmotem wojny,
 Co łzę upuści — to krwią się skropi.

Dziwna istota rycerza:
 Z milionów ludzi jej skład człowieczy,
 Milion wyostrzonych mieczy
 Rusza się w łuszczykach jego pancerza.
 Świeci obojgu słońce osobne;
 Z orlich skrzydeł jasność sieje,
 A wokół słońcu chmury żałobne,
 A kwiat dziewica co chwila mdleje,
 A naród rycerz co chwila się rzuca
 I mieczem grozi i piękność ocuca.
 Próżna troskliwość w obronie:
 Dziewica i rycerz padną.

Widzisz rodzinę piekiel szkaradną,
 Jak owładała dziewicą ładną
 I założyła gniazdo w jej łonie?
 Snuje się ona w kształtów tysiącu;
 Ten rój motylów, co nad nią tańczy,
 Co tak bogato błyska w orle słońcu,
 Ma na swych skrzydłach napis szarańczy.
 Z jednego oka antychrysta pycha,

Z drugiego herb możnych wyziera...
 Bogato, strojnie oblatują z cicha,
 Czarowny kwiatek się otwiera,
 A one z żądłem gotowem z łagodna
 Nurzają się w kwiatek, aż do dna,
 Ssą do kropelki jego nektary
 I płasają i ucztuja
 I wkońcu piękne łono osnują
 W bezkształtne, bezwładne poczwary.

Jest tu i drugi ród, niemal brzydszy,
 Niemal zgubniejszy i jadowitszy,
 Dziki grobową, pstrociną,
 Kształtem i cnotą blizki pająka.
 Ten miody kwiatu na to w siebie wsiąka,
 By je wyrzygał trucizną.
 Krzyż go wzdłuż grzbietu odznacza
 Od wszelkiego poczwary rodu.
 Na włoskach ziemię przekracza,
 Albo nad nią ulatuje
 I w powietrzu się kołysze;
 Wtedy zdrajcą się gotuje
 I na łup niebaczny dysze.
 Życie tego rodu składa
 Wieczny rozbój, wieczna zdrada.

Coś ty zrobiła, biedna istoto,
 Że te poczwary przyjął do siebie,
 A one wiecznie w tobie, koło ciebie
 Snują się zguby, świeżość życia gniotą?
 One ciągle morzą ciębie.
 Zginiesz, zginiesz ich robotą!
 Widne już śmierci twojej przepowiednie:
 Oko tępieje, pleć różowa blednie,
 Chmura omdlenia blask czoła mroczy,
 Ani twój rycerz zbawić cię zdoła.
 Brzydkie robactwo osnuło dokoła
 Wasze ramiona i wasze oczy.
 Ach, wykarmieni krwią waszą,
 Tak rozciągnęli swoje zgubne łkanie,

Ze wam wkrótce słońce zgasza,
Ze wam powietrza na oddech nie stanie.

O, jak boleśnie, jak rychło
Spełnił się wyrok wdzięcznej kobiety!
Padła, zabita setnemi sztylety,
A wokrag wszystko zgasło, ucichło.
Gdzież jesteś, słońce, coś jej świeciło?
Gdzież jesteś, orle, coś się nad nią wznosił?
Gdzież jesteś, mężu, coś ją krwią swą rosił?
Sameśmy krążyć nad jej mogiłą,
A słońce wstecznym cofa się krokiem,
A w ślady jego orzeł obłokiem,
A w ślady orła mąż krwawą chmurą.
Pójdę za niemi tą pieśnią ponurą,
Co ich z rodzinnej wyprowadza strony;
Trafię za niemi po dźwiękach tej pieśni,
Co gdzieś daleko z pielgrzymstwa ich wita.

Co za ślak nieprzemierzony!
Ziemia to, czy cud? Z chaosu pleśni
Na morzach pleśni kępina wykwita,
Na niej grób Polski — napis w polskiej mowie:
„Cześć pielgrzymowi wolności!”
Tułacz starego, poległ dla nowego świata.
Dwóch światów stratą jest jego strata.
Świeć mu wiecznie, lzo ludzkości!“
A więc, Pułaski, aż na tym ostrowie,
Aż na tej obcej, nieznanej ziemi
Twarzą w twarz swoją popieścisz chwałę?
A więc aż tutaj rzucisz ramię śmiałe
Geniusza twego skrzydłami rączemi?
A więc dla ciebie pola bratnie małe?
Pola nie małe, ale serca małe!
Pokój twym smutkom, cześć twojej prawicy!
„Mnie cześć za moje dzieło!“
Z głębi zastygłych piekieł wrzasnęło
Śmiechem mocarza-dyablicy.
„Mnie cześć, od mojej szablicy
Pierzchli ostatni swobód wojownicy!“

Wstrzęsła się ziemia koło nagrobka,
Obwiała kamień obłokiem kadzidel,
Spuścił się z nieba ptak polskiej potęgi,
Strzelił, jak słońce, promieniami skrzydel.

I ot, w chmurach u nagrobka
Stało widmo krakowskiego chłopka;
Rycerska zbroja błyszczy z pod siermięgi,
Z jasnych ocz grozi bohatera dusza,
W jego lewicy chorągiew półkrwawa;
Chwyta miecz z grobu, północ przekrawa
I śmiech piekielny zagłusza.

Jak w dniach jesiennych półszata,
Jak dzień, gasnący wśród burzy,
Tak posępna postać świata,
Tak się wokrag wszystko chmurzy.
Daleko jeszcze nawalna fala;
Czasami tylko, jak przestrogi goniec,
Zdała błysk dmuchnie, grom zagrzmi zdała;
Kiedyż i jaki tej burzy koniec?

A uwiedły kwiat dziewiczy
Dogorywa w świata dziczy.
Skrwawiona samotna pastwa
Morderczej owadów tłuszczy
I potwornego królewskiego ptastwa
Jęczy o pomoc na puszczy,
Ale wsparcia z żadnej strony.
Już ją zdarto na trzy części,
Już w każdej zbójece zatopiono szpony,
Już mrok skonania ści się coraz gęściej.
Nagle...

W świeżości wdzięków dziewica
Rozkryła się i zachwyca,
Z zimowych sukien odwita.
Dziewiczym wdziękiem ziemia czaruje,
Kwiat się z grobu pączka kluje,
Wiosenne słońce wykwita,
Słowik hymnami wskrzeszenia go wita.
I mój naród, przebudzony,
Słońcem się nowej chwały upiększa,

Lecz jego jasność tak od dniowej większa,
Jak pienie szczęścia nad słowicze tony.

Oto się mędrców zebrało grono,
Nieśmiertelności promieniać koroną

I w jednomyślniej umowie
Uradzili, jak bogowie,
Szczęście ludzkiemu plemieniu.

Płyną ich słowa w ognistym strumieniu...

A dobroczynni ziemian anieli:
Miłość bliźniego, miłość ludzkości
Wyczerpali źródło światłości
I cudną tęczą uleli.

I, ot — na burzy minionych ucisków
Igra płomieniem siedmiobarwnych błysków

Nowego przymierza wstęga,
Co berło z lemiem sprzęga.

Uderzyły serc miliony
Na ów znak błogosławiony,
Pieśni, pieśni dziękczynienia!
Lecz śpiewać mocy nie było;
Słowo we łzę się stopiło,
W cichy płacz radości pienia,

A na niebiosach, jak zajrzeć w odległość,
Błyszczą, jak z gwiazdek, z łez promiennych głoski:

„Wolność! Równość! Niepodległość!“
— Wolność — Równość! — Niepodległość! —

Okrzykły grody i wioski.

Odpowiedział mu, jak echo, głos boski:
Wolność! równość! niepodległość!¹

Ale — niestety — jaki los żalobny
Tej gwiazdy dziejów — tej anielskiej tęczy!
Wszak ona tylko pomnik nagrobny
Niezasną koroną uwieńczy,

¹) Ustęp od słów: „W świętości wdzięków dziewica...“ do tego wiersza włożony tu został z rękopisów dawniejszych z pewnemi zmianami. Kacper Pokrzywnicki w pamiętniku swoim powtórzył go z odpisu, krążącego po Ukrainie przed r. 1830 p. t. „Konstytucya 3 Maja“. Podaje go p. Franciszek Rawita Gawroński w „Studiach i szkicach historycznych“. Lwów 1903, T. I. str. 206. Drugi wiersz, tam podany, znany jest z wydań jako „Święto 3 Maja“.

A ta muzyka tryumfalnych pieni
W ponure się „requiem“ zmieni.
Chwała wam jednak, wybrane plemię,
Zeście w tej burzy wypiaścowali
Zorzę, co słońce lepszych lat zapali,
Co kiedyś całą rozkwieci ziemię.
Bądź zdrow tymczasem, orle narodowy,
Odtąd pielgrzymie obcych obłoków!
Rycerzu-chłopku, bywaj nam zdrowy,
Odtąd więźniu carskich oków!
A tobie pokój długi i cichy,
Ojczyzno moja, pokój ci w grobie!
Co zbrodnia królów, co zbrodnia pychy
Mogły dokazać, to w twojej klęsce
Dziś dokazały; pokój więc tobie,
A kłątwa śmierci na twoje zwycięzce!

O duszo moja, cóż to widzimy?
Czy dzień straszliwy Zbawiciela skonu?
To ziemia święta! To gród Solimy!
Kościół Solimy, arka zakonu!

Błyskają fale Cedronu
I Kalwarya w chmur zamierzchu,
I trzy krzyże na jej wierchu...
Czy dzień Zbawiciela skonu?
Góra śmierci w burzy cała,

Krzyże poboczne, od wichrów wydarte,
Rozchyliły się na boki,

Dwoma końcami chwytają opoki,
Jeszcze się na nich kołyszają ciała.
Słupem pożaru średni krzyż pała,
A stoi bez ramion obu.

Tłumy narodów obstały górę:
Śmiertelne stroje, lica ich ponure,
Jak na dniu męki wskrzeszeńcy grobu.
Góra wre burzą, jak chmura straszliwa;
Rzeka się pieni, ciska, jako żmija,
Porywa ziemię, skały rozbija,
A coraz wyżej przybywa.

Czegóż tu czeka to zebranie tłumne?
 Pogrzebne pienię słyszeć się dało,
 Pogrzebny orszak przeciąga trumnę,
 W trumnie spoczywa olbrzyma ciało.
 W napisie trumny: „Ośmnaście“ płonie.
 Przyszli nad rzekę — fale stanęły —
 Rzucili trumnę w rozpęknione tonie,
 Fale ryknęły i ciało polknęły.

Fale ryknęły, grzmoty zagrały —
 Naraz tysięczne uderzyły gromy.
 Dreszcz i jęk głuchy zatrząsły świat cały,
 Świat się kołysze, jak namiot ruchomy,
 Ciemność opada, jak dłoń śmierci ciemna,
 I znów błysnęło, jak łuno pożaru,
 I zewsząd lunął deszcz krwi i żaru.
 Podniosła okrzyk stojąca tłuszcza:
 „Wulkan zachodu, wulkan zachodu,
 Wulkan zachodu się pali!“
 A chmura chmurę rozbija
 I grom za gromem się zwija,
 Aż niebo iskrzy ogniem rozpalonej stali.
 Pod białością błysków trupią
 Coraz się tłumniej narody kupią
 Do tajemniczego trzech postaci szczytu.
 Nagły wiatr uderzył w chmury,
 Chmury pierzchły, a z błękitu
 Zlała się jasność na trzy figury.
 Spłonila się góra cała,
 Jako obłok nad zachodem,
 I jako obłok jasna się stała,
 I jako obłok ku niebu rosła,
 Aż nad ludami chorągwią się wzniosła
 I iść zaczęła i szła przed narodem,
 A w promieniach wschodu cała.
 Poboczne krzyże upadły na boki,
 Dwoma końcami chwytają opoki,
 Chwieją się na nich winowajców ciała,
 A średni krzyż bez ramion i płomieniem pała.

Nad nim chór duchów przegania,
 Krąży i nuci pieśń zmartwychwstania.
 Wiek nowy, wiek cudu,
 Zmartwychwstania wiek nowy.
 Strząś, ludu, grobów okowy,
 Zlej się w jedno ciało, ludu!
 Potrzaskaj złoczyńcom głowy!
 Już ci chorągiew rozwiano,
 Na prawym krzyżu władza papieska,
 Na lewym krzyżu władza królewska,
 Pośrednim ogniem ludy niech staną.
 To nowego wieku miano.
 Wasza chorągiew przed wami!
 Uścielcie godnie jej drogi,
 Niechaj korony idą pod nogi,
 Z tronów ofiarne stawcie ołtarze,
 Zapalcie ogień berłami,
 A uwieńczeni mocarze
 Niech zamiast cielców skonają w ofiarze.
 Wiek nowy, wiek cudu:
 Narody z martwych powstaną.
 Te dwa krzyże na dwie zbrodnie,
 We środku słup mocy ludu
 Wystrzela w zemsty pochodnie.
 Te trzy postacie — to lat naszych miano.
 Powstańcie, narody! Ludzkości!
 Krąży chorągiew swobody, wolności,
 Przyszedł dzień sądu i kary,
 On zbrodnie ziemskich mocarzy
 I cierpienia ludów zważy.
 Wychodźcie, narody,
 Do wagi i miary!
 I tak przez ziemię idą chorowodem
 Z wielkimi hymny o szczęściu człowieczem,
 Z zakrwawionym kary mieczem,
 A znamię wieku postępuje przodem,
 A na trąbę zmartwychwstania
 Czas groby wieków odsłania.
 Wstają ludów kościotrupy,
 Siłą magnesu łączą się w jedno.

Z pleśni grobowych otrząsają szaty,
 Drżą odwieczne majestaty,
 Moczarze z rozpaczyny błędny,
 Tłoczą się w przepiórek kupy;
 Wołają w niebo: „Pomóż nam, Boże!”
 Niebo nie słucha, dawno się ich zrzekło,
 Ryją się w ziemię: „Pomóż nam, piekło!”
 Ufajcie! Piekło pomoże.
 Przyszły czasy piekielny cudu,
 Poznacie go w całej mocy.
 Tam, gdzie podziemny płomień ludu
 Połknęły skałę przemocy,
 Wystąpił wielki duch nocy.
 Wzniósł się w słup dymu nad ognia potopy,
 Na krawędziach otchłani umocował stopy,
 Obwinał się, jak płaszczem, ognistym wybuchem
 I zdał się być światła duchem.
 Porwał zmartwychwstania znamię
 W potężne, olbrzymie ramię
 I krzyknął na ziemię całą:
 „Ja jestem, ludy, jam ludów chwałą!
 Za mną, za mną, narody,
 Do szczęścia, do swobody!”
 A święte znamię pod nogi cisnął
 I tylko jego widziadłem błysnął.
 O, ludzkości oblakana,
 Odstąp go, leć na zgubę!
 Ta świetna postać, to lice łube
 To wyziew piekła, to głowa szatana!
 Wasze oczy nie dostrzegą,
 Że on was wiedzie na rzeź waszych braci,
 Że was waszemi gromami traci,
 Że się umniejsza lik pocztu waszego.
 Ale gdzie taki, o Boże,
 Co tobie podołać może?
 Nikt twej świętości nie zgwałcił bezkarnie!
 Podeptany sztandar święty
 Niezgasła iskrą uchwycił się pięty,
 Ławą po żyłach przebieży,
 Gromem zawrotu w głowę uderzy,

Zdrajcę narodów śmiercią ogarnie
 I pchnie go w piekielny męczarnie.
 Patrzcie, patrzcie na szaleńca,
 Jak ziemię z ludów potokiem przechodzi!
 Mniema, że wlecze za sobą jeńca,
 Nie wie, że zginie sam w tej powodzi.
 Antychryst będzie słynął cudami,
 A wszystkie w korzyść duchów ciemności;
 Podniesie ciężką rękę nad królami,
 Straci trony z wysokości,
 A na ich miejscu inne postawi.
 Umarłe ludy wywoła z mogiły,
 Aby żywy świat niszczyły.
 Trudno jemu nie wierzyć,
 Trudno ludowi chcieć nie żyć,
 Trudno w mogile doleżeć,
 Kiedy budząca trąba zazgrzyta,
 Życie i zemstę obwoła;
 Ach, i kóż się wtedy pyta,
 Czyja to trąba: czarta lub aniola?
 O duchu Polski, o Polski synowie!
 Któraż kraina poczęła,
 Któryż język wypowie
 Dzieła, jako wasze dzieła,
 Klęski, jako klęski wasze?
 Cześć ci i chwała, pielgrzymi zastępie,
 Chwała ci trzykroć, zastępie pogrobnym!
 Niechaj ptak grobu twego żalobny
 Trzykroć się skrzydłem opasze,
 Trzykroć zakuje w swoje szpony sępie,
 Ty mu się wymkniesz ze strzeżonej truny
 I ducha swego będziesz siał pioruny.
 Ta wielka chwila waszego bytu
 Leży, jak obraz, cudem rozjaśniony,
 Jak drogi kamień z wszechświata korony,
 Na tem zwierciadle mojego zachwyty.
 Otwórz bramy, Watykany!
 Wyglądź grzbiet swój, oceanie!
 Piramido, uchyl głowy,
 Gotuj wieniec, świecie nowy,

Niech się Tabor opromienia
 Dniem Pańskiego przemienienia,
 Niechaj powstanie świat cały
 I patrzy oczami wielkimi!
 Od kiedy człowiek na ziemi,
 Oczy nie widziały, uszy nie słyszały
 W takiej pielgrzymce ludu takiego.
 Gotujcie mu wieńce chwały,
 Gotujcie groby dla niego!
 To być muszą grobów dziwy!
 — To trup Rzymu! — krzyczą żaki.
 — Rzymu, on żyw nie był taki,
 Jakim jest ten lud nieżywy.
 Gdzież jest kraina, coby nie dostała
 Członka z jego matki ciała,
 Gdzieby pieśń jego zemsty nie zabrzmiała?
 Na grobie Boga zatknęli swe znaki,
 Krew ich zalała Kolumba szlaki,
 Trupy ich trwają w egipskim piasku,
 Moskwa goreje od ich stali blasku;
 Śmierć lub ojczyzna! — śpiewa w ich tonach,
 Orzeł i krepą na ich ramionach.
 Lecz próżno, próżno, nieszczęsny narodzie,
 Padasz w męczeńskim zawodzie,
 Próżno na grobie wielkiego ludu
 Wyglądasz wskrzeszenia cudu,
 Próżno nawiedzasz ziemię obiecaną,
 Próżno nad Boga grobowcem,
 Próżno za wielkim wędrowcem
 Pragniesz odszukać ziemię ukochaną:
 Ocean weźmie z twoich szyków łupy,
 Strzaska ciebie świat nowy kamienną swą miedzą,
 Krokodyl zapłaczą nad twojemi trupami —
 Zapłaczą i zjedzą —
 A na świętym Boga grobie
 Tylko nadzieja zakwitnie tobie.
 I, ot, cała ziemia w drzeniu —
 I pochylona wywrotem,
 Berła monarchów w zaćmieniu,
 Odwieczne trony w płomieniu,

Korony kapią krwi potem.
 Wszyscy walczyście i wszyscy nie wiecie,
 Dla jakiej sprawy walczyście.
 Ale sokolim zbliża się lotem
 Wielka chwila przesilenia,
 Gdzie ziemia w swej mocy stanie
 I człowiek — Bóg umęczenia —
 Znów rozpocznie panowanie.
 Ciesz się, ciesz się, o wolności!
 Bóg egipskimi ciemnościami
 Pomieszał wrogom rozumy.
 Stąd królewskie idą tłumy,
 Tu się rozparł anioł dumy,
 I mordują się wśród nocy.
 Oni sądzą, że ty giniesz,
 A oni wszyscy w twojej są mocy,
 A ty zwycięsko z ich krwi wypłyniesz.
 — O, mężu pychy, cóż cię tak zaślepia,
 Że się panem ziemi mniemasz?
 Ty swej woli nawet nie masz.
 Ptasznik swój dzwonek tobie przyczepia,
 Na oczy wdziewa kapturek
 I powiada: „Leć, sokole!
 Tam, w polu, stado przepiórek,
 Obieć, odzwoń, przestrasz pole,
 Abyś spłoszonych łatwiej wziął w niewolę!“
 O, mężu pychy, tyś sokolem łowca!
 Biedni królowie! Skąd ta wściekłość dzika
 Na olbrzyma przeciwnika?
 — On cud, on dziecię grobowca
 Umarłych królewskich czasów,
 On szermierz waszych zapasów,
 On rozbity zastęp królów
 Cieniem swoich skrzydeł tuli.
 Ciesz się, ciesz się, o wolności!
 Bóg egipskimi ciemnościami
 Oczy i myśli wrogów ocienia.
 Ciesz się, już bliska chwila przesilenia.
 Widok okropny, uroczy:
 Świat się rozpadł na dwie strony,

Każda połowa, jak potop wzburzony,
Jednym ogromnym walem się najeża,
Ruszyła z miejsca, na grzmotach się toczy

I morzem w morze uderza.

Zawyły wyciem grobowym,

Jak jedno działo tysiąc dział,

Miliony strzałów — jakby jeden strzał.

Wrzasły miliony, jak jednym słowem,

Miliona ogniów rozlał się wał

Z miliona paszczek, jak z jednej paszczęki,

A ognie, strzały i jęki —

Trzydniową łoną, wyciem trzydniowem.

Już po was, już po was, mocarze!

W tej bitwie ludów, w tym wieków pożarze

Palec wszechmocny na losów zegarze

Pokazał skonaną chwilę

Waszej władzy, waszej sile.

Zawołało słowo boże:

„Wy nie wierzycie — to może,

Może cudom uwierzycie?

Tylko dwa cuda wam stworzę.

Patrzcie na głąb oceanów!

Z łona dalekich bałwanów

Wyrosła skała i duch na jej szczycie.

Czy wy znacie to widziadło,

Z rękami na krzyż i twarzą opadłą?

Siedzi na nagiej opoce,

W kajdanach, w myśli pomroce.

Jego dziś tronem ta wilgotna skała,

Jego koroną ta zgryzot chmura,

Co mu czoło opasała;

Myśl jeno bardziej ponura,

Niżli te dzikie opoki,

Ból jego bardziej głęboki,

Niżli te oceany.

Bo dziś ocean — jego kajdany,

Stolicą — szczyt pustej skały,

Kłątwa ludów — pieśnią chwały.

I któż go zwał? Czy wy, dziś zuchwali?

A jego palec wzniesiony

Zachwiał naraz wszystkie trony,

A pył nóg jego wy wszyscy lizali.

Tu śmierć dosięgła potęgę,

Calej ziemi zagroziła skonem.

A tu cud drugi w ciele pogrzebionem,

Co je śmierć w swoją wpisała już księgę.

Wschodzi zmartwychstanie ludu...

Wstałoby ono bez wolności cudu?

Zdumiewaj się, o ludzkości,

Zanuć Hozanna wolności!“

Ale królowie bezbożni,

Słów boskich pojąć niegodni,

Nowym tryumfem przemożni,

Wrócili do dawnych zbrodni.

Nadaremnie palec boży

Widome cuda im tworzy

I jedną ręką różgę komet zwiesza,

A drugą zmarłe narody wskrzesza.

— To przestrzega, ich to trwoży:

Zmartwychwstania Polski dzieło

Nową królewską zbrodnią poczęło.

„To upiór ludów! — mówili w sobie —

Co żyje krwią dzieci słońca;

My z nim nie dojdziemy końca,

Póki go nie zaklniem w grobie“.

I wykonali, co rzekli morderce!

Zaprosili zmartwychwstałą

Na biesiadę okazałą,

Uprzejmością upowili,

Upojoną z nóg zwalili,

Ucięli głowę, wydarli serce

I wszystkie członki pospołu

Do głębokiego wrzucili dołu.

Przebili łono gwoździem osikowym,

Obieli ziarnem makowém,

A potem dali ustom śmiertelnym

Pocałowaniem piekielném

Pieczęć z napisem: „Tu królestwo moje!“

Zamknęli trumnę, grób wodą naleli,

Zaparli głazem podwoje,
Z tryumfem w dłonie klasnęli
I poszli weseli.

Kraków! To on sam, jak polski lud, stary!
Kołyśka polskiej chwały, gniazdo polskiej wiary,
Smentarz polskiego narodu.
Witam cię, miasto błogosławione,
Miasto wieków ulubione
I od wieków wykarmione.
Ty nie umrzesz z chwały głodu.
Tu czas, co ziemię, jak bocian, czyści,
Gniazdo sobie wybudował
I w twojem sercu pochował
Dalekich wypraw korzyści,
Aby wykarmił życiem i potęgą
Pisklęta, które wkrótce się wylęgą.
Szczęśliwy ten dom, błogosławiony,
Który on gniazda koroną opnie,
I ten ród pewien niebieskiej obrony,
Co gniazdo jego ocala roztropnie;
Chwała ci, grodzie, że w tobie cześć taka
Dla świętego czasu ptaka.
A więc nad tobą i opieka boża,
Ciała dusz wielkich leżą bezpiecznie
Ani się psują w twoich świątyniach —
Wieniec dziejów kwitnie wiecznie,
Duch dawnej chwały wieje po ulicach
I błogosławionych zorze
Opromienia twoje wieże.
Słowo podania twoich swobód strzeże
Od dwóch stron świata dwoma mogiłami.
Widzę je — wstało widomie
W mglistych olbrzymów ogromie
I „witaj — mówi — witaj między nami!
Brakło nam straży z tamtej jeszcze strony,
Tam się też skradał wróg przyczajony.“
Jękły pogrzebowe dzwony;

Dźwięk ich żalobny, czysty i głuchy,
Jakby go niosły płaczące duchy,
A, jak eter, przenikliwy,
Płynię daleko, jak jasności fale,
Zagrał sępowi na Karpatów skale,
A sęp żarłoczny spał się na dziób krzywy
I skrzydła zwiesił do smutnej dumy;
Przeszedł nad morza — a morskie tłumy
Pomyślały, że mórz łono
Jęczy przed blizką burzą szaloną:
Kupią się i bez ruchu ołowiem w głąb toną.
Przeniknął deszczem w lasów tajniki —
Rwą się zjeżone dzikie zwierzęta,
Mniemają słyszeć jęk dziki,
Jakim się proszą leśne szczenięta,
Kiedy nieczuła ręka myśliwska
Obręczem śmierci gardła ich ścisła.
A jęk szedł dalej, wokoło,
Jak śmierć, przenikał ziemskie głębiny,
Jak szum, przebiegał wzdłuż Wisły i Dźwiny.
Zlał blaskiem wschodu najwyższych gór czoło
I idzie dalej, coraz głębiej, wyżej,
W górę promieniami dziennymi,
Dreszczem wulkanu w głąb ziemi,
Dokoła świata skrzydłem chmury chyżej
I coraz dalej, aż całą ziemię,
Aż całe ludzkie obudził plemię.
Gdzie wzrok rzucisz popod słońce,
Zewsząd chorągwie wiejące,
Przepasane krepą czarną,
Zewsząd żaloby mężę się garną
Że wstęgami trójbarwnymi
I z garścią rodzinnej ziemi.
Kogóż to, kogo żegnać ludzkość będzie
W tym niesłychanym obrzędzie?
O święta mojej ziemi stolico!
Jakże pysznie powstajesz przed moją żrenicą
I nad cały świat ciekawy
Wznosisz górę Bronisławy

I prawicą tajemniczą,
 Otworzył jej pierś dziewiczą,
 Składasz w niej umarłe zwłoki
 I wysyłasz pod obłoki
 W wieniec gwiazdzistej światłości
 Okrzyk: Oto mąż wolności!
 Jak woda w paszczę otwartego wiru,
 Tak wkoło grobu zlewa się lud miru.
 Ze szczyptą ziemi każdego ręka,
 We stu językach jedna piosenka:
 „Noc wzięła słońce w poddaństwo,
 Kościotrup żyjących gnębi —
 Budujmy podziemne państwo
 W grobów głębi.
 Oto męża niezgiętego
 Bohaterski trup spoczywa:
 On trup, lecz, jak chwała jego,
 Myśl w nim żywa.
 Teraz ziemi rodzicielki
 Rzućcie na tę myśl po szczypcie
 I niezgastej, świętej, wielkiej
 Grób usypcie.
 A głęboki, by nasienie
 Rozpostarło się tam śmiało
 I ujęło w swe korzenie
 Ziemię całą.
 A niech zbrata się z Karpaty,
 Aby wolność zmartwychwstała,
 Gór szczytami na dwa światy
 Zapalała.“
 Po chwili wyrasta
 Trzecia strażnica świętego miasta:
 Z lez nad mężem wolności cudotwórne dzieło,
 Gdzie się wielkiego ludu poczęcie
 Ziarnkiem zwłok trupich zamknęło,
 Jak Bóg-człowiek w sakramencie.
 Arka nadziei, tajemnicza postać
 Wielkiej nauki jak narodem zostać.
 Jak swobodę wypiąstować
 I jak ziemię odbudować.

Króle, bezpieczni przemocą,
 Czy widzicie te blaski, co w strzałach promyka
 Przed żrenicami waszemi migocą
 I zbiegają do pomnika?
 Te blaski — to ręka boska,
 Ten grób — Baltazara głoska!
 Gwiazdo świata, żegnam ciebie,
 Lampę grobową zapalę sobie,
 I w łonie ziemi ducha zagrzebię,
 I osiadę w ludu grobie,
 Ażebym widział, jaką to siłą
 Ziarnko narodu dojrzewa,
 Jak się wzmacnia pod mogiłą,
 Zaczem wystrzeli olbrzymem drzewa.
 — Później — rzekł anioł przytomny.
 — Uważaj cuda, nie badaj przyczyny,
 Na dziś dość tobie ludzkiej krainy! —
 I na widzenia krainy
 Położył skrzydło, jak cień ogromny,
 Dla rąk i oczu niezłomny.
 Na ziemię milczenie opadło
 I mrok dwunastej nocnej godziny.
 Pomnik narodu stanął, jak widziadło,
 A jakaś światłość biła z jego głowy.
 W tęczy przyćmionej, jak blask księżycowy,
 Milion spojrzeń igra w niej swobodnie,
 Jak lekkie roje zachodnie.
 Ponuro biją blasku tego łony
 O lody północnej strony.
 Żrenice larwy, co siedzi za chmurą
 Nocy sześciomiesięcznej,
 Błyszczą dziko i ponuro
 Od światłości grobu wdzięcznej.
 I blask ją razi i trwoga ziębi.
 Na jasność trzeba jasności;
 Zeszła więc do piekiel głębi,
 Do trupa ziemi, bierze szpik jej kości
 I z niego pochodnię lepi,
 Co jednych uśpi, drugich oślepi,

Pochodnię trupiego blasku,
 Szatańskiego wynalazku,
 Nowych zbrodniarzy przewodnię,
 Ale ómom ludów gorejącą mile.
 Tak ulepioną pochodnię
 Przy ogniu piekieł rozżarza
 I chytrym krokiem nocnego zbrodniarza
 Podkrađa się ku mogile.
 Przy grobie powstał gwar dziki,
 Szelest skrzydeł, gwar okrzyków —
 Ómy, nietoperze, sowy, puszczyki
 Wysunęły się z tajników
 I wieniec światło objęły ciemnym
 I powitały go śpiewem podziemnym:
 „Witaj nam, witaj, światło pożądane,
 Tyś słońce naszego życia!“
 I w dzikich pieśniach pośród skrzydeł bicia
 Leciały w ogień, jak obłąkane;
 A, co leciało, to w dym zgorzało.
 Ale ród nocy, plemię spodlenia,
 Wciąż swemu światłu nuci chwalne pienia,
 Aż się samo piekło śmiało,
 A milczące grobu skronie
 Czystą tęczą wciąż pałają,
 A w milczącym grobu łonie
 Cuda wciąż się poczynają
 I świat żywy zaludniają
 Widziadeł straszących zgrają.
 Ucichła szatańska radość
 Na groźne wkrąg tajemnice
 Trupiego światła — i trwogi bladeść
 Szpeci w dwójnásób zbrojczey larwy lice.
 I w tejże chwili, dziwo nadzwyczajne —
 Doszło mych uszu gadanie tajne
 W drzeniu podziemnem, z warczeniem głuchem,
 Jak przed wulkanu wybuchem.
 Zaćmiona Polski połowa
 Mówiła w te słowa:
 — „Czego śpicie, lasy lube?
 Góry lube, czego śpicie?

Tu pracuje wielkie życie,
 Tam śmierć wielka trzyma zgubę.
 Pomóżmy życiu, pomóżmy!
 Radę między sobą złóżmy!“
 Na to powiedział las głuchy:
 — „Gdy śmierć życiu grozi zgubą,
 Trzeba życie, jak w pieluchy,
 Obwinać w zasłonę grubą,
 Póki nie dojrzeje skrycie;
 Ja dostarczę ómy obficie.“
 Cóż na to góry? Góry się ozwały:
 — „A góry mają przepaście i skały:
 W górach kołyskę zrobimy,
 Niemowlę życia schronimy,
 Będziem je tulić chmurami,
 A kołysać orlętami.“
 Cóż na to wody? A wody rzekły:
 — „Nieraz my krwią życia ciekły.
 Za to naszej rosy łono
 Będzie zakrapiać dziecinę spragnioną.“
 Jak wyrzekli, tak się stało.
 Óma drzew na Polskę rozlała się cała.
 Stoi kołyska w głębiach opoki,
 Skrzydła ją młodych orląt kołyszą,
 Nad nią zasłony z gęstych chmur wiszą,
 A z wód ustawnie ciągną obłoki
 I niemowlęciu kropłami słodkimi
 Cedzą mleko matki ziemi.
 Och — i dni idą, w których się objawi
 Cud harmonii z natchnień wieszczych zdroju!
 Spieszczie, Polacy, z okrzykiem zdrowi!
 Przybiera kielich rajskiego napoju —
 Będziemy pili do snu zachwycenia!
 Nieznane dotąd między mym narodem
 Dadzą się usłyszeć pienia,
 W niemeńskich borów szumie powstaną
 I powietrznym korowodem
 Okrążą Litwę zaspaną,
 Źródeł Dnieprowych bełkot obudzą,
 Z każdej fali dźwięk wydłużą,

Zadzwonią o porohy i dalej popłyną
 Nad ziemią grobów, nad Ukrainą.
 Stepowych wichrów chód się do nich zbieży,
 Popłasa z niemi w rodzinnych równinach
 I do Bohowych polecą nadbrzeży.
 Ockną się echa na Tatrów wyżynach,
 Zagrają spolem, hukną, zadzwonią
 I z wiosennego powietrza wonią,
 Rozpierzchle po całej ziemi,
 Zleją na serca muzyki rosę.
 A Rusałki złotowłose
 Płyną nurty grającemi.
 Dnieprowa Świtezianka wita,
 Dnieprowa Świtezianka pyta:
 „Cóż to za pieśń w tej czarownej nucie
 Nasz krzysztalowy skłóciła zaciszek?
 Może która z towarzyszek,
 Śmiertelne w piersiach rozpaliwszy czucie,
 Objawiła po zdradziecku
 Tę muzykę ziemi dziecku?
 Jak w polskich wodach igramy,
 Jeszcze my takich śpiewów nie słyszały.
 Siostró, wszak piękne kwiaty chowamy,
 Splećmy-że z nich wianek chwały,
 Splećmy, siostró Świtezianko,
 I miłości wiązaną
 Przepaszmy te młodzieńce,
 Co nas przeszli w piosence.“
 A w mogiłach Perepiata
 Budzą się męże dawnego świata:
 Oczy ich gniewne i dumne,
 A podziwienie na spleśniałej twarzy.
 — „Plemię młokosów skradło czasów trumnę,
 Odkradło dzieje, naszej powierzone straży.
 Trzeba pomścić się zniewagi...
 Lecz nie, chwała dla odwagi!
 Z polysku naszych stalowych zbroi
 Koronę chwały ulejmy,
 I na tego skronie wdziejmy,

Kto do krwi mężów przyjsć się nie boi
 I ku czci naszej lepiej gęśl stroi.
 Dalej, plemię natchnień, dalej
 Ze śpiewami i dźwiękami!
 Minioną sławę roztocz nad ziolkami,
 Blaskiem przeszłości ojczyznę zalej.
 Obudź wieki, otwórz groby,
 A zapadłe nasze grody
 Wywiną się z gęstwin kniei,
 A pieśń pogrobnej żaloby
 Ozwie się hymnem nadziei.
 Pieśniami zmartwychwstaniem pomiędzy narody!
 Kwiatek nie zwiędnie, fala się nie zmąci,
 Skoro ich skrzydłem przelotu dotkniecie;
 A jak się wszystko rozjaśnia na świecie,
 Co promień słońca potrafi.
 Tak one będą jaśnieć od wieka do wieka,
 A od najdalszej potomność daleka
 Pójdzie po waszych śladach z kochanki oczyma
 I z całunkiem kochanki przy każdym się wstrzyma.“
 Jakiegoż to ptaka pienie
 Niebiańskich dźwięków, płomienistej mocy,
 Budzi śmiertelne Polski uśnienie?
 Precz z mego kraju, o nocy!
 Szum radością, Litwo ciemna,
 Po dawno ogłuchłych borach!
 Graj, wodo, w gwiazdzistych wzorach!
 Po śpiących Litwy jeziorach
 Z iskierek brzasku na falach Niemna
 Spływa się okrąg płomienia
 I nowem słońcem świat opromienia —
 Nowy świat życia, czucia i miłości.
 Widzę ja przestrzeń głuchą i bezludną,
 Widzę, jak po niej strzały światłości
 Śmigają w słowach i dźwiękach,
 A pod każdą strzałą cudną,
 Jak w świętych proroka rękach,
 Obumarcie zmartwychwstaje,
 Nieznane rodzą się kraje.
 Jako przy dzwoniącym gromie

Trąb anioła wskrzesiciela,
 Tak od nich trumna ziemskości się łomie:
 Mówią kwiaty, czują bory,
 Duch życia z wód zimnych strzela
 I stają wokrag widomie
 Ideały światłości i mroku potwory.
 Rozjaśnij się, czasie, rozjaśnij,
 Ze cię tym dzieckiem darzy wieków stadło.
 Ty, przyrodo, w dłonie skłaśnij,
 Że w świetle duszy masz takie zwierciadło.
 Ale się chmurzy piekiel rodzina,
 Rzuca się w burzy na wieków syna.
 Ogarnia go, chłonie — pognębi?
 Nie! On świeci z nawałnicy,
 Jak grom, zamknięty w obłoku głębi,
 Rzęsnym strzałem błyskawicy
 Zakrwawia chmurę, z gniewu poczerniałą.
 Cóż tak w tej chmurze zagrzało?
 Czy to piorun rozdarł chmury?
 Piorun, ale z wieszczą ręki.
 Duch zemsty wypadł z sępiemi pazury,
 Spuścił się, wżarł się w tyrana wnętrzości,
 Wpoił się w szpik jego kości —
 A ten w konwulsjach męki
 Pianę obłąkania miota
 I — „Wallenrod! Wallenrod!“ — bełkota.
 Graj im, Poeto, graj Samsona struną,
 Niechaj usypia tłuszcza rozmarzona,
 Aż zatrzęsione siłą Samsona
 Własne ich gmachy na głowy im runą,
 A wtedy nie żal ponieść śmierć Samsona.
 Na gardle Polski zbójcza dłoń przemocy,
 Poczwara pustek i nocy,
 Jakby na gnieździe, siadła na jej ziemi,
 Nakryła całą skrzydłami swojemi
 I krwawym dzióbem chwytła łakomie
 Życie, ocknione w jakimkolwiek ciele: „
 „Jaka posępność w zawalonym domie,
 Kędy przed chwilą szumiało wesele!
 Taka posępność na całej krainie,

Jedyne pomnik życia, co minęło.
 Ludzie, co znikli — jedyne dzieło,
 Pomnik zniszczenia — mogiła narodu.“
 Wzniosła skroń dziką nad martwą pustynią,
 Z krwawego czoła śmiertelnego grodu
 Tęcza posępna, jak tęcza księżycą,
 Powoli strzelać, zwiększać się poczyną;
 Powstaje widmem polska dziewica,
 Szeroką zorzę po niebie rozpina
 I krwawą łoną pół świata oświeca.
 Po niej mglista plamka chmury,
 Jak na szczycie Babiej góry
 Poprzednik deszczu wydyma obłoki!
 Aż się roztoczy w obłok szeroki,
 Aż wielką chmurą na mogiłę spadła:
 To nie chmura — to widziadła!
 Świeci nad wszystkie rycerz dziewoja!
 Świetna, odwieczna jej zbroja,
 Tylko grobową pleśnią porosła.
 Rycerskie znamię lewicą podniosła,
 A prawicą szyszak trzyma.
 Orężny jeździec stoi z prawej strony,
 Po jej lewicy lew rozsrożony —
 Nad głową biały orzeł zawieszony.
 Rycerz dziewica dała znak oczyma —
 I naprzód orzeł klasnął w białe pióra,
 Karpaty zagrzały: „ura“ —
 Zawichrzyła piasków chmura,
 Čma duchów pieszka i jezdna
 Wytrysnęła z piasków bezdna
 I otoczyła dziewicę.
 Potem koń zarżał i kopnął w ziemię,
 Zastękały trzęsawice,
 Zaszumiały czarne puszcze,
 Liście wichrem się zwinęły,
 Z liści wyszły zbrojne tłuszcze
 I przy dziewicy stanęły.
 Potem ryknęło ze lwiej gardzieli,
 A z traw stepowych topieli,

Zawył głucho wiatr ponury,
 Ziewnął obłokiem do góry,
 Rozbił go w chmury błyszczące
 I spuścił mężów tysiące.
 I wszyscy koło dziewicy stanęli.
 Rycerz-dziewica obwiodła tłumy
 Okiem rozpaczy i dumy
 I, jakby mówiła oczami do orszaku,
 Podniosła szyszak — krew była w szyszaku.

1833.

*W odnalezionym rękopisie fragmentów spisane są szkice
 pomysłów do poematu:*

Wiadomość o księdzu Marku.

Ks. Marek należał do zgromadzenia Karmelitów bosych. Mieszkał w klasztorze Berdyczowskim. — Był jednym z pierwszych, przystępujących do konfederacji Barskiej, za co doznawał wiele prześladowań od rządu moskiewskiego. Uchodził za proroka i świętego. Zostało dotąd proroctwo jego wierszem o przyszłych losach Polski. Robił cuda. Widziano go w czasie mszy, przy podniesieniu hostyi, podniesionego o kilkanaście cali nad stopniami ołtarza. Lud zbiegał się do niego po błogosławieństwo. — Wypadek mojego nauczyciela z ks. Markiem. Więziony od Moskalów, w drodze do Petersburga, wychodził zawsze mimo krat i murów na wolne miejsca i czytał biblię. Na obiedzie u Rzewuskiego, pisarza koronnego w Rozdole (w Galicji), strzelał piorunami na wiwaty. Niektóre o nim szczegóły w historii Rulhière'a o „Bezrządzie polskim“.

Notaty do proroctw ks. Marka.

Książd Marek zostaje prorokiem przy trupie o północy. Pierwsze widzenie. Raj — koło proroków starego i nowego zakonu: Mojżesz, Eliasz, Enoch, Izajasz, Jan Ewangelista. Każdy ze stosownymi oznakami. Eljasz pali go ogniem swojego wozu, a duszy zapytuje, którego z pro-

roków chce mieć swoim przewodnikiem. Marek żadnego nie bierze. Wszyscy prorocy udzielają mu swojego ducha, a orzeł Jana odbywa z nim pierwszy lot proroczy. Odtąd w ciągłych jest związkach ze wszystkimi prorokami.

Proroctwo zaczyna się od objawienia się Chrystusa. Ubolewa on nad ziemią, ubolewa, że szatan zatrzymał dzieło jego i tajemniczym hasłem pusza w dalszy ruch dzieło swoje, a do tego wybiera polski naród i pomazuje go na męczennika.

Trzy epoki męczeństwa Polski. Pierwsza ucisk Polski w osobie Puławskiego, — druga w osobie Kościuszki, — trzecia w osobie Zaliwskiego. Zaliwski, jako bohater rewolucji listopadowej.

Krzyż oddaje panowanie szubienicy. Wzniosłe jej przeznaczenie. Szubienica narodu Polskiego składa się z trzech części: Rosyi, Austrii i Prus.

Anioł ciemności, Interes, jest sprawcą pobudzicielem wszystkich sił, przeciwnych Polsce w jej walce za ludzkość. Na początku poematu Interes rozwija swoje zastępy. Ich przegląd:

Marek widzi nowe bóstwo 19 wieku, bez nazwiska, jak widmo z cienia i światła, nieruchome, niepojęte. Zdaje się jednak czuwać nad Polską, bo, stosownie do jej przygód, widać w nim zmiany tajemnicze.

Nakoniec anioł każe się obejść księdzu Markowi, ogląda się, widzi, że jest w r. 1833, jak w przepaści, przestrasza się, błaga, żeby się mógł wycofać i na tem kończy proroctwa.

Bożyszcze Polaków z trzema głowami, wyobrażającymi trzy stany.

Marek widzi zachód religii katolickiej, a wschód nowej wiary; przeobrażenie jego. Chrystus tłumaczy mu to i potrzebę nowej wiary, przy czem pociesza.

Barwa proroctw, republikanizm katolicki.

Miedzy prorokami wielcy ludzie innych narodów. Z Polaków Bolesław Chrobry, Jadwiga etc. Wynalazca drukarni Faust Guttenberg, Jeremiasz z łańcuchem na szyi.

Z Jeremiasza. Wystaw sobie pamiątki, nakładź sobie gromad kamieni, pamiętaj na ten gościniec i na drogę, którąś chodziła, nawróć się, panno Izraelska.

Miejsce to zastosować do tułaczów polskich mogiła Kościuszki ma być wyżyną, usypaną w tym celu, z niej duch Polski ukaże się Polakom, rozproszonym po całym świecie, wzywając ich do ojczyzny.

W dniach rozproszenia widzi Marek anioła, zstępującego na ziemię polską, który rozmierza jej granice, odnawia ślady Chrobrego; potem dzieje się oczyszczenie ziemi z arystokracji i t. p., a wszystko na przyjęcie nowego ludu. Jak na wiosnę dobry gospodarz przed zasianiem roli zgromadza perz i chwast rozliczny na stos i pali go ogniem.

Młodzi pisarze, wprowadzeni pod postacią aniołów, wypuszczających wiatry ze czterech rogów Polski i burzących budowę ciemności.

Dla uniknięcia spowszedniałych dziś deklamatorskich nazwań, które nadano nieprzyjaciołom ludzkości, jako to: Mikołajowi, despotyzmowi itd. albo wyrzekających przeciwną im strony, powprowadzać na ich miejsca zbliżone do wyobrażenia rzeczy, nazwiska hebrajskie, wzięte z biblij, jako np. anioł zniszczenia abbadon ma znaczyć i t. d. synowie gromu. — Talitakumi wstań dzieweczko, anioła wskrzesiciela Sephar. Tephilim księga chwał.

* * *

Stan Europy, a w szczególności polskiego ludu za czasów konfederacji Barskiej. Królowie, arystokraci, księża, jezuitizm, ciemnota i t. d. Potem stanowcze wypadki z dziejów polskich od konfederacji Barskiej aż do r. 1833. Upadek konfederacji Barskiej. Tren nad jej upadkiem. Oda na śmierć Kazimierza Pułaskiego. Rzut oka na Amerykę północną. Kościuszko w obłokach oddalenia. Panowanie Stanisława Augusta. Apostrofa do niego. Wzmagająca się przemoc Rosyi. Obraz jej potęgi. Burza, zbierająca się ze wszechstron na Polskę. Pogoda zachodnia. Konstytucya 3-go Maja rzuca na ten dzień blask ostatni. Wojna. Powstanie Krakowskie. Pochowanie Polski w grobie. Legiony Dąbrowskiego, wstające z trupa Polski. Ich dzieje. Napoleon. Upadek jego. Mogiła Kościuszki. Wzmaganie się ducha narodowego. Poezya narodowa. Mickiewicz. Prześladowanie młodzieży. Rewolucya 29 Listopada. Bitwa

pod Grochowem. Wzięcie Warszawy. Apostołowie i prorocy wolności rozsypują się po świecie. Zemsta ludu.

Nowa Jerozolima. Odbudowanie świata i Polski.

Od tego obrazu, łączącego się z obrazem opisanym obozu konfederatów, zwraca się prorok do Pułaskiego; zachęca go do wytrwałości i każe z nowym zapalem uderzyć na wrogów.

Wszystkie uczucia ludzkie odebrać księdzu Markowi, wyrazić je w apostrofach do ludów, do ziemi polskiej, do przedmiotów nieżywych.

Ks. Marek w raju i w piekle. W raju duchy bohaterów wolności. W piekle duchy carów rosyjskich, królów złych, zdrajców ojczyzny i panów egoistów. Osobne z tego poema.

Rewolucya 29 Listopada. Zjawisko olbrzyma 40-letniego, zasiada na stolicy Europy, a pod nim przesuwają się zdarzenia.

Naród polski, człowiek z trzema głowami. Jedna głowa-dusza, lud; druga ręka, szlachta; trzecia brzuch, panowie. Głowa-brzuch powiada, że jest najstarsza i gnębi dwie drugie. Anioł ciemności rzuca jej przysmaki z orderów, pieniędzy i t. d., które on pożera i wciąż rzyga poczwarami rozmaitego rodzaju, które się swoich innych głów czepiają (na miejscu kwiatu-dziewicy).

Rejtan męczennik pieczętuje krwią swoją pierwsze zamordowanie Polski.

Ksiądz Marek wyklina panów polskich.

Poniatowski haniebnem królowaniem pieczętuje władzę królewską w Polsce.

Ks. Marek, obecny obrzędowi anielskiemu, kiedy Bóg poświęca Polskę na męczennika ludów i zbawienie świata od szatana królewskiej władzy.

Skonanie 18. a urodzenie się 19. wieku. Dziedzina czasu. Przygotowują grób dla ośmnastego wieku, a na grobie kołyszą 19-ty; śpiewają mu tajemniczą piosnkę o panowaniu wolności, o upadku królów, arystokracji.

Fanatyzmu religijnego uderza godzina 12-sta, spada jeden wulkan.

Napoleon, widmo, utworzone z trupa królów, wypiełgnowane w ich grobach, wychodzi, odziane wszelkimi

oznakami bohatera wolności. Szatański jego umysł. Morduje miliony. (Dumny, jak ród mocarzy, niszczący, jak robak grobu).

Epoki opiewanych przez ks. Marka zdarzeń zponacza burza, która piorunami tłucze prorocze zwierciadło i wszystkie przedmioty w zamęt wprawia — będzie to także podział pieśni.

1. Zawiera zjawienie się anioła. Rozmowa jego z ks. Markiem. Wyprowadzenie zwierciadła proroczego. Zwierciadło składa się z tysiąca innych, jedno w drugim, coraz mniejszych, aż do zniknięcia. Naprzód ogólny wykład widzeń.

I tak drugie widzenie, trzecie, czwarte, etc.

N. Widzenie. Piekło, gdzie ksiądz Marek widzi wszystkie narody z ich korzeniami i wszystkie podziemne roboty tak ludów, jak królów.

N. Widzenie. Raj.

N. Widzenie. Nowa Jerozolima.

Każde widzenie jest oddzielnym poematem.

Polska pokutuje za swoją arystokracją. Po każdej rewolucji anioł się pokazuje i mówi: Nieczysta! — a Polska upada. Dopiero zaprowadzona wolność i równość zupełna zjednywają jej tryumf.

Polska cierpi za możnowładztwo. Ludzie, od szatana poduszczeni, podają jej, jako lekarstwo, władzę królewską, osłodzoną później konstytucją 3-go Maja. Ten krok rozwiązuje los Polski i śmierć jej zadaje. Przytem wyrok, że póty nie powstanie, póki nie pozbędzie myśli o królewskiej władzy.

Korona królewska na głowie orła białego jest znakiem nielaski boskiej. Orzeł triumfujący ukaże się w wieniec lub ze słońcem.

Anioł połączenia czyli porozumienia się. Tęcza trójkolorowa występuje nad światem przed godziną jego zbawienia. Ludzie, idący przez świat i spisujący dusze, które są za wolnością, a które przeciwko niej. Liczba dusz dobrych.

* * *

Widzi gwiazdę nowego Zbawiciela ludu, który przychodzi pod postacią 19. wieku. Kształt tej gwiazdy i towarzyszące jej zjawienia są fenomenem.

Do pror. ks. Marka.

Wiekі składają się na ogólną europejską rewolucję. — Noc. Okropność sceny rewolucyjnej i nadzwyczajna jej ciemność. Z tej burzy wypływa Polska, ale oku proroka pokazuje się, jak widziadło niewyraźne.

Pieśni prorocze ks. Marka.

I widziałem — a oto naród zamienił się w ogrom, podobny do góry, i niebo otworzyło się, i wyszli czterej aniołowie i zatrąbili na cztery strony świata, a trąbili słowami: Ludy, patrzajcie, Bóg będzie swój lud obierał; a wtedy podobieństwo góry wzburzyło się, jak morze i, piętrząc fale swoje, podniosło się ku niebu, a w jego głębiach dał się usłyszeć zamęt głosów, niesłychanych na ziemi od jej stworzenia, a było w nich, co tylko w głosie może być najokropniejszego, a na powierzchniach podobieństwa góry ukazały się strumienie krwi, a wokoło jej były błyskawice, jakoby niepoliczonych orężów i armat, i trwało to długo, a głos niewidzialny powtarzał: czyść się, mój ludu, i po tym...

Tytuły.*)

Przeszłość i przyszłość Polski. — Polska w widzeniu. — Widzenia poety.

* * *

Duch Polski jest przewodnikiem poety w jego proroczym zachwyceniu.

Poeta przeniesiony jest do świątyni stworzenia. Kościół ten wyobraża w treści całe stworzenie. jakie tylko wzrok proroka obejrzeć może.

Bóstwo napęłnia cały kościół. Daje się słyszeć muzyka nadziejska, jakiej żaden człowiek nie słyszał. Skala jej przechodzi rozległości myśli ludzkiej. Są w niej tony najwyższe i najniższe stworzenia.

* * *

*) Trzy notatki, odtąd poczynając, dopisane są na wolnej kartce rękopisu własną ręką Goszczyńskiego, zapewne w Paryżu po r. 1850. Widocznie próbował wskrzesić dawne widzenia i zużytkować.

Czas nowy. — Poczucie w kościele św. Rocha w Paryżu na nabożeństwie wielkopiątkowem. — Śmierć i pogrzeb Polski w świecie ducha. — Widzenie to będzie początkiem poematu.

DROBIAZGI.

Obraz leniwca.

Chcecie zabawki, więc was zabawię,
Leniwego wam przedstawię,
A przedstawię tak dokładnie,
Że każdy z was i odrazu
Po pierwszym rysie obrazu
Oryginał jego zgadnie...
Albo wiecie... lepiej może
Na później ten trud odłożę!

Zegar i poeci.

— O, mój szanowny zegarze,
A to znowu co się znaczy?
Bijesz dwunastą o trzeciej?
Zegarze, tak robisz! Igarze!
A zegar na to:

— Tak robią poeci:
Inaczej dzwonią, a idą inaczej.

Najgłupszy.

Głupie jest bydło, lecz bydło najgłupsze
Jest człowiek, kiedy być głupim się uprze.

Szumowiny.

(Bajka — niedokończona)

Lekkie, bo próżne z przyrody,
Warczą, huczą szumowiny,
Krając po wierzchu kiplącej wody:
— Patrzajcie na te garka kłęby!
Z mojej to one tak wrą przyczyny,
My to burzymy wodę tego garka —
Kłękajcie, narody!

A wtem nadchodzi kucharka,
Na pyszne wrzaski słówkiem nie odpowie.
Tylko po wrzątku przesuwając warzątkę,
Jedne po drugiej szumowiny łowi —
I w pomyje do cebrzyka!
A na ich hańbę, bo nie na pociechę,
Takim morałem całą rzecz zamyka:

.
.

Córka matce w dniu imienin.

W świętym dniu twych imienin, moja matko droga,
Twoja córka swe serce składa ci w ofierze;
A ono tobie powie, jak cię kocham szczerze
I jak szczerze, a co dzień, proszę Pana Boga,
By ci dawał swą łaską życie długie, długie,
Zdrowie, szczęście i radość, tak długie, jak życie.
Takie ci serce, matko, składa twoje dziecię,
A gdybym drugie miała, dałabym i drugie.

Paryż, 1858 (?)



ODMIANY TEKSTU.

Wspomnieliśmy w przedmowie, że Goszczyński zamierzał w latach 1828—30 wydać zbiorek poezyi lirycznych. Projekt ten powstał w Leszczynówce 1827. Podczas podróży do Wiednia 1828 r. poeta kompletował ten zbiorek. W Warszawie dał go w tym roku do przepisania Józefowi Chrząszczewskiemu. Na razie projekt spelzył na niczem. W r. 1830 sprawa stała się znowu aktualna, Goszczyński uzupełnił zbiór jeszcze kilku poematami, ale i wtedy rzecz nie doszła do skutku z powodu wybuchu powstania, a potem emigracyi poety.

Zeszyt ten, przepisany, został w Warszawie w przechowaniu u Stanisława Bogusławskiego i nie wrócił już do autora, aż dopiero w r. 1869 za pośrednictwem p. Zofii Węgierskiej. W tej porze Goszczyński ukończył już korektę ostatniego wydania zbiorowego dzieł swoich, jakie za życia jego wyszło u Brockhause w Lipsku 1870, i nie mógł w wydaniu tem uwzględnić utworów, w młodzieńczym zeszycie zawartych. Niektóre z nich może miał w odpisach, może zapamiętał i w ten sposób wcielił już poprzednio do wydania lwowskiego 1838, wrocławskiego, lub do „Trzech strun“, inne pozostały w zaginionym zeszycie nietknięte. Te dopiero do tego naszego wydania dostały się w całości z zeszytu, odnalezionego w archiwum Rapperswilskiem, gdzie się przechowuje puściczną rękopiśmienną po Goszczyńskim.

Ale zaszła rzecz inna w tym zeszycie. Oto poeta pod koniec życia zapragnął uskutecznić jeszcze zbiorowe wydanie dzieł swoich. W tym celu począł dawne poezye w zeszycie omawianym poprawiać — nawet te, które już były w wydaniach wydrukowane. Uznaliśmy za stosowne w tem najpełniejszym wydaniu naszym te poprawki uwzględnić. Z tego powodu niektóre wiersze, oddawna znane, przedstawiają się w naszym wydaniu w redakcyi nieco odmiennej. Dla ścisłości podajemy poniżej jako odmiany tekstu

utwory dawniej ogłaszane, przynajmniej ważniejsze bardziej zmienione.

Dzieje owego zeszytu poezji lirycznych opisałem obszernie w „Głosie“, Warszawa 1898, w artykule „Nieznane utwory Goszczyńskiego“.

Z. W.

POWOŁANIE GENIUSZA.

Str. 3:

Na toż powstają geniusze
W wiecznej bytu zawierusze,
Aby błysnęły kometa
I potem zgasły bez śladu?
Można-ż, aby twórca ładu
Bezczelną zamknął je metą?

Tutaj, gdzie pyłek jest świata ogniwem

One-ż się tylko marnie zatracą

Z całych wieków pracą,

Z plemion podziwem?

— Chwała światłości i cnocie;

Hańba złemu i ciemnocie! —

Zawoła szkielet mądrości,

Groźny anioł-stróż przeszłości,

Wielki prorok z doświadczenia,

Który nad wieków prochami

Liczy chwile kolejami

Bytu i zniszczenia.

— Kto obecność pojąć pragnie,

Ku przeszłości ducha nagnie.

Ledwo drobny świat człowieka

Zaczął swój obrót w światów kołowrocie,

Dumny, przy swojej lichocie,

Z dróg wytkniętych wnet ucieka

I gaśnie w ciemnocie. —

Przecknęła mądrość w Twórcy osobia

I tchnęła z boskich piersi, i geniusz w tej dobie

Zeszedł na ziemię otwarcie

I śmiertelnym przyniósł wsparcie.

I już odtąd wiek po wieku,

Jak tylko bóstwo przygasa w człowieku,

A ciało duszę ugniata,
Wcielony geniusz ulata,
I zapaśnik ludzkości, ludzkości imieniem
Walczy z nocą i spodleniem,
Aż wrogów duszy obali;
A świat tymczasem pomyka się dalej.
Chwała wam, mężo wyższego natchnienia,
Że dusza żyje przez wasze zjawienia,
Jak biciem krwi ciało żyje;
Że przez was wśród tego cienia
Zegar mądrości idzie i bije!

BŁĘDY GENIUSZA.

Str. 6:

Czy skrzeczy rozum poziomy,

Czy szydzi zawiść złośliwa,

Ty leć za duchem, który cię porywa,

A ten przeniesie nad bezdna i stromy.

Za prawdą idzie proste sumienie;

Prostemu czuciu zawierzyć trzeba,

Duszy zawierzyć; skoro twoje pienie,

Pienie niestrojne, w jej strunach zadrgało,

To-ś jej zaśpiewał od kolebki nieba,

To w ogniach twego zapалу

Rodzinne słońce dla niej zaigrało.

Nie lękliwie! nie pomału!

Zostaw, zostaw, komu błogo

Krażyć bitą ziemską drogą!

Sam oblęd twego zapędu

Rozpromieni wieków krocie,

Kiedy rozumy płaskiego zapędu

Zagasną w pyłe i pocie.

Z poddaniem twemu natchnieniu,

Z pełną wiarą jego mocy,

Zawsze po duszy promieniu!

On cię złączy z duszy metą.

Jeszcze krok na twej drodze, a nie będzie nocy!

LUTNIA SURY.

Str. 7: MYŚL Z PODAŃ PERSKICH.

Pośród przestrzeni, która granic nie ma,
 Zasiada Sura w szatach z błyskawicy
 Na napowietrznej światów stolicy,
 A na łonie lutnię trzyma
 I przygrywa.
 A pod Sury majestatem,
 Czarodziejskimi dźwiękami budzony,
 Waha się ruch nieznudzony,
 Nurt życia wieczność przepływa.
 Anieli światów, anioł za aniołem,
 Przetaczają świat za światem
 Nieustającym, niezwichnionem kołem,
 A ród za rodem i wiek za wiekiem
 Harmonijnym płyną ciekim —
 Bo muzyka Sury
 Jest życiem natury.
 Niechby na chwilę ucichło jej granie,
 Natychmiast życie zamarłoby świata,
 A noc i śmierć lodowata
 Zaległa głuche otchłanie.
 Nie ma strun Sury naczynie,
 Lecz ile razy nad głowę Sury
 Słońce słońce nadpłyne,
 Sura podnosi lutnię do góry,
 A słońce słońc, jak strunami,
 Obciąga ją promieniami.
 O, poezyjnych naczyń piastuni,
 A których swoim promieniem nie struni
 Duchowe słońce wyższego natchnienia!
 Trud wasz bezpłodny i bezpłodne pienia.
 Martwe i zimne, jak kruszec, są brzmienia,
 Któremi struna bezduszna się wzrusza;
 Jej łza przepłyne po sercach lodem,
 Jej uśmiech przewieje chłodem.
 Ani jej smutek rozczuli,
 Ani pociecha utuli,
 Bo duszy świata potrzebuje dusza.

DO NADZIEI.

Str. 8. W innej redakcyi:

Tchnienia twoje bóstwem wieją,
 I z modłami ciebie witam,
 Ale o niebo cię pytam:
 Z raju-ś, czy z piekła, nadziejo?
 Zaczarowanych ogrodów tyś pani,
 I gdybyś czasem nie złudziła niemi,
 Biedni tułaczce obiecaniej ziemi
 Legliby, w spiekłych puszczech zagrzebani.
 I moje łzy tam goreją,
 I ich ogniem ciebie witam,
 Ale wątpię, ale pytam,
 Co twojem niebem, nadziejo!
 Rozpacz przywrzała do mych ran tysiąca,
 Razem się zjawiasz, wdziękiem zdrowia śmiejesz
 Już ci ślę dzięki... ty się cofasz, mgłęjesz,
 Aż póki całkiem nie przepadniesz, drwiąca.
 I gdyś mi, życia poznanie,
 Zdrowia dało czuć słodczyce,
 Rzucasz mię, widmo zwodniczel...
 Precz, nadziejo, precz, szatanie!
 A teraz wszystko a wszystko mię myli:
 Miłość i przyjaźń, i rozum i cnoty.
 Już oto pelen niszczącej tęsknoty
 Pozieram tylko w cień ostatniej chwili.
 Aż, strojna łzami żaloby,
 Jasna wieczności porankiem,
 Przestrojona śmierci wiankiem,
 Zjawiasz mi się ponad groby
 I, jak obłoczek, co księżycy plami
 Na zwierciadlanym blasku twego oka,
 Wystąpi wieczność, spokojna, głęboka...
 Nadziejo! Bóstwo! Zostań wiecznie z nami!

ROZSTANIE SIĘ Z PRZYJACIÓŁMI.

Str. 12:

Zaszumiał wiatrem wierzch drzewa zielony,
 Po cichych wodach błękit się rozlewa;

Już to nie błękit ukochanej strony,
 Nie lubych spomnień te kwiaty i drzewa!
 Spłynęły one, spłynęły daleko
 I bez powrotu przeszłości rzeką.
 A w moich czuciach tak pusto, tak ciemno,
 A świat tak nagi, tak obcy przede mną,
 Że dzikie oko błąka się dokoła,
 Jak wzrok pchniętego do piekieł aniola.
 Więc już nie ujrzę was po tym rozdziale,
 Mojego serca drodzy przyjaciele?
 Więc mi już wasze nie zabrzmią godziny,
 Ciche uciechy dobranej drużyny?
 Gdy ta myśl jedna uderzy do głowy,
 Wtedy łza szczęścia, przeszłości sierota,
 Nabrzmiąła rozpaczą, spłynie,
 W obecności jad zółciowy,
 I w potwornej mieszance
 Tak zmaci pułap żywota,
 Że, łamiąc ręce, wołam jak Bóstwo, syn ciała,
 Gdy mu napój podano śmierci spragnionemu:
 — Czemuż mię, o mój ojczy, opuściłeś, czemu? —
 Biada mi, że tak wołam! Zasłona wciąż cała,
 I słońce wciąż dokucza spojrzeniu mojemu!

TOPIELEC.

Str. 18:

Złowrogich losów szaleje burza,
 Żeglarza ziemi w swej topieli nurza,
 Tonie, tonie moja łódka,
 Serce, cały mój ładunek,
 W tym śpiewie cały ratunek:
 O, jakże ciężka ta żegluga krótka!

Wybrnę czasami nad gorzkie fale
 I brzemień skonu piersiami odwalę,
 A wtedy cała pociecha,
 Że wciąż ta sama piosenka
 Na rozliczne tony stęka,
 I w szumie burzy szuka choćby echa

Czasami, widzę, stoją zebrani
 Słuchać u brzegu wołanie z otchłani,
 Ale mało tam kto słyszy,
 Ale jeszcze mniej rozumie,
 Śpiew lub za cichy w tym tłumie,
 Lub za okropny dla pieszczęcia ciszy.

I oto jednych gromy spłoszyły,
 Innych odwodzi tęczy widok miły,
 Do uciech pobiegli biedni —
 Niewielu z nich pozostało
 Słuchać w spółczuciu i śmiało
 Moich narzeków, sobie przepowiedni.

Skołatanego serca znajomi,
 Mojego śpiewu żaden z nich nie zgromi,
 Bo w pomroku takiej doby,
 Gdzie czucie słabo przyświeca,
 Jak w burzy oko księżycy,
 Nikną dobrane, promienne ozdoby.

Smutne ofiary niszczących losów,
 O przyjaciele tonącego głosu,
 Dla was moja pieśń nie zginie;
 Odejdziecie w myśl zamknięci —
 Westchniecie po mej pamięci,
 A łza topielca i wam z ocz popłynie.

Str. 19:

POŁUDNIE.

Samo południe! Uroczysta chwila!
 I duch na skrzydłach spoczął wyobraźni.
 Czasem się listek, jak do snu, przechyła,
 I blask barwiony żrenicę podrażni.

A w senej przeźroczy,
 Przez drżącego światła fale,
 Słońca spaniałe
 Cicho się toczy.

Cicho się toczy ponad ciszą ziemi —
 W pobliskich trawach brzęczy trel konika,

Ulotny wietrzyk, nad braćmi śpiącemi,
Przez czujne listki, zlekka się przemyka.

Tu zagrała mucha,
Tam słowicze pienie kona,
A wkoło głucha
Wrzawa zmacona.

Wszystko, ach, wszystko pięknie gra dla duszy,
Ale ją ciągle coś niestrojne klóci;
Kiedy mgła myśli świat cały oprószy,
Cóż stąd, że słońce blask oka ocuci?

Nacóż te śród nieba,
Te śród ziemi cudów roje,
Gdy komu trzeba
Mieć serce moje?

Ty, coś do wiecznej, harmonijnej zgody
Życia przyrody muzykę nastroił —
Ty, coś żyjące obrazy przyrody
Zgodnemi tęczy barwami nawią,
Objaw mi, o Boże,
Jak jedno dzieło twych rąk
Różnić się może
W tym zgodo-dźwięku!

MOJA PIOSENKA.

Str. 20:

Zegar życia bije,
Lata, jak woda, spływają z cicha;
Świat wesoło żyje,
Tylko mnie pierś wzdycha,
I, kiedy wszystko wszystkim się uśmiecha,
Mnie żaloba wszystko kryje,

Innych przyjaźń pieści,
Śmieją się innym usta kochanek,
Tylko mnie w boleści
Schodzi życia ranek;
Na mojej skroni schnie miłości wianek,
Nikt mię w sercu nie pomieści.

Nie mnie życia kwiaty,
Nie mnie przyświeca dzień złotem czołem;
Smutne grobu szaty
Żywy naciągnąłem.
Niesmaki życia moim są żywiołem,
Moim światem lepsze światy.

PODRÓŻ.

Str. 21 „Podróż jesienna“.

Pod tytułem „Podróż“ wiersz ten wydrukowany w poniższej redakcyi w noworoczniku „Rusałka“ na r. 1841, wydanym przez Aleks. Grozę w Wilnie, str. III.

Noc ciemna, burzliwa,
Ziemie okryły tumany,
Wiatr chłodny powiewa,
Szumi deszczuk przerywany —
Zimno i ponuro.
Ponad ziemią i tumany,
Otulony chmurą,
Błądzi księżyc zapłakany.
Nie ustawajmy w podróży!
Choć przeziębli, choć zmoczeni,
Przebędziem przykrość jesieni;
Cierpmy krócej, cierpiąc dłużej.
Wiatr świszczce, mgły biją,
Martwe echo las obiega,
Widma burzy wyją,
Fala pluska się u brzegu,
Dokoła strach srogi:
Ziemia martwa i świat niemy.
My nie wiemy drogi,
I nie wiemy, i idziemy.
Cóż nam znaczą, wszystkie tamy?
Mamy motykę grabarza,
Z nią zajdziemy, gdzie zająć mamy:
Do gospody u cmentarza.
Tuman się przesuwają:

Krzyż w przodzie, księżyc na krzyżu —
 Nad czym księżyc czuwa?
 Co nam odkrywa w pobliżu?
 Odźwierny przyszłości
 Kamień grobu nam odsłania:
 Stąd meta światłości,
 Tu kres nocy panowania.
 Pocóż rozpaczać daremnie?
 Poco wyrzekać na Boga?
 Już to nie najcięższa droga,
 Gdy się skończy tak przyjemnie.

Str. 22. ŁZA TAJEMNICZA.

Któż świat człowieka odgadnie?
 U mnie łza nie splywa snadnie:
 Już mi się nieraz zdarzało
 Stać pośród śpiewów żaloby,
 Przy trumnie drogiej osoby,
 Ze żrenicą skamieniałą.

Ileż to wiecznych rozdziałów,
 Ile związków potarganych
 O głąz duszy się rozbryzło!
 Ileż to losu postrzałów
 I boleści chwil splakanych
 Lodem się duszy prześlizło!

Nad niczem płakać nie mogę:
 Lecz w cichej, wieczornej porze,
 Gdy nadziemski świat otworzę
 I myśl puszcę w ducha drogę,
 Natychmiast dziwna muzyka
 Z bezładnych tonów tysiąca,
 Napowietrzna, czarująca,
 W pustkach się myśli odmyka,
 Rozlewa się w głębiach łona
 I, struną serca wtórzona,
 Póty się przelewa, mąci,
 Póty wabi, póty nęci,
 Aż jakimś dźwiękiem je trąci,
 A w oku łzą się zakręci.

Jaka ta łza, jakie granie?
 Tego-m odgadnąć nie w stanie;
 Lecz uczucie od tej łezki —!
 Za najpiękniejszy z gwiazd wianek
 Nie oddałbym jej promyka:
 Musi to Ojciec niebieski
 Rosić duszami niebianek
 Spiekłe serce śmiertelnika.

SZCZĘŚCIE (CZŁOWIEKA).

Str. 25.

Wyszedłeś na świat dziecięciem;
 Matka tuli cię objęciem,
 Przyroda w zawód rozkłada dziwy,
 Wszystko cię wita wesolo,
 Same pieszczoty wokoło,
 A ty odpowiadasz płaczem.
 Płaczesz, nie wiedząc i czego, i za czym?
 Widać, nie będziesz szczęśliwy.

Przebiegasz młodzieńcze lata,
 Zrywasz wszystkie kwiaty świata,
 Jak wietrzny mędrzec, jak wietrznik tkliwy.
 Rozkosz sama cię ugania,
 Piękna, jak anioł kochania,
 Chce, jak szczęścia, serca twego —
 Ty jednak tęsknisz! Za czymże? Do czego?
 Widać, nie jesteś szczęśliwy.

Dosiągnęś potęgę męża;
 Zgniotłeś namiętności węża,
 Ukołysałeś zapał lat burzliwy,
 Coś pragnął, wszystko posiadasz,
 Wielkimi skarbami władasz,
 W zaszczyty chwala cię stroi.
 Ciebie coś jednak smuci, niepokoi,
 Jesteś, widać, nieszczęśliwy.

Choroba wieku niemila
 Zgarbiła cię, wywędziła!
 W dół spadły oczy i głowa siwa,
 Teraz jesteś nieszczęśliwy.
 — Nie — rzecze dusza — włos siwy
 Jest kwiatkiem innego życia,
 Głowa się chyli do ziemi powicia;
 Tam spiesz, tam szczęście przebywa! —

ZAGADKA TKLIWEGO.

Str. 26.

Czego zadumany chodzisz
 I kładziesz rękę na spieczone łono,
 I po białych gwiazdach wodzisz
 Ciche westchnienia, powiekę zroszoną?
 Czy chcesz wyczytać na niebie,
 Skąd te lecące bez celu westchnienia,
 Skąd te płacze bez cierpienia?
 Chcesz się odgadnąć? Ja odgadnę ciębie.

Ziemia, jak trumna, spoczywa.
 Żalobne pienia nuca jej puhacze;
 Noc, jak wieko, ją przykrywa,
 Księżyc nad śpiącą, jak nad zmarłą, płacze.
 Takiej właśnie trzeba pory,
 Aby się twoją zagadkę odgadło;
 Weźmiemy tylko zwierciadło
 I pójdziem w pola, na góry, nad bory.

Patrzaj, oto obrócone
 Ku księżycowi lustro go spotyka;
 A teraz spojrzaj na stronę.
 Widzisz błysnienie? Czy widzisz, jak zmyka,
 Jak przelatuje skwapliwie
 Przez lasy ciemne, przez dzikie urwiska,
 Chwilę na wodach połyska,
 Chwilę na wonnej wstrzymało się niwie? —

A teraz pojrzyj ku górze.
 Jak to światelko pędzi całą siłą!
 Ledwo spoczęło na chmurze,
 Już przy księżycu, już się z nim złączyło.
 Otóż w naszym ziemskim bycie
 Tak niespokojnie dla duszy dni biega,
 Otóż zagadka tkliwego:
 Księżyc jest bóstwem, tyś jego odbicie.

BURZA.

Str. 28.

Dzień pobladł, powietrze ścichło;
 Rosną, postępują chmury,
 Jak z nocnych mroków ulane góry.
 Coraz i ciszej i ciemniej — nie rychło
 Zawył wichrów świst ponury,
 I znowu wszystko ucichło.

Mnożą się obłoki w dali.
 Po niebie, jak po opoce,
 Coraz to głośniejsz piorun turkoce,
 Coraz to jaśniej długi błysk się pali,
 Aż dzień utonął w pomroce,
 A niebo w nawałnej fali.

I ot nad głową prysnęły
 Morza chmur błysku rozświetem;
 Gromy po gromach wstrząsnęły błękitem,
 Zda się, że głębie światów odjęknęły
 Dzikim, konwulsyjnym zgrzytem
 I błądą trwogą olśnęły.

Zdaje się, że zegar kary
 Dźwiękami śmierci wygrywa.
 Jakże ta chwila wielka, straszliwa!
 Któż ją przetrzyma bez uczucia wiary?
 Czyjaż tu krew nie przepływa
 Przez żary, lody i żary?

A ty na te gromów łomy,
 Na te nieba w błyskawicach —
 Zimną spokojność trzymasz w żrenicach,
 Chociaż i tobie grozi skon widomy? —
 — Kto zrósł w serca nawałnicach,
 Temu nie straszne te gromy!

DUCH WIOSNY.

Str. 29. Do Wiosny.

Tajemniczy ogień czuję!
 Ten ogień zmysłom wesela;
 Sercu miłości udziela;
 Ten ogień duszę przejmując.
 Ciebie to, o wiosno, czuję.
 O wiosno, twoja to władza
 Z głębi niebios go sprowadza.
 Z błogosławionym oddechem wietrzyka
 W łono ziemi on przenika;
 Siedmiobarwi wstęgę tęczy,
 Motyle skrzydełko wdzięczy,
 Kwiatki koronami wieńczy,
 Przemawia w pieniu słowika,
 W zawoju świeżej róży się rumieni,
 We łzach poranku barwami się pali,
 Płomieniem gore na drzymiącej fali,
 Gwiazdy zasiewa po marszczkach strumieni. —
 Cóż, kiedy, duszę w jej głębiach przejąwszy,
 Świat nowszym zmysłem otworzy nowszy;
 Gdy w zmartwychwstania uroku
 Odsłoni przyrodę oku —
 I krew popędzi w uczuć ognistych potoku!
 Ach, jakież barwy, jakież odcienia
 Wydadzą czary tego płomienia?
 Z czymże go zrównam, o wiosno?
 Może z rozkoszą miłosną,
 Może z tem oblakaniem, co duszę zachwycą,
 Kiedy wdzięku anielskiego,
 Kiedy anielskiej pieszczoty dziewica

Wyda się trwożnym spojrzaniem
 Ze wzajemnym płomieniem
 I uścisk mimowolny przyłączy do tego?
 Nie, wiosno! I ja kochałem,
 I nie gardzono moim zapalem!
 Znam ja miłości rozkosze,
 Poznałem twoje — i twoje przenoszę.
 W tamtych niepokój i cierpkie żądze,
 Tam wśród uniesień bojaźń straty czuję,
 Trwożny o przyszłość, przeszłości żałuję.
 Tam cierpię, używając, unosząc się, błędzę;
 Zawsze tam szczęściu czegoś brakuje,
 Jak żeby piekło z niebem spojono,
 Z rozkoszami anioła potępienia bole.
 Wolę ciebie, wiosno, wolę.
 Skoro twoje technienia wioną,
 I twoją duszę uczuje łono,
 Wyższem życiem duch ulata
 Do sfer nadziemskiego świata
 I, upojony czuciami czystemi,
 Nie należy już do ziemi.

WIECZÓR.

Str. 31.

Widok to wielki, rozkosz czarodziejska,
 Ta okolica, ta w czasie godzina,
 Gdy innem życiem ziemia żyć zaczyna.
 Tam, w dali, wrzawa oniemiała wiejska.
 Błyszcza mdle światła w mieszkaniach człowieka,
 Jak skry rozpiezchłe niepewnej nadziei,
 A oddalony, ponury szum kniei
 Żyjącą duszę ostrzega z daleka.
 Ze tajemnice, zbrojne ludzi oku,
 Mają się począć w północnym drzew mroku.
 Wyszedł i księżyc, smutny syn wieczora,
 Ze śmierci cęga, z wejrzeniem upiora;
 Migają gwiazdy, po niebie rozsiane,
 Niby promyki stworzeń przeznaczenia,
 Ukradkiem trwożnej ziemi objawiane.

O, w jakież światy unoszą te dziwy
 Ziemi i niebios, jasności i cienia!
 O, jakże ciemny, o, jak nieszczęśliwy,
 Kto pełnem sercem pojąć ich nie umie!
 Jedna to rozkosz w ziemskich uciech tłumie,
 Zawsze nam nowa, zawsze w pogotowiu,
 A nie zależna całkiem od nikogo:
 Kiedy tak wszystko opłacamy drogo
 Na spokojności, na szczęściu, na zdrowiu —
 Tu dość chwil kilku, i kilku łez czystych.

DO MOJEJ WIERZBY.

Str. 31.

Dobry wieczór, wierzbo, tobie!
 Tylko proszę, proszę wcześniej,
 Niech liść żaden nie szeleśnie;
 Jak drzymał, niech drzymie sobie.
 Bo usnęło serce moje,
 A zbudzić je tak się boję!
 Jak miło w tem uciszeniu!
 Żaden powiew nie oddycha,
 Po cichem nieba sklepieniu
 Senny księżyc stapa z cicha

Och — i cóż się tobie stało?
 Westchnęłaś — a to westchnienie
 Przerwało serca uspienie,
 Zbudziło przyrodę całą:
 Księżyc chmurami się dąsa,
 Wiatr liściami potrząsa,
 A mar ugłaskanych roje,
 Co wśród gałązek usnęły,
 Spadły znów na piersi moje,
 Znowu serce ssac poczęły.

Och, dobranoc, wierzbo, tobie!
 Prózne spokoju żądania!
 Serce dalej mię pogania.
 Ja idę dalej, ty szum, w żalobie —

Jak ja w żalobie odchodzę
 Po ciernistej deptać drodze,
 Szukać szczęśliwej uboczy,
 Gdzie głaz wiecznego usnienienia
 To czujne serce przytłoczy,
 Gdzie usną same westchnienia.

WIANEK PRZYJAŹNI.

Str. 55.

Chodźmy, Janie, na to wzgórze
 I usiadźmy tu, pod brzozą.
 Płynie jesień w mglistej chmurze,
 Gонец zimy gwizdże łożą;
 A tam, na wierzchołku drzewa
 Szkielec wianuszka powiewa. —
 Czy pamiętasz ten spoczynek,
 Gdy go nasze plotły dlonie
 I zawiesiły w tej stronie
 Przyjaźni na upominek?
 Czy pamiętasz jego farby
 Przy letniego słońca blasku?
 Jak zmieszane światła skarby
 W czarodziejskim tęczy pasku,
 Tak płonęły jego farby!
 A dziś — ? Patrz, jak trupie lica,
 Taka zimna, taka błada,
 Niebieska jasność przyswięca,
 Na zczerniały wianek pada.
 Uważ, uważ co się dzieje
 Z pięknym przyjaciół wianuszkciem! —
 Kiedy nad śmiertelnem łóżkiem
 Światło gromnic zajaśnieje,
 Kiedy śmierci anioł niemy
 Zamgli źrenicę chorego,
 W milczących twarzach niesiemy
 Smutki ostatnie — dla niego.
 Jak tam wyraźnie czujemy
 Po bolesnem serca biciu,
 Że ubywa węzła życia —

Pękają ziemi ogniwa,
Łańcuch bytu się rozrywa.
Czucia ten łańcuch składają:
Gdy się mnożą, rośnie życie —
Psuje się, umniejsza skrycie,
Kiedy czucia przemijają.

Poco tak smutne marzenie?
Rzućmy je — tutaj nasz wzgórek,
Tu nasze zblakłe zielenie!
Niechaj z błędnym lotem chmurek
Po przeszłości myśl ulata!
Niechaj pobuja w swobodzie,
Pamiętką szczęścia bogata,
Jak to skrzydełko motyle,
Ręką wiosny malowane,
Dzisiaj wiatrami tarzane,
Krąży, igra jakąś chwilę
Po tumanach i po chłodzie.
Niechaj igra, a my siądźmy,
Jeszcze łyż szczęścia dobądźmy,
Niechaj łyż szczęścia promieniem
Cień zasnęcia umilę.
Kiedy nam losów niestałość
Gotuje w przyszłości żalność,
Posilajmy się wspomnieniem.

Ćmi się brzoza, mgłą obwiana,
Jakby kirową zasłoną;
Jak żrenica zapłakana,
Zimną rosą listki płoną
I z wiatrami złośliwymi
Rozlatują się po ziemi.
W podobnych łzach i żalobio
Widziałem oblubienicę:
Po utracie oblubienca,
Na niedawnym jego grobie,
Zasiewała okolicę
Listkami ślubnego wienca.
Jak tam boleśnie po oku
W płacz się rozlał śmiech wesela!
Ja korzystałem z widoku,

A ty —? Słuchaj przyjaciela!
Używajmy chwil, co płyną,
Używajmy, nim przepłyną,
Jutro, w godzinę — w minutę
Może nie być — jak w tej dobie;
Jutro, w godzinę — w minutę,
Zszedłszy się, jak za pokutę,
Możem zimno ścisnąć siebie,
Obojętnie się przywitać;
Możem o siebie nie pytać.
Gdy więc przyjdzie, że dla ciebie,
Dłoń ta będzie bez płomienia,
Bez duszy moje spojrzenia,
Bez spólcucia moje słowa:
Niech się przynajmniej wychowa
Pamięć tego posiedzenia —
Ach, nie niszczy tego wspomnienia!

GOŁĄBEK Z POSŁANIEM.

Str. 59.

Z której to lecisz, gołąbku, strony?
Z takim ciężarem, taki znużony?
Czyjeż cię ręce pchnęły tak srogie
W taką przykrą drogę?

— I Pan, co nami rządzi wszechwładnie,
I ot, ten ciężar, co na nas kładnie,
I kraj, skąd lecę, i kraj, gdzie stanę —
Wszystko mi nieznane.

Nie wiem, czy pańskie są w tem igraszki,
Lecz wiem, że z duszy chcę być u ptaszki;
Tęskni kochanka, czeka mię miła,
Smutna, jak mogiła.

Ciężar, co niosę, przykry, jak ciało —
Trudną, jak życie, drogę mam całą,
W słotach zaś, w biedzie, żadnej obrony
Nad ciężar włożony.

Gdyby już prędzej brzemię nad siły
Złożyć na łonie tęskniącej miłej,
Gdyby już spocząć sobie, gdzie gości
Spokojność wieczności!

PORADA.

Str. 62, (Do...):

Oko twe mile, jak niebo pokoju:
Jak słońce błyszczy w uczszonym zdroju,
Tak cicho dusza w twych oczach spoczywa.
Po wdziękach lica lekliwie i skromnie
Różową chmurką rumieniec przepływa —
Pojrzałaś na mnie, uśmiechasz się do mnie.

Posłuchaj, piękna, posłuchaj mię chwilę!
Gdyby to oko, patrzące tak mile,
Mojemu oku odpowiedzieć chciało,
Cobyś pragnęła wiaść ode mnie wtedy?
Weź sobie rozum — rozum? To za mało;
Szału miłości będzie on wart kiedy?

Weź sobie rozum, dodam życie jeszcze —
Ja tylko jednym całunkiem popieszczę.
Niech stracę rozum, niechaj sam zaginę,
Dość mi nagrodzi jedno całowanie
Za tę rozumu i życia godzinę! —
Co? Ty się zgadzasz? Pomyśl — a niebianie!

O, rozkosz ze mną nie ujdzie bezkarnie.
Niech się niewinność do twej piersi garnie,
Bo pokój nieba twoją pierś nasyci,
A w mojej, słyszysz, jakie burze wyją?
Jak rajske źródło, czysta twa żrenica,
Niechaj anieli rozkosze z niej piją!

Nie bierz mi serca, nie oddawaj swego,
Odwróć się, odwróć od spojrzenia mego,
Póki szanuję niewinnej swobodę,
Póki trwam jeszcze w dzikiej cnoty szale;

A za jedyną mych cierpień nagrodę
Bądź dla mnie srogą, zapomnij mię wcale.

CERKIEW ŚW. ANDRZEJA W KIJOWIE.

Str. 82.

Wstąpię ja tutaj i siądę na górze,
Gdzie się tak śmiało wdarły owe mury.
Po świetle nocne osiadają chmury,
Padół zalega podnóże,
Na przodzie Dniepr, a wkoło Kijów, jar i góry.

Witam cię, witam, czarodziejska ciszo!
Ludzie światową wrzawą ogłuszeni,
W twojej niemocie, pod kirem twych cieni
Nic nie widzą, nic nie słyszą,
Bo ich oczom niebiańskie światło nie promieni.

Noc dla nich grobem, a śmiercią jej dziwa;
A przecież komuś grają te zegary,
Kogoś ten wicher ugania przez jary,
Komuś ten ptak mógł śpiewać,
I tej cerkwi nie same trzęsą się filary.

Przybądź tajemnic odwiecznych ciekawy,
Jeśli sen gnuśny ciężkich ocz nie skleja,
I wieszczych plonów zwabia cię nadzieja,
I ośmiela umysł prawy —
Przybądź skrycie, samotnie, pod cerkiew An-
[drzeja!

Przybądź, ktośkolwiek, niech z tobą podzielę
Wszystko, co ujrzę, wszystko, co mię zdumi —
Zegar uderzył, wicher jarem szumi.
Puszczyk huknął na kościele,
I puszczyk i dzwon ucichł — wicher szum swój
[tłumi —

I duch się podniósł wielkości olbrzyma.
Omgłony płaszczem ze śnieżnej zamieci,
Ciemny, jak chmura, jak cień chmury, leci,
Słup żelazny w rękę trzyma —
Jako księżyc na lodach, tak wzrok jego świeci.

Znam, znam mieszkańca nieludzkiej krainy!
To duch Lechitów, strażnik ich granicy;
Słupiec Chrobrego piastuje w prawicy,
Wybrnął z Dnieprowej głębiny,
By mojej narodowej zjawić się tęsknicy.

Przybywa natchnąć narodowe pienia.
Coraz się szybciej wiatrami pogania —
O, pośpiech, duchu, rozwiąż me dumania!
Co? On daje znak milczenia!
Kładzie palec na ustach, śpiewać mi zabrania.

I mróz przestraschu ściał wieszczę zapaly —
I duch uleciał skrzydłami powiewu.
Powiedźcież, bracia, powiedźcie bez gniewu:
Czy śpiewy słabe być miały?
Czy my jeszcze niegodni ojczystego śpiewu?



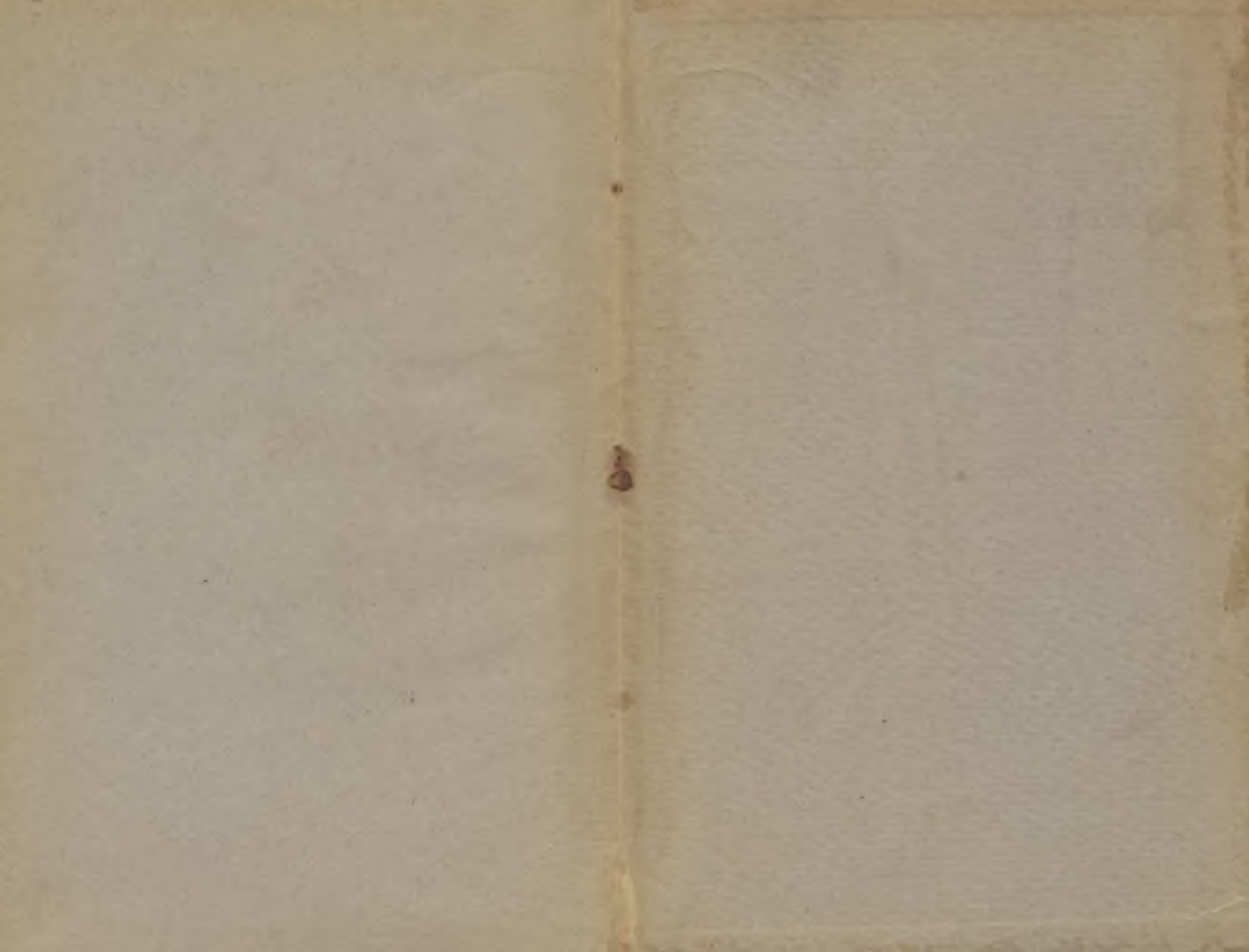
47920



Eliv 1.000.-

2167/845





nr inw.: K - 47920



BGZs 47920